WYGRAĆ NOWE ŻYCIE 15

WYGRAĆ NOWE ŻYCIE

STRAIGHT EDGE VEGAN PUNK



ANTI-FLAG

CF98

GUANTANAMO PARTY PROGRAM

PROTEIN

GLAMOUR

MANTA BIROSTRIS

PIOTR DABOV

RAFAŁ KAMIŃSKI

JACEK ZĘDZIAN

POZNANIACY PRZECIWKO MYŚLIWYM

STRAIGHT EDGE PERSONAL STORIES / VEGAN STORIES
ARTYKUŁY, KOLUMNY, RECENZJE & MORE

DO OR DIE ZAPRASZA NA

SXE FEST

NO DRUGS, NO DRUNK, NO SMOKE NO FASCIST BULLSHIT

CUTTING THROUGH
APPRAISE
VICIOUS REALITY
PROTEIN
SELLOUT CONTROL
INFUSE



DATA 21.04

KLUB: POGŁOS,
BURAKOWSKA 12, WARSZAWA
START: 17.00, WJAZD: 35

PARTNERZY IMPREZY:









DOORDIE!

Gdzieś w środku tego numeru pojawia się zdanie, w którym autor zadaje pytanie: „Co zrobisz, gdy jesteś już trzeźwy?". To bardzo dobre pytanie. Straight edge jest niesamowitą platformą do samorealizacji, bez najmniejszego znaczenia, czy jest zabawą, sposobem na życie wybranym wolną wolą, czy próbą radzenia sobie z uzależnieniami. Posiadanie trzeźwego i skupionego umysłu, prawdziwe życie pozbawione nienaturalnych stanów świadomości to tak naprawdę próg wyjścia do czegoś większego. Gdy znasz siebie, potrafisz ocenić swoje możliwości, jesteś skupiony na otaczającym cię świecie i oceniasz go bez zakłamań wynikających ze sztucznych bodźców – możesz działać. Straight edge jest czymś więcej niż tylko rezygnacją z używek – to działanie. Gdy przestajesz tracić czas na upijanie się, gdy nie trwonisz energii na kombinowanie i zdobywanie dragów, masz szansę poświęcić te dwie wartości na coś kreatywnego. Możesz wziąć głęboki oddech czystego powietrza, tworzyć, przeżywać swoje życie takim, jakim ono jest naprawdę, i cieszyć się jego owocami.

■A teraz mamy wiosnę 2018. Bardzo prawdopodobne jest, że czytasz te słowa w zatłoczonej sali „Pogłosu" na Straight Edge Fest. Podczas tego wydarzenia zaplanowaliśmy premierę #5 i bardzo nas cieszy fakt, że udało się tego dokonać. Ten koncert to zasługa bardzo fajnej pary – Kasi i Radka z Do or Die, którzy swoje koncerty robią już od blisko dekady. W tym czasie zrobili wiele niesamowitych imprez i wciąż wkładają w to całe swoje serce. W dalszym ciągu mają sporo planów na dobre koncerty i nie zamierzają odpuszczać. Dość wspomnieć tylko to, co zaplanowali w najbliższym czasie: Break Away, Belief – maj, H2O, All For Nothing – czerwiec, Slapshot – lipiec, Integrity – sierpień. Bądźcie czujni!

My nie odpuszczamy również. Mamy w ekipie kilka dodatkowych łapek z iksami na dłoniach i razem staramy się rozwijać żagle i przeć naprzód z większą mocą. Z tym numerem witamy na pokładzie **Adama** i **Bartka**. To bardzo fajnie, że w ramach wspólnej idei potrafimy tak pięknie działać!

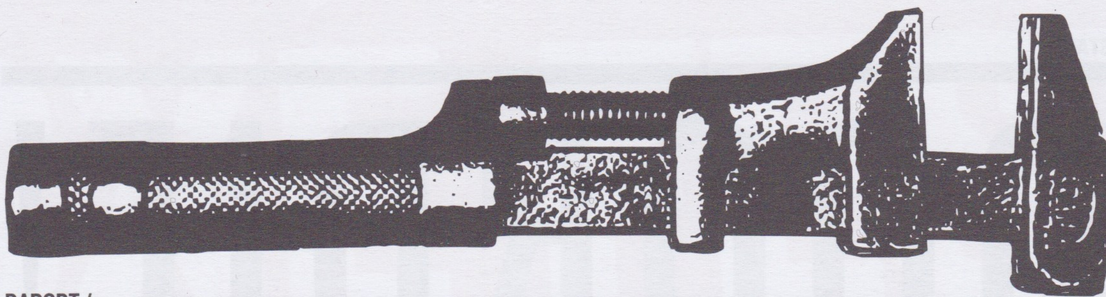
Tym razem nie będę rozpisywał się o zawartości, nie wspomnę o zmianach i nowościach. Zachęcam do kognitywnego zweryfikowania zawartości samodzielnie i bez zbędnego przynudzania, życzę po prostu miłego odbioru. *Stay Alive!*

***Paweł**, 1.4.2018*✕

Numer przygotowali: Paweł, Marcin, Janek, Sebastian Rerak, Adam Sokół, Bartek / Współpraca: Jakub Stański, Art Jagódka, Vespa / Korekta: Asia / Projekt okładki: Jakub Stański (www.stanski.pl) / Skład: Paweł

Dziękujemy wszystkim, którzy wystąpili w tym numerze i przyczynili się do jego powstania.

www.wygracnowezycie.pl / www.facebook.com/xwnzx / www.xwnzx.8merch.com



RAPORT /

D I R E C T A C T I O N

PRZYGOTOWAŁ: MACIN /

■ *SPRAWA SVENA I NATASHY*

Huntingdon Life Sciences (w ostatnich latach pod zmienioną nazwą Envigo) jest największym europejskim kompleksem laboratoryjnym, w którym przeprowadza się testy na zwierzętach. Owiane złą sławą, było przez lata (i nadal jest) powodem protestów ze strony grup prozwierzęcych. W związku z tym, że jest to placówka pracująca na bazie podpisywanych umów z komercyjnymi przedsiębiorstwami, testuje się tam niemal wszystko – środki czystości, produkty gospodarstwa domowego, pestycydy, barwniki spożywcze, przyprawy, sztuczne słodziki, produkty modyfikowane genetycznie, tusze drukarskie i wiele innych. HLS podejmie się wszystkiego, ponieważ aby się utrzymać, musi na siebie zarabiać. Każdego dnia zabija się tam około 500 istot – średnio co 3 minuty ginie zwierzę. Do najczęściej wykorzystywanych należą małpy, koty, psy, króliki, świnki morskie, chomiki, myszy i ptaki. Przetrzymuje się tam do 70 tysięcy stworzeń pozamykanych w klatkach. Wielokrotnie aktywiści upubliczniali dowody na skandaliczne zachowania, jakich dopuszcza się pracujący w placówce personel. Można do tego zaliczyć szczególne okrucieństwo wobec zwierząt, fałszowanie dokumentacji związanej z przeprowadzanymi testami, niekontrolowane stosowanie substancji odurzających czy też symulowanie seksu z wykorzystywanymi gatunkami. Jednym z najbardziej oburzających przypadków znęcania się nad „obiektami" badań było bicie pięściami szczeniaków rasy beagle prosto w twarz. Już raz rząd Wielkiej Brytanii chwilowo zawiesił licencję kompleksowi, właśnie za okrucieństwo w stosunku do zwierząt. Było to jednak działanie pozorne, mające na celu uspokojenie organizacji prozwierzęcych, gdyż w późniejszych latach nie kto inny, jak właśnie władze brytyjskie broniły laboratorium przed aktywistami.

HLS należy do niechlubnego grona najbardziej oprotestowanych laboratoriów w historii. W nadziei na zamknięcie zbrodniczego miejsca grupy działające na rzecz zwierząt rozpętały potężną kampanię pod nazwą SHAC (Stop Huntingdon Animal Cruelty). Akcja była na tyle skuteczna, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat setki koncernów (łącznie z paroma ogólnoświatowymi gigantami) podjęły decyzję o zerwaniu umów z HLS. Tym samym laboratorium wpadło w poważne problemy finansowe, dobijając do ponad 100 milionów funtów długu. Aby nieco zredukować ciągnący się za przedsiębiorstwem czarny PR, zmieniono nazwę na Envigo. Do tej pory prawdopodobnie udałoby się doprowadzić do zamknięcia placówki, gdyby nie wspomniana pomoc rządu brytyjskiego, który dokładał fundusze publiczne do przemysłów farmaceutycznego i wiwisekcyjnego. Udzielił ogromnej pożyczki właścicielom HLS, jak również ubezpieczył ich budynki. Jest to prawdziwy precedens, ponieważ dotychczas żadne inne komercyjne przedsiębiorstwo nie uzyskało tak szczególnej i kosztownej pomocy od państwa. Co więcej, rozpoczęto zakrojoną na szeroką skalę kampanię walczącą z krytykami przybytku. Gadające głowy broniły interesów Huntingdon Life Sciences w mediach, zaś policja przeprowadzała potężną operację, na którą składały się międzynarodowe śledztwa, obserwacje aktywistów, wnikanie tajniaków do grup animalistycznych w celu ich infiltracji, przeszukania, obławy policyjne i aresztowania. Zatrzymywanych działaczy skazywano na absurdalnie długie pobyty w więzieniu oraz niemożliwe do spłacenia przez pojedynczą osobę kary finansowe. Organizatorów akcji protestacyjnych poddawano represjom.

Z samego rana, 6 lipca 2012 roku, do mieszkania dwójki brytyjskich aktywistów mieszkających od jakiegoś czasu w Amsterdamie, Svena i Natashy, wtargnęła policja. Sven od 11 lat jest weganinem, angażował się w wiele akcji poświęconych wyzwoleniu zwierząt, ludzi i planety. Natasha, także wieloletnia weganka, jest wolontariuszką w centrum pomocy i rehabilitacji psów. Trafili już raz do aresztu jako podejrzani w sprawie uwolnienia z duńskiej fermy przemysłowej 5 tysięcy norek. W stolicy Holandii aresztowano ich pod zarzutem „konspirowania w celu dopuszczenia się szantażu", który mieli popełnić pomiędzy listopadem 2008 a grudniem 2010 roku. Celem przestępstwa miał być zarząd HLS. Oskarżono ich także o szereg pomniejszych działań, m.in. o pisanie uprzejmych listów w ramach kampanii SHAC (trudno powiedzieć, w którym miejscu doszło tutaj do popełnienia jakiegokolwiek wykroczenia) oraz niszczenie mienia należącego do laboratorium Huntingdon. W tym samym czasie mundurowi wdarli się do siedziby lokalnej grupy obrońców praw zwierząt, rekwirując komputery, twarde dyski, dokumentację papierową, kamery i drukarki. Svena i Natashę przetrzymywano w areszcie przez tydzień, po czym wypuszczono, pozostawiając pod ścisłym nadzorem. Ich paszporty zostały skonfiskowane. Aresztowano też trzecią osobę, już na terenie Wielkiej Brytanii. Zatrzymana kobieta stanęła przed sądem na początku 2014 roku, oskarżona o konspirowanie w

celu dopuszczenia się szantażu w okresie od 2001 do 2011 roku oraz za udział w organizacji kampanii SHAC. Usłyszała wyrok 6 lat więzienia. Po pięciu latach od zatrzymania Svena i Natashy brytyjska policja złożyła wniosek o ekstradycję pary. W styczniu tego roku skazano Svena na 5 lat więzienia, zaś Natasha dostała 2 lata w zawieszeniu. Kobieta opuściła już areszt.

O co dokładniej chodzi z oskarżeniem o „konspirowanie w celu dopuszczenia się szantażu"? Jest to zarzut, którym coraz częściej zasłania się policja brytyjska, kiedy chce uderzyć w grupy obrońców zwierząt, choć nie tylko. Problem może dotyczyć wszelkiego rodzaju oddolnych ruchów sprawiedliwości społecznej, które stanowią zagrożenie dla elit i ich interesów. Postawienie zarzutu szantażu znacznie wydłuża karę pozbawienia wolności (do 14 lat więzienia), która normalnie nie byłaby tak duża w przypadku aktywistów proanimalistycznych. Żeby dodatkowo wzmocnić wagę przestępstwa, łączy się je z oskarżeniem o konspirowanie. Szantaż w prawie Wielkiej Brytanii rozumie się jako żądanie czegoś od kogoś pod groźbą zadania tej osobie krzywdy. Żądanie i groźba mogą mieć dwóch różnych autorów, wystarczy więc zażądać czegoś od kogoś, nie robiąc mu krzywdy, a już można znaleźć się pod lupą policji. Takie sformułowanie prawa jest niepokojąco nieprecyzyjne, bowiem większość ruchów i organizacji społecznych ma swoje żądania bez intencji zadawania krzywdy. Jeżeli dokonano żądania, musi ono przynosić konkretną korzyść dla żądającego lub wyrządzać stratę dla szantażowanego. I co najlepsze, ofiara nie musi nawet odebrać treści szantażu, aby czyn kwalifikował się na przestępstwo. Natomiast konspiracja to planowanie złamania prawa przez co najmniej dwie osoby (nie ma maksymalnej liczby osób zaangażowanych, tak więc służby mają możliwość włączania do sprawy kolejnych aktywistów, nawet jeśli nie ma wystarczających dowodów na ich współudział). Nie musi nawet do niego dojść, do bycia winnym wystarczą przygotowania teoretyczne. Powiązanie danego przestępstwa z rzekomym konspirowaniem w celu jego popełnienia, w które zaangażowana jest większa grupa ludzi, sprawia, że zarzuty wydają się o wiele bardziej poważne, a więc wymagają większej kary.

Oto adres, na jaki można pisać listy do Svena, aby okazać mu solidarność:

Sven van Hasselt / A3021EDHMP / WinchesterRomsey / RoadWinchester / SO22 5DF

■*AKCJA BEZPOŚREDNIA*

Mogłoby się wydawać, że obecnie mało kto decyduje się na przeprowadzanie akcji bezpośrednich w duchu Animal/Earth Liberation Front. Jest to błędne wrażenie. Media nie interesują się tym tematem, a więc i okrojona ilość informacji o tego rodzaju działalności dociera do szerszego grona odbiorców. Dlatego też prezentujemy mały wycinek przedsięwzięć, które miały miejsce w okresie od sierpnia 2017 do stycznia 2018 roku (na podst. komunikatów otrzymywanych przez magazyn Bite Back). Radykalnych działań z pewnością było o wiele więcej, lecz nie wszyscy aktywiści decydują się na dokumentowanie swoich poczynań lub też wybierają inne formy informowania o postępach swoich grup. W opinii niektórych wyzwolenia pojedynczych zwierząt mogą nie uchodzić za zbyt „spektakularne" dokonania, pamiętajmy jednak, że warto ratować każde życie.

Uwolniono:

- ponad 320 kur (w tym 35 dwutygodniowych piskląt) we Francji, Wielkiej Brytanii, Brazylii, Filipinach, Czechach, Australii, Kanadzie i Szwecji
- blisko 30 królików we Włoszech, Czechach i Turcji
- 82 myszy z laboratorium w Chile
- 5 świń we Francji i Wielkiej Brytanii - kilkanaście indyków w Wielkiej Brytanii, Kanadzie i Francji
- 12 kaczek w Czechach, Chile i Holandii
- 12 psów na Cyprze
- 16 owiec we Włoszech, Hiszpanii i Wielkiej Brytanii
- borsuka zamkniętego w pułapce w Wielkiej Brytanii
- 200 przepiórek i kuropatw z myśliwskich klatek we Włoszech
- tysiące łososi w Szwecji
- tysiące norek w Szwecji
- kilka wron i srok z pułapki w Wielkiej Brytanii
- około 100 jeleni z farmy hodowlanej w Szwajcarii.

Inne akcje bezpośrednie:

- zniszczenie ponad 125 ambon myśliwskich w Niemczech, Szwecji, Francji, Szwajcarii, Włoszech i Wielkiej Brytanii
- uszkodzenie 3 aut myśliwych w Hiszpanii
- podpalenie 4 ciężarówek należących do koncernu mlecznego w Finlandii
- zdemolowanie siedziby myśliwych we Włoszech
- podpalenie łodzi rybackiej w Brazylii
- zhakowanie stron francuskich organizacji myśliwskich oraz związanych z chowem przemysłowym
- zdemolowanie 8 chat myśliwskich we Włoszech, spalenie kilku w Szwecji
- zdewastowanie elewacji laboratoriów wiwisekcyjnych w Niemczech, Argentynie i na Costa Rice
- zniszczenie kilkudziesięciu pułapek na borsuki w Wielkiej Brytanii
- zdewastowanie elewacji wielu sklepów mięsnych i zoologicznych oraz rzeźni w Grecji, Chile i Brazylii
- zdewastowanie elewacji kilku sklepów z futrami i wyrobami skórzanymi, zaklejenie zamków, uszkodzenie dwóch samochodów właściciela tych sklepów w Szwecji
- zaklejenie zamków ponad 20 sklepów mięsnych i rybnych we Włoszech, Francji i Chile
- podpalenie areny rodeo w Chile
- zdewastowanie strzelnicy myśliwskiej w Wielkiej Brytanii - podłożenie czterech bomb hukowych pod trzema ciężarówkami i siedzibą firmy zajmującej się wycinką lasów w Chile.

CDN/

K O L U M N Y

X

JAKUB "STAN" STAŃSKI /

■Jak słusznie przewidywano, dobrem w XXI w. najbardziej pożądanym okazał się dostęp do informacji. Sfera publiczna jest już krytycznie przesycona treściami; na określenie tego zjawiska termin „szum informacyjny" wydaje się już dowcipnie staroświecki. Ciekawe, jak skomentowaliby to nasi przodkowie, którzy przed wiekami ukuli powiedzenie o igle w stogu siana, widząc, jak trudne jest dziś znalezienie w sieci tej jednej, poszukiwanej danej. Liczba dróg komunikacji, jakich używamy do porozumiewania się, stale rośnie i już nikt nie jest w stanie uchwycić wszystkich wątków, które przeszywają publiczne dyskusje. Obieg informacji również w naszej wspólnocie biegnie wieloma kanałami. W mediach społecznościowych, takich jak Facebook i Instagram, debaty toczą się często jako treści niepubliczne, bez dostępu osób niepowołanych, co z jednej strony pełni rolę korytarza bezpieczeństwa i wzmacnia komfort wypowiedzi, a z drugiej – utrudnia zadanie wszystkim, którzy w dobrej wierze chcieliby uzyskać dostęp do interesujących ich treści.

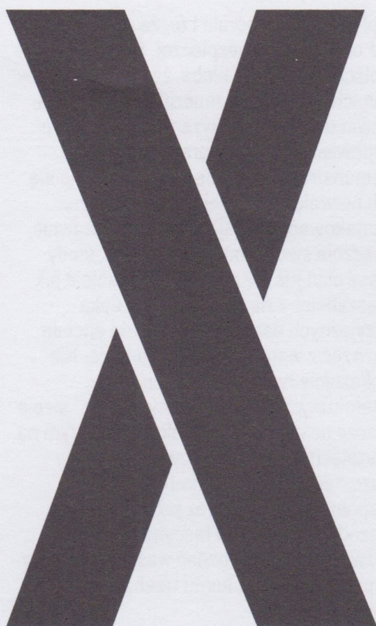
Z tego właśnie powodu nie jestem w stanie w tej chwili dociec, kto i kiedy po raz pierwszy użył terminu „zbowid", który w ostatnich miesiącach zrobił taką karierę w sieci. To pogardliwe określenie weteranów ruchu punk nawiązuje do komunistycznego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, który ma liczne zasługi na polu krzewienia oficjalnej, peerelowskiej polityki historycznej. Ściśle podporządkowany PZPR, zrzeszał kombatantów II wojny światowej walczących w szeregach różnych formacji i więźniów obozów, ale jak łatwo się domyślić, z wyłączeniem wielu żołnierzy AK. Poza opieką, jaką otaczał bojowników i ich rodziny, pełnił rolę klubu weterana; przynależność do niego wiązała się z licznymi przywilejami, a na czele w funkcjach faktycznych i honorowych prezesów stały najwyższe osoby aparatu totalitarnego państwa. Skojarzenia, jakie budzi ten skrót, nie są nazbyt pozytywne: zamykam oczy i widzę zgorzkniałych emerytów, tym mocniej przekonanych o swych racjach, im silniejsze przyjmują środki. Ich zasługi są niejasne, ich życiorysy – niezbadane, a mimo to domagają się oddawania honorów z definicji, obrażając się za każdą próbę podważania swoich niegdysiejszych, rzecz jasna chwalebnych czynów.

Ktokolwiek by nie stał za tym neologizmem, trudno odmówić mu kreatywności i wyczucia nastrojów. Podobnie teraz postrzegają najmłodsi uczestnicy sceny tkwiące w latach 80. pokolenia starych załogantów, którzy dziś wyplątali się z nałogów, walki o byt, obowiązków rodzinnych i zaczęli uczęszczać na koncerty. Tym bardziej że wiele z niegdysiejszych legend dzięki reaktywacjom znów można zobaczyć na żywo (jak TZN Xennę), a styl tradycyjnego, polskiego punka wydaje się wracać do łask. Przybywają tłumnie, pobrzękując badzikami Armii i KSU jak rzędami medali, przyodziani w znoszone ramoneski i dżinsówki spłowiałe jak mundury weteranów Afrika Korps, nadmiernie przywiązani do ulubionych rozrywek (picie) i systemów wartości, które dawno wyszły z obiegu. Tym chyba najbardziej narazili się obecnej hc punkowej młodzieżówce, dla której hasła walki z nierównościami i homofobią, antyfaszyzm i wegetarianizm to wartości, których nie trzeba nawet wciągać na sztandary, bo są one oczywiste i powszechne. Tymczasem u schyłku komuny, gdy hartowała się stal na ćwieki do pasków pierwszych punkowców, nikt jeszcze o tym nie słyszał. Komuś, kto nie miał kontaktu ze sceną niezależną lat 90. i późniejszych, dzisiejszy aktywizm i zaangażowanie scenersów w dziesiątki działań politycznych, od Food Not Bombs po organizacje pracownicze, lokatorskie i feministyczne, rzeczywiście musi być niepojęty. Muzyka, jaką grają scenowe kapele na większości gigów, np. w Warszawie, to już nie swojski punk w stylu Sex Pistols i Exploited, tylko amerykański hardcore czy – o zgrozo! – noise czy metalcore. Rzeczywistość punkowa od ostatniego „prawdziwego" Jarocina bardzo się zmieniła i nie dziwię się wiekowym punkowcom, jeśli ciężko im zrozumieć obecne realia.

W koncertowym tłumie różnice między przedstawicielami „zbowid"-punka i sceną hc punk nie są aż tak wyraźne, za to obserwując spotkanie tych światów w przestrzeni wirtualnej, można nabawić się solidnego poznawczego dysonansu. Czy na pewno my należymy do jednej subkultury? Po jednej stronie twórczy ferment nowych idei, otwartość i wspólnotowość, po drugiej – indywidualizm, rywalizacja, kultywowanie tradycji, niechęć do nowinek i nieufne podejście do podstawowych standardów DIY, które wypracowaliśmy sobie na scenie przez lata. Sukces „Rocka na Bagnie" – sztandarowego festiwalu podtrzymującego etos buntu w stylu lat 80. i 90. wśród hardcore punk kids działających wg motta „do it yourself" robi za synonim obciachu i częściej budzi grymas żenady niż refleksję, że tak naprawdę stanowimy jeden kontrkulturowy ruch. I że to lata ewolucji nurtu doprowadziły do powstania nieuchronnych różnic w postawie i stylu. Rozmyślnie pomijam rozdźwięk w zapatrywaniach politycznych, bo chociaż mam swój pogląd na tę sprawę, nie chcę negatywnie oceniać całego środowiska bez żadnej analizy. Pytanie też: na ile mogę być w tej sprawie bezstronny? Do młodzieży od paru ładnych lat nie należę. Nie straciłem kontaktu z najmłodszą częścią sceny, więc mam tę odrobinę luksusu pozwalającą na obiektywizm, ale metrykalnie legitymacja „Związku Bojowników..." zaczyna niebezpiecznie pojawiać się w zasięgu wzroku. Ładunek negatywnych skojarzeń, jakie niesie słowo „zbowid", w moim przypadku nie trafia w cel (choć słyszałem go w odniesieniu do siebie już kilka razy, zawsze w dowcipnym tonie). Jednak wszystkich, którzy jako nastolatki musieli przejść przez cały ten kurewski syf schyłku komunizmu i pamiętają podstarzałych towarzyszy decydujących d o s ł o w n i e o czyimś życiu i śmierci, nazywanie „zbowidem" ma prawo zaboleć.

W rozmowach z przedstawicielami swojego pokolenia cały ten konflikt obracamy w żart – chyba nie czujemy się zbowidowcami, choć z pewnością jesteśmy weteranami lat

90. Pamiętamy początki sceny straight edge, wysyp zespołów grających reggae/folk-punk określanych jako Piła-sound i wreszcie szaloną popularność crustpunka, której reperkusją jest wyprzedany do zera pierwszy po reaktywacji koncert Sanctus Iudy. Zapomnieliśmy już – my, starsi, jaki na scenie lat wcześniejszych panował radykalizm, podziały i brak kompromisów. Dziś emocje opadły, nastroje uległy ochłodzeniu, ale kiedyś walka środowisk odbywała się z całą brutalnością. „Scenowe punki" kontra „jarocińskie punki" to temat bez końca wałkowany w zinach bez cienia refleksji, jak bezsensowne wykluczenie generuje to dla drugiej strony. Elitaryzm sceny i dzielenie na swoich i obcych było czymś, co w moich wspomnieniach pozostawiło głęboką szramę niesmaku i do dziś budzi odrazę, gdy o tym myślę. Nie da się ukryć, że w dzisiejszych czasach na oczywiste różnice, o których wspomniałem na wstępie, nakłada się konflikt generacji, zakrawający w jaskrawych wypadkach na ordynarny ejdżyzm, który powinniśmy zacząć zwalczać bez pardonu. Jak wspomniałem, nie należę do młodzieży od paru ładnych lat, więc chyba mogę już (no, nareszcie!) nieznoszącym sprzeciwu tonem pouczać bez obaw o śmieszność. W razie czego uprzedzam, że wprawdzie jestem niegroźny w starciu bezpośrednim, ale mam kilku trenujących kolegów, którzy chyba mnie nie zostawią na pastwę tłumu dzieciaków (prawda...?). Na koniec zatem wyciąg ze służbowego regulaminu. Każdy ma prawo uczestniczyć w tym całym zamieszaniu, dopóki nie narusza przestrzeni wolności innych osób i nie promuje postaw totalitarnych – znacie te zasady. Dyskryminacja osób starszych, nawet jeśli nie do końca podzielają nasze poglądy, powinna być piętnowana jako sprzeczna z dobrym obyczajem i wolnościową etyką. Przypominam też, że większą społeczną wartość dodaną niesie współpraca, a nie konflikt! To truizm, ale po niektórych reakcjach, jakie widziałem wokół siebie, nie waham się go bez końca przypominać. Po to bozia dała nam rączki, żeby działać, a na polu świecenia przykładem, edukacji i propagowania postaw, które nam wszystkim zmienią świat na lepsze, jest jeszcze wiele do zrobienia. Żeby cokolwiek wyrosło, jak mawiał klasyk: trzeba siać, siać, siać; wyższe plony przynosi praca ze szpadlem i motyką niż roztrzeliwanie innych z serii wielkich liter na Facebooku. Logika dziejów zaś jest taka, że dzisiejsi radykalsi, z gorączką w oczach zwalczający oldschoolowy punk, jutro sami będą kuśtykali o balkoniku na koncerty z błaganiem o tlen po każdym większym moshpicie. Mnie już tu wtedy nie będzie, ale mam nadzieję, że zostawicie sobie to "Wygrać nowe życie" na półce, bo może będziecie potrzebować trochę otuchy, zepchnięci przez młodziaków do narożnika✕



ART JAGÓDKA /

#anitifascistsxe

■Wielu z nas z nostalgią spogląda na czasy, gdy ściany naszych miast i miasteczek pokryte były załoganckimi pseudonimami, otoczonymi „X-ami", a zakładane codziennie t-shirty głosiły szumne hasła w brzmieniu „Straight Edge Till Death", „If You're Not Now You Never Were", jednak po latach praktykowania tego stylu życia stał się on dla nas tak naturalny, że aż nie wart afiszów. Społeczeństwo, w którym żyjemy, sukcesywnie przyzwyczajało się do naszych dziwactw – abstynencji, tatuaży, weganizmu czy hałaśliwej muzyki, aż do punktu, gdy staliśmy się niezauważalni. Unikając banału i oczywistości, rezygnowaliśmy z haseł podkreślających naszą tożsamość, zakładając, że wszelkie deklarowane i praktykowane przez nas wartości usankcjonowały się już w kolektywnej świadomości. W życiu jednak nic – nawet idee – nie jest trwałe, osiągnięte więc wydawałoby się *status quo* bez zaopiekowania może zostać obalone, i to nawet nie w sposób rewolucyjny, a ewolucyjny. Tak jak koledzy, którzy nie są rasistami, nie lubią jedynie Cyganów – bo ci kradną, nie lubią również Arabów – bo to terroryści gwałcący białe kobiety, doprowadzili pośrednio do absurdalnie relatywistycznych argumentów Młodzieży Wszechpolskiej twierdzącej, że nie są rasistami. Jedynie separatystami rasowym.

Punktem zwrotnym w naszej błogości i poczuciu osiągniętych już celów może być afera wywołana banerami z 11 listopada, na których hasła o „białej Europie" łączyły się z terminem straight edge. Słuszną i potrzebną reakcją na to zdarzenie była akcja hashtagowania w social media ***#antifascistsxe***, dosadna i masowa (w skali środowiska hardcore/punk).

Ten kij ma oczywiście dwa końce, bo tak, jak rozmywa rozumienie pewnych zjawisk określanie mianem „naziol" wszystkich nacjonalistów czy klasyfikacja wszystkich patriotów jako ksenofobów, tak mówienie o rasistach, że to „proste, apolityczne, a w gruncie rzeczy dobre chłopaki z osiedla" sprawia, że „separatyzm rasowy" zajmuje pełnoprawne miejsce w debacie publicznej. Być może precyzyjne określanie pewnych zjawisk bez naciągania rzeczywistości, plus tolerancja i otwartość, ale i jasne stanowisko i deklaracja tego, w co wierzymy, uchronią nas przed pojawiającym się ostatnio nader często chaosem informacyjnym i światopoglądowym bajzlem.

„...take a stand..."

Nienawiść

Wszedłem do środowiska hardcore/punk i zostałem w nim głównie dlatego, że potraktowałem to „miejsce" jak schron przed światem, który nie zawsze akceptował i rozumiał mnie, z całym, zmieniającym się zresztą na przestrzeni czasu, pakietem dziwactw oraz interpretacji rzeczywistości.

„Nienawidzę" to słowo, które z częstotliwością petard napierdalających w sylwestrową noc pada z ust ludzi publicznych, anonimowych, w Internecie, na ulicy, w szkole, pracy, w... domu. Emocja często wyrażana innymi antagonizującymi określeniami, często niesprawiedliwymi i wymierzonymi na bazie stereotypów w całe grupy ludzi. Odruch mózgu gadziego w odpowiedzi na szybki wniosek pozbawiony analizy – „wróg". Na tym fundamencie uczymy nasze dzieci budować swoją tożsamość, rozwijać system wartości poprzez często pochopne wskazywanie: „to oni, a to my". Dobrze jest mieć dookreśloną rzeczywistość, jasno zdefiniowane wartości, ale na bazie doświadczenia, analizy, a nie przeterminowanych procesów proto-inteligencji.

Czy gdybym dzisiaj był dzieciakiem szukającym schronienia przed ociekającym nienawiścią i wrogością światem, szukałbym go w środowisku, które te zachowania kopiuje? Kurwa, nie! Nawet emocjonujący koncert kapeli w atmosferze, której nigdzie indziej nie spotkam, bez barier, pełnej autentyzmu, nie dałby mi tego poczucia przynależności i alternatywy do świata, przed którym chcę się schronić. I hej, kocham Fear i Sheer Terror tak bardzo jak gość obok, ale wychodząc z „nienawiścią" poza „artystyczną konwencję", mającą – jak rozumiem – podkreślić słuszną pasję, z jaką kwestionujemy i kwestionować powinniśmy świat, nie jesteśmy żadną alternatywą, Jesteśmy wyborcami PiS, wyznawcami Rydzyka i Antonim Macierewiczem, którzy plują na swoich oponentów, tracą umiejętność trzeźwej oceny i w toksycznych oparach wypalają się emocjonalnie✕

VESPA /

Co tam, panie, w antyfaszyzmie?

■Jesień 2017 to kolejny burzliwy okres dla ruchów antyfaszystowskich na świecie. W Stanach – nieustanne marsze skrajnej prawicy, w tym neonazistów. W Hiszpanii – walka Katalonii o niepodległość, której przeciwni są hiszpańscy adoratorzy faszysty Franco, hajlujący swobodnie na ulicach miast Półwyspu Iberyjskiego. A w Polsce? A w Polsce przygotowania do Dnia Niepodległości. Tak oto mamy listopad. Za dziesięć dni znowu się zacznie – do Warszawy zjadą się i „nasi", i „tamci", żeby pokazać swoje siły. Znając polskie realia i przechył w prawo polskiego społeczeństwa, domyślam się, że Marsz Niepodległości będzie najliczniejszą demonstracją, upiększoną flagami z mieczami Chrobrego, zielonymi opaskami i brunatnymi sercami. Nie zmienia to oczywiście faktu, że Koalicja Antyfaszystowska również pokaże swój pazur, demonstrując siłę spod znaku Trzech Strzał. W tym roku do KA należy aż piętnaście różnych organizacji i zrzeszeń, których wkład w demonstrację na pewno będzie łatwo dostrzegalny i doceniany przez wszystkich. Ulicami stolicy przejdzie kilkutysięczny marsz wielu różnych grup walczących o prawa mniejszości, lokatorów, walczących z faszyzmem. Wszystkim protestującym przypominam, że NALEŻY mieć ze sobą środek obrony własnej: gaz, pałkę czy paralizator, by móc ich użyć w razie agresji ze strony uczestników wyżej wymienionego już Marszu Niepodległości. A taka na pewno się pojawi, jak co roku.

Choć Dzień Niepodległości to święto raczej kojarzone ze środowiskami narodowymi, jest też najważniejszym dniem dla antyfaszystów. To właśnie 11 listopada spotykamy się w największej grupie, by móc pokazać się Polsce i światu, krzyknąć ludziom „Halo! W tym kraju też są nietolerujący faszyzmu!". Mam nadzieję, że tradycja demonstracji pod szlachetnym hasłem „Za wolność waszą i naszą" będzie trwać i niedługo będzie tak samo popularna, jak przesiąknięty skrajnie prawicowymi ideologiami Marsz Niepodległości.

Marsz to jeden z problemów, ale jest ich więcej. Regularne pikiety i rozboje chłopców-radarowców z ONR-u i Młodzieży Wszechpolskiej toczą polskie społeczeństwo niczym rak. Jak można im przeciwdziałać? Co można zrobić, jeśli policja nie reaguje na szerzenie ideologii totalitarnych i rasistowskich? Otóż należy wziąć sprawy w swoje ręce. Zbierajcie informacje, co, gdzie i kiedy. Patrzcie po wydarzeniach na Facebooku i innych mediach społecznościowych, ile osób zadeklarowało udział; pamiętajcie, by nie porywać się z motyką na słońce. Blokujcie demonstracje, organizujcie kontry pikiet i spotkań, zrywajcie plakaty, naklejajcie swoje, drukujcie ulotki, kolportujcie prasę. Niech prawicowcy wiedzą, że wasze widmo krąży po okolicy i bacznie ich obserwuje. To wpłynie na ich morale i to, że nie będą się już czuli w pełni bezpieczni. Sytuacja w Polsce jest na tyle słaba, że antyfaszyści w swoich działaniach muszą ograniczać się nawet do lekkiej partyzantki. Analizujcie zapowiedziane trasy prawicowych demonstracji, badajcie, gdzie znajdują się ich newralgiczne miejsca, skąd można zaatakować. Działajcie szybko i sprawnie, znaczcie swoją obecność. Potem, kiedy wasz plan już się powiedzie, znikajcie jak najszybciej – na sto procent grupka przyjaznych narodowców będzie chciała zawrzeć z wami bliższą znajomość. Nie pokazujcie twarzy, nie noście charakterystycznych dla „cywilnych" siebie rzeczy na akcje, nie chwalcie się niczym na portalach społecznościowych. Musicie pozostać w pełni anonimowi, bo nasz wspólny wróg jest teraz już niemal wszędzie. Byle głupi fascynat skrajnej prawicy może rozpoznać was w szkole czy w pracy i donieść, komu trzeba, że widuje was regularnie.

Działajcie razem. Twórzcie nowe grupy. Zachęcajcie niezdecydowanych do przyłączenia się. Ćwiczcie walkę. Wpływajcie na morale faszystów. Dzięki temu pokonacie nawet największego Goliata. W końcu ktoś musi sprawić, by faszyści rzeczywiście nie przeszli. Powodzenia✕



MARCIN /

Antypatriota

■Od paru lat, to tu, to tam, przewija się dyskusja nad coraz śmielszym pojawianiem się nacjonalistów w przestrzeni publicznej. Cały proces najbardziej widoczny jest podczas najróżniejszych świąt państwowych bądź rocznic. Wtedy to słyszę głosy oburzonych, którzy krzyczą, że oto kolejna data została zawłaszczona przez radykałów narodowych i że nie ma na to zgody. Że pojęcie patriotyzmu skradziono, przeinaczono i splugawiono. O ile te lamenty mają miejsce wśród środowisk umiarkowanych prawicowców/liberałów czy patriotycznej lewicy, jestem je w stanie jakoś zrozumieć. W pewnym jednak momencie zauważyłem pretensje o taki stan rzeczy kierowane do ogółu lewicowców. Padały pytania w rodzaju: „Co zrobiła lewa strona, aby zatrzymać rozprzestrzenianie się prawicowej wersji patriotyzmu?", sugerując jednocześnie, że powinno się coś w tym temacie zrobić. Kuriozalne sytuacje miały miejsce szczególnie wtedy, gdy te pytania (niekiedy wręcz oskarżenia) zadawane były na fanpage'ach propagujących kosmopolityzm czy wprost anarchizm. Rozumiem, że osoby dotychczas uczestniczące w obchodach świąt/rocznic mogą czuć się nieswojo w otoczeniu łysych panów z racami w dłoniach i kibolskimi przyśpiewkami na ustach. Czy to jednak oznacza, że ci, którym pojęcia ojczyzny, narodu, dobra państwa są obce, mają teraz wystartować w krajowych zawodach na to, kto jest bardziej patriotyczny, kto złoży więcej kwiatów na większej liczbie pomników, czy też kto lepiej będzie promować najwznioślejsze karty z historii Polski? Nie sądzę. Scena polityczna w tym kraju jest tak bardzo przesunięta na prawo, że zabrakło na niej miejsca na odmienne spojrzenie. Niektórzy uważają, że skoro tak obecnie wygląda rzeczywistość, należy grać według jej zasad. Taką tendencję można już zauważyć wśród części liberałów i socjaldemokratów, którzy jeszcze do niedawna szczycili się swoją „europejskością", a dziś dumnie powiewają biało-czerwonymi flagami i śpiewają na każdym spotkaniu hymn państwowy. W agresywnym nacjonalizmie dostrzegają zradykalizowaną wersję patriotyzmu i chcą ów patriotyzm odzyskać jako „dobro wspólne wszystkich Polaków". Traktują miłość do ojczyzny jako coś oczywistego i neutralnego. Czy jest to jednak takie neutralne? Co z ludźmi, którzy tego w ogóle nie czują? Gdzie krytyczne spojrzenie na to zagadnienie? Przed wylaniem się nacjonalistycznego szamba nie było żadnego „stanu neutralnego", ta cała szopka nie jest żadną nowością. Od kiedy pamiętam, znaczna część społeczeństwa była jak zaprogramowana na hasło „Bóg, Honor, Ojczyzna". Od małego wpajało się dzieciom, że patriotyzm jest dobry, ciągając je po bogoojczyźnianych akademiach, wystawach, przedstawieniach, koncertach. Ja sam będąc nastolatkiem, nie uważałem się za zbytniego patriotę, ale przez myśl mi nie przeszło, że można tę postawę w ogóle zakwestionować. Miałem zakodowane, że na widok państwowych i kościelnych oficjeli, przy akompaniamencie patetycznych pieśni, należy zachować powagę i zadumę. To było w latach, kiedy większość młodzieży nudziła się na szkolnych apelach z okazji 11 listopada. Jak jest teraz, kiedy dzieciaki same się

garną do odgrywania roli małego powstańca w rekonstrukcjach historycznych?

Często jako kontrę do szowinizmu narodowców przedstawia się „pozytywny patriotyzm" lub patriotyzm lokalny. Jasne, rozumiem, ja też wolałbym nie wyjeżdżać z kraju, bo tutaj mam rodzinę i znajomych, łatwiej jest mi załatwiać sprawy w języku polskim, dzięki kilku zdobytym papierkom fartem mam pracę, która nie polega na ładowaniu towaru w magazynie, chciałbym dobrze dla lokalnej społeczności, a tutejsze krajobrazy są nie najgorsze. Ale co z tego? To, że tu jestem, to czysty przypadek. Cała reszta jest przyzwyczajeniem i „kwestią wychowania", jak w klasyku Guernica y Luno. Rozumiem, że „prawdziwy" patriotyzm nie zakłada nienawiści do innych nacji. Dlaczego jednak mam chcieć dobra dla polskiego narodu w pierwszej kolejności? Co z tymi, który mają gorzej od nas, a tak się złożyło, że załapali się na granice innego kraju? Prędzej dogadam się z niejednym obcokrajowcem niż z rodakiem, z którym podobno tyle mnie wiąże. A sam patriotyzm, nawet ten najbardziej „pozytywny", widzę jako szczególny kult państwa (nawet przy jednoczesnej krytyce rządu), sztucznie wykreowanego narodu, dominacji kultury opartej na zmitologizowanej historii, szczególnie pielęgnującej punkt widzenia klas uprzywilejowanych, umniejszając ucisk, jaki zgotowały nizinom społecznym oraz tradycji, która jest opresyjna wobec kobiet, mniejszości seksualnych i zwierząt. Nie godzę się na przeładowywanie młodych umysłów militaryzmem. Podziwiam tych, którzy mieli odwagę bronić się przed agresorami z zewnątrz, lecz walka o państwo i symbole narodowe to nie moja historia. Lewica ma w Polsce wyjątkowo pod górkę przez ciągłe kojarzenie jej z czasami PRL-u i ze Stalinem. Liczne kompromitacje „elit" skupionych wokół SLD i Palikota również zrobiły swoje. Przeciętny zjadacz chleba nie zwróci uwagi na fakt, że wyżej wymienieni nie powinni nawet być postrzegani jako lewica, gdyż swoimi działaniami na każdym kroku przeczyli jej wartościom. Nie oznacza to jednak, że należy zrezygnować ze swoich ideałów i ruszyć za stadem. Dość już mam mądrości znajomych, którzy kiedyś podzielali postulaty wolnościowe, a dzisiaj mówią o „potrzebie silnego państwa". Niech inni biją się o ten swój patriotyzm. O sztandary, prawo do śpiewania pieśni przedstawiających wojnę jako przygodę, o białego orła, który nawet orłem nie jest, a bielikiem. Nie widzę bowiem niczego postępowego w powrocie do wręcz „plemiennych" wartości, nakazujących walkę o teren oraz spajanie własnego ludu wydumanymi abstraktami✕



JANEK /

■Poniższa kolumna jest tylko zbiorem moich prywatnych rozważań na temat niedawnych działań ruchu pracowniczego. Oburzone osoby proszę o niewiązanie moich poglądów z poglądami innych członków redakcji WNŻ, gdyż mogą się one różnić.

Od zarania dziejów praca (zarobkowa) ma na celu zdobycie środków niezbędnych do życia. O ile w czasach feudalizmu chłopi żadnych praw nie mieli, a pomoc dla bezrobotnych, jak powszechnie wiadomo, nie istniała, to w czasach rewolucji przemysłowej wraz z powstaniem socjalizmu swój początek miały rozważania nad prawami ludzi pracujących. Niedługo później pojawiły się pierwsze przywileje pracowników, np. ustanowienie 8-godzinnego dnia pracy (w Polsce do dziś w wielu branżach prawo to nie jest respektowane). I tak w połowie drugiej dekady XXI wieku w Polsce nadal od pracowników budowlanych wymaga się pracy po 50 godzin w tygodniu, a niekiedy i więcej, czy tego chcą, czy nie. Nadal pracodawcy mają w nosie wyposażanie pracowników w odzież ochronną w przypadku prac niebezpiecznych (np. spawaczy) lub podczas pracy zimą, na otwartym powietrzu – w odzież ocieplaną, choć kodeks pracy nakazuje to jednoznacznie. Nadal nadgodziny nie są premiowane tak, jak nakazuje to kodeks pracy. Są to jednak tematy, o których nie słyszy się w tzw. „lewicowym internecie", IP i ZSP nie działają celem zmiany status quo, a nawet nic o tym nie mówią.

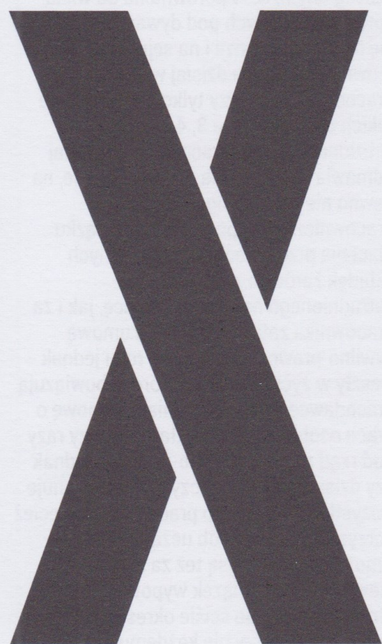
Tematem numer jeden jeszcze niedawno był strajk w warszawskiej restauracji Krowarzywa, której pracownicy zbuntowali się przeciwko szefostwu, ponieważ ci nie dali wszystkim swoim pracownikom umów o pracę. I choć sam nie pracowałem w tejże restauracji z relacji moich znajomych wynikało, że stawki jakie szefowie Krowarzyw oferowali nowym pracownikom były jeszcze kilka lat temu nawet dwa razy wyższe od stawek w konkurencji. Nie jestem w stanie pojąć, gdzie w tej sytuacji jest wyzysk. Dodatkowo pamiętam, jak na skłocie Przychodnia jadłem kotlety, które skłotersi dostali od Krowarzyw, pamiętam, jak dużo osób z załogi pracowało z uśmiechem w tym lokalu jeszcze kilka lat temu. Ponownie zadam pytanie: Co było nie tak? Jak te 14 zł/h netto i umowa zlecenie, bezpłatne posiłki pracownicze i możliwość wynoszenia uszkodzonych kotletów do domu mają się do pracy na budowie, na dworze za 10 zł/h netto bez odzieży ochronnej i na wysokości bez zabezpieczeń? Dlaczego osoby, którym nie odpowiadał brak umowy o pracę, nawet mimo wysokiej stawki na godzinę netto, nie przeszły do konkurencji?

Temat „umów śmieciowych" jest dla związków zawodowych tematem o tyle szczególnym, że w porównaniu do wielu spraw zamiatanych pod dywan ten pojawił się nawet w telewizji i na sejmowych mównicach. To, że dzisiaj wielu pracodawców, który tylko na podstawie takich umów jeszcze 3, 4 lata temu zatrudniali swoich pracowników, dzisiaj odmawia zatrudniania w oparciu o nie, na pewno nie jest zasługą ruchu pracowniczego, a po prostu obowiązku płacenia przez pracodawców pełnych składek zarówno za pracownika zatrudnionego na umowę o pracę, jak i za pracownika zatrudnionego na umowę cywilno-prawną. Od nowego roku jednak weszły w życie przepisy, które zobowiązują pracodawcę do zatrudniania na umowę o pracę osoby, która zawarła z nim trzy razy pod rząd umowę cywilno-prawną. Jednak czy dzisiejszy stan rzeczy satysfakcjonuje wszystkich? Umowy o pracę nie są przecież korzystne np. dla osób uczących się. Umowy o pracę niosą też za sobą niewygodny obowiązek wypowiadania umowy w terminie ściśle określonym przez pracodawcę, który nie każdemu jawi się jako zaleta.

Kwestią powiązaną z tematem „umów śmieciowych" jest sprawa pracowników na samozatrudnieniu. Niebywałą zaletą tego rozwiązania są niskie koszty zatrudnienia oraz swoboda w zawieraniu umów (w tym przypadku umów o współpracę). Dla wielu pracowników to pierwsze jest kwestią kluczową, bo o ile nie wierzę w teorię skapywania dobrobytu, to oczywistym jest, że żeby twój szef dał ci pieniądze, musi on te pieniądze mieć. Z drukarni ich nie weźmie. Co jest więc złego w zatrudnianiu pracowników na podstawie takich umów o współpracy? Brak urlopu zdrowotnego i wypoczynkowego? A co, jeżeli znacząco wyższe wynagrodzenie rekompensuje komuś te braki?

Wniosek w tej sprawie nasuwa się sam –

wybieranie za innych „najlepszej" naszym zdaniem możliwości jest dokładnie tym samym, co niedawanie możliwości wyboru. Bo skoro wszyscy mają przykładowo zawierać umowy o pracę w miejsce umów cywilno-prawnych lub umów o współpracę, to jest to równoznaczne z odgórnym dyktowaniem warunków – nie przez pracodawcę w tym przypadku, tylko przez ustawodawcę. Czy więc głośno krzyczący o umowach o pracę nie działają w efekcie na niekorzyść pracowników, zabierając im możliwość wyboru między przywilejami socjalnymi a elastycznością i wyższymi zarobkami? Czy w ogóle nie jest tak, że metody działania związków zawodowych w efekcie mijają się z celami postawionymi sobie przez te związki? I w końcu – czy mało jest rzeczy wymagających zmian w realiach pracy w Polsce, żeby związki zawodowe za sukces roku uważały zamknięcie restauracji na kilka dni w wyniku strajku spowodowanego brakiem umów o pracę? Czy interes tych kilkudziesięciu pracowników i pracownic restauracji był doprawdy tak istotny?✕



PAWEŁ /

■Całkiem spore grono moich scenowych znajomych, a część z nich nawet w tę scenę aktywnie zaangażowana, ze zdumieniem przyjęło fakt o istnieniu nacjonalistycznego straight edge. Miało to miejsce po Marszu Niepodległości w listopadzie ubiegłego roku, gdzie kolumna „czarnego bloku" maszerowała, dzierżąc niesławny baner z napisem „sXe, czysta krew, trzeźwy umysł". Dowodzi to bezpośrednio, że choć zjawisko nie jest nowe (trwa już od lat), to nasila się, zwiększając w ostatnim czasie swoją dynamikę. Grupa autonomicznych nacjonalistów, utożsamiająca się z radykalnym odłamem prawicy – bo to oni odpowiedzialni są za te działania – ma wieloletnią tradycję w przejmowaniu taktyk działania (przy często bardzo skutecznej piarowo adaptacji), które wieloletnią pracą, kreatywnością i zaangażowaniem wypracowały środowiska wolnościowe. Tak stało się z ideą straight edge, ale dotyczy to również walki o prawa zwierząt, filozofii wegańskiej, punkowego DIY, squattingu, a nawet anarchizmu. Pierwsze ruchy o takim charakterze zrodziły się w Niemczech na początku lat dwutysięcznych, a źródłem inspiracji była m.in. Antifa! Idee te rozpowszechniły się w Europie, a obecnie wydają się być najbardziej popularne i aktywne w Rosji, gdzie mają całkiem sporą scenę, i tak kuriozalne twory jak NS vegan sXe hardcore. W Polsce również mają swoich piewców, którzy korzystając ze sprzyjających okoliczności politycznych i nastrojów społecznych, czują się coraz pewniej. Ich działania skupiają się głównie na plakatowaniu, rozlepianiu vlepek, organizowaniu marszów czy koncertów, ale mają też swoich publicystów i serwisy w Internecie. Nacjonaliści w ruchu straight edge odnaleźli (o dziwo) konsekwencję swojej ideologii. Brzmi to co najmniej dziwnie, ale mam wrażenie, że w ogóle polscy autonomiczni nacjonaliści lubują się w takiej żonglerce pojęciami i symbolami. Gdy zawrzało w mediach o rasistowskiej wymowie banera"sXe, czysta krew, trzeźwy umysł", twórcy „czarnego bloku" tłumaczyli, że zgodnie z postawą sXe odrzucając alkohol i narkotyki, zachowują czystą krew, a to w żaden sposób nie odnosi się do kwestii rasowych. Trudno dać temu wiarę, gdy na sąsiednim banerze widnieje hasło „Europa będzie biała albo bezludna", a wszystko to przy wtórze trzepoczących na wietrze flag z krzyżami celtyckimi i symbolem błyskawicy łudząco podobnej do znaku Brytyjskiej Unii Faszystów. Tu zresztą nacjonaliści również popisali się finezją, tłumacząc, że ich rzekomo faszystowski symbol inspirowany jest symbolem Szarych Szeregów. To doprawdy wytrawne. A może inspiracją był znak ruchu squatterskiego? Też jakby podobny.

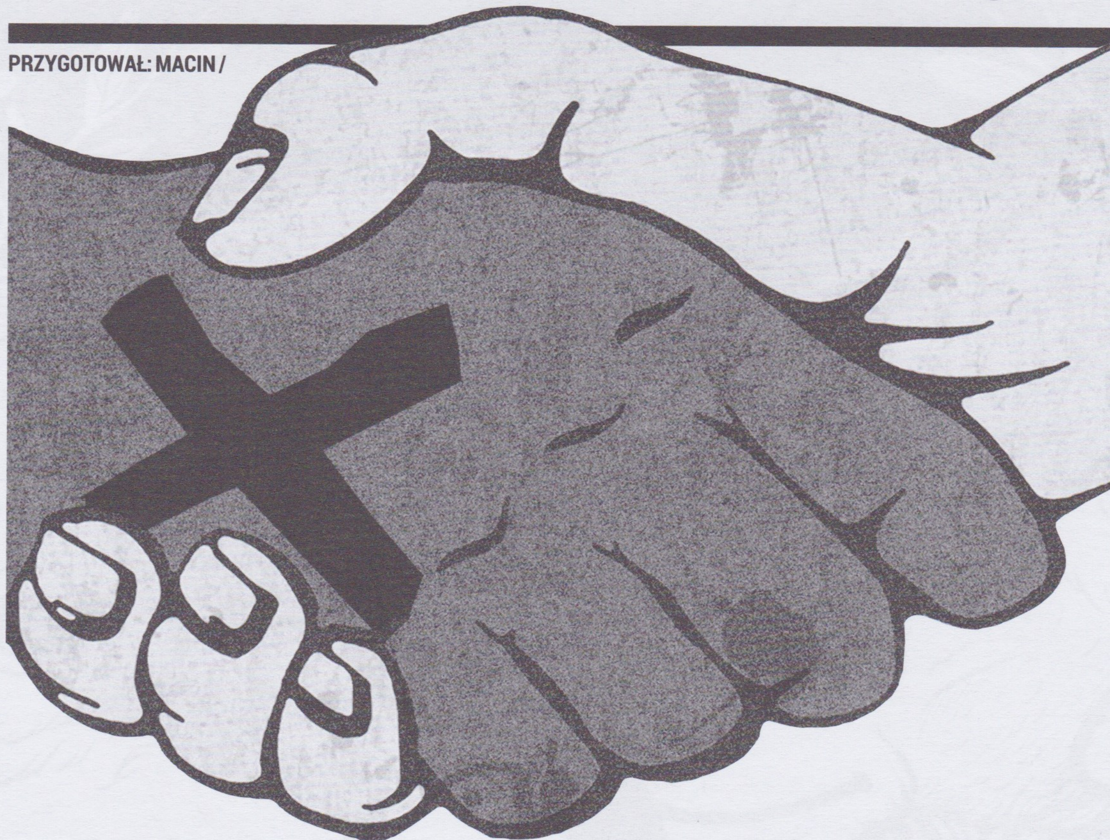
Zostawmy jednak dowcipkowanie. Wszystko to mogłoby zakrawać na ironię, gdyby nie to, że naraża na szwank lata pracy środowisk wolnościowych, alternatywnych, w tym również scenę hc/punk. Nawet jeśli takie praktyki mają marginalny zasięg, to i tak odbijają się czkawką. W obliczu tego nie jest łatwo przyjąć fakt, że nacjonaliści organizują się, bazując na nastrojach społecznych, a środowiska antyfaszystowskie częstokroć są podzielone. Niezrozumiała jest też wewnętrzna krytyka, sugerująca, że trzeźwość jest stylem życia i nie można nikomu zakazać jej promowania przy użyciu idei sXe. Taka argumentacja jest absurdalna i zupełnie niepotrzebna. Wszyscy doskonale wiemy, gdzie są korzenie i miejsce ruchu sXe, o czym nacjonaliści nie chcą wiedzieć i jeśli mogą, to pomijają ten fakt. Warto im o tym przypominać, i nie tylko im. Korzenie sXe są w scenie hardcore/punk, tu ona wzrastała, rozwijała się i ewoluowała, nie pozwólmy, aby z tego dobrodziejstwa korzystali ci, którzy zatruwają tę ideę uprzedzeniami i nienawiścią. Chrońmy to, róbmy cokolwiek, bo ten faszystowski wirus będzie zjadać wszystko, co kochamy, jak pacman.

Warto zająć się promowaniem idei sXe tak, aby momentów zdziwienia jak przy wspomnianym banerze było mniej. Opcji ku temu jest wiele. Koncerty, kapele, propaganda (plakaty, vlepki), akcje – jak chociażby ta z hasztagiem #antifascistsxe, to tylko część kalejdoskopu możliwości. Idea sXe ma olbrzymi potencjał, z którym warto wyjść poza kręgi scenowe. Można zaangażować się w różne projekty, szkoły, domy dziecka, domy poprawcze. Jest tam młodzież, która kształtuje swoją tożsamość i poszukuje autorytetów. Można zainteresować ich wszystkim sztuką, rzemiosłem, sportem, biznesem; wszelcy pasjonaci i posiadacze konkretnych umiejętności – wszystko to można doskonale włtoczyć w pracę tych placówek. Można założyć stowarzyszenie, podpiąć się pod inne, można pozyskać środki z budżetu miasta. Gminy rokrocznie rozpisują przetargi w ramach BIP (Biuletyn Informacji Publicznej), jest tam również działalność antynarkotykowa i antyalkoholowa. Można napisać projekt, działania promujące abstynencję są bardzo mile widziane jako postawa do otaczającego świata. Nie będę wnikać w szczegóły, bo wiem, że osobnicy spod znaku NSSE również czytają tego zina i nie chcę podsuwać im wszystkiego na tacy. Zachęcam jednak do działania po jasnej stronie mocy. Nie bądźmy obojętni!

Na koniec mała konkluzja. Zarówno ja, jak i kilku moich „edge" znajomych zastanawiamy się dlaczego NSSE sięgają po „Wygrać nowe życie" i kupują nasze koszulki. Padają różne domysły (wątpliwe, że nie czają o co chodzi; może byli sXe i przeszli na drugą stronę), ale jedno jest pewne – kupując tego zina i merch WNŻ, wspierają działania antyfaszystowskie✕

ANTIFASCIST STRAIGHTEDGE

PRZYGOTOWAŁ: MACIN /



■Zjawisko infiltracji środowisk wolnościowych/alternatywnych przez grupy skrajnie prawicowe możemy obserwować od wielu już lat. Najlepszym tego przykładem jest z pewnością ruch skinheadowski, który – pomimo swej początkowej apolityczności – dziś na ogół kojarzy się osobom niezorientowanym w temacie jedynie z neonazistami. Faszyści coraz śmielej przywłaszczają sobie kolejne inicjatywy, idee, symbole czy jakiekolwiek inne elementy stworzone przez ich przeciwników politycznych i, wydawać by się mogło, kompletnie niepasujące do postawy autorytarnej. Czasami ciężko wręcz zorientować się na początku, z kim właściwie mamy do czynienia – te same antykapitalistyczne hasła, stosowanie taktyki czarnego bloku, łudząco podobne grafiki, propagowanie walki o prawa zwierząt i przyrodę, zakładanie skłotów. Jakby tego było mało, doczekaliśmy się nawet nurtu nacjonalistycznego „anarchizmu", zapoczątkowanego przez Troya Southgate'a, brytyjskiego aktywistę, członka wielu organizacji faszystowskich (m.in. National Front i International Third Position). Jego działania często opierały się na entryzmie, taktyce zapoczątkowanej przez trockistów i polegającej na wnikaniu w struktury danego ruchu, organizacji, aby od środka, stopniowo rozpowszechniać swoje idee, ostatecznie przejmując cały ruch. Narodowi „anarchiści" próbowali w ten sposób dotrzeć m.in. do radykalnych działaczy ekologicznych, całe szczęście z miernym skutkiem. Łączenie postawy straight edge z poglądami faszystowskimi to również nic nowego. Szczególnie silna scena NS sXe rozkwitła w Rosji, na Zachodzie te tendencje także są coraz bardziej widoczne. Powtarzane jest przy tym kłamstwo o rzekomych, apolitycznych początkach straight edge, przez co faszyści próbują zrobić miejsce w ruchu dla swojej zbrodniczej ideologii. Owszem, ze świadomością polityczną ówczesnych hardcore'owców było różnie (w końcu to były w dużej mierze dzieciaki), nie zmienia to jednak faktu, iż opowiadali się zdecydowanie przeciwko konserwatyzmowi i jakimkolwiek ciągotom rasistowskim. Fakt ten „obrońcy białej rasy" próbują jednak przemilczeć.

W związku z próbami przejęcia idei straight edge przez środowiska skrajnie prawicowe (także i na naszym podwórku, choć jak na razie jeszcze na małą skalę), chcielibyśmy przypomnieć publikację mówiącą o zaangażowanej abstynencji z naciskiem położonym na antyfaszyzm. Ów tekst był wyrazem frustracji i niezgody na ignorancję, nietolerancję, religijny konserwatyzm oraz regresywną mentalność, z jaką musiała się mierzyć scena, szczególnie w latach 90. Można go jednak odnieść i do czasów współczesnych jako mocną kontrę wymierzoną we wszelkie próby zawłaszczenia postawy sXe i cynicznego wykorzystania jej

przez środowiska neonazistowskie/faszystowskie, które głosząc agresywne, jawnie dyskryminujące postulaty, nie mają nic wspólnego z oryginalnym, pozytywnym przesłaniem straight edge. Tekst pierwotnie ukazał się jako broszura wydana przez Alpine Anarchist Productions w 2001 roku, udostępniono go również na stronie wydawcy. Później zaś został przedrukowany w książce „Sober Living for the Revolution" (2010) autorstwa Gabriela Kuhna i wzbogacony o wywiad z jego autorem. Pewne kontrowersje może wzbudzić fragment, w którym jest mowa o „wyższości problemów społecznych nad prawami zwierząt i ochroną przyrody". Dlatego też poniżej, pod tekstem, umieszczamy dodatkowe wyjaśnienie tej kwestii, pochodzące ze wspomnianego wywiadu.

Za inicjatywę i przetłumaczenie manifestu, który zaraz przeczytacie, podziękowania należą się ekipie 161.info.cafe. (korekta – Mn.). Dzięki!

■ANTIFA STRAIGHT EDGE. MANIFEST

Właśnie kończę 27 lat i jestem straight edge od ponad dekady. Czułem się jednak wyobcowany ze sceny już od kilku lat, głównie ze względu na dobrze znane odmiany ruchu, powszechnie określane jako hardline i/lub chrześcijański straight edge (zdaję sobie sprawę z różnic pomiędzy tymi dwoma nurtami, ale żeby wyraźnie zaznaczyć moje przesłanie, skupię się na podobieństwach, na które składa się głównie promowanie konserwatywnych wartości, przynajmniej w zakresie etyki i polityki). Moją pierwszą reakcją było wycofanie się. Było to na zasadzie podejścia „dobrze, nowa generacja dzieciaków przejmuje scenę, co mogę zrobić?". Ale ostatnimi czasy idiotyczna i bardzo irytująca bojowość wielu osób uważających się za straight edge wydaje się wymykać całkowicie spod kontroli. Czuję, że warto byłoby wyjaśnić co najmniej kilka kwestii dotyczących całego ruchu.

Po tym wstępie chcę podkreślić, że nie chodzi o odrodzenie "oryginalnego" lub "prawdziwego" rozumienia sXe, nie chodzi o przeciwstawienie "starej szkoły" w stosunku do jakiejś "nowej szkoły", "alternatywną" interpretację idei straight edge lub próbę odzyskania sceny dla ludzi takich jak ja. Zasady (i ruchy określone przez nie) nie są stałe i jasno zdefiniowane, zawsze są dynamiczne, otwarte na różne interpretacje, a co za tym idzie, na przekształcenia. Nie mogę (i nie chcę) zabronić innym nazywać się straight edge, nosić X-y, nosić ciuchy sXe lub słuchać Youth of Today, tak samo, jak mogę nie zgodzić się z ich postawami, przekonaniami i działaniami. Nie ma uniwersalnego kryterium dla określenia tego, co sXe naprawdę oznacza, a ja jestem ostatnią osobą, która chce zrobić coś takiego.

W takim razie o co chodzi w tym tekście? Zasadniczo tylko o wyjaśnienie, że bycie straight edge niekoniecznie oznacza, że jest się półfaszystowskim, atakującym gejów macho fiutem, może nawet z niejasną obsesją na punkcie opresyjnej, patriarchalnej religii. W rzeczywistości bycie straight edge może oznaczać coś zupełnie przeciwnego: pełne zaangażowanie się w działania antyfaszystowskie. Manifest „Antifa Straight Edge" spróbuje wytłumaczyć, jak być sXe w tym znaczeniu.

Co mnie motywuje do napisania tego, jeśli nie chcę, jak podałem wyżej, "odzyskiwać" lub "oczyszczać" terminu?

1. Aby przypomnieć antyfaszystowskim sXe, że są na scenie jeszcze inne, podobnie myślące osoby (lub przynajmniej stanowiące jej margines).

2. Aby przypomnieć wszelkim bojownikom, że istnieje jeszcze dezaprobata i opór przeciwko ich "wojnie" w szeregach ruchu.

3. Aby pozwolić osobom nieidentyfikującym się ze straight edge na szersze zrozumienie, czym jest ten ruch, tak aby nie oczerniali go momentalnie, tylko dlatego, że obecnie przeżywa nieszczęśliwie i niepokojąco silne tendencje głupoty.

Wspieranie polityki antyfaszystowskiej oznacza dla mnie walkę o antyautorytarne, samostanowiące i ekonomicznie sprawiedliwe społeczności, w których różnorodni ludzie mogą współistnieć w solidarności, poczuciu wzajemnego szacunku i pokoju. To także próba rozwinięcia pewnych osobistych cnót, które mogą okazać się korzystne w walce o antyfaszystowskie społeczności, tj. odpowiedzialne, świadome i niezależne. Wydaje się być niemożliwym założenie, utrzymanie i obrona antyfaszystowskich społeczności bez osób, które tworząc je, biorą na siebie odpowiedzialność, gdyż cały pomysł leżący u podstaw takich społeczności zakłada, iż nie potrzebujemy liderów lub ludzi, którzy powiedzą nam, co mamy zrobić, ponieważ to my bierzemy na siebie odpowiedzialność, aby myśleć, decydować i działać dla siebie. Świadomość wydaje się nieuniknionym elementem. Trudno działać odpowiedzialnie w społeczności, jeśli nie zdajemy sobie sprawy, co się wokół nas dzieje. Owa świadomość wydaje się trudna do rozwinięcia bez przynajmniej pewnego poczucia niezależności, co oznacza: być w stanie zorientować się samodzielnie w sytuacji i nie polegać na indoktrynacji Wielkiego Brata. Na podstawie tych przemyśleń, wstrzemięźliwość od środków odurzających (i tylko o to pierwotnie chodziło w sXe) może mieć sens dla części osób. Wiele używek obniża poziom świadomości i odpowiedzialności od razu po ich konsumpcji. Inne substancje mogą przyczynić się do spowolnienia zachowań w dłuższej perspektywie. A niektóre z nich mogą doprowadzić do poważnego uzależnienia, często powodując u uzależnionych całkowite oderwanie od jakiejkolwiek wspólnoty. Tak więc jeśli wartości takie jak odpowiedzialność, świadomość i niezależność są dla nas istotne, wybór wstrzemięźliwości od środków psychoaktywnych wydaje się w pełni zrozumiały. Kolejnym aspektem do rozważenia jest fakt, iż spożywanie alkoholu i papierosów zazwyczaj wiąże się ze wsparciem dużych korporacji, które stoją w opozycji do idei sprawiedliwości gospodarczej i mają udział w przekształcaniu jednostek w konsumpcyjnych niewolników (jest to być może najbardziej rozpowszechniona obecnie forma kontroli kapitalistycznej, odmawiającej nam prawdziwej indywidualnej niezależności).

Łącząc te aspekty widzimy, że powstrzymywanie się od środków odurzających ma symboliczne znaczenie, które wykracza poza samoograniczanie się od nich. Jest to deklaracja niechęci, aby oddawać innym kontrolę nad twoim życiem, nie tylko używkom, ale także korporacjom, politykom, policji, rodzicom, wszystkim tym, którzy stają na drodze samostanowienia i robienia rzeczy na swój sposób. Jest to deklaracja wzięcia własnego życia w swoje ręce. To oświadczenie bezkompromisowej etyki DIY w pierwotnym duchu DIY-Punk i -Hardcore. I w tym sensie może równie dobrze być postrzegane jako rewolucyjne oświadczenie mówiące o świadomości, walce z systemem, wyzwoleniu, określeniu własnego losu. Na tej podstawie wszystkie ruchy społeczne i działalność wielu straight edge'owców może nabierać na sile, ponieważ mają one solidne podstawy: wsparcie bezdomnych oraz mniejszości, wegetarianizm/weganizm, ekologia, by wymienić tylko te najbardziej oczywiste kwestie. W tym sensie widzę straight edge jako część ruchu antyfaszystowskiego i wiem, że to jest to, czym zawsze było sXe dla wielu osób zaangażowanych w scenę. Ale oznacza to również, że sXe to nic innego jak styl życia. To nie jest ideologia. Nie ma naturalnego, moralnego prawa zabraniającego picia wina lub palenia papierosa. Zostawmy takie argumenty dla totalitarnych i opresyjnych, politycznych i/lub religijnych szkół myślenia. Jeśli nie chciałbym pić z takich powodów, pewnie wstąpiłbym do Adwentystów Dnia Siódmego czy czegoś w tym stylu. Nie powstrzymuję się od picia z powodu boga lub wszechświata czy czegokolwiek innego, co mi mówi, by tego nie robić. Nie dlatego też, że jest to z natury złe i grzeszne; nie dlatego, że nie powinniśmy pić lub że alkohol nie jest naturalnym źródłem żywności. Nie piję (lub nie jaram trawki itp.), bo ja osobiście po prostu tego nie chcę. A ponadto wydaje mi się, że przeszkadza mi to w mojej zdolności do promowania antyfaszyzmu. Z tego punktu widzenia bycie sXe jest czysto pragmatyczne. Jestem straight edge, bo myślę, że pomaga mi to w byciu antyfaszystą, a nie ze względu na jakiś inny powód. Jeśli czułbym, że bycie sXe nie wspiera antyfaszystowskiej działalności, to nie obchodziłby mnie ten temat.

Ma to, jak sądzę, pewne ważne konsekwencje, zwłaszcza w świetle bieżących wydarzeń na scenie straight edge:

1. Jest to osobista decyzja. Uważam, że bycie sXe generalnie stanowi dobrą podstawę do antynazistowskiego stylu życia, ale nie sprawia automatycznie, że będziesz antyfaszystą/-ką (czego, niestety, jesteśmy świadkami także dzisiaj). Nie jest to też jedyny sposób, aby być antyfaszystą/-ką (co wydaje się tak oczywiste, że niemal głupio to podkreślać, ale czasami trzeba powtarzać tak proste rzeczy). W prostych słowach: istnieje wiele wspaniałych i godnych osób/antyfaszystów, którzy nie są absolutnie sXe, więc nie jestem tu po to, aby kwestionować osobisty styl życia tych ludzi.

2. Straight edge zrodził się głównie jako ruch białej klasy średniej w Stanach Zjednoczonych na scenie hardcore, dlatego jest wynikiem określonego czasu, miejsca i otoczenia społecznego. Zatem jako negatywna reakcja wobec środków odurzających, jest wynikiem specyficznych warunków społeczno-historycznych. Innymi słowy: nie jesteśmy zbyt chętni/-e do stosowania środków odurzających, ponieważ nasze społeczeństwo wykorzystuje je w gówniany sposób i środki te zaczęły niszczyć scenę punk i hardcore. To jednak nie

oznacza, że środki odurzające nie mogą działać na różne sposoby w różnych okolicznościach kulturowych. Uważam za żenująco pretensjonalne nie szanować np. zastosowania peyotlu wśród narodów indiańskich lub marihuany we wspólnotach rastafarian. Istnieją różne światy z różnymi zasadami.

Nikt nie jest złą osobą dlatego, że nie jest sXe. Może się to nam nie podobać, możemy chcieć dążyć do konfrontacji z ludźmi, którzy dopuszczają się gównianych rzeczy, będąc pod wpływem, ale konsumpcja używek sama w sobie nic nie znaczy i nie mamy prawa oceniać tych, którzy lubią się napić, zapalić itp. Niestety wiele dzieciaków obecnie nie widzi w ten sposób sXe. Nie rozumieją tego jako postawy pragmatycznej, skromnej i tolerancyjnej, lecz jako ideologię, zbiór praw, prawdziwy sposób życia, uniwersalny kodeks moralny. Jesteś sXe – jesteś dobry; nie jesteś – jesteś zły. Ludzie zaczynają być dzieleni na różne moralne kategorie w zależności od tego, czy piją piwo, czy napój owocowy, czy palą jointy, czy też żują lukrecję, czy jedzą swoje musli z mlekiem, czy z soją. To jest mentalność faszystowska, po prostu. A ideologia z jej roszczeniem do wyłącznej prawdy i sprawiedliwości jest z definicji wrogiem antyfaszyzmu. Czy jest to katolicyzm, kapitalizm czy też straight edge. Po prostu: jeśli znajdę się w sytuacji, w której jakieś popieprzone sXe dzieciaki w Salt Lake City (lub gdziekolwiek indziej) rozpoczną walkę z jakimiś palącymi jointy dzieciakami z żadnego innego powodu niż samo palenie, nie będę wahał się dołączyć do grona tych ostatnich, którzy są w tym przypadku niewinnymi ofiarami bandy faszystowskich chuliganów.

Przerażające jest nie tylko przekonanie o własnej słuszności, nietolerancja i wojowniczość, hodowane przez sXe, rozumiane jako ideologia. To także odpychająco zaściankowe myślenie: zamiast zrozumieć złożoność globalnej produkcji żywności i jej dystrybucji, żywienia, równowagi ekologicznej i podziałów społecznych, stają się idiotycznymi wegańskimi fanatykami; zamiast rozważać i podważać patriarchalny charakter naszego społeczeństwa, stają się antyaborcjonistami; zamiast przyjmować różnorodność jako istotną wartość społeczną, stają się homofobami; zamiast widzieć współzależności między zniszczeniem środowiska i niesprawiedliwością ekonomiczną, stają się eurocentrycznymi rasistami w barwach głębokiej ekologii; zamiast angażować się w antyfaszyzm, promują zespoły takie jak Vegan Reich; zamiast trzymać się tradycji początków sXe z niewinną obroną swoich przekonań w postaci koszulek „It's OK not to drink", noszą bojowo nastawione bzdury typu „True till the end"; zamiast być społecznie i politycznie świadomymi osobami, odtwarzają wartości amerykańskich rodzin klasy średniej; zamiast być progresywnymi, odtwarzają chrześcijaństwo w jego najbardziej konserwatywnych i przerażających formach; i zamiast być skromnymi, przyzwoitymi i spokojnymi, stają się aroganccy, nietolerancyjni i skłonni do przemocy. To smutna sprawa. Tak czy inaczej, ten tekst prawdopodobnie niewiele zmieni. Jestem świadomy niewielkiego wpływu mojej skromnej osoby. Chcę jednak, żeby ludzie wiedzieli, że są jeszcze inne sXe dzieciaki wśród nas. Te, które nie reprezentują ideologicznego (a także już i fizycznego) terroru i sekciarstwa, a pragmatyczną, antyfaszystowską postawę.

Antifa Straight Edge wierzy w styl życia, który jest zarówno powstrzymywaniem się od środków odurzających, jak i symbolicznym sposobem promowania odpowiedzialnego życia, świadomości i niezależności poprzez odzyskanie samokontroli i unikanie zależności od politycznych, społecznych i ekonomicznych sił społeczeństwa kapitalistycznego. Ponadto wspiera akcje społeczne osób o podobnych poglądach, oparte na samokontroli, głównie w dziedzinie praw kobiet i mniejszości, sprawiedliwości społecznej, praw zwierząt oraz ekologii. Jednakże Antifa Straight Edge nie uważa, by abstynencja była konieczną podstawą antyfaszyzmu. Nie ocenia ludzi na podstawie ich osobistych nawyków, ale odnosi się do nich w zależności od ich ogólnego postępowania moralnego. Co więcej, nie ocenia nawyków ludzi, nie biorąc wcześniej pod uwagę okoliczności kulturowych i społecznych im towarzyszących. W rzeczywistości Antifa Straight Edge szanuje, a nawet zachęca do różnorodnych stylów życia jako istotnego aspektu twórczych wspólnot antyfaszystowskich. Ponadto Antifa Straight Edge w pełni i bezkompromisowo wspiera kobiece prawo wyboru, prawo danej osoby do zaangażowania się w praktyki homoseksualne, a także priorytet kwestii społecznych nad prawami zwierząt lub ochrony środowiska. Wreszcie Antifa Straight Edge nie wierzy, że można zmusić kogokolwiek do określonych zachowań lub ukarać kogokolwiek za pewien styl życia, zwłaszcza przy użyciu przemocy. Antifa Straight Edge zobowiązuje się do skromności, otwartości i tolerancji. Uważa, że korzystanie z siłowego oporu jest dopuszczalne tylko wtedy, gdy wartości antyfaszystowskie, takie jak samostanowienie i sprawiedliwość społeczna oraz gospodarcza, są bezpośrednio i w sposób oczywisty zagrożone. Generalnie Antifa Straight Edge jest pewnym przykładem działania. Działanie siłowe jest ostatecznością, a stosowanie działań bezpośrednich musi przestrzegać rygorystycznych pojęć wrażliwości, odpowiedzialności i odpowiednich środków. *Fight the Power!*

XsaraqaelX
(2001)

Gabriel Kuhn, „Sober Living for the Revolution: Hardcore Punk, Straight Edge And Radical Politics" s. 162

JEDNĄ Z NAJBARDZIEJ KONTROWERSYJNYCH KWESTII W TEKŚCIE JEST POSTULOWANY PRZEZ CIEBIE „PRIORYTET KWESTII SPOŁECZNYCH NAD PRAWAMI ZWIERZĄT LUB OCHRONY ŚRODOWISKA". NADAL TAK UWAŻASZ?

Postulat ten powinien być rozumiany jako sprzeciw wobec bojowego ruchu praw zwierząt, który miał ogromny wpływ na scenę lat 90. Wydawało mi się wtedy, że wiele osób skupiło się wyjątkowo na tej jednej kwestii, przez co ich ogólny osąd polityczny mocno się wykrzywił. Stało się to dla mnie wyjątkowo widoczne, kiedy zobaczyłem zdemolowane małe sklepy mięsne, prowadzone przez migrantów, a obok nietknięte banki i sklepy sieciowe. To po prostu wydawało się niewłaściwe.

To było wewnętrzne uczucie. Nigdy nie obchodziły mnie debaty, czy życie ludzkie jest „bardziej wartościowe" od zwierzęcego. Tego typu pytania nigdy mnie nie interesowały i nie sądzę, by w ogóle istniały na nie odpowiedzi. Z mojego doświadczenia wynika, że takie rozmowy najczęściej prowadzą do podziału. Według mnie ogrom form opresji został przeoczony przez zbytnie skupienie się na prawach zwierząt. Kiedy napisałem „Antifa Straight Edge", wydawało mi się to szczególnie oczywiste, ponieważ spędziłem akurat kilka lat w krajach tzw. „Trzeciego Świata", żyjąc wśród biednych, rybackich i rolniczych społeczności. To był absurd, by jakkolwiek podważać sposoby, w jakie mieszkańcy afrykańskich wsi wiążą koniec z końcem i karmią swoje dzieci – nawet jeśli często zaprzeczało to mojej wrażliwości dotyczącej praw zwierząt. Dostrzegałem inne priorytety.

Parafrazując Bertolta Brechta, twoja dieta staje się kwestią etyczną jedynie wtedy, gdy masz co jeść. W żadnym jednak razie nie chciałbym sugerować, że prawa zwierząt nie są istotne. Byłem wegetarianinem i jakiś czas weganinem przez dwadzieścia lat. Mimo że nie uważam weganizmu za konieczny warunek anarchistycznych społeczeństw, mam głęboki szacunek dla wegańskiej etyki. Wątpię też, bym użył dziś zacytowanego przez ciebie sformułowania. Jednak w momencie, kiedy je pisałem, wydawało się ono istotne. (tłum. Mn.)

#antifascistsxe



STRAIGHT EDGE
XXX
ANTI-FASCIST
FCK NZS
AKCJA
#ANTIFASCISTSXE
#Antifascist SXE
#ANTIFASCIST SXE
XXX FOR THE DEATH
#ANTIFASCIST SXE
STRAIGHT EDGE
xXx #ANTIFASCISTSXE
THE VEGAN STRAIGHT EDGE
THE ANTIFA STRAIGHT EDGE
#antifascist sXe
NAZI FUCK OFF!
NO DRUGS xXx NO NAZIS
MOSCOW DEATH BRIGADE
#ANTIFASCISTSXE
Antifascist QUEER EDGE
Straight Edge
ANTIFASCIST
#ANTIFASCISTSXE
#ANTIFASCISTSXE
#antifascist sxe girl
AFA SXE
Straight Edge
XXX #ANTIFASCISTSXE
I stand against racism #antifascistsxe
#ANTIFASCIST SXE

1-185209
cy 2 Soo D

REPORT OF INSPECTION OF MKULTRA/TSD

I. Introduction

1. Technical Services Division (TSD), (then Technical Support Staff), received authorization from the then Director of Central Intelligence, Mr. Allen W. Dulles, on 3 April 1953 to develop and maintain continuing operational capabilities in the fields of a) [illegible] and b) chemical and biological materi[illegible] of producing human behavioral and physiolog[illegible] changes (s[illegible] Ta[illegible] A[illegible] Th[illegible] cry[illegible] M[illegible]LT[illegible] assig[illegible] enc[illegible] ss [illegible]'s rese[illegible] eve[illegible] ment an[illegible] ent activiti[illegible] in [illegible] elds. The cryptonym M[illegible] had already been [illegible] Notice No. 220-1 on 20 October 1952 (since revised - see [illegible] as th[illegible] indicator covering DD/P policy and procedure for the [illegible]se [illegible] chemica[illegible] in clandestine operations.

2. The MKULTRA char[illegible] ovides only a brief presentation of the rationale of the authorized activities. The sensitive aspects of the program as it has evolved over the ensuing ten years are the following:

a. Research in the manipulation of human behavior is considered by many authorities in medicine and related fields

Declassification Review E.O. 12065
Conducted on 17 June 1981
Derivative Classification by 531025
Review 17 June 2001
Derived from C9c.2; C9e

Downgrade 61140

ARTYKUŁ /

C I A &
N A R K O T Y K I

AUTOR: MACIN /

Historia pełna jest intrygujących, a jednocześnie mrocznych zagadek. Wiele z nich nie znalazło do tej pory żadnego racjonalnego rozwiązania, wśród wielu narosły miejskie legendy i teorie spiskowe. Jedną z nich jest mityczna działalność na pograniczu prawa amerykańskiego rządu i tamtejszych służb specjalnych. Tego rodzaju tezy niesamowicie działają na wyobraźnię, dając wręcz gotowe scenariusze do filmów szpiegowskich, kryminalnych bądź political fiction. Ile w tym prawdy, trudno stwierdzić. O niepodważalne dowody jest szczególnie trudno, mówimy przecież o szeroko uprzywilejowanych instytucjach jednego z najpotężniejszych mocarstw świata. Zagłębianie się w tematykę ciemnych interesów rządzących oraz wywiadowczych elit szybko może zniechęcić, kiedy okaże się, że ogrom dostępnych w sieci „dowodów" to tak naprawdę zbiór luźno powiązanych ze sobą domysłów i nadinterpretacji, nie wspominając już o całej masie wyssanych z palca, paranoicznych teorii, np. o panującej nad nami rasie kosmitów lub przygotowywaniu światowego rządu, za sterami którego ostatecznie ma zasiąść sam antychryst.

Z drugiej strony, twierdzenie, że nie istnieją żadne spiski, a politycy i inni oficjele kierują się szczerością i dobrem ludzi jest niezwykle naiwne. Są też takie teorie spiskowe, które, po latach wyśmiewania i dyskredytacji osób je głoszących, okazywały się prawdziwe. Patrząc z perspektywy światopoglądu straight edge (rozumianego jako postawa polityczna, odrzucająca nie tylko spożywanie używek, ale i krytykująca władzę, instrumentalnie wykorzystującą używki przeciwko społeczeństwu), wyjątkowo interesująco prezentują się powiązania agencji wywiadowczej CIA z aferami narkotykowymi, które sukcesywnie wychodziły na jaw. Część z nich nie jest zbyt dobrze udokumentowana, jak choćby sprawa rzekomego zaopatrywania w narkotyki biednych dzielnic zamieszkałych przez mniejszości etniczne. O innych wiadomo nieco więcej, przykładowo – agenci CIA mieli podrzucać nielegalne substancje przeciwnikom politycznym rządu lub liderom „organizacji wywrotowych" w celu skompromitowania ich, a to wszystko w ramach akcji COINTELPRO. Jednakże najbardziej szokującym procederem pod etykietką „top secret" było to, co wynikło z zainteresowania tajniaków silnymi środami halucynogennymi. Ale wszystko po kolei.

■PRZYPADEK GLICKMANA

Stanley Glickman urodził się w 1927 roku w Nowym Jorku. Od najmłodszych lat wykazywał talent plastyczny. Chodził na dodatkowe zajęcia z rysunku i malarstwa, wygrywał liczne nagrody. Jako obiecujący artysta, przeniósł się latem 1951 roku do Paryża, gdzie rozpoczął studia na Academie de la Grande Chaumiere, w trakcie których dołączył do pracowni francuskiego modernisty Fernanda Legera. Młody Amerykanin odwiedził także Florencję, gdzie uczył się techniki fresku. Wygrał ogólnokrajowy konkurs, dzięki czemu jego praca miała szansę zawisnąć w nowojorskim Muzeum Sztuki. Jesienią kolejnego roku miał już własne studio na przedmieściach francuskiej stolicy. Całe dnie spędzał z pędzlem w dłoni, by wieczorami relaksować się przy kawie w pobliskim lokalu Cafe Dome. Przy okazji spotykał się z wieloma znajomymi, żeby dyskutować na temat sztuki, nowych prądów, idei, przyszłości. Podczas jednego z takich posiedzeń, poznał Ruth Edelman, Kanadyjkę odbywającą podróż po Europie, w której szybko się zakochał. Dziewczyna postanowiła kontynuować wyprawę, obiecała jednak, że wróci. Niedługo po jej wyjeździe, Stanley przesiadywał w swojej ulubionej kawiarni, gdy pewien znajomy zarosił go do lokalu naprzeciwko. Do dwójki artystów dosiadła się grupka tajemniczych, elegancko ubranych Amerykanów. Jeden z nich miał zdeformowaną stopę ze zgięciem podeszwowym i przywiedzeniem przodostopia (tzw. stopa końsko-szpotawa). Rozpoczęła się ożywiona dyskusja o zabarwieniu politycznym. Glickman nie zgadzał się z przybyszami w wielu kwestiach, szczególnie jeśli chodziło o pojmowanie władzy i patriotyzmu. Postanowił zakończyć bezsensowny spór, zapłacił rachunek i szykował się do wyjścia. Jednak jeden z dyskutantów nalegał, żeby artysta został i dał sobie postawić coś do picia na znak pokoju. Ten zgodził się. Stolik cały czas był obsługiwany przez kelnera, lecz tym razem rozmówca ze zdeformowaną stopą uparł się, że osobiście przyniesie drinka Glickmanowi. Pijąc pojednawczy likier, Stanley zaczął się dziwnie czuć. Jego percepcja wzrokowa i słuchowa została zaburzona. Kompletnie nie rozumiał, co się z nim działo. Upadł. Nieznajomi nachylili się nad nim z badawczym spojrzeniem. Jeden zasugerował leżącemu mężczyźnie, że teraz „jest zdolny do czynienia cudów". Młody człowiek, myśląc, że został otruty, jak najszybciej uciekł do domu. Przez całą drogę miał wrażenie, jakby śledziły go cienie. Kolejne dni były jeszcze gorsze. Glickman doznawał intensywnych halucynacji, przez które zerwał czasowo kontakt z rzeczywistością. Po dwóch tygodniach od tych wydarzeń widziano go błąkającego się bez celu ulicami Paryża, w stanie gorączki. Kiedy omamy osłabły, nowojorczyk postanowił odtworzyć w pamięci to, co mu się przytrafiło. Mgliste wspomnienia zaprowadziły go do przeklętej kawiarni, gdzie usiadł przy stoliku, by po chwili upaść z wycieńczenia. Odwieziono go do amerykańskiego oddziału szpitala w Paryżu. Z karty leczenia wynika, że zrobiono mu badania EEG oraz podano środki uspokajające. Jednak Stanley twierdził co innego w oświadczeniu napisanym po latach. Według niego, został poddany elektrowstrząsom i nafaszerowany kolejnymi środkami halucynogennymi. Próbował się wypisać ze szpitala, lecz trafił tam ponownie, gdzie zatrzymano go na cały tydzień. Zdaniem Staley'a, podczas pobytu regularnie podawano mu tajemnicze substancje. W tym czasie do Paryża wróciła Ruth, miłość malarza. Dziewczyna zabrała go ze szpitala i chciała się nim zająć, ten jednak kazał jej wracać do Kanady, gdyż nie chciał być dla niej ciężarem. Zdawał sobie sprawę ze swojego tragicznego stanu. Przez następne dziesięć miesięcy nie ruszał się z mieszkania, nie malował, nabawił się paranoi i prawie nic nie jadł ze strachu przed otruciem. Rodzina z Nowego Jorku nie miała o niczym pojęcia do momentu, kiedy przyjaciel rodziców wybrał się do Glickmana z odwiedzinami. Widząc, w jakiej jest kondycji, zawiadomił jego krewnych. Z pomocą przybył szwagier Stanley'a, który zabrał go z powrotem do USA. Będąc pod opieką lekarską, wrócił z trudem do zdrowia fizycznego, jednak równowagi psychicznej nigdy nie odzyskał. Kariera malarska legła w gruzach, intelekt mężczyzny wydawał się nieco „przytępiony", porzucił czytanie książek, spotykanie się ze znajomymi, relacje z kobietami. Nie mógł znaleźć nawet pracy. Lekarze sugerowali chorobę psychiczną i zalecali zamknięcie go w zakładzie psychiatrycznym. Rodzina Stanley'a nie zgodziła się na to i wynajęła mu niewielką kawalerkę na East Village (Manhattan). Początkowo, ciężko było mu wyjść poza próg mieszkania, jednak po pewnym czasie nabrał śmiałości i zaczął dorabiać, sprzątając w pobliskim antykwariacie, a po pewnym czasie otworzył własny. Sklepik nie przynosił zysków, ale był sposobem Glickmana na funkcjonowanie w społeczeństwie. Nikt z sąsiadów nie wiedział o przeszłości niedoszłego artysty. Uchodził za zagadkowego, ale nieszkodliwego dziwaka, wiecznie zamkniętego we własnym mieszkaniu lub przesiadującego z kawą na progu swojego antykwariatu. Nie było do końca nawet wiadomo, jak ma na imię, bowiem na skrzynce pocztowej widniały dwa nazwiska. W związku z tym jedni mówili na niego Paul Galan, inni Paul Stanley, pozostali po prostu Glickman. Jedyną osobą znającą prawdę była jego siostra Gloria.

■KONTROLA UMYSŁU

W 1977 roku Gloria oglądała w telewizji zarejestrowany przebieg przesłuchania senackiego, któremu przewodniczył Ted Kennedy, w sprawie nadużyć CIA. Kobieta nie zastanawiała się długo i zadzwoniła do brata, każąc mu natychmiast włączyć telewizor. Podczas przesłuchania jeden ze świadków zeznał, iż agencja wywiadowcza prowadziła ściśle tajny program o nazwie MKULTRA, w ramach którego testowano narkotyki na wybranych, niczego nieświadomych Amerykanach, nierzadko poprzez dodawanie halucynogennych substancji do drinków/napojów. Stwierdzono, że owa działalność rażąco naruszała Kodeks Norymberski, czyli zbiór zasad etycznego przeprowadzania badań na ludziach, który utworzono po ujawnieniu zbrodniczych eksperymentów nazistowskich lekarzy w obozach koncentracyjnych. Przede wszystkim, badani nie wyrazili zgody i nie wiedzieli, że będą obiektami badań. Przedstawiciele rządowej agencji bronili projektu, powołując się na bezpieczeństwo narodowe. Jak się później okazało, już we wczesnych latach 60-tych niejaki John K. Vance, członek personelu inspektora generalnego CIA, wpadł na trop kontrowersyjnego programu. Wiosną 1963 roku, w tracie zakrojonej na szeroką skalę inspekcji wykryto zbrodnicze działania tajniaków. W raporcie znalazł się następujący zapis: „Manipulacje ludzkim zachowaniem zostały określone zarówno przez członków agencji, jaki i ludzi spoza jako niesmaczne oraz nieetyczne". Pomysłodawcą MKULTRA był dyrektor agencji – Allen Dulles, który był zaintrygowany raportami donoszącymi o przeprowadzaniu eksperymentów na amerykańskich jeńcach wojennych z okresu wojny koreańskiej. Badania miały dotyczyć opracowania sposobu na kontrolę umysłu, a w tego typu prace zaangażowane były służby Związku Radzieckiego, Chin i Korei Północnej. Czas zimnej wojny między mocarstwami charakteryzował się ciągłym wyścigiem zbrojeń. Nic więc dziwnego, że i po stronie USA znalazł się ktoś gotowy na podjęcie wątpliwych etycznie poszukiwań nowych dróg szpiegostwa. Projekt najprawdopodobniej ruszył w 1953 roku. Amerykanie skupili się głównie na silnych substancjach psychoaktywnych (zazwyczaj było to LSD).

Programem zarządzał Sidney Gottlieb, chemik z ramienia CIA, którego można było poznać po zdeformowanej od urodzenia stopie. Przez swoją niepełnosprawność nie został wcielony do wojska podczas II wojny światowej, z czego, jako zagorzały patriota, nie był specjalnie zadowolony. Przez współpracowników był określany mianem „kreatywnego, pełnego wyobraźni". Już w wieku 33 lat stał na czele Chemicznego Oddziału Centralnej Agencji Wywiadowczej. W próbach kontroli umysłu najbardziej interesowały go możliwości zakłócenia pamięci, dyskredytacja celu poprzez dziwaczne zachowanie, „zmiana wzorców seksualnych", tworzenie zależności między „obiektami", pozyskiwanie informacji, wpływanie na wolę. Finansował badania psychiatryczne, mające wypracować „techniki, które złamią ludzką psychikę na tyle, by człowiek był w stanie przyznać się do wszystkiego". Jest uważany za osobę odpowiedzialną za wprowadzenie LSD do CIA. Według przyjaciela rodziny, sam wielokrotnie zażywał substancję przez ogarniającą go ciekawość natury naukowej. Będąc w administracji Eisenhowera i Kennedy'ego, na polecenie przełożonych miał za zadanie m.in. stworzyć zatrutą chusteczkę do nosa, za pomocą której Amerykanie chcieli zabić irakijskiego pułkownika Abdula Karima Qassima, toksyczne podarunki dla Castro (nasączone śmiercionośnymi substancjami cygaro, strój kąpielowy, pióro, czy nawet buty spryskane środkiem, od którego miała odpaść mu broda) oraz umieścić truciznę na szczoteczce do zębów, od której miał zginąć premier Kongo, Patrice Lumumba. Żaden z tych planów nie powiódł się. Przez cały okres swojej pracy był przekonany o słuszności pobudek nim kierujących. Twierdził, że wykorzystywanie niczego niepodejrzewających ludzi jest usprawiedliwione koniecznością walki o bezpieczeństwo kraju. Panująca w okresie zimnej wojny powszechna paranoja udzielała się także pracownikom rządowym, dla których II wojna światowa wcale nie zakończyła się w 1945 roku. Obawiano się tego, że ZSRR przejmie rynek LSD i na jego bazie stworzy broń chemiczną. Zagrożenie widziano również w Chinach, które starały się opanować sztukę prania mózgu. Na przestrzeni lat 50-tych i 60-tych agenci CIA podawali substancje skrajnie zmieniające świadomość setkom Amerykanów. Wszystko po

to, aby sprawdzić, czy ową świadomością da się sterować. Przeważnie „obiektami" badań były osoby chore psychicznie, więźniowie, narkomani lub prostytutki. Znany jest przypadek pacjenta szpitala psychiatrycznego w Kentucky, któremu nieustannie podawano LSD przez 174 dni. Testy prowadzono też na pracownikach agencji, wojskowych oraz studentach, wśród których znajomość prawdziwego celu badań była na różnym poziomie. Ogółem, dokonano 149 niepowiązanych ze sobą eksperymentów, z czego ponad 40 dotyczyło nieświadomych „obiektów". Na każdy eksperyment przypada pewna liczba badanych – stąd setki ofiar. W wyniku odkrycia prawdy przez Johna Vance'a i krytycznego raportu inspektoratu generalnego, CIA zaprzestała dalszych badań pod koniec lat 60-tych. Projekt nie przyniósł widocznie zamierzonych efektów, gdyż w 1972 roku sam Gottlieb stwierdził, że badania były bezużyteczne („patrząc wstecz z dzisiejszej perspektywy, realna możliwość udanego i efektywnego użycia kontroli umysłu, przeciw nam, czy przez nas, była bardzo niska"), po czym przeszedł na emeryturę. W kolejnym roku dostał odznaczenie od szefostwa CIA. Zdecydowaną większość dokumentów dotyczących MKULTRA zniszczono. Z zachowanych, fragmentarycznych akt i relacji świadków wynika, że co najmniej jeden badany zmarł (wyskoczył z dziesiątego piętra), inni popadli w szaleństwo, a zdecydowana większość przeżyła psychiczne załamanie.

Człowiekiem, który wyskoczył z okna był Frank Olson, bakteriolog pracujący nad bronią biologiczną na zlecenie CIA. Miał to nieszczęście spotkać Gottlieba w Fort Detrick (jedna z siedzib wywiadu, stan Maryland), który w latach 50-tych był tak bardzo przekonany o słuszności wykonywanej przez siebie pracy, że podawał LSD nawet własnym współpracownikom. Nieświadomy zawartości przygotowanego przez szefa drinka, Olson wypił potężną dawkę substancji. Niedługo po tym mężczyzna przekazał swojemu przełożonemu decyzję o rezygnacji z udziału w programie. Popadł w załamanie nerwowe i paranoiczne myśli. Władze agencji wywiadowczej wysłały go do Nowego Jorku na badania psychiatryczne, po których stwierdzono konieczność zamknięcia naukowca w zakładzie. Dziewiątego dnia od chwili spożycia narkotyku, Olson rzucił się z dziesiątego piętra hotelu Statler na Manhattanie. Początkowo policja próbowała zatuszować sprawę, zaś później przeforsowała wersję o samobójstwie, w żaden sposób nie łącząc tego z państwową instytucją. Kiedy w 1975 roku po raz pierwszy na światło dzienne wypłynęła informacja o MKULTRA, rząd musiał przyznać, że podano Olsonowi silne środki psychoaktywne, bez jego wiedzy i zgody. Po tym, jak rodzina zmarłego zagroziła pozwem sądowym, władze zaproponowały sumę 1 miliona 250 tys. dolarów zadośćuczynienia, zmniejszając następnie odszkodowanie do 750 tys., które krewni zaakceptowali. Otrzymali też przeprosiny od prezydenta Geralda Forda i ówczesnego szefa CIA, Williama Colby'ego. W 1994 roku sprawa Olsona wróciła do ponownego rozpatrzenia, a wszystko za sprawą syna zmarłego, Erica. Ten zażądał ekshumacji. Zaraz po śmierci bakteriologa, autopsja wykazała liczne otarcia i rozcięcia. Ponowne przebadanie ciała niczego takiego nie potwierdziło. Co więcej, doszukano się rany lewej strony głowy i klatki piersiowej, które nie mogły powstać w wyniku upadku z dużej wysokości. Powstały wcześniej, w pokoju hotelowym. Zasugerowano morderstwo. Eric zauważył pewne podobieństwo do metod stosowanych przez CIA, które spisano w formie poradnika dla przyszłych agentów. Można tam znaleźć m.in. takie oto zdanie: „najbardziej efektywną formą morderstwa jest upadek z wysokości 75 stóp, zwłaszcza na twardą powierzchnię". Do dzisiaj nie wiadomo, co właściwie wydarzyło się tamtego dnia.

■*DĄŻENIE DO PRAWDY*

Po obejrzeniu senackiego przesłuchania, Glickman postanowił wyjaśnić zagadkę paryskich wydarzeń na własną rękę. Próby kontaktu z Kennedy'm i Ministerstwem Sprawiedliwości nie powiodły się. Sytuacja wymagała wynajęcia dobrego prawnika, na co jednak Stanley'a nie było stać. Zdecydował się napisać scenariusz filmowy, którego sprzedaż zapewniłaby mu odpowiednią ilość środków w dość krótkim czasie, potrzebnych na drodze sądowej. W 1981 roku, niedaleko miejsca zamieszkania Glickmana, kręcono film „Ragtime". Sąsiad Stanley'a, Dean Corren, dorabiał przy produkcji, pomagając ekipie. Stanley wykorzystał okazję i poprosił Correna o podrzucenie scenariusza reżyserowi, Milosowi Formanowi. Filmowiec nie był zainteresowany pomysłem mężczyzny. Co innego Corren, którego na tyle poruszyła opowieść Glickmana o wydarzeniach z Paryża, że sam zaczął zagłębiać się w temat. Podczas wizyty w Waszyngtonie, odwiedził Centrum Nauk o Bezpieczeństwie Narodowym, gdzie dotarł do informacji o szefie projektu MKULTRA, Sidney'u Gottliebie. Po tym, jak przeczytał krótki opis jego wyglądu, zadzwonił do Glickmana i zapytał, czy którykolwiek z mężczyzn będących feralnego dnia we francuskiej kawiarni miał zdeformowaną nogę. Odpowiedź była twierdząca, Stanley bowiem dobrze zapamiętał tę przypadłość fizyczną u człowieka, który podawał mu drinka. Po ustaleniu tego faktu, Dean rozpoczął poszukiwania kancelarii adwokackiej, która zainteresowałaby się sprawą. Nie było to łatwe, zważywszy na możliwość ewentualnych nieprzyjemności ze strony państwowych instytucji. Te natomiast już od początku utrudniały prywatne śledztwo Glickmana i Correna, np. udostępniając dokumenty dopiero po poważnej cenzurze i korekcie. Prawnicy reprezentujący CIA upierali się, że nie ma jakichkolwiek dowodów na przeprowadzanie przez agencję eksperymentów ze środkami halucynogennymi poza granicami USA. Przed dwójką mężczyzn stało niezwykle trudne zadanie – znaleźć wiarygodną osobę, która potwierdziłaby ich wersję. W roku 1988 ówczesny adwokat Glickmana, Ramsey Clark, skontaktował się z dr Lesterem Grinspoonem, profesorem psychiatrii na Harvardzie oraz jednym z największych autorytetów w temacie LSD. Okazało się, że Grinspoon już w latach 70-tych próbował uzyskać dostęp do akt odnośnie testów z użyciem narkotyków, oczywiście bez większego powodzenia. Profesor zgodził się zbadać przypadek Stanley'a, spędzając z nim mnóstwo czasu i dokonując potrzebnych obserwacji. Poddał też analizie stary film, przedstawiający Glickmana na wyjeździe do Włoch, tuż przed przeprowadzką do Paryża. Z oględzin specjalisty jasno wynikało, że do chwili wypicia likieru we francuskiej kawiarni, Stanley był zwyczajnym, młodym człowiekiem bez żadnych oznak choroby psychicznej. Glickman dokładnie zapoznał Grinspoona ze swoimi przeżyciami po spotkaniu grupy Amerykanów. Ze szczegółami opisał to, co widział – poruszające się ściany lokalu, jasne poświaty, śledzące go cienie, intensywność kolorów. Czuł, że potrafi przesuwać przedmioty siłą umysłu, że cały świat widzi jego oczami oraz że radio przekazuje jego głos prowadzącym audycję. Patrząc na linie papilarne, dostrzegał w nich cały ogrom ukrytych znaczeń. Profesor nie miał wątpliwości, były to efekty działania mocnego związku halucynogennego, a traumatyczne doświadczenia Stanley'a określił jako typowy „bad trip". Podobny stan po spożyciu LSD przytrafia się stosunkowo małej liczbie osób, lecz jego negatywne skutki mogą być długotrwałe, a nawet nieodwracalne. Praktycznie wszystko może mieć wpływ na to, jak organizm zareaguje na substancję – osobowość zażywającego, warunki, w jakich przyjęto narkotyk, dawka, a także świadomość zażywania. W przypadku Stanley'a dodatkowym zagrożeniem był fakt, że na początku lat 50-tych, kiedy doszło do zdarzenia, niewiele osób zdawało sobie sprawę z istnienia LSD, nawet lekarze. Nikt więc nie mógłby mu pomóc i wyjaśnić przyczyny jego dziwnego samopoczucia.

Glickman wraz z profesorem i adwokatem dokonali interesującego odkrycia. Dotarli do akt CIA, w których zawarto raport z 1951 roku z wynikami szwajcarskich badań nad wpływem LSD na osoby z zapaleniem wątroby. Jak się okazało, tego typu dolegliwość wzmacnia działanie narkotyku, a występujące halucynacje są intensywniejsze. Po podaniu Stanley'owi środka psychoaktywnego, mężczyzna został przyjęty przez tego samego lekarza, który zajmował się nim wcześniej w ciągu roku z powodu... zapalenia wątroby. Wśród dokumentów amerykańskiego wywiadu było też podsumowanie jedenastomiesięcznej obserwacji, która miała swój początek w listopadzie 1952 roku (a więc w czasie, kiedy Glickman trafił do szpitala), z której wynikało, że „obiekty nawet z niewielką dysfunkcją wątroby znacząco reagują na LSD". Z kolei inny lekarz, który także zajmował się Stanley'em, opublikował wcześniej artykuł w Revue Neurologique o przeprowadzanych przez siebie eksperymentach na królikach z wykorzystaniem halucynogenów. CIA zostało zmuszone do przyznania, że faktycznie zatrudniało zagranicznych specjalistów do badań, które były nielegalne według prawa USA. Na światło dzienne wypłynęły również inne przypadki nadużyć, jak np. opłacanie psychiatry z Montrealu, który eksperymentował na pacjentach szpitala psychiatrycznego, podając im szeroką gamę narkotyków i stosując elektrowstrząsy. Rząd Stanów Zjednoczonych przegrał nawet rozprawę sądową z dziewięcioma obywatelami Kanady, których poddawano nieetycznym zabiegom bez ich zgody. Wypłacono im ponad milion dolarów odszkodowania.

To jednak nie wystarczyło pomocnikom Glickmana. Szukali kolejnych dowodów. Udało się im potwierdzić, że latem 1952 roku Sidney Gottlieb prosił agenta Narodowego Biura ds. Narkotyków (późniejsze DEA), George'a White'a, o pozwolenie na rozpoczęcie testów środkami halucynogennymi na niczego nieświadomych cywilach. W tamtym czasie dostęp do LSD miała jedynie szwajcarska firma Sandoz, która w

1945 przypadkowo odkryła tę substancję. Przedsiębiorstwo nawiązało współpracę z amerykańskim wywiadem, któremu obiecało regularne dostawy narkotyku. White został łącznikiem CIA z zagranicznymi specjalistami, jak również osobiście dodawał halucynogenów do drinków nieświadomych ludzi (w późniejszych latach zarządzał kryjówkami dla prostytutek i dilerów narkotyków w Nowym Jorku i San Francisco, gdzie kontynuował swój proceder). Istnieją zapiski dokumentujące spotkania Gottlieba z White'em z 20 (Nowy Jork) i 30 (Waszyngton) października 1952 roku, kiedy to mężczyźni dokładnie omówili plan działania. Co prawda, szef programu MKULTRA zaprzeczył, by przebywał w Paryżu w przeciągu tamtego roku, nie potrafił jednak dostarczyć swojego paszportu, żeby to zweryfikować. Glickman nie doczekał rozstrzygnięcia sprawy. Zmarł w 1992 roku w wieku 62 lat w wyniku niewydolności serca. Jego miejsce w dążeniu do prawdy zajęła siostra Gloria. Poszukiwała nowych świadków oraz mocniejszych dowodów. Nie było to łatwe po tym, jak w 1973 roku Gottlieb wraz ze swoim przełożonym, Richardem Helmsem, zniszczyli większość dokumentów dotyczących MKULTRA. Pojawiły się także pewne wątpliwości. Kiedy Grinspoon spytał Stanley'a, czy któryś z Amerykanów w kawiarni miał zdeformowaną stopę, ten potwierdził. Sam jednak nic na ten temat wcześniej nie mówił. To nie wszystko. Gottlieb jąkał się. Glickman zaprzeczył, by któryś z mężczyzn miał problemy z mową. Spór z amerykańskim rządem sprowadził się ostatecznie do słowa przeciwko słowu. W 1999 roku sprawę początkowo miał opisać New York Times, ostatecznie wycofując się z publikacji artykułu. Sprawa trafiła za to do brytyjskiego The Observer, niemieckiego Spiegel oraz innych światowych mediów (m.in. z Australii i Holandii). Tego samego roku w końcu doszło do rozprawy sądowej. Jak podkreślał Grinspoon, „Stanley'a nie interesowało finansowe zadośćuczynienie. Chciał, by amerykańscy obywatele wiedzieli, że istnieje rządowa agencja, która zachowuje się arogancko i nieodpowiedzialnie wobec własnych rodaków". Sędzia odrzucił jednak wszelkie zarzuty stawiane przez rodzinę Glickmana.

■*SZALEŃSTWO WE FRANCUSKIEJ WIOSCE*

W 2010 roku brytyjski The Telegraph opublikował artykuł na podstawie ustaleń dziennikarza śledczego, Hanka P. Albarelli'ego Jr., który podjął próbę wyjaśnienia tajemniczych zdarzeń, jakie miały miejsce w pewnej francuskiej wiosce, na rok przed podaniem Glickmanowi LSD. Abarelli dotarł bowiem do zapisków CIA dokumentujących rozmowę agenta wywiadowczego z wysoko postawionym przedstawicielem firmy Sandoz, gdzie tłumaczono „sekret Pont-Saint-Esprit" jako wynik zatrucia LSD. Pont-Saint-Esprit to nieduża wioska leżąca w południowowschodniej Francji. 16 sierpnia 1951 roku doszło tam do serii nieprawdopodobnych zdarzeń. Tamtejszych mieszkańców opanowało masowe szaleństwo i halucynacje, w wyniku czego co najmniej pięć osób zmarło, dziesiątki trafiły do zakładów psychiatrycznych, a setki pozostałych, kiedy już otrząsnęły się z całego zajścia, dręczyły się pytaniem „do czego właściwie doszło?". Ludzie widzieli przerażające bestie i szalejący ogień. Jeden mężczyzna chciał się utopić, ponieważ twierdził, że w jego brzuchu wiją się węże. Jedenastoletnie dziecko próbowało udusić własną babcię. Kolejna osoba wyskoczyła z okna na wysokości drugiego piętra łamiąc sobie nogi, by następnie przebiec dystans 50 jardów. Pewien mężczyzna widział, jak jego serce wydostało się z organizmu przez stopę, więc udał się do lekarza i błagał go, aby ten włożył mu organ z powrotem. Pacjenci nie byli w stanie leżeć w łóżkach, rzucając się na wszystkie strony i krzycząc, że z ich ciał wyrastają kwiaty, a ich głowy zmieniają się w roztopiony ołów. Najpopularniejsze wyjaśnienie tych zdarzeń zakłada, że w miejscowej piekarni doszło do nieświadomego wymieszania mąki na chleb z halucynogenną pleśnią (dlatego lokalni mieszkańcy nazywają tamten dzień Le Pain Maudit – przeklęty chleb). Ergot jest rodzajem grzyba, który atakuje ziarna żyta i zawiera aktywne związki, które mogą powodować omamy. Teorię potwierdzać miałby fakt, że wszystkie ofiary tamtego dnia jadły chleb kupiony u Rocha Brianda, właściciela piekarni. W niedługim czasie pojawił się nowy trop, wskazujący zatrucie rtęcią. Abarelli odrzuca wszystkie te wyjaśnienia twierdząc, że do chleba dodano LSD, a całą akcją sterowało z Fortu Detrick CIA i Oddział do Operacji Specjalnych (SOD), tajna grupa amerykańskiego wojska. Miał to być kolejny eksperyment z narkotykami w ramach projektu MKNAOMI, będącego przedłużeniem MKULTRA. Współpraca Departamentu Obrony z agencją wywiadowczą przede wszystkim stawiała sobie za cel stworzenie broni biologicznej, która mogłaby w szybki sposób unieszkodliwić lub zabić „dany obiekt". Według dziennikarza, naukowcy rozpowszechniający wersję z zatruciem pleśnią byli powiązani z firmą Sandoz. Na potwierdzenie swoich rewelacji przytacza słowa dwóch naukowców, którzy przeprowadzali w latach 50-tych testy z LSD na potrzeby wojska, m.in. po to, aby uzyskać skuteczny sposób na kontrolę umysłu. Są to ci sami ludzie, którzy pracowali razem z Frankiem Olsonem dla agencji. Mężczyźni potwierdzili wersję Abarelli'ego oraz autentyczność listy zawierającej nazwiska Francuzów, którzy brali udział w akcji w Pont-Saint-Esprit i byli opłacani przez amerykańskich agentów. Owa lista została z resztą przekazana przez Biały Dom komisji powołanej w 1975 roku (komisja Rockefellera), która prowadziła dochodzenie w sprawie nadużyć CIA. Niewiadomo, czy francuskie służby specjalne były o wszystkim poinformowane.

■*METRAZOL W RĘKACH CIA I WOJSKA*

LSD nie jest oczywiście jedynym narkotykiem, po jaki sięgały służby specjalne USA w przeciągu całej swojej burzliwej historii. Metrazol był rynkową nazwą dla pentylenetetrazolu, środka używanego do stymulacji krążenia i oddychania. W 1934 roku węgiersko-amerykański neurolog i psychiatra Ladislas J. Meduna odkrył, że duże dawki tej substancji powodują gwałtowne konwulsje. Metrazol nigdy nie był postrzegany jako efektywny lek, a skutków ubocznych w postaci silnych ataków nie dało się uniknąć. Jedną z placówek, w której go stosowano był stanowy szpital psychiatryczny w Vermont. Narkotyk dostarczany był przez pracującego dla CIA dr Roberta Hyde'a. Podawano go najbardziej agresywnym pacjentom. W przeciągu dziesięcioletniego okresu używania metrazolu liczba zgonów niepokojąco rosła. Szpital Vermont nie był odosobnionym przypadkiem, dlatego w 1982 roku FDA (Agencja Żywności i Leków) cofnęła pozwolenie na wykorzystywanie substancji w jakichkolwiek terapiach. Do tego czasu (tj. od lat 40-tych aż do końca 70-tych) metrazol podawano także dzieciom. Dr Lauretta Bender, szanowana specjalistka ds. neuropsychiatrii, już od 1940 roku przeprowadzała setki eksperymentów na dzieciach z autyzmem i schizofrenią w wieku od 3 do 12 lat, faszerując je najróżniejszymi narkotykami (w tym metrazolem), a także poddając elektrowstrząsom. Choć w przestrzeni publicznej zapewniała o dobrych rezultatach prowadzonych przez siebie zabiegów, prywatnie wyrażała ogromne rozczarowanie. Przykładowo, jeden z jej pacjentów, sześcioletni chłopiec, z wycofanego i nieśmiałego zamienił się w agresywnego i brutalnego. Z kolei pewna siedmiolatka omal nie popadła w katatonię. Śledząc późniejsze losy podopiecznych Bender w dorosłym życiu, łatwo zauważyć, że wielu z nich szybko popadło w konflikt z prawem i trafiło do więzienia. Jednego z nich skazano za dokonanie wielokrotnego zabójstwa. Myśli samobójcze oraz stany depresyjne również nie należały do rzadkości. Lekarka zaopatrywała się we wszelkie medykamenty nie gdzie indziej, jak w szwajcarskim przedsiębiorstwie Sandoz. Charakter prowadzonych przez nią badań pozwolił kobiecie nawiązać kontakt ze specjalistami uwikłanymi w program ARTICHOKE, który w późniejszych latach przerodził się w MKULTRA. Podstawowym założeniem ARTICHOKE było wypracowanie skutecznych form inwazyjnego przesłuchania. Eksperymentowano z hipnozą, serum prawdy, izolacją, LSD, wywoływaniem amnezji i doprowadzaniem więźniów do uzależnienia od morfiny. Zachowała się notatka ze stycznia 1952 roku, w której postawiono pytanie: „czy możemy zapanować nad jednostką do tego stopnia, że będzie ona wykonywać nasze rozkazy przeciw własnej woli, a nawet przeciw podstawowym prawom natury, takim jak instynkt samozachowawczy?". Na „obiekty" badań wybierano zazwyczaj jeńców, osoby homoseksualne i mniejszości etniczne.

Skutki uboczne metrazolu były niezwykle na rękę amerykańskiej agencji wywiadowczej oraz pozostałym tajnym służbom. W okresie zimnej wojny niejednokrotnie podawano go jeńcom wojennym bądź zdemaskowanym/domniemanym sowieckim szpiegom. Często też zmuszano współwięźniów do oglądania tego, co działo się z człowiekiem po wstrzyknięciu substancji. A widok nie należał do najprzyjemniejszych. Ofiara zaczynała się trząść, rzucać na wszystkie strony, wyginać całe ciało, przekręcać się z grymasem bólu na twarzy i wytrzeszczonymi oczami. Dochodziło przy tym nawet do złamań karku, czy urazów pleców. Amerykańscy agenci używali często metrazolu, morfiny, heroiny, LSD, amfetaminy i elektrowstrząsów w obozach jenieckich na terenie powojennych Niemiec, gdzie przetrzymywano nazistów. Na miejscu powołano specjalną jednostkę złożoną z kapitana Malcolma S. Hilty'ego, majora Mose'a Harta i kapitana Herberta Senseniga, specjalizującą się w prowadzeniu przesłuchań. Grupa owiana była złą sławą, nie powinien więc dziwić przydomek, jaki

otrzymali – „brutalni chłopcy". Osobom przesłuchiwanym podawano najrozmaitsze narkotyki, nie zapominając też o elektrowstrząsach. Jak na ironię, pomagali w tym jeszcze do niedawna nazistowscy naukowcy, których rekrutowało CIA w ramach operacji „Paperclip". Jak wspominał Miles Hunt, oficer wojskowego korpusu Counter-Intelligence Corps (CIC), kapitana Senseniga bardzo rozczarowało to, że pojmany Hermann Göring (jeden z najwyżej postawionych ludzi w III Rzeszy) nie stawiał podczas przesłuchania żadnych oporów i od razu złożył obszerne zeznania, w związku z czym nie było konieczności stosowania na nim narkotyków.

Substancje na bazie metrazolu używane są podczas przesłuchań do dziś. W marcu 2008 roku, w reakcji na szokujący artykuł The Washington Post, Pentagon zlecił sporządzenie generalnego raportu z nadużyć Departamentu Obrony, szczególnie biorąc pod uwagę procedury podczas przesłuchań więźniów podejrzanych o terroryzm. Pomimo tego, prawda o faszerowaniu przetrzymywanych osób narkotykami jest stale ukrywana przed opinią publiczną. Jak podawał w lipcu 2010 roku w swojej relacji dla McClatchy News reporter Carol Rosenberg, podczas procesu sądowego, związanego ze sprawą znęcania się nad więźniami obozu Guantanamo, dziennikarze stali oddzieleni szklaną konstrukcją od reszty sali. Kiedy jeden z wojskowych miał podać nazwy wykorzystywanych środków psychoaktywnych, wyłączono mikrofony tak, by przedstawiciele mediów nic nie usłyszeli.

■*EKSPERYMENTY Z LSD NA DZIECIACH*

Dr Bender kontaktowała się m.in. z dr Haroldem A. Abramsonem (zajmował się Frankiem Olsonem tuż przed jego śmiercią), Paulem Hochem i Jamesem B. Cattellem (byli odpowiedzialni za wstrzyknięcie śmiertelnej dawki meskaliny pacjentowi Stanowego Szpitala Psychiatrycznego Nowego Jorku, Haroldowi Blauerowi), Joelem Elkesem (jeden z pierwszych lekarzy eksperymentujących z LSD w Europie, prowadził badania na ludziach dla CIA, Pentagonu i brytyjskiego M16), Maxem Finkiem oraz Alfredem Hubbardem. Bender podziwiała Finka, który jest uznawany za ojca terapii elektrowstrząsowej w Stanach. W latach 50-tych nawiązał współpracę z agencją wywiadowczą, która była zainteresowana wykorzystaniem jego metod pracy we wprowadzaniu więźniów w stan amnezji, większej podatności na hipnozę i podczas przymuszania do zeznań. Wrażenie na lekarce robił także Hubbard, znany z nadzwyczaj częstego sięgania po LSD w swojej pracy, również w przypadku dzieci. Co ciekawe, mężczyzna nie miał nawet wykształcenia medycznego.

Centralna Agencja Wywiadowcza na tyle zainteresowała się działalnością dr Bender, że postanowiła sponsorować jej badania. Lekarka wzięła udział w konferencji naukowej, organizowanej przez Josiah Macy Foundation, grupę prowadzoną przez agentów rządowych. Tematem spotkania, które poprowadził Harold Abramson, były eksperymenty z wykorzystaniem LSD. Niedługo po tym, Lauretta Bender otrzymała wsparcie finansowe od organizacji Society for the Investigation of Human Ecology (SIHE), za którą stało CIA, a była prowadzona przez Jamesa L. Monroe, oficera sił powietrznych, odpowiedzialnego za 55 ściśle tajnych projektów z zakresu propagandy, manipulacji mediami, prowadzeniem wojny psychologicznej, stosowaniem narkotyków podczas przesłuchań itp.

Na początku 1960 roku ruszyła praca lekarki na oddziale dziecięcym Creedmoor State Hospital w nowojorskiej dzielnicy Queens. Sandoz zaopatrywał kobietę także w UML-491, środek podobny w działaniu do LSD, lecz jego efekty pozostawały na dłużej. Na badaną grupę wybrano czternaścioro dzieci w wieku od sześciu do jedenastu lat ze stwierdzonym autyzmem i schizofrenią. Przeprowadzono na nich 196 eksperymentów, pod koniec których Bender doszła do wniosku, że mali pacjenci wydają się szczęśliwsi, chętniej podejmują spontaniczne zabawy i przybrali na wadze. Dziesięć lat później, w opublikowanym przez siebie artykule, wspomina dwóch nastoletnich chłopców w niewielkim stadium schizofrenii, którzy doświadczyli zaburzeń postrzegania w wyniku regularnego dawkowania im LSD. Według nich przedmioty zmieniały się w „gumowe", ludzkie twarze przybierały grymasy i stawały się zielone. Jeden z nich skończył w zakładzie psychiatrycznym jako „niezrównoważony schizofrenik". Z zachowanej dokumentacji wynika, że dzieci (najczęściej z sierocińców, choć nie tylko) przetrzymywane były w szpitalu przez długi czas, będąc każdego dnia pod wpływem ciężkich narkotyków. Pod koniec „terapii" wielu nie było w stanie samodzielnie funkcjonować, część trafiła do zakładów zamkniętych na całe lata. Ostatecznie badania Bender na nic się zdały, ponieważ nie przyniosły żadnych konkretniejszych wniosków. Nikt nie podjął się ich kontynuacji, nie były też one podstawą innych terapii. Nie przeszkodziło to dr Lauretcie w zrobieniu naukowej kariery i osiągnięciu statusu ekspertki w dziedzinie dziecięcego autyzmu.

Oczywiście nie był to odosobniony przypadek. Badania tego rodzaju prowadziło wielu naukowców, a nad wszystkim pieczę sprawowali agenci specjalni. Wykorzystywanie nieletnich miało miejsce także poza granicami Stanów Zjednoczonych. Amerykańskie CIA współpracowało w tej materii z brytyjskim M16, razem nadzorując eksperymenty odbywające się na terenie Wielkiej Brytanii. Jednym z badaczy na usługach tajniaków był dr John Buckman, pracujący w londyńskim Chelsea Clinic. Początkowo podawał LSD jedynie dorosłym pacjentom. W 1963 roku, wraz z dr Thomasem Lingiem stwierdzili, że jednym z pozytywnych wyników stosowania narkotyku jest obalenie tezy Marksa, jakoby religia stanowiła „opium dla mas". Przekonywali, że na podstawie doświadczeń osób pod wpływem substancji można stwierdzić, iż „istnieje głęboka, instynktowna wiara w Wyższy Byt, niezależnie od religijnego rodowodu – chrześcijańskiego, żydowskiego lub hinduskiego". Buckman zalecał też LSD jako lek na „oziębłość" dla kobiet.

Pewna kobieta wykładająca etykę medycyny na uczelni wyższej na zachodzie USA, która woli pozostać anonimowa z racji swojego zawodu, stała się w 2010 roku bohaterką artykułu autorstwa Albarelli'ego i Jeffa Kaye (psychologa z San Francisco specjalizującego się w tematyce tortur). Przyznała w nim, że wraz ze swoją siostrą, jako dzieci, były wykorzystywane w eksperymentach z LSD kierowanymi przez dr Buckmana. Wszystko zaczęło się w Chelsea Clinic, gdzie w 1960 roku Marion i Trudy (fikcyjne imiona obu kobiet) zostały wysłane przez rodziców na rozmowę wstępną z Buckmanem i Lingiem. Marion miała wtedy 13, a Trudy 15 lat. Według rodziców dziewczynek, terapia środkami halucynogennymi miała dobrze na nie wpłynąć. Sami z resztą nie raz bywali w londyńskiej klinice, a co więcej, dość regularnie zażywali LSD jako „szybką terapię" w warunkach domowych. Będąc zagorzałymi zwolennikami halucynogenów, zgodzili się poświęcić własne córki do badań (słowo „eksperyment" nie padło ani razu podczas całego procederu). Dziewczynki zgodziły się, gdyż zostały wychowane w duchu posłuszeństwa, nie wiedziały tak naprawdę co je czeka, a przede wszystkim ufały rodzicom, jak i swojemu wujkowi, który, będąc szanowanym psychiatrą wykładającym w szkole medycznej, sam wielokrotnie zalecał stosowanie tego silnego środka. Zarówno Marion, jak i Trudy nie potrzebowały żadnej terapii. Dobrze się uczyły, miały przyjaciół, uczęszczały na zajęcia dodatkowe. Jednak ich ojciec zadecydował. Czekało je dziesięć sesji, jedna sesja na tydzień. Celu badań nigdy im nie wyjaśniono.

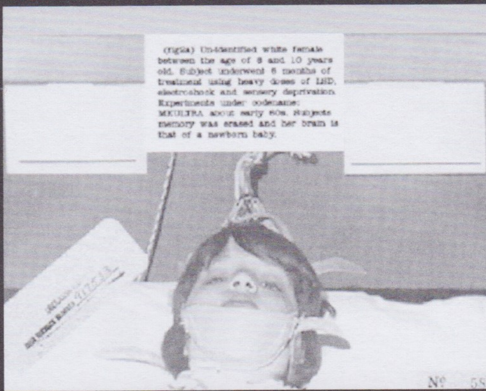
Wstępny wywiad z Buckmanem i Lingiem dotyczył ogólnego stanu zdrowia. Nie uprzedzono dzieci o tym, czego mogą się spodziewać po zażyciu narkotyku. Nie wspomniano nawet słowem o halucynacjach, czy zniekształceniu postrzegania rzeczywistości. Nie poinformowano także o prawie do odmówienia udziału w dowolnym momencie, tym samym łamiąc Kodeks Norymberski. Podczas dziesięciu sesji trzymano dziewczynki w oddzielnych, zaciemnionych pokojach. Za każdym razem w pokoju była obecna osoba, jednak z powodu ciemności, niewiadomo kto to był. Marion tak bardzo bała się wywoływanych halucynacji, że krzyczała z całych sił i niejednokrotnie próbowała uciekać. Skutkiem ubocznym LSD były też nasilające się nocne koszmary. Trzynastolatka nie miała pojęcia co się z nią dzieje, co było dla niej wprost przerażające. Pomiędzy kolejnymi sesjami nikt nie starał się nawet wytłumaczyć dzieciom, dlaczego tak dziwnie się czuły i widziały te wszystkie niepokojące omamy. Marion bała się zamknąć oczy, miała problemy ze snem i koszmarami przepełnionymi demonicznymi obrazami i wijącymi się insektami. Rodzice wydawali się być pozbawieni empatii i opiekuńczości. Temat eksperymentów stanowił tabu. Kategorycznie zabroniono dziewczynkom mówić komukolwiek o tym, co działo się za zamkniętymi drzwiami Chelsea Clinic. Dwa lata po traumatycznych przeżyciach, Trudy dostała się na studia, lecz już na pierwszym roku przeżyła załamanie nerwowe. Wściekła na rodziców i niemogąca pogodzić się z bolesną przeszłością, zaczęła zadawać im niewygodne pytania o LSD. Ojciec, starając się ją uciszyć, doprowadził do zdiagnozowania dziewczyny jako „przypadku psychiatrycznego", czego konsekwencją było przepisanie jej mnóstwa otępiających medykamentów. Następnie trafiła do zakładu zamkniętego co, w połączeniu z ogromem podawanych jej leków, doszczętnie zniszczyło jej zdrowie psychiczne.

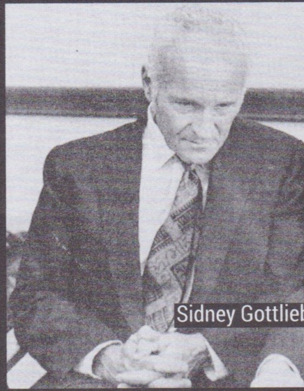
Marion obwiniała się za krzywdę siostry, nic jednak nie mogła zrobić. Reakcja ojca wystarczająco ją przeraziła. Poza tym, ojciec wraz ze swoim bratem byli powszechnie znanymi i cenionymi lekarzami. Nikt nie uwierzyłby, że byli zdolni zadać tak wielką krzywdę dzieciom.

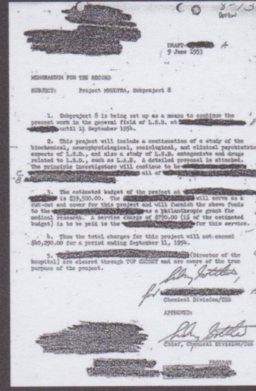
Z drugiej strony, reputacja specjalistów na skalę międzynarodową była ważniejsza dla mężczyzn niż zdrowie córek jednego z nich. Jedyną rzeczą, na jaką mogła sobie pozwolić Marion, była wyprowadzka z rodzinnego domu. Doświadczenia te uwarunkowały jej karierę zawodową, ponieważ kobieta postanowiła zająć się kwestią etyczności zabiegów i badań medycznych. Zgłębiając bardziej temat, zorientowała się, jak wielka jest skala korupcji we współczesnej medycynie, zdominowanej przez koncerny produkujące leki. Przeraziło ją także zaangażowanie wojska w opracowywanie coraz to nowszych substancji wykorzystywanych w trakcie przesłuchań lub do prób kontroli ludzkich zachowań. Kobieta wielokrotnie starała się skonfrontować swego ojca z dowodami na to, że CIA testowało na ludziach narkotyki. Ten jednak wszystkiemu zaprzeczał, nazywając ją propagatorką teorii spisowych. Samo podanie dzieciom LSD określił zaś „oświecającym doświadczeniem, jak wizyta w galerii sztuki". Równie bezskuteczne okazało się spotkanie po latach z dr Buckmanem. Marion, już jako etyczka medycyny i prawniczka, odwiedziła mężczyznę w jego gabinecie, kiedy jeszcze pracował na uczelni wyższej. Kobieta przedstawiła się i zadała serię pytań o moralność jego dawnych praktyk. Ten, zszokowany, wyprosił swoją dawną pacjentkę i poinformował jej ojca i wujka o zajściu. Trzej mężczyźni zagrozili Marion, że jeśli zdarzenia z Londynu wyjdą na jaw, ta może pożegnać się z dalszą karierą uniwersytecką. Dopiero w wieku 91 lat jej ojciec przyznał, że popełnił błąd godząc się na poddanie własnych córek narkotycznym eksperymentom.

■ ***TYLKO TEORIA SPISKOWA?***

Zaprezentowane materiały mogą wydawać się nieprawdopodobne, faktem jest jednak, że projekty typu MKULTRA rzeczywiście miały miejsce. Potwierdziła to chociażby komisja rządowa, badająca przypadki łamania prawa przez agentów amerykańskiego wywiadu, nie wspominając już o niejednym dziennikarzu śledczym. Wszelkie rewelacje na ten temat oparto na autentycznej dokumentacji oraz na relacjach wiarygodnych świadków. Jest to zaledwie mały wycinek całej historii. Mnóstwo wątków nigdy już nie ujrzy światła dziennego ze względu na zniszczenie pokaźnej liczby akt. Część plików do dzisiaj ma status tajnych. Nie sposób sobie wyobrazić, jak wielu ludziom zmarnowano życie, poddając ich niemoralnym zabiegom i faszerując narkotykami bez ich zgody. Inwazyjne stosowanie środków odurzających przez rządowe instytucje mieniące się obrońcami porządku i pokoju jest wyjątkowo oburzające. Żaden z opisanych naukowców nie został skazany za swoje czyny mimo tego, że amerykańskie władze właściwie przyznały się do winy. Wręcz przeciwnie, taki np. Gottlieb doczekał późnej starości, zajmując się ogródkiem i oddając się filozofii zen. Ciężko powiedzieć, na ile aktualny jest problem wykorzystywania narkotyków przez wywiad lub wojsko. Nawet jeśli badania nad kontrolą umysłu zakończyły się fiaskiem, pozostały inne naukowe dokonania. Czy zrezygnowano by tak łatwo z doświadczenia zbieranego całymi latami w dziedzinie skutecznych metod na złamanie jeńców wojennych i skłonienie ich do mówienia? Patrząc na ujawnione nadużycia, jakich dopuszczali się Amerykanie w Afganistanie i Iraku, nie można być tego pewnym.


(fig6a) Un-identified white female between the age of 8 and 10 years old. Subject underwent 6 months of treatment using heavy doses of LSD, electroshock and sensory deprivation. Experiments under codename: MKULTRA about early 60s. Subjects memory was erased and her brain is that of a newborn baby.


Sidney Gottlieb


[redacted]

DRAFT-[redacted] A
9 June 1953

MEMORANDUM FOR THE RECORD

SUBJECT: Project MKULTRA, Subproject 8

1. Subproject 8 is being set up as a means to continue the present work in the general field of L.S.D. at [redacted] until 11 September 1954.

2. This project will include a continuation of a study of the biochemical, neurophysiological, sociological, and clinical psychiatric aspects of L.S.D., and also a study of L.S.D. antagonists and drugs related to L.S.D., such as L.A.E. A detailed proposal is attached. The principle investigators will continue to be [redacted] all of [redacted]

3. The estimated budget of the project at [redacted] is $39,500.00. The [redacted] will serve as a cut-out and cover for this project and will furnish the above funds to the [redacted] as a philanthropic grant for medical research. A service charge of $790.00 (2% of the estimated budget) is to be paid to the [redacted] for this service.

4. Thus the total charges for this project will not exceed $40,290.00 for a period ending September 11, 1954.

5. [redacted] (Director of the hospital) are cleared through TOP SECRET and are aware of the true purpose of the project.

for [redacted]
Chemical Division/TSS

APPROVED:

[redacted]

Chief, Chemical Division/TSS

[redacted] PROGRAM [redacted]

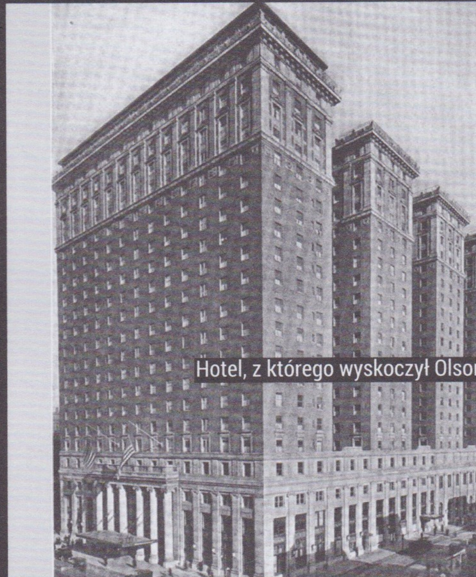


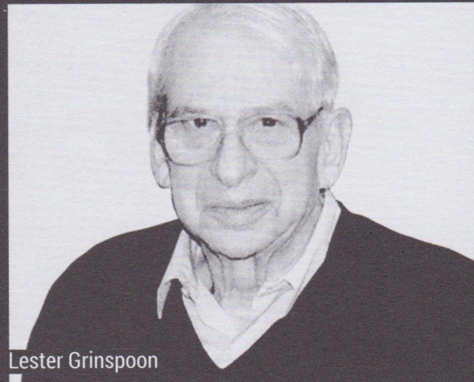

Sidney Gottlieb, 80, Dies; Took LSD to C.I.A.

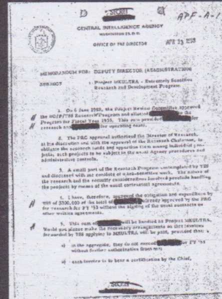

Elektrowstrząsy




Frank Olson


Hotel, z którego wyskoczył Olson


Lester Grinspoon


SECRET [redacted]

APF-A-1

CENTRAL INTELLIGENCE AGENCY
WASHINGTON 25, D.C.

OFFICE OF THE DIRECTOR APR 13 1953

MEMORANDUM FOR: DEPUTY DIRECTOR (ADMINISTRATION)

SUBJECT: Project MKULTRA - Extremely Sensitive Research and Development Program

1. On 6 June 1952, the Project Review Committee approved the DD/P/TSS Research Program and allotted [redacted] to the Program for Fiscal Year 1953. This sum provided [redacted] for research and [redacted] for operating costs.

2. The PRC approval authorized the Director of Research, at the discretion and with the approval of the Research Chairman, to obligate the research funds and apportion them among individual projects, such projects to be subject to the usual Agency procedures and administrative controls.

3. A small part of the Research Program contemplated by TSS and discussed with me consists of ultra-sensitive work. The nature of the research and the security considerations involved preclude handling the projects by means of the usual contractual agreements.

4. I have, therefore, approved the obligation and expenditure by TSS of $300,000 of the total of [redacted] already approved by the PRC for research for FY '53 without the signing of the usual contracts or other written agreements.

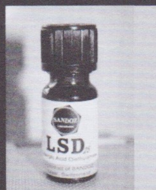
5. This sum of [redacted] will be handled as Project MKULTRA. Would you please make the necessary arrangements so that invoices forwarded by TSS applying to MKULTRA will be paid, provided that:

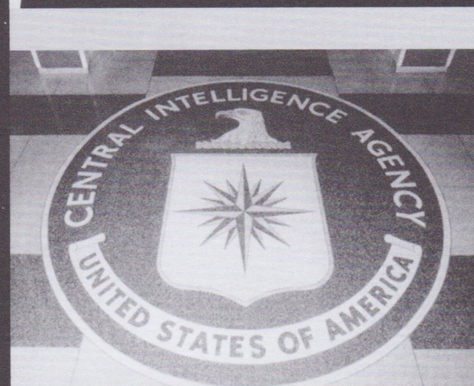
a) in the aggregate, they do not exceed [redacted] for FY '53 without further authorization from me;

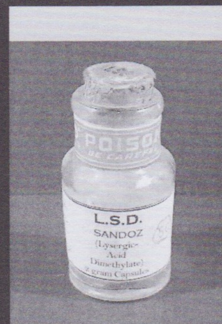
b) each invoice is to bear a certification by the Chief,

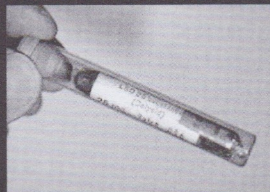
SECRET [redacted]


George Hunter White










Lauretta Bender


Midi Libre

Indochine inaugurera la salle Arena

LODÈVE - VALLÉE DE L'HÉRAULT

MERCREDI 10 mars 2010

Cinq morts au moins en 1951 à Pont-Saint-Esprit

Et si la CIA avait drogué le pain maudit ?

→ Les services s… auraient arro… gardoise de LSD

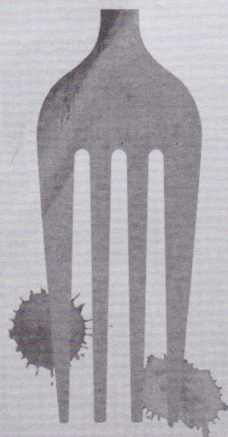
manipulation mentale

Przeklęty chleb



LOV
EAT





ARTYKUŁ /

SZOWINIZM GATUNKOWY

AUTOR: MACIN /

Relacja na linii człowiek-pozostałe zwierzęta jest niezwykle skomplikowana i nierozerwalnie łączy się z wyzyskiem i cierpieniem. Powszechnie panującą opinią jest wyższość gatunku ludzkiego nad innymi istotami. Co więcej, pomimo rozwoju nauki i kolejnych odkryć ludzie w dalszym ciągu wydają się zaprzeczać faktowi, iż oni sami również są zwierzętami. Gatunki niespokrewnione z człowiekiem są bez skrupułów traktowane jako surowiec, źródło pożywienia i rozrywki. Odmawia się im podmiotowości, a nawet zaprzecza zdolności do odczuwania bólu. Schemat myślenia zbudowany wokół tezy o wyższości człowieka nad przyrodą i jego wyjątkowości jest tak głęboko zakorzeniony w naszej cywilizacji, że częstokroć nawet obrońcy zwierząt nie uświadamiają go sobie w pełni. Kiedy zrodził się taki sposób postrzegania świata? Czy faktycznie tak było od zawsze i jest to dla nas czymś „naturalnym”?

■ GENEZA LUDZKIEJ WYŻSZOŚCI

Początków przedmiotowego traktowania zwierząt należy doszukiwać się w epoce neolitu (dziewiąte tysiąclecie p.n.e.), kiedy to doszło do tzw. „rewolucji neolitycznej”, której podstawą było m.in. porzucenie przez człowieka dotychczasowego trybu życia, opartego na łowiectwie i zbieractwie, na rzecz budowania osad oraz hodowli zwierząt i roślin. Pozwoliło to na uniezależnienie się do pewnego stopnia od czynników zewnętrznych, na które ludzie nie mieli do tamtej pory większego wpływu. Słowo „rewolucja” może być w tym kontekście nieco mylące, gdyż proces udomowienia dzikich zwierząt nie przebiegał szybko, rozciągał się natomiast, jak wskazują badania archeologiczne, na przestrzeni tysięcy lat. Ludy Bliskiego Wschodu szczególnie dominowały w nabieraniu nowych umiejętności, powoli oswajając najpierw owce i kozy, a następnie bydło (psy towarzyszyły człowiekowi już w paleolicie na terenach Azji Wschodniej i Afryki). Stały dostęp nie tylko do pożywienia, ale i surowców, z których wytwarzano odzież, ozdoby, narzędzia czy też elementy broni, pozwolił na stopniowe rozrastanie się społeczności, czego nieuniknioną konsekwencją było zakładanie osad przeradzających się z czasem w pierwsze miasta. W tym miejscu zderzają się ze sobą dwie odmienne koncepcje starające się wyjaśnić przyczyny powstania systemów hierarchicznych.

Pierwsza mówi, że źródłem wszelkich stosunków na Ziemi opartych na dominacji było zajęcie przez człowieka dzikich terenów i przekształcenie ich w pola uprawne oraz pastwiska dla zwierząt hodowlanych, a także sama hodowla tych zwierząt, co spowodowało powstanie własności prywatnej (pojmowanej oczywiście nieco odmiennie niż dziś). Posiadanie było w pewnym sensie nierównością. Próby zniewolenia natury i podporządkowania jej potrzebom ludzkim ukształtowały w człowieku postawę hierarchiczną, opartą na przemocy stosowanej w celu narzucenia innym swojej woli. Sprowadzenie zwierząt, jak i całej przyrody do roli materiału produkcyjnego wyuczyło w ludziach potrzebę dominacji, która musiała prędzej czy później objawić się także w stosunkach międzyludzkich poprzez górowanie silniejszych fizycznie nad słabszymi, mężczyzn nad kobietami, jak również wyłonienie się z czasem niewolnictwa. Stopniowe przejmowanie władzy przez mężczyzn, wśród których można było zauważyć większą tendencję do zachowań agresywnych, doprowadziło do wykształcenia się patriarchatu, a wraz z nim kultu siły, rywalizacji oraz wojen. Według tego założenia zniewolenie przyrody nierozerwalnie wiąże się ze zniewoleniem innych ludzi (szczególnie kobiet – w ujęciu ekofeministycznym). Druga zaś koncepcja (wg Bookchina) kładzie nacisk na odkrycia antropologiczne, z których wynika, że społeczności przedpiśmienne wykazywały zadziwiająco wysoki poziom egalitarności, praktykując współpracę i bardziej kolektywne podejście do wszelkich dóbr materialnych (Kropotkin określał to mianem „komunizmu pierwotnego"). Mężczyźni zajmowali się polowaniami, ochroną społeczności, później też hodowlą zwierząt i sprawami organizacyjnymi. Rolą kobiet było zaś zbieractwo, przygotowywanie posiłków i skór oraz wychowywanie dzieci. Tworząc odrębne „kultury", kobiety i mężczyźni uzupełniali się wzajemnie, bez wyraźnej dominacji jednych nad drugimi. Sytuacja powoli zmieniała się wraz ze zwiększającą się rangą starszyzny, z której sukcesywnie znikały kobiety, a „organizacyjny" (dziś powiedzielibyśmy „polityczny") aspekt działalności mężczyzn nabierał na znaczeniu. Wynikałoby z tego, że panowanie człowieka nad człowiekiem nie musi się wcale w jednoznaczny sposób wiązać z dominacją nad światem natury, a oba procesy zachodziły niezależnie od siebie. Przejście z poziomu ludzi pierwotnych na etap hierarchicznych społeczeństw jest więc przejawem ewolucji człowieka będącego częścią przyrody. Niezależnie od tego, którą koncepcję przyjmiemy za słuszną, historia skomplikowanych stosunków między ludźmi a pozostałymi zwierzętami bezsprzecznie opiera się na dominacji, nawet jeśli człowiek sprzed zamierzchłych epok tak tego nie postrzegał i zależało od tego jego przetrwanie. Nie oznacza to, że właściwym byłoby ocenianie jego poczynań za pomocą obecnych norm moralnych, których wypracowanie wymagało tysięcy lat.

Wraz z nadejściem epoki neolitycznej zapoczątkowano hodowlę zwierząt. Czy to był właśnie ten moment, kiedy ludzie zaczęli świadomie stawiać siebie ponad wszelkie inne istoty żyjące na Ziemi? Poprzedzający neolit okres koczowniczego trybu życia opartego na łowiectwie i zbieractwie trudno nazwać czasem górowania nad światem zwierząt. Australopitek, choć potrafił polować na małe zwierzęta, często sam padał ofiarą silniejszych drapieżców. Homo erectus i neandertalczyk, dzięki rozwijającej się inteligencji i coraz sprawniejszej współpracy, byli w stanie polepszyć swoje łowcze umiejętności. Jednak i oni mogli skończyć swój żywot jako pożywienie. Wątpliwym jest, by którykolwiek z gatunków poprzedzających homo sapiens postrzegał się „lepszym" i wyżej rozwiniętym od reszty świata natury. Wręcz przeciwnie. Wśród człowiekowatych kiełkowała wiara, że upolowane zwierzęta są święte i należy im oddać cześć za ich „poświęcenie". Widziano w nich także bogów bądź „nieśmiertelne dusze". Z czasem rozwinęły się proste rytuały poprzedzające polowania, kiedy to proszono bogów o wybaczenie przelewania krwi. Tak więc na tym etapie rozwoju ciężko doszukiwać się poczucia wyższości praludzi. Zamiast tego jest pewna forma współczucia dla własnych ofiar oraz niedostrzeganie szczególnych różnic między sobą a pozostałymi organizmami. Rewolucja neolityczna przyniosła przełomową zmianę, zmniejszając ryzyko śmierci przedstawicieli homo sapiens. Do tej pory człowiek był elementem natury, jej bezwzględnego systemu, w którym szanse na upolowanie zwierzyny były tak samo duże, jak i na bycie upolowanym. Wraz z opanowaniem uprawy roli i domestykacją owiec, bydła, kóz i świń ludzie nabrali umiejętności przekształcania otoczenia pod swoje specyficzne potrzeby. Lecz nadal nie wykształcił się wyraźny podział na ludzi i zwierzęta w świadomości naszych przodków. Trudno mówić o jakiejkolwiek identyfikacji w obrębie gatunku, skoro jedynym rozpowszechnionym wtedy rodzajem poczucia wspólnoty była przynależność do plemienia, co niejednokrotnie prowadziło do postrzegania członków odrębnej grupy jako „nieludzi". Dlatego też należałoby odrzucić twierdzenie, jakoby rozdzielenie światów człowieka i zwierząt oraz górowanie tego pierwszego nad tymi drugimi było czymś odwiecznym, naturalnym i niezmiennym.

Wraz z rozwojem rolnictwa i coraz większymi postępami w udomowianiu zwierząt ludzie weszli na drogę do faktycznego panowania nad naturą poprzez kontrolowanie cyklów biologicznych odrębnych gatunków. W wyniku tego działania znaleźli się na wyższym poziomie jako ci, od których zależą losy podporządkowanych im organizmów. Stosunek z przyrodą zaburzono, a równowagę zamieniono na hierarchię. Do trzeciego tysiąclecia p.n.e. utworzono podwaliny cywilizacji, której częścią składową było podkreślanie uprzywilejowanej pozycji człowieka w oparciu o wierzenia religijne i ówczesną „naukę". To tutaj swój początek miała też długa historia systematycznie powiększającego się muru stawianego pomiędzy człowiekiem a pozostałymi zwierzętami, co w efekcie sprawiło, że ludzie zapomnieli o swoim pochodzeniu, skupiając się na coraz to głębszych różnicach tych dwóch światów. Cały proceder podtrzymywany był przede wszystkim przez elity religijne oraz polityczne, w których interesie było nie tylko utrzymanie hierarchii między zwierzęciem i człowiekiem, ale i między samymi ludźmi. Źródeł zinstytucjonalizowanej religii antropolodzy doszukują się w pierwszych abstrakcyjnych myślach pierwotnego homo sapiens, który nadawał naturalnym zjawiskom duchowego znaczenia oraz uwierzył w magię jako niewidzialną siłę istniejącą w materialnym świecie. Owa magia sama w sobie nie była opresyjna, wręcz przeciwnie – zakładała duchowy egalitaryzm wszelkich istot jako równorzędnych elementów Ziemi, a więc nie oddalała ludzi od ich zwierzęcej natury. Mimo to była pierwszym krokiem do powstania bardziej usystematyzowanej religii z jej uprzywilejowaną kastą kapłańską (i jednocześnie polityczną) wyrosłą ze starszyzn, która dążyła do zwiększania przywilejów, centralizacji władzy oraz przypieczętowania swojego autorytetu wśród stojących niżej na społecznej drabinie. Konstrukt zakładający wyższość jednych nad drugimi upowszechniano tak, by został przyjęty jako coś normalnego i bezdyskusyjnego, powołując się najczęściej na wolę wielbionych bóstw. Analogicznie wychodząc z założeń powoli formującego się protoplasty patriarchalnego państwa, tłumaczono potrzebę dominacji nad przyrodą. Tak jak wpływowa mniejszość opanowała lud, czerpiąc korzyści z jego pracy, tak człowiek opanował te organizmy, które przynosiły mu konkretne dobra materialne – pożywienie, skóry, kości, nawóz. Znalazło się też dla nich zastosowanie w transporcie, rolnictwie, a także w zapewnianiu ludziom towarzystwa. Jak można łatwo zauważyć, zainteresowanie człowieka ograniczało się jedynie do tych gatunków, które mogły mu coś dać. W ten oto sposób żywe istoty stały się przedmiotem eksploatacji.

■ *SZOWINIZM POZALUDZKI*

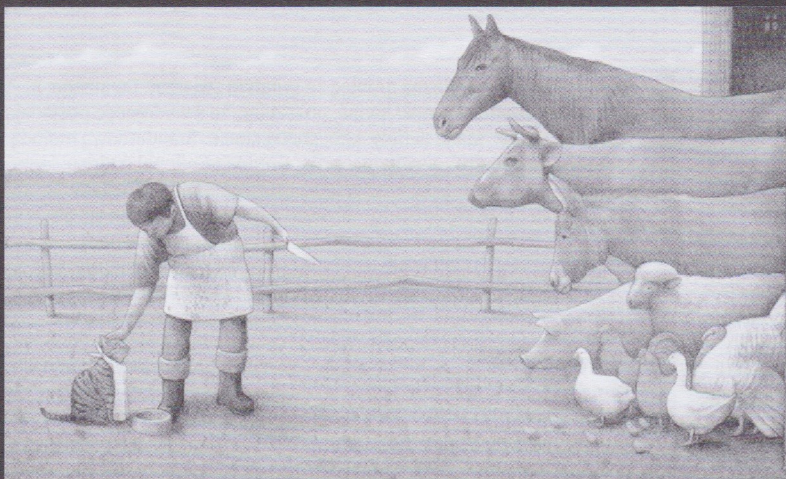
W tak odległych czasach nie mówiło się jeszcze o powszechnej równości oraz o konieczności poszanowania każdego człowieka. W wielu społeczeństwach istniała klasa niewolnicza, której członkom nie przysługiwały należne innym prawa. Co więcej, niejednokrotnie podważano ich przynależność do rodzaju ludzkiego. Jednocześnie kiełkował mit (pierwotnie przekazywany ustnie) o powstaniu człowieka, który miał się „narodzić" bezpośrednio z bogów. Tym samym przypieczętowano postrzeganie homo sapiens jako oderwanego od dzikości przyrody, stojącego wyżej w ziemskiej hierarchii, o czym miały zadecydować ponadnaturalne siły. W ciągu kolejnych wieków doskonalono proces systematycznej eksploatacji zwierząt tak, by uzyskiwać jak największe korzyści. Z kolei kapłani, filozofowie, badacze oraz władcy dostarczali coraz to nowszych argumentów broniących ową praktykę. Na przestrzeni lat znajdywali się tacy, którzy podważali nawet jeśli nie wyższość człowieka, to przynajmniej bezzasadność nadmiernego okrucieństwa wobec bezbronnych istot żywych. Jednak dopiero w XX wieku n.e., a dokładniej w 1970 roku, pojawił się termin definiujący tę szczególną postawę prezentowaną przez nasz gatunek w stosunku do pozostałych mieszkańców planety. Richard Ryder, brytyjski psycholog oraz członek uniwersyteckiej organizacji proanimalistycznej Oxford Group, uformował pojęcie gatunkowizmu/szowinizmu gatunkowego (ang. speciesism) na potrzeby ulotki wyrażającej sprzeciw wobec przeprowadzania eksperymentów na zwierzętach. Mianem szowinizmu gatunkowego określił formę dyskryminacji, jakiej dopuszcza się człowiek na innych gatunkach, stawiając interes homo sapiens zawsze na pierwszym miejscu, niezależnie od okoliczności, tłumacząc to wyższością rasy

ludzkiej. Świetnym przykładem tej dysproporcji jest uważanie ludzkich przyzwyczajeń, upodobań kulinarnych, drobnych przyjemności za ważniejsze od zdrowia i życia zwierząt. W praktyce oznacza to bezwzględny wyzysk i zadawanie cierpienia innym organizmom dla własnych korzyści, przy ignorowaniu ich potrzeb. Do działań opresyjnych stosowanych obecnie można zaliczyć chów przemysłowy na mięso, jajka, mleko, skóry, futro, wełnę, przeprowadzanie eksperymentów naukowych, testowanie produktów na zwierzętach, polowania, wędkarstwo, zoo, wykorzystywanie w cyrkach, kinematografii, handel żywymi zwierzętami, przemyt gatunków egzotycznych, okrutne tradycje (ubój rytualny, korrida) i wiele innych. Wykorzystywanie czujących istot jest tak bardzo zakorzenione w naszej cywilizacji, że częstokroć możemy sobie nawet nie zdawać sprawy ze skali tego niekończącego się zjawiska. Lecz to nie wszystko. Gatunkowizmem jest także nierówne traktowanie zwierząt poprzez nadawanie im określonych ról jedynie na podstawie przynależności gatunkowej i pomijaniu specyfiki poszczególnych jednostek. Efektem tego jest choćby podział zwierząt na tzw. „hodowlane" i „domowe". Tego typu klasyfikacja nie bierze pod uwagę żadnych cech indywidualnych, generalizując ogół osobników z danego gatunku (sugerując tym samym, że wszystkie są jednakowe oraz ignorując różnice chociażby w temperamencie), kierując się wyłącznie potrzebami z ludzkiego punktu widzenia. Dodatkowo podział zwierząt może się różnić w zależności od tradycji danych kręgów kulturowych. W świecie Zachodu spożywanie mięsa psów bądź kotów wywołałoby oburzenie i niesmak, zaś w pewnych azjatyckich regionach (Chiny, Korea Południowa) nie jest to niczym szczególnie szokującym. Dla odmiany na Bliskim Wschodzie i po części w Indiach psy uważane są za „nieczyste". Na Zachodzie spożywa się krowy, które w Indiach mają etykietkę „świętych". W końcu świnie – powszechnie zjadane przez większość ludzi oprócz muzułmanów i żydów. Różnice te są wystarczającym dowodem, iż segregacja gatunkowa jest tworem wyłącznie ludzkim (a nie odwiecznym, narzuconym z góry) i jak każdy niedoskonały twór ludzki może zostać podany w wątpliwość, a nawet powinien, jeśli niesie ze sobą niesprawiedliwość i krzywdę.

W swojej ulotce Ryder zwrócił także uwagę na powszechne wyłączenie wszelkich zwierząt poza człowiekiem z systemu ochrony podstawowych praw, w wyniku czego możliwe jest np. przeprowadzanie na nich bolesnych eksperymentów o wysokim stopniu inwazyjności, co – gdyby sytuacja dotyczyła ludzi – byłoby nie do przyjęcia. W wydanej rok później książce „Eksperymenty na zwierzętach" psycholog wskazywał na niekonsekwencję oraz nielogiczność naukowców, którzy są świadomi animalistycznego pochodzenia homo sapiens. Prowadzi się badania na innych gatunkach ze względu na ich biologiczne podobieństwa do człowieka, jednocześnie odmawiając wspomnianych wcześniej praw tymże obiektom laboratoryjnych praktyk. Skoro cała zdobyta do tej pory wiedza wskazuje na wyewoluowanie ludzi ze świata zwierząt, co decyduje o naszej wyższości? Najczęściej przytaczanym argumentem jest ludzka inteligencja. Człowiek tym się różni od zwierząt, że zamiast adaptować się do zastanych warunków, przekształca je na swoją korzyść. Co więcej, nie polega wyłącznie na istniejących już dobrach materialnych, lecz w wyniku własnej pracy potrafi tworzyć nowe, w zależności od aktualnych potrzeb. Można więc powiedzieć, że kreuje własną rzeczywistość materialną. W połączeniu z wykształconą umiejętnością myślenia abstrakcyjnego na poziomie niedostępnym dla żadnej innej istoty na Ziemi spektakularnie wyprzedził pozostałe gatunki w procesie ewolucyjnym. Uzasadnienie to spotkało się z krytyką w książce australijskiego filozofa i etyka Petera Singera pt. „Wyzwolenie zwierząt" z 1975 roku. Swoją publikacją Singer spopularyzował przy okazji samo pojęcie szowinizmu gatunkowego. Autor starał się udowodnić, że przyjmowanie kryterium inteligencji jest błędne, gdyż istnieją przedstawiciele homo sapiens, którzy nie różnią się znacząco pod względem intelektu od pewnych gatunków zwierząt, a nawet mogą wypaść w takim porównaniu gorzej. Miał tu na myśli przede wszystkim niemowlęta oraz osoby niepełnosprawne intelektualnie w stopniu głębokim. Nawet jeśli odrzucimy w tym przypadku dzieci ze względu na ich potencjał stania się rozumnym dorosłym, nadal pozostaje kwestia niepełnosprawnych. Wszyscy możemy się zgodzić z tym, iż zadawanie takim ludziom cierpienia jest niedopuszczalne moralnie. Przeprowadzanie na nich eksperymentów byłoby wyjątkowym okrucieństwem. Dlaczego więc godzimy się na bolesne praktyki wobec zwierząt, wiedząc, że mogłyby przewyższyć zdolnościami rozumu wspomnianą grupę? Podobnie ma się sprawa z argumentem o samoświadomości. Zdolność postrzegania samego siebie jako odrębnej jednostki przypisywano wyłącznie ludziom, tym samym stawiając wyraźną granicę ze światem zwierząt. Co innego wykazały natomiast wyniki badań, pokazując, że świadomość posiadają niektóre gatunki małp, delfiny, orki, sroki i słonie. Standardową metodą jest tzw. „test lustra" (stworzony przez Gordona Gallupa), który polega na umieszczeniu na głowie zwierzęcia czerwonej kropki (badany osobnik nie może się zorientować, więc najczęściej poddaje się go narkozie), by następnie skonfrontować go z własnym odbiciem lustrzanym. Jeśli odbicie nie jest traktowane jako osobna istota, a kropka za pomocą własnego odbicia zostanie przez zwierzę dostrzeżona i usunięta, można mówić o prawdopodobieństwie posiadania samoświadomości. Wyniki badań opublikowane w 2016 roku przez Roberta Cazzolla Gattego, pracującego dla Uniwersytetu w Tomsku (Rosja), włączają psy do grona świadomych istot, sugerując, że test lustra jest niedoskonałym narzędziem ze względu na trudności percepcyjne części gatunków. W przypadku psów lepiej sprawdziły się doświadczenia zapachowe, podczas których czworonogi miały za zadanie rozpoznać swój zapach spośród kilku próbek. Dodatkowo obserwacje potwierdziły, że starsze osobniki posiadają większą samoświadomość (podobnie jak u ludzi). Nowe podejście włoskiego naukowca okazało się dość rewolucyjne, gdyż zerwało z antropocentrycznym postrzeganiem świadomości, skłaniając się bardziej ku specyfice funkcjonowania danego gatunku. W tym miejscu powraca pytanie, które pojawiło się podczas rozpatrywania kwestii inteligencji – jak możemy gorzej traktować zwierzęta, skoro samoświadomość nie jest tylko ludzką domeną, a nawet są ludzie, którzy tej świadomości nie posiadają (głęboka niepełnosprawność intelektualna, stan śpiączki)?

Ciężko w to uwierzyć, ale dalej istnieją tacy, którzy uparcie przeczą temu, że eksploatowane istoty odczuwają fizyczny ból. Taki pogląd nie znajdzie żadnego potwierdzenia w dostępnym obecnie stanie wiedzy. Nie trzeba tego problemu zbytnio roztrząsać, wystarczy sama obserwacja reakcji danego organizmu na bolesne bodźce – próby ucieczki, uniki, obrona, pisk, skomlenie. Jeżeli to nie jest wystarczającym dowodem, zdecydowanie jest nim podobieństwo układów nerwowych, przynajmniej wśród wyższych kręgowców. Co prawda budowa kory mózgowej może się różnić nawet w dużym stopniu (choć to nie ona odbiera bezpośrednio bodźce), lecz schemat układu nerwowego jest w zasadzie taki sam. Wspomniane reakcje na zaistniały ból można zauważyć także u ludzi. Stan emocjonalny człowieka towarzyszący odbieraniu bolesnych impulsów opiera się głównie na strachu i gniewie. Analogicznie u zwierząt można dostrzec podobne stany. Teza, jakoby istoty stojące niżej w hierarchii ewolucyjnej miały odczuwać mniej od nas, jest o tyle nielogiczna, iż niektóre z wykorzystywanych przez nie zmysłów są bardziej wyostrzone od ludzkich, np. umiejętność dostrzegania niebezpieczeństwa czyhającego w otoczeniu nie jest naszą domeną w przeciwieństwie do dzikich organizmów. Dlaczego więc akurat odczuwalność bólu miałaby być niższa, skoro jest to czynnik szalenie ważny w codziennej walce o przetrwanie? Bez niego zwierzę nie zwracałoby uwagi na tak oczywiste zagrożenia jak chociażby ogień bądź na własne rany, co w efekcie prowadziłoby do szybkiej śmierci. Wydaje się więc, że mit o zwierzętach jako nieodczuwających bólu maszynach jest wyłącznie użyteczną wymówką dla tych, którzy czerpią korzyści z ich wykorzystywania.

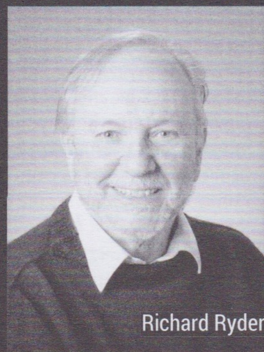
Zbijając argumenty broniące uprzywilejowanej pozycji człowieka, Singer doszedł do wniosku, że jedynym prawdziwym powodem gorszego traktowania zwierząt jest ich przynależność gatunkowa. Ignorowanie potrzeb danych organizmów oraz ich brutalną eksploatację, bazujące jedynie tym, że nie należą one do homo sapiens, porównał do seksizmu i rasizmu. Schemat wykluczenia jest taki sam. Przejawy dyskryminacji można zauważyć już na poziomie języka potocznego, chociaż w tym wyjątkowym przypadku celem ataków słownych nie są bezpośrednio ofiary gatunkowizmu. Całe zjawisko natomiast dobitnie ukazuje nasz realny stosunek do pozostałych istot żywych. Zwierzę nie umiera, ono „zdycha", nie ma głowy, a „łeb" (w odniesieniu do człowieka owe słowa nabierają pejoratywnego wydźwięku). Co ciekawe, nazwy przyporządkowane zjadanym przez człowieka częściom ciała mają przeważnie formy zdrobniałe (udko, nóżka, boczek, flaczki). Człowieka porównuje się do zwierzęcia na ogół po to, by go obrazić, upokorzyć lub podkreślić jego mniejszą wartość (bydło, osioł, świnia, krowa, małpa, kura itp.), chociaż – by być sprawiedliwym – popularne są także określenia wyrażające czułość i przywiązanie (np. piesek, kotek, rybka, żabka itp.) lub podkreślające czyjeś pozytywne cechy (np. mądry jak sowa). Nie zmienia to jednak faktu, że samo powiedzenie „być jak zwierzę" od razu kojarzy się z obelgą, a „traktować jak zwierzę" nie zapowiada niczego dobrego.



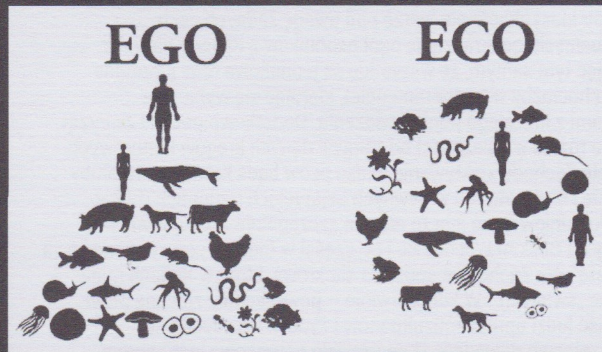


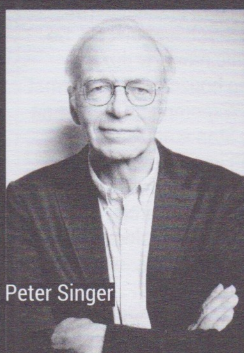
Melanie Joy





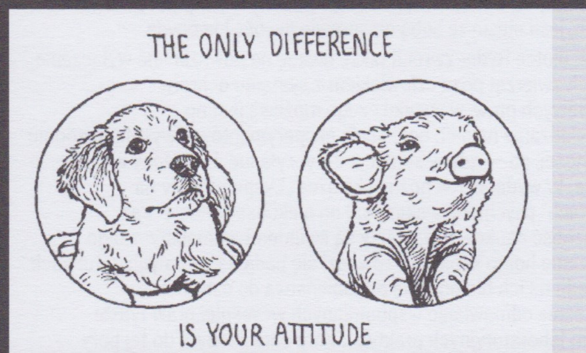
Richard Ryder





Peter Singer





Słowa, które można z powodzeniem dopasować do innych stworzeń (nieludzki, zwierzęcy, bestialski), mają znaczenie negatywne w odniesieniu do ludzi. Pomimo tego, że pies ma w zachodniej kulturze uprzywilejowaną pozycję jako „najlepszy przyjaciel człowieka", w dalszym ciągu mówi się „zabić kogoś jak psa". Wiele wyrażeń powiela krzywdzące stereotypy, jak np. „ptasi móżdżek", sugerując głupotę (udowodniono, że np. gołębie umieją liczyć i mają dobrą pamięć, wrony potrafią zastosować prawo Archimedesa do zdobycia pokarmu, a kruki rozwinęły skomplikowany system komunikacji), bądź „brudny jak świnia" (świnie są jednymi z najczystszych zwierząt, ich inteligencja jest wyższa od psów). To, jak mówimy o zwierzętach, ostatecznie warunkuje ich traktowanie. Przekłada się to także na relacje z innymi ludźmi. Jeśli powieli się odpowiednio mocno propagandę określającą daną grupę społeczną jako „podludzi", „zwierzęta", „bestie", podważając ich przynależność do gatunku ludzkiego, łatwiej jest zgodzić się ogółowi społeczeństwa na prześladowanie takiej grupy (np. nazywanie Żydów tuż przed II wojną światową „wszami", określanie czarnoskórych „małpami", niezaradnych życiowo – „pasożytami", innych nielubianych zbiorowości „bydłem").

Powszechnym przejawem dyskryminacji gatunkowej jest traktowanie zwierząt jak własność. Skrajnym tego następstwem jest rozumowanie oparte na zasadzie „to jest moja własność, więc mogę z nią zrobić, co chcę", którym tłumaczy się nawet najokrutniejsze czyny. Kiedy tylko dochodziło w historii do wyzwolenia zwierząt „hodowlanych" przez radykalnych aktywistów proanimalistycznych, za każdym razem właściciele ferm, a nierzadko i opinia publiczna, potępiali akt, argumentując to naruszeniem prawa własności prywatnej, a w konsekwencji nazywając całą akcję kradzieżą. Wiąże się to też ze wspomnianym wcześniej postrzeganiem zwierząt, szczególnie tych „użytkowych", jako jednej masy, przy jednoczesnym ignorowaniu poszczególnych jednostek. Przy założeniu, że wszystkie osobniki są jednakowe, pozbawione świadomości, wyższej inteligencji oraz że egzystują mechanicznie, kierowane ślepymi instynktami, łatwiej przychodzi ludziom traktowanie ich jak przedmioty. Wystarczy jednak wskazać unikatowy charakter i indywidualizm danej istoty, a także nadać jej imię (co jest równoznaczne w naszej cywilizacji z uznaniem czyjejś podmiotowości), a stosunek do takiego zwierzęcia zmienia się diametralnie, nabierając emocjonalnego podłoża. Wystarczy sobie przypomnieć wszelkie filmy familijne, których bohaterami były zwierzęta nieuważane za „domowe" (np. „Babe, świnka z klasą"), by dostrzec ten mechanizm. Traktując główną postać jako pewien wyjątek odbiegający od gatunkowej normy, widzowie są w stanie przywiązać się do fikcyjnego zwierzęcia z filmu, jednocześnie nie zmieniając swojego stosunku do całego gatunku.

■ *KRYTYKA ETYKI SINGERA*

Nie wszyscy godzą się na zestawianie gatunkowizmu na równi z rasizmem, seksizmem czy innymi formami dyskryminacji. Przeciwnicy takiego spojrzenia podkreślają zasadniczą różnicę – szowinizm gatunkowy nie oznacza, że nienawidzimy zwierząt tak jak rasista

nienawidzi osób o odmiennym kolorze skóry. I jest to prawda. Każdy z nas z pewnością zna kogoś, kto twierdzi, że kocha zwierzęta, jednocześnie je jedząc, a do tych zjadanych nie odczuwa żadnych negatywnych emocji. Wręcz przeciwnie, może mówić o pewnym współczuciu skierowanym w ich stronę. Może nawet chcieć polepszenia warunków ich życia na fermach przemysłowych. Z tego też powodu krytykowane jest porównywanie rzeźni z Holokaustem (pomijam w tym miejscu oburzenie wynikające z antropocentrycznego postrzegania świata, które nie pozwala na doszukiwanie się wspólnych cech ludzkiego i zwierzęcego cierpienia) – naziści nienawidzili swoich ofiar i chcieli ich eksterminacji, ludzie zaś „jedynie" eksploatują zwierzęta, by czerpać z nich dobra materialne, bez większych uczuć. Choć takie rozumowanie wydaje się logiczne, nie do końca znajduje swoje odbicie w rzeczywistości. Nienawidzić znaczy odczuwać do kogoś lub czegoś silną odrazę, niechęć. Przykładowo przecież nie wszyscy seksiści pałają odrazą do kobiet. Wielu z nich funkcjonuje w rodzinach, ma partnerki życiowe, córki, czuje z nimi więź. Chodzi bardziej o przedmiotowe traktowanie, ograniczanie czyjejś wolności, możliwości wyboru, wykorzystywanie, które – chociaż może to być trudne do przyjęcia – nie zawsze łączy się z nienawiścią. Patrząc z tej perspektywy, gatunkowizm to jak najbardziej dyskryminacja równa tej opartej na pochodzeniu, płci, orientacji czy tożsamości płciowej.

Marco Maurizi, włoski filozof i aktywista prozwierzęcy, wdał się w ciekawą polemikę z singerowskim tokiem rozumowania. W swoim artykule „O genezie gatunkowizmu" starał się udowodnić, że terminu tego można używać jedynie w odniesieniu do tych bardziej współczesnych społeczeństw. Zdaniem badacza nie powinno się mówić o świadomej dyskryminacji zwierząt w odleglejszych czasach, ponieważ wśród samego człowieka nierówne traktowanie było wtedy na porządku dziennym, np. w postaci niewolnictwa czy też składania krwawych ofiar z ludzi. Gatunkowizm jako „powszechna, ogólna ideologia" musi mieć pełny i jasny podział na ludzi i zwierzęta, aby zaistnieć. Tak więc identyfikacja każdego człowieka jako homo sapiens oraz postawienie wyraźnej granicy między nim a pozostałymi istotami żywymi jest warunkiem koniecznym. Maurizi zadał pytanie – jak człowiek mógł uważać zwierzęta za gorsze, a siebie za wartościowszego, skoro tak samo prześladował członków swojej własnej grupy (homo sapiens), jak i zwierzęta? O ile można się z tym zgodzić w przypadku pierwotnych społeczności, które po prostu intuicyjnie szukały skuteczniejszych sposobów na przetrwanie i były częścią natury (a więc szowinizm nie miał miejsca), o tyle nie jest to już takie oczywiste w wiekach późniejszych, kiedy zrodził się koncept człowieka jako „dziecka bogów" oddzielający go od świata przyrody, a hodowla zwierząt stawała się świadomym procesem. Po dokładniejszej analizie problemu okazałoby się, że i dziś nie można by było mówić o uprzedzeniu wobec istot pozaludzkich, gdyż wyzysk i uprzedmiotowienie jednych ludzi przez drugich (a więc istniejący wewnątrz własnego gatunku) dalej ma miejsce. Czy to mówimy o osobach traktujących pewne grupy etniczne/społeczne za „podludzi", czy też o globalnym systemie kapitalistycznym eksploatującym pracowników, a kończąc na ukrytym, lecz w dalszym ciągu zatrważająco prawdziwym niewolnictwie. Nie brak przypadków, kiedy ktoś dyskryminuje osobę z własnej zbiorowości, z którą się utożsamia. Rasiści atakują ludzi o własnym kolorze skóry, jeśli uznają ich za „zdrajców rasy", seksiści poniżają mężczyzn, którzy nie wpasowują się w stereotyp „prawdziwego faceta", nacjonaliści grożą przedstawicielom własnego narodu, jeżeli ci są wrogami politycznymi. A przede wszystkim szef wykorzystuje pracownika (a więc człowiek człowieka) niezależnie od jakichkolwiek cech wrodzonych lub przynależności społecznej. Uprzedzenia same w sobie są irracjonalne i nielogiczne, opierają się często na zafałszowanych informacjach, a ludzie kierujący się nimi nie zawsze są konsekwentni. Teza Mauriziego ma wiele punktów, z którymi można się zgodzić. Nie oddaje jednak w pełni skomplikowanej natury otaczającej nas rzeczywistości, upraszczając zjawiska w niej zachodzące.

■ *CZYM JEST KARNIZM?*

Z pojęciem szowinizmu gatunkowego wiąże się inny termin, który stara się doprecyzować analizę naszych relacji z pozostałymi stworzeniami. Słowo „karnizm" (łac. carn – mięso lub ciało) po raz pierwszy padło w 2003 roku w pracy doktorskiej amerykańskiej psycholożki społecznej Melanie Joy. Początkowo badaczka chciała zająć się problematyką przemocy i dyskryminacji od strony psychosocjologicznej, szybko jednak przekierowała swoje zainteresowanie na psychologiczne aspekty spożywania mięsa przez ludzi. Wtedy to zadała sobie dwa podstawowe pytania – dlaczego ludzie jedzą mięso i czemu jedne gatunki zwierząt są zjadane, a inne nie? Po przeprowadzeniu badań doszła do wniosku, że za zawiłym stosunkiem człowieka do zwierząt kryją się silnie zaprogramowane w nim przekonania. Do tej pory uważano, że tylko w przypadku wegetarianizmu i weganizmu można mówić o łączeniu sposobu odżywiania z postawą o zabarwieniu ideologicznym. Nic w tym dziwnego; niejedzenie mięsa jest tak dużym odstępstwem od powszechnie panującej normy, że od razu rzuca się w oczy. Został nazwany i zdefiniowany wieki temu. Dla większości ludzi sprawa jest oczywista – jeżeli rezygnujesz z produktów odzwierzęcych, musisz mieć ku temu powód podyktowany specyficznym światopoglądem. Podążasz za nakazami ideologii. Natomiast jedzenie mięsa traktuje się jako stan neutralny, zdroworozsądkowy, naturalny, a przede wszystkim „normalny". Przyjmuje się, że „tak jest i tak już powinno być" lub że „taki jest świat". Różnicę widać chociażby w nazewnictwie. Osoby na diecie roślinnej to wegetarianie/weganie, a nie po prostu „jedzący rośliny". Wyraźnie podkreślone jest odniesienie do konkretnego poglądu. O tych, który spożywają zwierzęta, mówimy „jedzący mięso" czy nawet „jedzący normalnie", gdyż jest to coś oczywistego dla ludzkiego gatunku i nie ma w tym żadnego zabarwienia ideologicznego. Czy aby na pewno? Melanie Joy ma inne zdanie na ten temat.

Karnizm jest to system przekonań, według których człowiek może, a nawet powinien jeść mięso pewnych gatunków zwierząt. W przeciwieństwie do wegetarianizmu/weganizmu jest to system ukryty, ponieważ przeważająca liczba ludzi na świecie nie zdaje sobie nawet sprawy z jego istnienia, choć postępuje zgodnie z jego wytycznymi. Co więcej, jako ideologia opierająca się na wyzysku, posługuje się zestawem rozpowszechnionych kłamstw oraz mitów mających na celu przekonanie każdego o swojej „normalności" i konieczności. Jako najbardziej rozprzestrzeniona postawa na Ziemi kształtuje nasze spojrzenie na zwierzęta, a także na to, które stworzenia powinniśmy jeść, a których nie. Większość społeczeństwa nie zastanawia się, dlaczego zjada mięso świń, zaś np. koty i psy traktuje jako swoich towarzyszy. Wbrew ogólnej opinii nie jest to pewna oczywistość, a wybór dokonany na podstawie głęboko zakorzenionych przekonań. W przyrodzie nie istnieje podział na gatunki „jadalne" i „niejadalne", „domowe" i „przemysłowe", pożyteczne i szkodniki. Kategorie te stworzył człowiek w oparciu o swoje pragnienia i aktualne zapotrzebowania. Praktykując taką klasyfikację, ludzie nieświadomie kierują się wyuczonymi schematami myślenia, traktując je jako niepodważalne fakty. A przecież już same różnice w traktowaniu konkretnych gatunków w zależności od kultury i tradycji powinny dać powód do zastanowienia.

Cechą charakterystyczną karnizmu jest paradoks, który się z nim wiąże. Nasza cywilizacja promuje wrażliwość na krzywdę innych, dobroć, pomoc w potrzebie, a piętnuje wykorzystywanie oraz stosowanie przemocy. Dlatego też prawda o brutalności eksploatacji zwierząt nie wypływa zbyt często na światło dzienne – aby zapewnić sobie bierne poparcie mas. Ukryte pozostają również ofiary tego systemu, tj. miliardy stworzeń zabijanych każdego roku oraz postępująca degradacja środowiska. Cały proces „produkcji" artykułów odzwierzęcych odbywa się na uboczu, tak by ostateczny efekt, czyli gotowe towary na sklepowych półkach, nie kojarzył się zbytnio ze źródłem swojego pochodzenia. Pełne utajenie wykorzystywania gatunków pozaludzkich nie jest możliwe, potrzebne są więc argumenty usprawiedliwiające cały proceder. Niezmiernie pomocny w tym jest wachlarz informacji przekłamujący rzeczywistość. Któż z nas nie słyszał o „humanitarnym" uboju, konieczności dojenia krów, zapotrzebowaniu ludzkiego organizmu na mięso i nabiał czy „śmiertelnie groźnych" niedoborach po przejściu na dietę roślinną? Z każdej strony jesteśmy atakowani kolorowymi reklamami, w których szczęśliwe zwierzątka pasą się na rozległych łąkach tylko po to, by z własnej woli poświęcić się człowiekowi i zaspokoić jego wszelkie potrzeby. Bajki dla dzieci często przedstawiają stworzenia żyjące na farmie jako w pełni zadowolone oraz mające wystarczająco dużo czasu wolnego, aby przeżywać kolejne przygody. Kontrast tego typu przekazu z rzeczywistością jest zatrważający. Dodatkowo karnizm posiłkuje się wyuczonym blokowaniem własnych odczuć związanych ze spożywaniem ciał żywych istot. Od małego zaszczepia się w nas przedmiotowe traktowanie zwierząt „hodowlanych" (mówimy o nich jak o rzeczach – kura to „coś", a nie „ktoś") w przeciwieństwie do zwierząt „domowych", którymi opiekujemy się i dbamy o nie. Poprzez wyparcie zapominamy o pochodzeniu wędlin, które trzymamy w lodówce. Niby każdy wie, jak powstaje mięso, lecz trudno je łączyć z konkretnym, czującym istnieniem, jeśli trafia do nas w postaci apetycznie

wyglądających produktów w kolorowych opakowaniach. Cierpienie i śmierć mają miejsce gdzieś tam, w odległej, niedostępnej dla nas rzeźni i nic z tym nie możemy zrobić. „Tak już musi być". Poza tym przeciętny człowiek nie zastanawia się nad losem zjadanych zwierząt, skoro od najmłodszych lat powtarzano mu, że to „przedmioty" potrzebne nam do przeżycia. Nie bez powodu rodzice okłamują własne, kilkuletnie dzieci na temat mięsa bądź wcale nie poruszają tej kwestii. Gdyby bowiem dowiedziały się one, że zjadają świnię, o której jeszcze przed chwilą oglądały bajkę, odmówiłyby dokończenia posiłku. Byłaby to jak najbardziej naturalna reakcja, ponieważ małe dziecko nie ma jeszcze tak silnie wpojonego karnizmu, jak dorośli. Określanie zwierząt mianem „jedzenia" pozwala na moralne i emocjonalne zdystansowanie się. Tym sposobem ludzie wpadają w wewnętrzną sprzeczność – nie popierają krzywdzenia zwierząt, jednocześnie jedząc je.

Pojęcie karnizmu pozwala na lepsze zdefiniowanie osób spożywających artykuły odzwierzęce. W odniesieniu do nich pospolicie stosowane słowa „mięsożerca" lub „wszystkożerca" sugerują (szczególnie w przypadku „mięsożercy"), że jedzenie mięsa jest dla człowieka czymś naturalnym, a nawet koniecznym. Zdaniem Joy takie nazewnictwo pomija fakt, że konsumpcja zwierząt jest dla większości ludzi wyborem, a nie czymś niezbędnym. Swoje spostrzeżenia autorka rozwinęła i spopularyzowała, wydając w 2009 roku książkę pt. „Why We Love Dogs, Eat Pigs, and Wear Cows", która stała się ważnym punktem dla niejednego działacza/-ki proanimalistycznego/-ej. Idea karnizmu spotkała się z pozytywnym przyjęciem także przez niektóre media, m.in. indyjską gazetę The Statesman, amerykański portal informacyjny The Huffington Post oraz australijski program telewizyjny The Drum. Na łamach literackiego portalu Open Letters Monthly Megan Kearns zgodziła się z prezentowanymi przez Joy argumentami, aczkolwiek miała wątpliwości co do obwiniania za krzywdę zwierząt całego systemu zamiast ludzi, którzy codziennie dokonują karnistycznych wyborów w sklepie. Zdaniem recenzentki powinniśmy bardziej skupiać się na podnoszeniu świadomości społeczeństwa oraz nakłanianiu ludzi do „ćwiczenia wolnej woli" niż walki z „niewidzialnym systemem". Zauważyła też pewną nieścisłość – nie każdy, kto zostaje wegetarianinem/weganinem, od razu zrywa z karnistycznym postrzeganiem świata. Tyczy się to głównie osób, które zmieniły dietę ze względów zdrowotnych, nie etycznych. Z kolei Helena Pedersen z Uniwersytetu w Malmö nie zgodziła się na przyjętą przez Joy generalizację, twierdząc, że ludzie spożywający mięso są bardzo różnorodną grupą, choćby pod względem powodów wyboru swojej diety. Część aktywistów na rzecz wyzwolenia zwierząt z Garym Francione'em na czele skrytykowała publikację Joy, twierdząc, że wprowadzenie pojęcia karnizmu nie jest jednoznaczne z nawoływaniem do całkowitej wolności wszystkich istot i propagowaniem weganizmu. Jednak to branża mięsna w postaci publikacji Drovers Cattle Network najostrzej zaatakowała badaczkę, stwierdzając, że zaproponowany przez nią termin sugeruje, iż spożywanie produktów odzwierzęcych przez ludzi jest „chorobą psychiczną".

Wprowadzenie pojęć szowinizmu gatunkowego i karnizmu do dyskusji o podejściu człowieka do pozostałych stworzeń jest ogromnym krokiem naprzód. W świecie zdominowanym przez przedmiotowe traktowanie zwierząt zerwanie z antropocentrycznym pojmowaniem rzeczywistości i uwzględnienie potrzeb odmiennych gatunków jest czynem wręcz rewolucyjnym. Nie jest to droga łatwa, lecz zdecydowanie warta do przebycia. Omówione terminy z pewnością pomagają w przyjęciu nowej perspektywy oraz dają wiele do myślenia. Nawet jeśli można im wytknąć pewne błędy logiczne, nie sposób nie docenić wysiłku intelektualnego ich twórców, którzy swoją działalnością przybliżyli nas o krok do pełnego wyzwolenia wszystkich gatunków. Cel to jeszcze daleki. To, co możemy robić już teraz, to zmieniać przede wszystkim własną mentalność i stosunek do pozostałych żyjących istot. Zdecydowanie najtrudniej zakwestionować utarty schemat myślenia złożony ze stereotypów, który prezentowany jest jako zdroworozsądkowy. Trzymanie się „umiaru" i bezpiecznego środka jest wygodne, niestety jednak jego konsekwencją jest podtrzymywanie krzywdzącego systemu oraz postrzeganie interesu zwierząt jako mniej ważnego.

ARTYKUŁ /

KARNIZMA FEMINIZM

AUTOR: XAVIER BAYLE /
ZDJĘCIE: REUTERS / GRAFIKA: AUTOR /

■Niezależnie od dyskursu feministycznego, który mnie nie dotyczy, gdyż posiadam ciało, odczytywane przez społeczeństwo jako męskie, w tekście tym podejmę kwestię wyzysku zwierząt pozaludzkich i równocześnie spróbuję spojrzeć na nią z perspektywy feministycznej. Tekst traktuje o zjawiskach w wielu przypadkach boleśnie identycznych, a także o tendencjach i ich naturze, które zasadzają się na instrumentalizacji zmierzającej do podporządkowania oraz wypracowania zysku. Nie zamierzam wstawiać innych istot na miejsce kobiet ani głosić teorii feministycznych, a jedynie uwzględnić i unaocznić paralelizmy związane z *modus operandi* pomiędzy wyzyskiem zwierząt pozaludzkich i uprzedmiotowieniem kobiety przez patriarchokapitalizm.

Kultura strachu, gwałtu, wojny, inwazji, zysku za wszelką cenę, zysku za życie – to tylko niektóre cechy neoliberalnego wolnego rynku, bękarta kapitalizmu, który z kolei został wydalony przez dominującego i zakompleksionego ojca. Tysiące lat patriarchalnego podporządkowania w sferze politycznej, ekonomicznej, socjokulturowej i religijnej usytuowały ludzką samicę na pozycji kury nioski, produkującej inne ludzkie istoty, automatu wydającego życie w celu przedłużenia gatunku. Figura matki, gloryfikowana przez wielkie światowe religie, nie jest sławiona jako wartość sama w sobie, lecz jako święte naczynie tego najważniejszego – narodzonego proroka, zawsze samca. W historii dyktatur i wojen kobiety spełniały jedną podstawową rolę, a rola ta sprowadzała się do produkcji świeżego mięsa armatniego, nowych pracowników, nowych żołnierzy i nowych adeptów myślenia dominującego w określonych regionach świata. Ów model interpretacyjny wydaje się być tak wszechobecny, jak ciasny, ze względu na ograniczenie perspektywy ludzkiej kobiety, której dzieciństwo jest indoktrynacją zmierzającą do wpojenia dbałości o płodność i obowiązku bycia opiekuńczą oraz pasywnego uczestnictwa w rozwijających się wydarzeniach społecznych. Jej starość jest pamięcią o matce, jaką była. Patriarchokapitalizm nie uznaje wartości samicy ze względu na jej cechy indywidualne, a jeśli już, to redukuje ją zaledwie do rangi konsumentki; równocześnie jest ona kluczową częścią przyczyniającą się do trwania wartości.

Wyzysk zwierząt zasadza się na matkach. Miliardy zwierząt rodzi się i umiera w ośrodkach reprodukcji i eksterminacji, a samice uznaje się za część systemu reprodukcyjnego, za matrycę, macicę, za następny tryb w całym łańcuchu kultury karnizmu. Los samca-reproduktora nie różni się aż tak bardzo, ale jego funkcja polega na produkcji spermy, która służy do zapłodnienia (czytaj: gwałcenia) samic, podczas gdy brzemienność i poród to rola samicy.

Żaden zdrowo myślący człowiek nie powie, że zwierzęta pozaludzkie nie czują, nie myślą, nie pragną żyć i nie potrzebują wolności, żeby to wszystko robić. Dyskryminacja zwierząt ze względu na gatunek to zachowanie faszystowskie i w rezultacie patriarchokapitalistyczne. Nawet nauka, która już od dziesiątek lat przyznaje, że istnieje osobowość i uczuciowość zwierzęca oraz że ich życie charakteryzuje się pewną złożonością, nie jest w stanie zastąpić obserwacji otaczających nas zwierząt, podczas której możemy zauważyć, jakimi interesami się kierują, jakie mają pragnienia i jaki jest ich osobniczy charakter, a zatem możemy stwierdzić, że w wielu kwestiach potrafią być zupełnie równe istotom ludzkim.

Nic bardziej patriarchalnego niż kultura inwazji i dominacji i, co za tym idzie, odczytywanie natury przez pryzmat relacji drapieżnik-ofiara, gdzie pojęcia pasożytowania i rywalizacji zagarniają cały dyskurs dotyczący środowiska oraz ewidentnie pomijają kwestię dużo bardziej aktualną, czyli kulturę współpracy, synergii, symbiozy, komensalizmu i altruizmu. I tak zachowania dominujące i hierarchiczne czy wynoszenie na piedestał figury samca alfa wypierają inne formy współżycia.

Gwałciciela i adepta karnizmu łączy instrumentalne spojrzenie na swoją zdobycz. Postrzegana jest ona jako kawałek mięsa funkcjonującego w zależności walki i poddaństwa, gdzie jedna strona wygrywa, a druga traci. Spojrzenie redukujące kogoś do trofeum, do paru kilogramów mięsa, a także jednostronna przyjemność, są identyczne u kanibala, gwałciciela, pederasty, konsumenta porno, mięsa i produktów pochodzenia zwierzęcego czy klienta prostytutek. Ta rola kata działa w sytuacji zniewolenia i uprowadzenia za pomocą siły bądź szantażu, który seksistowski mężczyzna stosuje wobec kobiety uległej, zbyt łagodnej lub wyalienowanej, w sytuacji, w której ofiara przestaje posiadać tożsamość i swoje własne interesy i zamienia się w rzecz na usługi kogoś innego. Uprzedmiotowienie kobiet i zwierząt pozaludzkich stanowi podstawę dla uprzedmiotowienia życia i żadne społeczeństwo nie może uczynić postępu, dopóki istnieją istoty czujące pierwszej klasy oraz istoty czujące „nietykalne" lub należące do kast niższych, które żyją, aby nam służyć.

Z badań naukowych zrealizowanych w wielu krajach wynika, iż pszczoły to owady posiadające osobowość i tworzące złożone struktury społeczne. W ulu, gdzie produkowany jest miód, pyłek, mleczko czy woski pszczeli, królowa poddawana jest ciągłemu gwałtowi, aż do momentu, kiedy jej zdolność reprodukcyjna maleje i wówczas jest zabijana. W Izraelu i w wielu hodowlach pszczół na świecie królowym ucina się głowy systematycznie i zastępuje nowymi, w celu osiągnięcia maksymalnej

ilości nowych jaj. Robotnice z kolei są miażdżone w procesie wybierania miodu z plastra. W hodowlach przemysłowych miód wybierany jest za pomocą sprężonego powietrza, co powoduje u pszczół utratę kończyn lub skrzydeł, a także śmierć z wycieńczenia lub w wyniku zmiażdżenia podczas opróżniania komórek plastra. Zbyt intensywna eksploatacja przy rabowaniu produktów pszczelich sprawia, że całe plastry ulegają zniszczeniu, a hodowla pszczół sprowadza się do zniewolenia samic.

Życie tak zwanych „kur niosek" trwoni się i przemienia w nędzę, zamykając je w klatkach, w których na jedno zwierzę przypada powierzchnia nieco większa niż kartka A4. Uniemożliwia się im w ten sposób kontakt ze słońcem, nie mogą nawet rozłożyć skrzydeł. Kury odwapniają się, gdyż znoszą od dziesięciu do piętnastu razy więcej jaj niż w stanie naturalnym, a także tracą pióra, gdyż przez cały czas ocierają się o pręty kratek. Mordercze nadużywanie ich zdolności rozrodczych powoduje infekcje pochwy i guzy w aparacie rozrodczym, wiele z nich umiera z powodu jajka, które utknęło w jajowodzie, umierają też zadziobane i zjedzone przez swoje towarzyszki niedoli, gdyż te widząc owrzodzone pochwy, ranią je jeszcze bardziej i powodują infekcje prawie nigdy niewidziane wśród kobiet. Zakażenia jednak sprawiają wrażenie wyjątkowo bolesnych i łudząco są podobne do infekcji ludzkich. Życie kury na fermie przemysłowej zależy od jej zdolności produkcyjnej, ale zazwyczaj nie przekracza 15 miesięcy, podczas gdy na wolności zakończyłyby one życie w wieku od 6 do 8 lat. Odwapnienie i awitaminoza, spowodowane gigantyczną produkcją menstruacji, później rabowanej, pozostawia kury w stanie krytycznym, z którego wyjdą... dzięki przemieleniu i przerobieniu na produkty uboczne przemysłu mięsnego. Kurczęta przeznaczone do hodowli rodzą się w inkubatorach, tam mają kontakt jedynie ze swoimi braćmi i towarzyszami, chodzą po niewyklutych płodach, następnie są segregowane, wrzucane do olbrzymich zbiorników i w zależności od ich przeznaczenia (samice do „kur niosek", samce na mięso) są mielone żywcem (na mięso), zagazowane lub wyrzucane setkami do toreb na śmieci, gdzie wzajemnie się miażdżą, duszą, umierając w powolnej i niewyobrażalnie okrutnej agonii. To tak zwane „pisklęta jednodniowe" i tylko w samej Unii Europejskiej każdego roku ginie ich setki milionów. Przemysł jajczarski to wyzysk samic i jedynie z przyczyn fizjologicznych skazuje się je na ów wyzysk.

Lochy z kolei zamyka się w przestrzeniach trochę większych niż ich ciało, gdzie nie są w stanie się obrócić, mogą jedynie leżeć lub ewentualnie karmić swoje potomstwo, które będzie im zabrane i przeznaczone na tucz. Wiele prosiąt ginie pod ciężarem ich własnej matki, gdyż ta nie wie, gdzie się położyć w swoim ciasnym więzieniu. Kiedy lochy przestają być produktywne, zawożone są do rzeźni lub zarzynane na miejscu, jeśli nie mogą chodzić o własnych siłach. Często na fermach widzi się w zbiornikach martwych zwierząt olbrzymią matkę, która padła z wysiłku, na niej leżą truchła jej dwunastu prosiąt zabitych uderzeniem o betonową posadzkę albo pozostawionych na martwym ciele matki i tym samym skazanych na głodową śmierć.

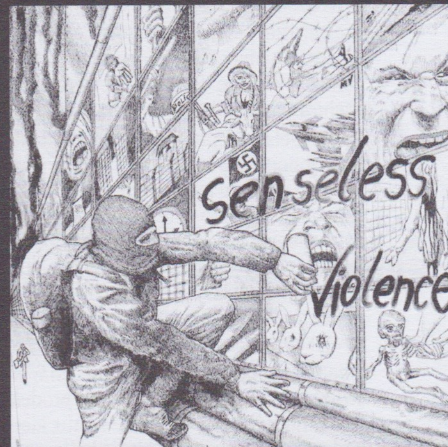
Krowy uznawane za mleczne są genetycznie wyselekcjonowane i stymulowane hormonami po to, by produkować dziesięć razy więcej mleka niż ich poprzedniczki, co przekłada się na fizyczne wyniszczenie ich ciał, wyczerpanie psychiczne i odwapnienie, a to sprawia, że krowy czasami wręcz nie są w stanie utrzymać się na nogach, ich kończyny się łamią i zwierzęta są wręcz zaciągane do rzeźni. Krowa jest zapładniana, gwałcona ludzką ręką, którą człowiek wkłada w głąb jej pochwy i wciska instrument, aby wprowadzić nasienie. Często wykonuje się to krótko po porodzie i gdy krowa przestaje produkować mleko, wysyłana jest przedwcześnie do rzeźni razem z płodem w brzuchu. Szacuje się, że 25% krów wysyłanych na ubój to krowy ciężarne, zabijane są wówczas wraz z płodami. Ciągłe zapładnianie sprawia, że cierpią na infekcje pochwy oraz wszelkie rodzaje chorób związanych z układem rozrodczym, że wypada im jelito, gdyż mięśnie nie są w stanie go utrzymać. Dzieci odbierane są im bardzo wcześnie, następnie zabijane, tuczone na mięso lub hodowane na mleko z dala od matki.

W relacji patriarchalnej ewolucja czystej siły fizycznej dała owoc w postaci miłości romantycznej, której używa się jako szantażu, i w myśl tej idei siła wyższa łączy nierozerwalnie kobietę z zaborczym mężczyzną i równocześnie niewolnictwo ubiera się w piękno. Na fermach „szczęśliwe" kury są wesołe, bo obdarowują wyzyskiwacza jajkami, krowa jest zadowolona z „dawania" mleka ludziom i swoich dzieci pod nóż, hodowca darzy „miłością" własne niewolnice i jest to rzekomo dobrowolna umowa pomiędzy złamanym i uprowadzonym zwierzęciem pozaludzkim a osobą, która je posiada, przy rzekomej wzajemnej wdzięczności... Przyprawiająca o mdłości sceneria stanowiąca część mrocznego dzieła zbudowanego na fałszerstwach i kłamstwach, tak samo jak mit miłości romantycznej idealizowany w kinie literaturze, sztuce, ogólnie pojętej kulturze, religii i w społeczeństwie, gdzie posiadanie, nierozwiązywalność, przynależność i związek na zawsze ma dobroduszną fasadę, która kontrastuje z rzeczywistością wypełnioną pastwieniem się, biciem, zazdrością, sprawowaniem kontroli i stosowaniem przymusu przez samca wobec samicy. To wszystko dzieje się w samym sercu codzienności, która pielęgnuje owo pojęcie i zabiera ofierze wolność wyboru. Nawet stosowane prawo rozważa „dobre traktowanie" jako coś abstrakcyjnego i uzależnia je od dobrej woli wyzyskiwacza. Głos zwierząt pozaludzkich jest niesłyszalny, gdyż są one uznawane za dobra ruchome, zaś w przypadku kobiet maltretowanych zawsze wisi olbrzymi cień wątpliwości, kiedy zgłaszają przypadki przemocy. Poddawane są wówczas próbie prawdomówności, w wielu przypadkach pozwala się, by kobieta została ostatecznie zamordowana. Miłość romantyczna okazuje się być toksyczna, bo nadaje formę przemocy, upiększa ją i używa przy tym silnie patriarchalnego dyskursu, w którym samiec odgrywa rolę aktywną, a samica / zwierzę pozaludzkie – pasywną.

To, co osobiste, jest polityczne. Żadna forma znęcania się, przemoc lub wyzysk jednej osoby przez drugą nie może pozostać w sferze decyzji osobistych. Sposób działania dominacji patriarchalnej sięga dużo dalej niż bezpośrednie poddaństwo kobiet, to system brutalny i agresywny, który musi zostać wykorzeniony na rzecz etyki i budowania społeczeństwa bez ofiar✕

Xavier Bayle - humanista, artysta i aktywista na rzecz wyzwolenia zwierząt





VEGAN STORY /

WEGANIZM: WYBÓR CZY WYCHOWANIE?

#3 / MARTA GUSZTAB /

■Najgorszy rodzaj zadania domowego z polaka: wypracowanie na dowolny temat i w dowolnej formie. Zawsze odwlekane na ostatnią chwilę i w końcu pisane w nocy lub w autobusie na kolanie, bo... co by tu właściwie wymyślić? Może to jeden w powodów tego, że zabrałam się za pisanie niniejszego tekstu dopiero po dłuższym czasie, chociaż z pewnością nie jedyny i raczej nie najistotniejszy.

Jeśli komuś wydało się przesadą, że na wstępie do tekstu o moim weganizmie odwołuję się do czegoś zupełnie bez związku, to jest w błędzie. W rzeczywistości w moim przypadku jest to sprawa związana głównie z dzieciństwem, a okres liceum był ostatnim, kiedy jeszcze przechodziłam jakąś głębszą refleksję na temat tego, czy weganizm to słuszna droga. Na mój weganizm oraz wybory z nim związane składa się cała moja przeszłość od wczesnego dzieciństwa, wartości, które we mnie wtedy wykiełkowały, a także wiedza o świecie, jaką, dorastając, zdobywałam. Wszystko to złożyło się ostatecznie na moje dojrzałe decyzje.

Byłam wychowana w punk rocku, moi rodzice poznali się w drodze na festiwal w Jarocinie. Nie byli i nie są wegetarianami. Jednak znam dorosłych ludzi, którzy myślą, że wegetarianizm to sekta bądź przejaw zaburzeń psychicznych, tymczasem ja właściwie nie pamiętam momentu, w którym nauczyłam się tego słowa. Jest w moim słowniku jak „kot", „pies", „dom", „obiad", „świat", „słońce", „bajka na dobranoc", a dokładniej jak „dobro", „zło", „miłość", „smutek", „radość", bo rozumiałam słowo „wegetarianizm" jako niejedzenie mięsa, gdyż ono jest ze zwierząt, które trzeba wcześniej zabić, a nie jako „nie jem buraków, bo nie lubię", albo „nie piję mleka, bo po nim boli mnie brzuch". Zawsze wierzyłam, że każdy organizm jest ważny na świecie i prowadziłam wojnę z dzieciakami, które łamały gałęzie krzaków i deptały robaki. Naturalnie w konsekwencji zostawałam wykluczona z danego grona, bo świat dzieci jest przecież bezwzględny, ale nie to było dla mnie najważniejsze. Oczywiście nie byłam świętoszkiem, łapałam pasikoniki i nosiłam je w garści całymi dniami, a żaby i raki trzymałam w plastikowym wiaderku. Te zwierzęta na pewno męczyły się i cierpiały. Byłam jednak dzieckiem i wierzyłam, że one są moimi przyjaciółmi, a ja się nimi w ten sposób opiekuję.

Nie, to nie jest tak, że chwalę się publicznie tym, jaką byłam obrończynią zwierząt i środowiska już jako kilkuletnie dziecko. Moje dzieciństwo to nie powód do zadowolenia, a stawanie na przekór rówieśnikom nie wzbudza we mnie poczucia dumy. Byłam „samotnym" dzieckiem. Owszem, miałam (i mam) rodziców i dom. Nie mając jednak zakorzenienia w jednym miejscu i nie za bardzo rozumiejąc, co ja właściwie robię na tym świecie, nie potrafiłam się odnaleźć w gronie rówieśników. Nie miałam rodzeństwa, kolegów i koleżanek, nie chodziłam do przedszkola. Byłam chowana pod kloszem, nie zapewniano mi regularnego kontaktu z innymi dziećmi. Kiedy już była okazja do zabaw z rówieśnikami, kompletnie nie potrafiłam się dogadać, nie znałam zabaw ani zasad panujących na podwórkach. Byłam odtrącana, niewiele dzieci chciało się ze mną bawić. Widziałam to i było

mi smutno. Radziłam sobie z tym, uciekając w świat fantazji. To była alternatywna rzeczywistość, w której zwierzęta i rośliny były moimi prawdziwymi przyjaciółmi, a ja byłam ich dobrą opiekunką. Ludzie byli nieważni.

Pewnego dnia powiedziałam: „Jak będę duża, nie będę jeść mięsa". I tak się stało, po prostu – jako konsekwencja wszystkiego, co przydarzyło mi się w życiu. To nie oznacza, że nie jest to mój świadomy wybór, bo przecież mogę robić wszystko, co zechcę. Ale życie potoczyło się tak, że nie wyobrażam sobie inaczej. Czy to oznacza, że robię to bezmyślnie? Wydaje mi się, że jest wręcz przeciwnie, że są to wartości tak silnie zakorzenione we mnie, że nie potrafiłabym ich porzucić. Były w moim życiu jednak też inne, posiłkowane strachem i poczuciem winy, a zarazem dające nadzieję na to, że przyjdzie coś lepszego. Kiedyś wierzyłam, że jest Bóg, który, jeśli będę dobra, zabierze mnie do miejsca, gdzie będę szczęśliwa; będąc dzieckiem, wierzyłam w różne religijne postaci i anioły, dzięki czemu nie czułam się zupełnie samotna. Wystarczyła jednak wiedza, racjonalne dowody i logiczne myślenie, żeby pożegnać się z nimi bez większego żalu. Odwrotnie było z wegetarianizmem – kolejne rzeczy, których uczyłam się o świecie, przekonywały mnie, że to słuszna droga. Co do weganizmu, to już nie do końca jest dla mnie kwestia wyboru. Jeśli ktoś nie je mięsa, żeby nie przyczyniać się do cierpienia zwierząt, to jeśli dowie się, jak pozyskuje się inne produkty pochodzenia zwierzęcego, nie może postąpić inaczej.

Pozwoliłam sobie na to, żeby potraktować „Wygrać nowe życie" jako pewnego rodzaju azyl, gdzie mogę na luzie opowiedzieć o tym, że mój wybór to nie sielankowa opowieść o przemyślanej dojrzałej decyzji, która przyniosła satysfakcję i oczyszczenie, niczym stan nirwany, i odtąd życie nabrało nowych, lepszych kolorów. To tak naprawdę smutna historia. Nie dzielę się nią w wywiadach do różnych mediów, bo nie chcę, żeby weganizm był kojarzony z „przytulaczami drzew" – z ludźmi, którzy mają coś tam nie po kolei w głowie, nieszkodliwymi freakami. Wiem, co potrafi zrobić opinia publiczna z tego rodzaju historiami. Łatwo się pokusić o interpretację na wyrost, wyrwanie czegoś z kontekstu i przejaskrawienie. Na podstawie wypowiedzi jednej osoby wyciągane są wnioski, które rzutują później na całą zbiorowość. Tymczasem ja czuję się zupełnie normalną osobą. Przecież nikt nie miał idealnego dzieciństwa i w ogóle nikt idealny nie jest. Mam nadzieję, iż nie mylę się, sądząc, że trafiam tu do „odsianego" grona odbiorców. Z tego powodu nie zamierzam nikogo przekonywać, że weganizm jest super, że jest zdrowy, bezpieczny dla każdego, coraz bardziej popularny i dobrze odbierany. Nie opisuję tu mojej kariery zawodniczej, bo w moim przypadku z weganizmem nie ma ona nic wspólnego. Rozmyślania na temat tego, czy to właściwy sposób odżywiania dla sportowca, nigdy nie były moim udziałem. Nie rozwodzę się też nad kwestiami społecznymi, chociaż jako socjolog mogłabym pewnie dorzucić w tej kwestii swój kamyczek do ogródka. Potraktowałam ten tekst jako moją osobistą historię weganizmu, bo nie da się powiedzieć o wszystkim naraz. Tym razem moim jedynym zamiarem jest przedstawienie tego, jak to było u mnie i tylko u mnie... nic więcej.

W takim razie, co właściwie chcę powiedzieć przez to wszystko? Kogo obchodzą moje wynurzenia z przeszłości? Cóż... Jeśli ktoś liczył na to, że dowie się tutaj, czy jem owsiankę na śniadanie lub czy kreatyna jest wegańska i weganom niezbędna – nie tym razem. O tym można przeczytać w różnych wywiadach ze mną oraz innymi weganami-sportowcami. Otóż nie mam nic do ludzi, którzy na weganizm decydują się ze względu wyłącznie na zdrowie czy po prostu z fascynacji jakimś lifestyle'em. Widzę jednak, że wielu ludzi wymięka... Pojawiają się rozmyślania typu: „a może jajka od szczęśliwych kurek są mniejszym złem niż soja z monokulturowych upraw?". Może tak, a może nie – nie mnie o tym wyrokować. Ważne jest to, abyście, szukając odpowiedzi na podobne pytania, nie przeglądali tylko kolejnych blogów w poszukiwaniu nowych inspiracji kulinarnych lub trendów w byciu eko. Zastanówcie się głębiej: z czego wynikają wasze decyzje? Co one oznaczają dla innych istot, dla świata i czym są dla was samych? Czym one są w odniesieniu do całej waszej przeszłości, jak wiele ważą w porównaniu do innych wydarzeń i czynów? To sposób nie tylko na to, żeby wytrwać w czymś przez lata, ale także metoda szukania siebie. Tak właśnie można poznać swoją prawdziwą wartość, jeśli zrozumiemy poważne znaczenie naszych wyborów.

Oto szczęśliwie dobrnęłam do końca mojego wypracowania i, jak przed laty, nie bardzo mnie odchodzi, czy ktoś oceni je na piątkę, czy dostanę dwa na szynach za dobre chęci✕

Marta Gusztab - wielokrotna mistrzyni Polski mhay thai, medalistka mistrzostw świata i mistrzostw Europy w muay thai i K1





POLUJĄCE NA LUDZI KROWY

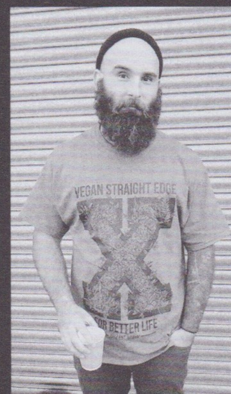
#4 / BARTEK /

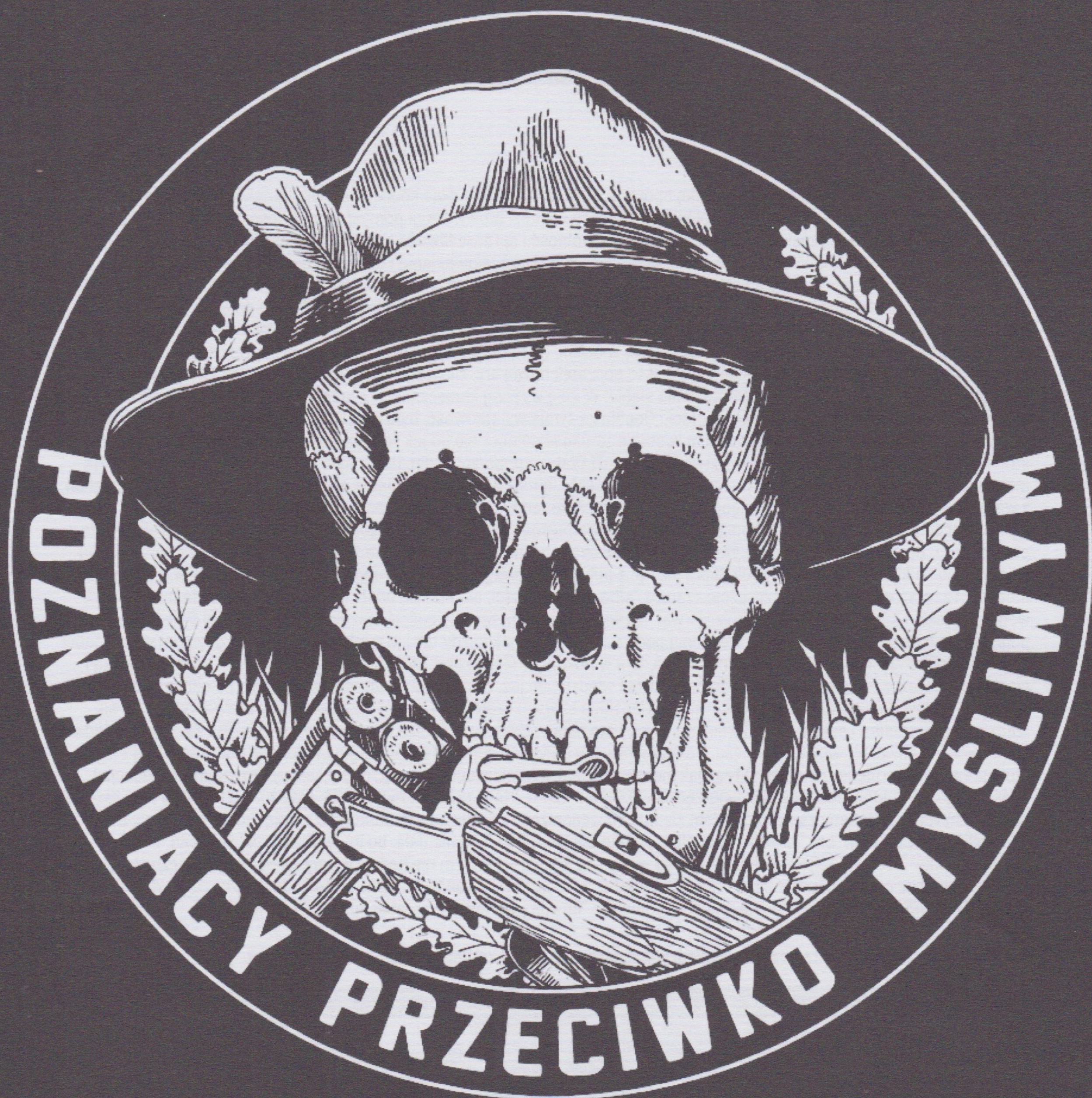
Gdy usiadłem, żeby napisać moją wegańską opowieść, miałem w głowie dwie koncepcje – przedstawić postapokaliptyczny świat, w którym zamiast Terminatorów mielibyśmy polujące na ludzi krowy. Drugi pomysł to opowieść o plemieniu krów, które tak jak talibowie, żyją w afgańskich jaskiniach i walczą o wolność i sprawiedliwość z amerykańskim szatanem. Oba wydają mi się genialne. Niestety zabrakło mi pisarskich umiejętności, żeby snuć takie bajanie i być interesującym na przyzwoitym poziomie. Chociaż początek miałem dobry, bo: "Żyjemy w tej jaskini już 5 lat. Wcześniej żyliśmy w innej, ale została zniszczona przez amerykańskie bombowce. Mama mówiła, że kiedyś było inaczej, że nie musieliśmy ukrywać się przed światem, że wszystko było całkowicie na odwrót. Problem w tym, że to, co było jej codziennością, dla mnie było opowieścią na dobranoc. Żeby wszystko miało sens, synku, musimy cofnąć się w czasie do roku 2033, gdy pojawiła się Gopala. Gdy świat obiegła informacja o jej narodzinach, wiedzieliśmy, że jest to początek nowej ery. Niestety nie dla wszystkich. Jak zwykle w takich wypadkach bywa, szpon Zachodu zagarnął ją dla siebie. W imię wyższej konieczności. Z przekazywanych nocą, szeptanych opowieści wiemy, że cena, jaką musiała zapłacić Gopala za swoją wyjątkowość, była ogromna, a walutą było niewyobrażalne cierpienie...". Końcówką już jednak nie byłem w stanie zamknąć całości. No bo jak wytłumaczyć, że nagle krowy zaczynają strzelać z kałasznikowów i używać moździerza? Hmmm?! Dlatego poprzynudzam, jak to było u mnie z tym weganizmem. Na moje "wychowanie" bardzo duży wpływ miał Paweł ze Street Lights/Last Dayz. Wszystko zaczęło się po tym, gdy przyjechał on z wakacji w USA i opowiedział o konsumpcyjnym stylu życia Amerykanów i o sposobach pozyskiwania jedzenia dla tak wymagającego rynku. Razem przeskoczyliśmy na dietę bezmięsną i robiąc głębsze rozeznanie w temacie, utwierdziliśmy się w przekonaniu, że jest to słuszna droga. Rodzice jakoś nie byli temu przeciwni, ale trochę zajęło mi załapanie, że mama robi mi ciągle "zupę na kości", a oczka w rosole biorą się np. z bulionu wołowego czy kostki rosołowej, a nie ziemniaków. Dlatego też musiałem zagrać va banque! Na szczęście szantaż "albo zupa na kości, albo ja" się udał i od tej pory moja dieta była w 100% wegetariańska. Lata mijały. Wegetarianizm trwał. Na wigilijnym stole zaczęły gościć "oszukane gołąbki", a w święconce pojawiła się parówka sojowa zamiast wędzonej podwawelskiej. Ale jak każdy tak i ja miałem dzień próby, gdy pomagając babci w zastawianiu wigilijnego stołu, zostałem sam na sam w pokoju ze śledzikami, które smaczniejsze były niż kanapki z tęczą i ciasto z jednorożca... nie ugiąłem się jednak pokusie i wiedziałem już, że pozostanę wierny bez względu na okoliczności. Udało mi się nawet zwerbować siostrę do moich wegetariańskich szarych szeregów i razem przekładaliśmy szalę zwycięstwa na rzecz szczawiu, selera i sałaty. Wegetarianizm trwał. Lata mijały. Gdzieś po drodze wyjechało mi się do UK i zacząłem układać sobie życie na nowo, ale wciąż bez mięsa. Do momentu gdy przypadkiem trafiłem na fragment debaty, podczas której Philip Wollen mówił o cierpieniu zwierząt. O tym, jak niemoralne jest wyzyskiwanie zwierząt, o tym, jak wyniszcza nas produkcja i konsumpcja produktów pochodzenia zwierzęcego. Dziesięć minut, które zmieniło moje życie. Było to 4, 5 lat temu i ani razu nie spojrzałem wstecz. W tym czasie nauczyłem się dużo o weganizmie i o sobie. Przerobiłem też swoją dawkę tekstów z zakresu "ale rośliny też czują ból" czy "ja swoim dzieciom pasztetów sojowych bym nie dała, bo im jeszcze cycki wyrosną" i "skąd bierzesz białko?". Nie ma to jednak znaczenia, bo wierzę, że kiedyś weganizm nie będzie ani wyborem, ani koniecznością. Wierzę, że będzie normą, a ludzie będą stawiać mięsożerstwo na równi z kanibalizmem. Zanim jednak to nastąpi, staram się być "zmianą, którą chcemy widzieć na świecie", ponieważ "łatwiej jest naprawić statek, niż uspokoić morze"✕

Bartek - samozwańczy mistrz Jowisza w międzyplanetarnym turnieju kettleball, basista Death Warrant








POZNANIACY PRZECIWKO MYŚLIWYM

POZNANIACY PRZECIWKO MYŚLIWYM

Ludzie ogólnie nie lubią myśliwych, często nimi gardzą, ale jednocześnie godzą się na ich pracę i z tym co robią, niczym na istnienie pracowników masarni, ferm kurzych etc. Chcielibyśmy zmienić ten tok myślenia.

ROZMAWIA: MARCIN/
ZDJĘCIA: PPM/ LOGO: RAFAŁ WECHTEROWICZ/

■Koła łowieckie mają się lepiej niż kiedykolwiek, chociaż tak naprawdę nigdy nie musiały zbytnio narzekać na swoją sytuację. Miłośników biegania po lasach ze strzelbą w dłoni możemy bowiem znaleźć w większości partii politycznych, niezależnie od wyznawanych poglądów. Jednak w sytuacji, kiedy minister środowiska sam deklaruje się jako zapalony myśliwy, lobbuje za rozszerzeniem praw polujących i staje do otwartej walki z ekologami, nazywając aktywistów „ekoterrorystami", a wyznawaną przez nich ideologię – „zielonym neomarksizmem" (jak widać, marksizm dalej jest świetnym straszakiem), nie ma się co dziwić, że panowie (rzadziej panie) z piórkami w kapeluszach czują się bezkarni. Co jakiś czas media zalewane są kolejnymi przykładami oburzających praktyk myśliwych, ich ignorancji czy agresji. Nie brak tragicznych pomyłek, kończących się czyjąś śmiercią; okazuje się bowiem, że można pomylić z dzikiem już nie tylko psa sąsiada, ale i kolegę w kamizelce. Jakby tego było mało, ponownie wraca pomysł ministra Szyszki na powołanie własnych służb specjalnych do „wykrywania szkód ekologicznych". Tym większe brawa należą się tym, którzy decydują się działać w obronie zwierząt w tak niesprzyjających warunkach. Warto brać z nich przykład i zakładać własne grupy. A jak to zrobić? Kilka praktycznych porad znajdziecie w poniższym wywiadzie.

JAK DOSZŁO DO POWSTANIA WASZEJ INICJATYWY? CO WAS MOTYWUJE DO WALKI O ŻYCIE ZWIERZĄT?

Jest takie miejsce na mapie Poznania, które działa od ponad 23 lat. To skłot Rozbrat – przestrzeń wymiany myśli, burzliwych rozmów, współtworzenia i kolektywnej pracy. Tu oprócz koncertów i licznych warsztatów przede wszystkim odbywają się spotkania poznańskiej Federacji Anarchistycznej. I to właśnie tu, w 2015 roku, w gronie aktywistek i aktywistów powstała grupa, która zdecydowała się działać w momencie, gdy w pobliskiej nam Puszczy Zielonce rozpoczęły się tak zwane „polowania wigilijne". Motywowała nas nie tylko głęboka empatia oraz szacunek do dzikich zwierząt (większość z nas to weganie i wegetarianie), ale też zwyczajnie zdrowy rozsądek. Strzelanie w lasach i na łąkach, gdzie spacerują rodziny z dziećmi, uprawia się sporty czy zwyczajnie poszukuje się odpoczynku w kontakcie z naturą, jest po prostu niebezpieczne.

ZDECYDOWANIE NAJGŁOŚNIEJSZYMI AKCJAMI POZNANIAKÓW PRZECIWKO MYŚLIWYM SĄ BLOKADY POLOWAŃ. JAK SIĘ ZABRAĆ ZA TEGO TYPU DZIAŁANIA? O CZYM NALEŻY PAMIĘTAĆ? I PODSTAWOWE PYTANIE – SKĄD MOŻNA SIĘ DOWIEDZIEĆ O MIEJSCU PLANOWANYCH POLOWAŃ?

Należy dowiedzieć się, jakie koła łowieckie działają w okolicy. Sprawdzić ich strony internetowe i rozpiskę polowań w najbliższych obwodach łowieckich. Można też dzwonić do urzędu gminy czy nadleśnictwa z pytaniem, kiedy odbywają się polowania zbiorowe, motywując to troską o swoje bezpieczeństwo. Najlepiej skrzyknąć się na początku w kilka osób – nas za pierwszym razem była ósemka. Trzeba pamiętać o kamizelkach odblaskowych, dobrych ciepłych butach, termosach z herbatą... Polowania zaczynają się bardzo wcześnie. Najlepiej spotkać się gdzieś np. o 6 rano i razem ruszyć do lasu. Niezbędne okazały się na naszych blokadach rowery, GPS-y (smartfony też dają radę!) oraz wcześniejszy rekonesans terenu. Kiedy mamy polowania ambonowe i wiemy, gdzie mniej więcej znajdują się ambony, wystarczy, że jedna, dwie osoby usiądą pod amboną i myśliwy już nie może oddać strzału.

CO BYŚCIE PORADZILI OSOBOM, KTÓRE CHCIAŁYBY BARDZIEJ ZAANGAŻOWAĆ SIĘ W AKTYWIZM, ALE NIE WIEDZĄ JAK?

Nie zwlekajcie! Jeśli uważacie polowania za bestialstwo w imię jakichś chorych tradycji, wystarczy się zmobilizować. Nie czekajcie na to, aż ktoś w waszej okolicy zrobi to za was. Znajdźcie w sobie odwagę, by zrobić pierwszy krok, potem będzie już tylko łatwiej. Jeśli szukacie inspiracji, poczytajcie o Hunt Saboteurs z Wielkiej Brytanii czy Pracowni na Rzecz Wszystkich Istot i ich

„Rykowisku dla jeleni, nie dla myśliwych" – akcji organizowanej w Puszczy Białowieskiej od ponad 8 lat czy o lokalnych akcjach na terenie całej Polski; praktycznie wszystkie grupy mają profile na Facebooku.

MOGLIBYŚCIE PRZYBLIŻYĆ SZCZEGÓŁY AKCJI ANTYHUBERTUS? JAK OCENIACIE JEJ SKUTECZNOŚĆ?

Akcja była wielkim sukcesem – zarówno jeśli chodzi o dobrą ogólnopolską organizację (w akcji wzięły/wzięli udział Wrocławianie Przeciwko Myśliwym, BASTA Inicjatywa na Rzecz Zwierząt, Warszawiacy Przeciwko Myśliwym, Niech Żyją oraz my), jak i silny przekaz, w tym medialny i antyrządowy. W polowaniu wzięło udział około 400 myśliwych, także minister Jan Szyszko. Grupy spacerując, uniemożliwiły wielu myśliwym oddanie strzału. Co ważne, okazało się, że wszystkie polowania zbiorowe nie były oznaczone zgodnie z zarządzeniem nr 17 Dyrektora Generalnego LP z dnia 22 maja 2017 w związku z zachowaniem bezpieczeństwa w trakcie polowań zbiorowych organizowanych w ośrodkach hodowli zwierzyny LP. Nawet policja stwierdziła, że faktycznie nigdzie nie ma oznaczeń ostrzegawczych przed polowaniem. Myśliwi po raz kolejny pokazali swoją ignorancję wobec każdej osoby, która tego dnia mogła do lasu wejść i przez przypadek „oberwać kulkę". Oczywiście nie obyło się również bez agresji słownej z ich strony. Myśliwi również spuścili powietrze z opon rowerowych niektórym aktywistom. Dużo agresywnych zachowań zostało zarejestrowanych, na szczęście! Możemy pokazać światu, kim tak naprawdę są myśliwi i dlaczego należy polowania blokować.

CZY DOSTRZEGACIE ROZPRZESTRZENIANIE SIĘ RUCHU ANTYŁOWIECKIEGO W KRAJU? NAWIĄZUJECIE WSPÓŁPRACĘ Z INNYMI GRUPAMI? A MOŻE UTRZYMUJECIE KONTAKTY ZAGRANICZNE?

Myślę, że o ruchu jako takim jeszcze nie możemy mówić, choć ostatnie dwa lata to zdecydowana rewolucja w temacie antyłowieckim. Powstanie grup lokalnych uważamy poniekąd za nasz mały, acz znaczący sukces. Po infotrasie, którą zorganizowaliśmy w 2016 roku, powstały grassrootowe „oddziały" we Wrocławiu, Toruniu, Trójmieście, Warszawie, na Śląsku... W blokady zaangażowała się Basta! ze Szczecina. Cieszymy się, że swoją historią mogliśmy zainspirować innych do działania. Utrzymujemy kontakty, oczywiście! Pomagamy sobie nawzajem w miarę możliwości. Czasami razem sabotujemy polowania. Czasami dajemy sobie porady, dzielimy się pomysłami. Z zagranicy utrzymujemy kontakt tylko z Hunt Saboteurs, ale nigdy nie poznaliśmy ich osobiście.

W JAKIE JESZCZE ANGAŻUJECIE SIĘ AKCJE?

„Chcemy wam wyjaśnić – każda opresja jest ze sobą powiązana, tak jak my wszyscy jesteśmy ze sobą powiązani. Wierzymy w różnorodność działań na rzecz zakończenia cierpienia Ziemi oraz każdego rodzaju dominacji. Razem możemy zniszczyć patriarchalny koszmar, który obecnie jest w fazie techno – przemysłowego kapitalizmu" Earth Liberation Front, komunikat z 2001 roku. To cytat, pod którym większość z nas może się podpisać.

Inne akcje? To przede wszystkim walka o Puszczę Białowieską. Wielu z nas blokowało harwestery i inne maszyny. Jeździło na liczne patrole, brało udział w okupacji LP w Warszawie. Walka o Puszczę jest dla nas częścią większej batalii o dzikie życie w Polsce, w Europie... Bez lasów nie ma zwierząt leśnych, bez zwierząt leśnych nie ma lasów...

Organizujemy też happeningi, demonstracje. Raz nawet zorganizowaliśmy rowerową masę krytyczną, gdy dowiedzieliśmy się o zastrzelonym przez myśliwego rowerzyście z okolic Wągrowca. Rozmawiamy z mediami, chodzimy do radia, telewizji, udzielamy wywiadów do ogólnopolskich gazet. Chcemy być głosem mordowanej przyrody, od której tak wielu odwraca wzrok.

CZY ZAUWAŻYLIŚCIE JAKIEŚ ZNACZĄCE ZMIANY W POSTRZEGANIU MYŚLIWYCH I MYŚLISTWA PRZEZ SPOŁECZEŃSTWO?

Trudno powiedzieć. Nasz fanpage na FB jest całkiem poczytny, mamy rosnące z każdym dniem wsparcie. Informacja to niesamowita broń. Jednocześnie smuci nas, że tak mało ludzi realnie coś robi. Właśnie zatwierdzono nowe prawo łowieckie, które daje myśliwym dużą gamę przywilejów. To bulwersujące. Szkoda, że tak mało ludzi protestuje. No ale nie możemy się poddawać i na razie cieszymy się tym wsparciem, które mamy. No i rosnącymi jak grzyby po deszczu lokalnymi zrywami. Interesują się też nami media głównego nurtu, którym chętnie udzielamy wywiadów, by dotrzeć do jak największej grupy odbiorczej.

Odnoszę takie wrażenie, że ludzie ogólnie nie lubią myśliwych, często nimi gardzą, ale jednocześnie godzą się na ich pracę i z tym co robią, niczym na istnienie pracowników masarni, ferm kurzych etc. Chcielibyśmy zmienić ten tok myślenia. Pokazać społeczeństwu, że myślistwo jest zbędne, że można stosować alternatywne sposoby tak zwanej „regulacji" populacji i ochrony dóbr rolnych. Małymi kroczkami idziemy w tę stronę. Kilka dni temu aktywistki i aktywiści z Poznaniaków Przeciwko Myśliwym były/byli niedaleko Poznania na spotkaniu z myśliwymi, którzy stwierdzili, że chcą zaprzestać zimowego dokarmiania, a to jest zdecydowany progres!

A NA ILE SILNE JEST OBECNIE LOBBY MYŚLIWSKIE? ZDAJE SIĘ, ŻE NIEWIELE ZMIENIŁO SIĘ W TYM ASPEKCIE.

Lobby myśliwskie obecnie jest oburzająco silne. Minister środowiska to zapalony myśliwy (niniejszy wywiad przeprowadzony został w styczniu, tuż przed końcem kadencji ministra Szyszki, natomiast nowy minister środowiska Henryk Kowalczyk podziela zamiłowanie do polowań ~dop. Paweł). Co tu dużo mówić. Absurd i niesmak.

ATAKI WERBALNE CZY NAWET FIZYCZNE ZE STRONY MYŚLIWYCH PODCZAS BLOKAD SĄ DOSYĆ CZĘSTE. JAK RADZICIE SOBIE Z TAKIMI SYTUACJAMI? PRÓBOWANO WAS W JAKIKOLWIEK SPOSÓB REPRESJONOWAĆ JUŻ PO ZAKOŃCZONEJ AKCJI?

Ataki werbalne i, niestety, fizyczne to już norma. Na każdej blokadzie polowania łowczy demonstrują swoją agresję, która znakomicie komponuje się z ilością skonsumowanego przez nich alkoholu. Seksistowskie zaczepki, przepychanki... Ostatnio jeden aktywista został pobity przez trzech myśliwych, którzy dodatkowo go okradli (sic!). Jest coraz gorzej. Policja, straż leśna czy wiejska nie reagują. Wszyscy trzymają tam ze sobą sztamę. Do tego policja bardzo chętnie nas spisuje na każde zawołanie myśliwych, straszy nas mandatami. Mafijne układy. Nie poddajemy się, a ludziom, którzy przychodzą na nasze blokady, staramy się zapewnić w razie czego pomoc prawną. Na szczęście jak dotąd nikogo nie aresztowano czy nie ciągano po sądach. My spacerujemy. Każdy może to robić!

PODOBNO JEST MOŻLIWOŚĆ WYŁĄCZENIA SWOJEJ DZIAŁKI Z OBWODU ŁOWIECKIEGO. CO TRZEBA ZROBIĆ, ABY TEGO DOKONAĆ?

Nie jest to bardzo skomplikowane, ale skarga musi iść do sądu, więc może to zająć trochę czasu. Całą instrukcję obsługi „wyłączenia działki z obwodu łowieckiego" znaleźć można na stronie: zakazpolowania.pl

BRALIŚCIE TAKŻE UDZIAŁ W OBRONIE PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ. JAK OCENIACIE DOTYCHCZASOWĄ DZIAŁALNOŚĆ OBOZU DLA PUSZCZY? JEST JESZCZE JAKAŚ NADZIEJA NA WYGRANIE SPRAWY? SZYSZKO NIC SOBIE NIE ROBI Z GRÓŹB KOMISJI EUROPEJSKIEJ, A CO DOPIERO Z PROTESTÓW SPOŁECZNYCH...

To była i nadal jest ważna sprawa i jedna z największych taka mobilizacja w historii polskiego „ruchu" ekologicznego. Akcje dla Puszczy i przede wszystkim sam Obóz przyciągnęły ludzi z całego świata o najróżniejszych poglądach, którzy gotowi byli robić radykalne i odważne rzeczy w walce o środowisko. Batalia toczyła się na kilku frontach, z czego chyba najważniejszym były bezpośrednie blokady maszyn. Oczywiście istotne były patrole i zbieranie konkretnych danych na temat wycinki, no i „walki" na szczeblu unijnym – informowanie władz, komisji, UNESCO etc.

Na dziś dzień udało się wycofać harwestery. Minister po raz kolejny musiał stawić się przed komisją TSUE. Wyniki poznamy w lutym/marcu 2018 roku. Najgorszy jest ten czas oczekiwania, ale jak widać warto. Mam nadzieję że zakończenie agresywnej wycinki nie będzie jednoznaczne ze „złożeniem broni". Należy pamiętać, że od samego początku chodziło o to, by cała Puszcza była parkiem

narodowym i do tego musimy niezłomnie dążyć. Mam również nadzieję, że nawiązane znajomości, zawiązane koalicje czy po prostu wspólna walka nie tylko zainspirują ludzi do dalszych działań i bardziej świadomego podejścia do władzy, do istoty protestu czy przede wszystkim troski o środowisko naturalne, ale ukonstytuuje ruch proekologiczny w Polsce.

Co do kwestii władzy i ministra. Cóż, nie jest to łatwe, trzeba mieć w sobie dużo cierpliwości i determinacji, i wiary w to, o co się walczy. Wierzę, że trzeba to robić aż do samego końca, by ocalić to, co jest możliwe do ocalenia, mimo iż może to się niektórym wydawać nielegalne i beznadziejne. Historia pokazuje, że kiedyś legalnym był Holokaust czy niewolnictwo. Dziś patrzymy na to z przerażeniem. Wierzę, że tak będą patrzeć przyszłe pokolenia na dewastatorów dzikiej przyrody.

KILKA CZŁONKIŃ PPM ZOSTAŁO ZATRZYMANYCH PO OKUPACJI GENERALNEJ DYREKCJI LASÓW PAŃSTWOWYCH. JAK CAŁA SYTUACJA WYGLĄDAŁA OD ŚRODKA? KTOŚ USŁYSZAŁ JUŻ ZARZUTY?

Nie było jeszcze rozprawy. Z opowieści zatrzymanych osób wiemy, że policja zachowała się jak zwykle brutalnie. Aktywistki i aktywiści wiedzieli niby, na co się piszą, ale agresja jak zwykle była nieadekwatna do sytuacji. Brutalna pacyfikacja biernego oporu osób walczących w ważnej dla połowy tego kraju sprawie to pogwałcenie podstawowych demokratycznych zasad. Żal.

W SWOJEJ DZIAŁALNOŚCI NIE UCIEKACIE OD POLITYKI. CO CIEKAWE, KIEDY WRZUCILIŚCIE ZAPROSZENIE NA ANTYNACJONALISTYCZNĄ DEMONSTRACJĘ, BYŁO SPORO GŁOSÓW MÓWIĄCYCH O TYM, ŻE NIE NALEŻY UPOLITYCZNIAĆ DZIAŁALNOŚCI PROZWIERZĘCEJ. CO O TYM SĄDZICIE?

Jesteśmy grupą, która wyrosła w łonie Federacji Anarchistycznej s. Poznań. Nigdy nie odcinaliśmy się od swoich poglądów, mimo iż niektóre i niektórzy z nas nie deklarują się jako anarchiści (i mają do tego absolutne prawo!), to wiedzieli, na co się piszą, dołączając do grupy związanej z Rozbratem. Komentarze szły ze strony przypadkowych osób, które polajkowały naszą stronę. Nawet nie wiedzą o tym, kim realnie jesteśmy. Nie wstydzimy się swoich poglądów. Choć głównie zależy nam na obronie dzikiego życia, przyrody i środowiska naturalnego, to jest to dla nas ta sama antyautorytarna walka, którą manifestujemy np. na demonstracjach antyfaszystowskich, antyrządowych etc. „Każda opresja jest ze sobą powiązana”, co świetnie widać na przykładzie działań ministra środowiska czy pisowskiego ukłonu w stronę myśliwych (zresztą PO wcale nie była lepsza).

CO PLANUJECIE W NAJBLIŻSZYM CZASIE? JAK WIDZICIE PRZYSZŁOŚĆ INICJATYW ANTYŁOWIECKICH? JAKIE STOJĄ PRZED NIM WYZWANIA?

Marzą mi się grupy lokalne w całej Polsce. Wspólna platforma, siatka, która umożliwi łatwiejsza komunikację i przede wszystkim pomoc prawną dla wszystkich potencjalnych represjonowanych. Koalicja taka pozwoli stworzyć poczucie większego bezpieczeństwa. Może z tego wykluje się jakiś konkretny ruch społeczny? Nie tylko na rzecz dzikich zwierząt, ale też całego środowiska. Brakuje tego w Polsce. Na zmiany potrzeba czasu, trzeba być upartym i konsekwentnym.

Jest nas coraz więcej, kochamy to, co robimy, i wierzymy w swój cel, a to trudno jest w ludziach złamać...

DZIĘKUJĘ ZA WYWIAD! OSTATNIE SŁOWA NALEŻĄ DO WAS.

Olsen/PPM: Dziękujemy! LASY WOLNE OD MYŚLIWYCH!✕




















PREPARED FOR BATTLE
XVI VI II
GORIL

RAFAŁ KAMIŃSKI

Mogę być zmęczony, padać na twarz po kolejnym ciężkim dniu, ale jak sobie pomyślę, że mógłbym tyrać bez większego sensu w jakiejś bezosobowej, międzynarodowej korporacji, to biorę głęboki oddech i wiem, że nigdy bym się nie zamienił.

ROZMAWIA: MARCIN/
ZDJĘCIA: ARCHIWUM RAFAŁA/

■Mnóstwo ludzi łączy dietę roślinną z chronicznym niedożywieniem, worami pod oczami i niedoborami wszelkich możliwych mikroelementów. Co prawda przewijają się co jakiś czas w mediach weganie-sportowcy, jednak są oni najzwyczajniej nieosiągalni dla przeciętnego zjadacza chleba z boczkiem. Istnieją gdzieś tam, w wielkim świecie, a tak w ogóle to kto wie, ile w tym prawdy? Poza tym, jak przekonywał mnie kiedyś kolega, oni biorą tyle sterydów i suplementów, że tak czy inaczej nie potrzebują za wiele pożywienia. Postanowiłem ten obraz skonfrontować z kimś, kto jest jak najbardziej osiągalny i może się pochwalić nie byle jakimi wynikami w swojej dyscyplinie. Rafał Kamiński prężnie działa w temacie muay thai na olsztyńskiej ziemi, stroniąc przy tym od mięsa, nabiału i używek. Dumnie też reprezentuje kampanię Jasna Strona Mocy, a przede wszystkim wydaje się mieć nieskończone pokłady energii. O tym i o paru innych rzeczach przeczytacie w poniższym wywiadzie.

JAK DŁUGO TRENUJESZ MUAY THAI? BRAŁEŚ SIĘ ZA INNE SZTUKI WALKI?

Muay thai zajmuję się już jakieś 12 lat. W zasadzie można powiedzieć, że zacząłem dość późno, bo dopiero w wieku 20 lat. Patrząc np. na małolatów z Tajlandii, to przepaść, taki trochę wiek emerytalny (śmiech). No ale tam zaczyna się treningi w wieku 4 lat, a jak masz 6, to już ładujesz inne dzieciaki na ringu i to bez żadnych ochraniaczy. Z innych sztuk walki to chwilkę zacząłem treningi sandy (pełnokontaktowa odmiana kung fu), ale nie pykło i wziąłem się za tajski boks. Wcześniej grałem też w kosza w drużynie ligowej, także można powiedzieć, że ze sportem jestem związany od zawsze.

CHYBA DOŚĆ SZYBKO PRZESZEDŁEŚ Z BYCIA ZAWODNIKIEM NA PROWADZENIE TRENINGÓW, CO? JAK DO TEGO DOSZŁO?

Zgadza się, tak się potoczyło życie. Do zrobienia uprawnień trenerskich namówił mnie mój ówczesny trener. Mówił: dostaniesz grupę, dorobisz sobie, zobaczysz, jak to jest z drugiej strony. Przekonał mnie i tak zrobiłem. I to był bardzo dobry wybór, bo jak się potem okazało, trenera za jakiś czas okoliczności zmusiły do zamknięcia klubu. Ja nie chciałem, żeby muay thai w Olsztynie zaginęło, więc musiałem postawić na prowadzenie zajęć i rozwój trenerski. Tak się zaczęło i lecę do dziś.

MÓGŁBYŚ PRZEDSTAWIĆ OFERTĘ TWOJEGO KLUBU?

Oferta Academia Gorila Olsztyn stale się zmienia. Były zajęcia brazylijskiego jiu jitsu, zajęcia crossfit. Wszystko po to, aby trafić do jak najszerszego grona odbiorców. Jednak moja prawdziwa miłość to muay thai, więc ostatnio po powrocie z Tajlandii postawiłem tylko na ten rodzaj zajęć. Trenujemy praktycznie codziennie. Mamy zajęcia popołudniowe i poranne. Grupę Intro, czyli taką od podstaw, dla początkujących, oraz drugą, bardziej zaawansowaną. Prowadzę również treningi indywidualne, gdzie każdy może się umówić na zajęcia w dogodnym czasie.

JAKA PANUJE U CIEBIE ATMOSFERA? DUŻO JEST MACHONAPINKI?

Wiesz co, to jest jedna z rzeczy, z których jestem najbardziej dumny. Właśnie ta specyficzna atmosfera w Gorylu. Jestem pewien, że nie znajdziesz takiej w żadnym innym klubie. Trenujemy ciężko, ale wszystko z klimatem. Jest wesoło i sympatycznie, a każdy wychodzi z zajęć zadowolony. Nie toleruję tzw. napinki, tak samo moi zawodnicy. Więc nawet jeżeli zdarzy się czasem ktoś, kto próbuje tworzyć słaby klimat, zazwyczaj sam szybko trybi, że to nie miejsce dla niego.

NA CO STAWIASZ SZCZEGÓLNIE NACISK PODCZAS TRENINGÓW?

To zależy tak naprawdę od grupy. Jeśli mówimy o grupie Intro, to oczywiście priorytetem jest dla mnie nauczenie ich dobrze podstaw, techniki oraz poprawa ogólnej sprawności i koordynacji. Jeśli chodzi o zawodników, to stawiam na przygotowanie ich do startów. Dużo sparingów, ciężkie treningi wydolnościowe, strategia walki i przede wszystkim systematyczność pracy. Ogólnie muay thai to jest tak wszechstronny sport, że każdy znajdzie swoją motywację do treningu. Chcesz być zawodnikiem? Świetnie! Poprawić zdrowie i kondycję? Super! Wyżyć się i pobyć z fajnymi ludźmi? Ekstra!

CO WARTO DODAĆ DO FIGHTERSKICH TRENINGÓW? BIEGANIE? SIŁOWNIĘ? JAK TO WYGLĄDA W TWOIM PRZYPADKU?

Oczywiście. Nawet powiedziałbym nie tyle, że dodać, co, że jest to integralna część treningu. Bieganie jest konieczne do poprawienia kondycji. Siłownia, oczywiście robiona w odpowiedni sposób, poprawia siłę niezbędną w walce. Do tego dodałbym jeszcze treningi funkcjonalne oraz ćwiczenia poprawiające mobilność i koordynację ruchową. To wszystko razem daje najlepszy efekt.

SKOŃCZYŁEŚ FILOZOFIĘ NA UWM, CO NIE JEST RACZEJ TYPOWE DLA ZAWODNIKÓW WALCZĄCYCH NA RINGU. W PEWNYM WYWIADZIE WSPOMNIAŁEŚ, ŻE SZCZEGÓLNIE INTERESUJESZ SIĘ FILOZOFIĄ PRAKTYCZNĄ. MÓGŁBYŚ ROZWINĄĆ TEMAT? JAK TO SIĘ MA DO TWOJEGO ŻYCIA NA CO DZIEŃ?

Nie wiem, czy jest jakoś bardzo typowe, ale też nie chciałbym, żeby fighterzy byli postrzegani jako półmózgi (śmiech). Wbrew pozorom nasze środowisko jest bardzo kumate. Co do filozofii to zgadza się, jestem filozofem z dyplomem. A co do

praktycznego podejścia do tematu, to dla mnie zawsze najważniejsze jest działanie. Czyli wywodząc gdzieś tam od Arystotelesa, filozofia praktyczna to taka, która przekłada się na realne działanie, ma wpływ na rzeczywistość, zmienia coś w życiu ludzi. Przede wszystkim etyka, filozofia społeczna, filozofia polityki. Takie tematy mnie interesują i staram się to, co jest dla mnie istotne, przekładać w praktyce na osobiste wybory.

OD ILU LAT JESTEŚ STRAIGHT EDGE? OBSERWUJĄC SIEBIE I OTOCZENIE, JAKIE DOSTRZEGASZ PLUSY ABSTYNENCJI?

To zbiega się jakoś z tym, od kiedy trenuję muay thai, czyli jakieś 12, 13 lat. Kurczę, plusy są ewidentne – nie robisz głupot i masz więcej hajsu w portfelu (śmiech). A tak serio to jest to trochę rozwinięcie poprzedniego pytania. Moje praktyczne wybory, które gdzieś tam podjąłem po wcześniejszej analizie. Moja próba znalezienia odpowiedzi, jak można szczęśliwie i w sposób w miarę wolny żyć. Wolność, szczęście, odpowiedzialność za siebie to dla mnie takie ważne wartości. Bycie sXe pomaga mi to wcielać w życie.

CO CIĘ PRZEKONAŁO DO WEGANIZMU? ZAUWAŻYŁEŚ JAKĄŚ ZNACZĄCĄ RÓŻNICĘ W FUNKCJONOWANIU SWOJEGO ORGANIZMU PO ZMIANIE DIETY?

Początek ten sam jak u każdego – otoczenie, znajomi, muzyka. A potem książki, studia, obserwacja własnego organizmu. Wszystko to tylko utwierdzało mnie w słuszności mojego wyboru. Najważniejsze oczywiście są dla mnie pobudki etyczne. To kolejny przejaw filozofii praktycznej w moim życiu. Ale jeśli chodzi o zdrowie, to wpływ weganizmu jest dla mnie równie ważny. Nigdy nie miałem na diecie bezmięsnej żadnych problemów zdrowotnych, a co więcej, wcześniejsze kłopoty, np. z alergią, znacząco się zmniejszyły lub wręcz zniknęły.

CIĘŻKIE BYŁY POCZĄTKI? JEST DANIE, KTÓREGO DO DZISIAJ NIE UMIESZ PRZYRZĄDZIĆ? A MOŻE STAŁEŚ SIĘ PRAWDZIWYM MISTRZEM KUCHNI?

Nigdy nie było ciężko, a to dzięki mojej kochanej mamie. Nie było ciężko, bo nie robiłem nic na siłę. Nie chodziło o to, że muszę wytrzymać bez mięsa. Chodziło o to, że ja po prostu szczerze nie chcę go na swoim talerzu. A mamusia podołała zadaniu i leciała obiadki na kilka garów, dopóki sam się nie ogarnąłem i nie zostałem mistrzem kuchni (śmiech). Moje popisowe danie to wegańskie tajskie massaman curry.

PRZY TWOIM INTENSYWNYM ŻYCIU, JAK WYGLĄDA TYPOWA DZIENNA DIETA? STOSUJESZ SUPLEMENTY?

Typowa dieta... Szczerze mówiąc, to pomimo stażu cały czas eksperymentuję i rozwijam się. Jeżdżę na rozmaite szkolenia i próbuję na sobie, co działa, a co mniej. Przechodziłem różne fazy i różne sposoby ułożenia dziennej diety, ale obecnie mam tak, że staram się zjeść ze 4, 5 posiłków dziennie. Oczywiście staram się unikać słodyczy, ale wiadomo, jak bywa (śmiech). Rano wjeżdżam z posiłkiem białkowo-tłuszczowym, jak mam czas, to robię „jajecznicę" z tofu, albo tofu w innej postaci, jakaś pasta z awokado, soczewicy albo hummus. Jak mam mniej czasu albo lecę na poranny trening, to śniadanie płynne – kawka z odżywką białkową, mlekiem roślinnym i olejem MCT. Potem w ciągu dnia ze 2 przekąski, owoce, dobre batony energetyczne. Obiad, wiadomo, jakiś ryż lub makaron z warzywami. A na noc najbardziej węglowodanowy posiłek z całego dnia. Co do suplementów to – jak już wspomniałem – białko. Do tego ashwagandha, kreatyna, beta alanina, witamina D3 i witamina B12.

NA CO NALEŻY ZWRÓCIĆ SZCZEGÓLNĄ UWAGĘ PRZY REGULARNYCH ĆWICZENIACH NA DIECIE ROŚLINNEJ?

Przede wszystkim trzeba zwrócić uwagę na to, żeby dieta była zbilansowana. Na samym ryżu nie pojedziesz. Wszystko jest ważne – makroelementy oraz wszystkie mikroskładniki. Tylko zbilansowana dieta i odpowiednia suplementacja pozwalają na najbardziej efektywny trening.

JAK WAŻNY W TRENINGU JEST PROCES REGENERACJI? SĄ JAKIEŚ SPECJALNE METODY, BY GO ULEPSZYĆ BĄDŹ PRZYSPIESZYĆ?

Jest bardzo ważny! Jestem z tych, którzy uważają, że regeneracja, odpoczynek to też element treningu. Oprócz diety bardzo istotny jest dobry sen. Odpowiednia ilość przespanych godzin, ale również jakość tego snu. Ciało musi mieć czas na to, aby tkanki się odbudowały. Ważne są nawyki, to, aby tak ułożyć dzień, żeby znalazł się w nim czas na odpoczynek. Obecnie modne są również zabiegi ułatwiające i przyspieszające regenerację: rollowanie, akupunktura, kriokomory itd.

A JAK UKŁADA SIĘ TWOJA WSPÓŁPRACA Z OTWARTYMI KLATKAMI W RAMACH AKCJI „JASNA STRONA MOCY"? NA CZYM POLEGA?

Współpraca układa się wybornie. Dostałem propozycję reprezentowania kampanii Jasna Strona Mocy jako jej ambasador i od razu się zgodziłem. Jest to bardzo potrzebna akcja. Pokazuje naocznie przykłady sportowców, którzy będąc od lat na diecie bezmięsnej, osiągają sukcesy w swoich dziedzinach. Świetne jest to, że nie skupia się ona tylko na wielkich światowych symbolach wegańskiego sportu, ale pokazuje też sylwetki lokalnych zawodników, którzy również mają się czym pochwalić. Bardzo podoba mi się w kampanii także to, że jest prowadzona bez takiego ideologicznego zadęcia. Nie ma na siłę przekonywać tylko pokazywać pozytywne przykłady i podsuwać przydatne informacje. Często, jako ambasadorzy, jesteśmy zapraszani na różnego typu spotkania, dyskusje, festiwale promujące JSM. Dzieje się!

MÓWISZ O WEGANIZMIE PODCZAS TRENINGÓW? JAKIE SĄ REAKCJE, KIEDY KTOŚ DOWIADUJE SIĘ, ŻE TRENUJESZ SPORTY WALKI I NIE JESZ MIĘSA? CZĘSTO SŁYSZYSZ PYTANIA W STYLU „SKĄD BIERZESZ BIAŁKO"?

Nie jest tak, że nakłaniam kogoś do czegokolwiek. Bardziej jest tak, że gadamy z zawodnikami, co się sprawdza, a co nie. Na czym lepiej się trenuje. Jak zrobić wagę do startu itd. Wymieniamy się doświadczeniami. Czasem coś im podrzucę i skorzystają. A co do nowych osób, kiedy dowiadują się, że trener nie je mięsa, to jest szok i niedowierzanie (śmiech). Wiadomo: Ale skąd bierzesz białko??? Klasyk, ale po latach nie robi już to na mnie wrażenia.

JAKI JEST WEDŁUG CIEBIE NAJBARDZIEJ ABSURDALNY MIT DOTYCZĄCY WEGANIZMU?

Jest ich wiele, ale taki naj, naj to chyba właśnie ten z mojej działki, czyli że będąc wege, nie ma opcji osiągnąć sportowego wyniku. To, że będziesz mały, słaby, anemiczny itd. Ale ten mit, jak i wiele innych, weryfikuje rzeczywistość.

BRAŁEŚ UDZIAŁ W TURNIEJU „TRENUJEMY NAWET W DESZCZ". JAK OCENIASZ TAKIE WYDARZENIA? MYŚLISZ, ŻE CAŁA IDEOLOGICZNA OTOCZKA IM TOWARZYSZĄCA (TJ. ANTYFASZYZM) JEST POTRZEBNA?

Brałem udział w toruńskiej imprezie nie raz. Sami w Olsztynie też kiedyż organizowaliśmy podobne wydarzenie – „Czerwona kartka rasizmowi". No co, każda taka impreza, gdzie można pokazać, że ludzie powinni się łączyć, a nie dzielić, jest potrzebna. Moje podejście do antyfaszyzmu może nieco się zmieniło od czasów małolata, ale niewątpliwie nie jestem w stanie zaakceptować idei opartej na takim wykluczającym podejściu do człowieka jak rasizm czy jego polityczny przejaw, czyli faszyzm. W Polsce obecnie niestety widzimy powrót do tego rodzaju postrzegania rzeczywistości, ale w dużej mierze jest to wg mnie swego rodzaju bezrefleksyjna moda. Myślę, że z większością osób z tamtych kręgów można nawet normalnie pogadać. No, może nie licząc tych leśnych ludków, co lubią sobie zjeść tort ze swastyką z wafelków (śmiech). Niemniej jednak jest to spory problem i akcje sprzeciwu, jak np. ta toruńska czy poznańskie Freedom Fighters są bardzo potrzebne.

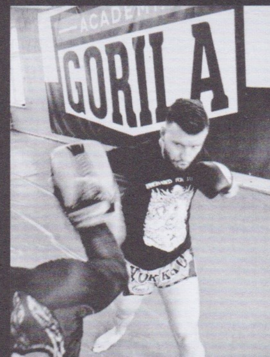
ROZUMIEM, ŻE PODCZAS ZAPISÓW NA TRENINGI NIE PYTASZ LUDZI O POGLĄDY. ZDARZYŁY CI SIĘ SYTUACJE, KIEDY KTÓRYŚ Z ZAWODNIKÓW UJAWNIŁ SIĘ JAKO NP. ZWOLENNIK SKRAJNEJ PRAWICY?

He, he, nie nie mam specjalnej ankiety (śmiech). Całe szczęście takie jednostki omijają nasz klub. Pewnie wynika to też z faktu atmosfery, o której wcześniej wspomniałem. Ja nie patrzę na ludzi w ten sposób. Nie oceniam i staram się, żeby każdy się dobrze czuł. Jeżeli ktoś trenuje i nie przeszkadza mu, że są z nim na macie różni ludzie na równych prawach, czy to kobiety, czy osoby o innym kolorze skóry, obcokrajowcy, to jest w Gorylu mile widziany. Raz tylko miałem sytuację, że zaplątał się gość z wytatuowanymi na ciele oznakami wyższości białej rasy, no i co... szybko się pożegnaliśmy.

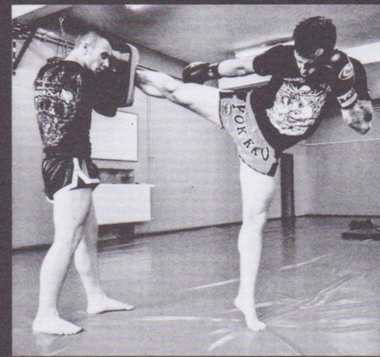
JAKIE SZTUKI WALKI NAJLEPIEJ SPRAWDZIŁYBY SIĘ W SYTUACJI WYMAGAJĄCEJ SAMOOBRONY?

To jest ciężkie pytanie, bo trening na sali a sytuacja zagrożenia na ulicy nie przekłada się w stosunku 1:1. To są inne światy. Według mnie dobrze jest trenować cokolwiek, bo to zwiększa twoją pewność siebie, a także uświadamia ci, jakie są







zagrożenia, przez co jesteś w stanie uniknąć większości niepotrzebnych starć. Dobrze jest mieć techniczne umiejętności i w razie konieczności ich użyć, jednak sytuacja na ulicy rządzi się innymi prawami. Jest dużo zmiennych. Według mnie żadna sztuka walki nie przygotuje cię w 100% do ulicznych akcji, więc najlepiej ich unikać.

UCZYSZ TEŻ WF-U W PUBLICZNEJ SZKOLE. JAKIE MASZ RELACJE Z MŁODZIEŻĄ? SPEŁNIASZ SIĘ JAKO PEDAGOG? TO PRAWDA, ŻE MŁODE POKOLENIE JEST ROSZCZENIOWE I ROZPIESZCZONE?

Tak, uczę i lubię to. Lubię kontakt z młodzieżą i cieszę się, kiedy uda mi się coś im przekazać. Wychowanie fizyczne to nie tylko gra w gałę. To szeroka gama sportów, ale także dużo umiejętności i wiedzy, które uczniowie powinni nabyć. Niestety często jest to droga przez mękę. Młodzież jest oporna i nie chce im się w szkole przykładać do swojego rozwoju fizycznego. Uważają, że albo w ogóle nie jest im to potrzebne, albo wolą iść po szkole na siłkę, więc w czasie lekcji im się nie chce. Ale staram się jakoś ich zaciekawić i jeśli widzę, że ktoś jest zainteresowany, to działamy. Nie chcę oceniać całego pokolenia, ale niestety obserwując młodzież na przestrzeni lat, widzę zmianę na minus. Faktycznie coraz mniej są skorzy do współpracy, a coraz częściej myślą, że wszystko im się należy. Ale jak mówię, nie są to wszyscy i nie zawsze, więc nie ma co narzekać.

A MODA NA ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH I NACJONALIZM DALEJ JEST WŚRÓD DZIECIAKÓW ZAUWAŻALNA?

Trochę już o tym mówiłem wcześniej. Jest to problem. Ale jak sam zauważyłeś w pytaniu, jest to raczej moda. Czyli taki bezrefleksyjny, niepoparty głębszym przekonaniem sposób przejmowania stroju, zachowań itd. Jak pogadasz z chłopakami, którzy noszą te koszulki z wyklętymi, to jest miazga. Z jednej strony żal, bo masz chłopaka w bluzie Powstania Warszawskiego z kotwicą i gadasz z nim, a gość nawet nie zna daty jego wybuchu. I szuka na tej bluzie daty, ale niestety ten model mówi tylko, że: Cześć i chwała bohaterom. Ale z drugiej strony to właśnie pokazuje, jak to wszystko jest płytkie i może będzie tak jak w kawałku Apatii: „Dla nich te ideały oznaczają siłę, mamy nadzieję, że kiedyś im to minie".

NIEDAWNO WRÓCIŁEŚ Z MIESIĘCZNEJ WYPRAWY DO TAJLANDII. JAK BYŁO? JAKIE SĄ NAJWIĘKSZE RÓŻNICE MIĘDZY TAJSKIM A POLSKIM PODEJŚCIEM DO SPORTÓW WALKI?

O człowiekuuu! Było najlepiej! Dobra, kończymy gadkę, wracam tam! (śmiech). Nie no, naprawdę było rewelacyjnie. To chyba dotychczas moja podróż życia. Tajlandia to inny świat, we wszystkim – pogoda, zachowanie ludzi, podejście do życia. Jestem bardzo na tak! Podejście do sportów walki, a w zasadzie do muay thai, bo innych tam raczej nie ma, jest zupełnie różne od tego za Zachodzie. Wiadomo, to jest ich sport narodowy. Traktują to jako coś ważnego w kulturze. Niestety zauważa się też powoli wpływ Zachodu, np. wzrost popularności piłki nożnej, co jest powodem tego, że część młodych Tajów zna bardziej Roberta Lewandowskiego niż zawodników boksu tajskiego. Ale starsi ludzie mają zupełnie inny stosunek. Jak trenujesz, walczysz, to jesteś kimś. Muay thai to dla nich sposób życia, sposób wyjścia z biedy. Dlatego też rozpoczyna się tam treningi i walki od najmłodszych lat, żeby pomóc w utrzymaniu rodziny. Tajlandia to w większości biedny kraj, ale mimo to ludzie wydają się jacyś tacy szczęśliwsi. A co do samych treningów – są bardzo ciężkie i wymagające. Od poniedziałku do soboty, sześć dni w tygodniu, dwie długie sesje treningowe dziennie. Nie każdy jest w stanie to wytrzymać na dłuższą metę. Dlatego zostają i walczą najmocniejsi.

TA CZĘŚĆ AZJI SŁYNIE Z SEKSTURYSTYKI. PODOBNO ZDARZYŁO CI SIĘ PARĘ PRZYGÓD Z TYM ZWIĄZANYCH.

He, he, zdarzyło się! Powiedzonko „Tajka, co chwyta za jajka" nie jest tam na wyrost (śmiech). Nie no, ale tak serio, to jest to poważny temat. Prostytucja to drugi, oprócz muay thai, sposób na wyrwanie się z biedy. Salony „masażu" na każdym kroku. Mnóstwo dziewczyn zajmuje się właśnie tym. Tak zarabiają na życie. Tak pomagają swoim rodzicom. Jest to przykre, ale takie fakty. Do tego bardzo duża liczba osób transpłciowych, co też przyciąga sporą rzeszę amatorów tego typu wrażeń. Tak, seksturystyka to poważna gałąź tajskiego przemysłu.

CO UZNAŁBYŚ ZA SWÓJ DOTYCHCZASOWY NAJWIĘKSZY SUKCES? JAKIE CELE MASZ JESZCZE NA HORYZONCIE?

Takie podsumowania to zawsze ciężka rzecz. Ale chyba za największy swój sukces mogę uznać fakt, że robię zawodowo to, co jest moja pasją. Zawsze tego chciałem. Robić to, co lubię. Robić coś pożytecznego dla siebie i innych. Mogę być zmęczony, padać na twarz po kolejnym ciężkim dniu, ale jak sobie pomyślę, że mógłbym tyrać bez większego sensu w jakiejś bezosobowej, międzynarodowej korporacji, to biorę głęboki oddech i wiem, że nigdy bym się nie zamienił.

CHCESZ COŚ DODAĆ OD SIEBIE?

Od siebie mogę dodać garść pozdrowień. Dla wszystkich czytelników – mam nadzieję, że was nie zanudziłem. Dla wszystkich bliskich – dzięki, że jesteście. No i co, róbcie, co kochacie, i spełniajcie marzenia, piona!

MYŚLĘ, ŻE NIE BYŁO AŻ TAK ŹLE (ŚMIECH). OGROMNE DZIĘKI ZA WYWIAD!



PIOTR DABOV

Deskorolka, anarchia, punk to absolutnie jedno i to samo, tak pojmowały to dzieciaki jeżdżące w Kalifornii na początku lat osiemdziesiątych. Forma buntu, indywidualność, takie są korzenie deskorolki, a fakt, że jest to sport olimpijski, w żadnym stopniu nie zmieni pochodzenia skateboardingu.

ROZMAWIA: MARCIN/
ZDJĘCIA: ARCHIWUM PIOTRA/

■Zima, przymusowy odwyk od deskorolki. Objawy odstawienia tego uzależnienia coraz silniejsze, szczególnie kiedy słońce za oknem jaśniej zaświeci, a triki na fingerboardzie już nie wystarczą. Jeszcze miesiąc, może dwa. Na razie mogę sobie pozwolić jedynie na rozmowę o desce. A jeśli choć trochę interesujesz się skateboardingiem i żyjesz w Polsce, prędzej czy później musisz natknąć się na tego gentlemana. Piotrek katował kawałek drewna na kółkach w czasach, kiedy większość dzisiejszych bywalców skateparków nawet się jeszcze nie urodziła. Poobijane kolana, niemalejąca zajawka i upór, a jednocześnie chwile zwątpienia i słabości. Człowiek z krwi i kości, a nie odrealniona ikona. I w dalszym ciągu, pomimo czterdziestki na karku, potrafi skleić stylowy triczek. Kilkanaście lat temu postanowił spełnić swoje marzenie i założył pierwszą w kraju markę deskorolkową z prawdziwego zdarzenia – POGO. Deski, ciuchy, skate filmy, wyjazdy. Nieoczekiwanie w jego życiu znalazło się także miejsce na jogę i weganizm. Jak do tego doszło? Przed wami Piotr Dabov.

JESTEŚ PODOBNO „JEDNYM Z NAJSTARSZYCH SKEJTÓW W POLSCE". JAK WYGLĄDAŁY POCZĄTKI SKATEBOARDINGU NAD WISŁĄ? CO CIĘ DO NIEGO PRZYCIĄGNĘŁO?

Po transformacji z ciężkiego, szarego komunizmu dorastające dzieciaki chciały kolorów, dosłownie i w przenośni. Filmy na VHS takie jak „Akademia Policyjna 4", „Powrót do przyszłości", „Mistrz deskorolki" plus niezależna scena punk, hardcore trwale zainfekowały młodych chłopaków, którzy rzucili się w wir deski na czterech kółkach.

MIAŁEŚ NIEPOWTARZALNĄ OKAZJĘ OBSERWOWAĆ EWOLUCJĘ DESKOROLKI W NASZYM KRAJU. BYŁY W TEJ HISTORII JAKIEŚ WYJĄTKOWE, REWOLUCYJNE MOMENTY, KTÓRE SZCZEGÓLNIE UTKWIŁY CI W PAMIĘCI?

Zdecydowanie było takich momentów kilka. Na początku lat dziewięćdziesiątych z pewnością powstanie skateshopu na ulicy Smolnej w Warszawie, gdzie odbywały się pielgrzymki skaterów z całego kraju, postać Ryszarda Burakowskiego, dzięki któremu powstała cała łódzka scena. Potem zawody Motława Cup i Lurys Cup w połowie lat dziewięćdziesiątych. I już w dwutysięcznych pierwsze skate toury jak California Tour, Bomba Tour i na pewno zetknięcie się ze światową deskorolką na Mentor Session, Etnies European Open, aż po toury amerykańskich teamów, szczególnie pierwszy polski Bones tour.

JAK WYGLĄDA OBECNIE TWOJE OSOBISTE PODEJŚCIE DO DESKI? DUŻO SIĘ W NIM ZMIENIŁO OD CZASÓW, KIEDY ZACZYNAŁEŚ?

Właściwie to nic, ha, ha! Jedna miłość. Odskocznia. Przyjemność jest cały czas. Niestety z racji faktu, że z deskorolką związana jest moja praca, co wiąże się z nieustannymi zobowiązaniami typu filmy, zdjęcia, prowadzenie szkółki czy team managing poskiego teamu Vans, niestety bardzo rzadko zdarza mi się pojeździć tylko dla siebie. To jak miłość na odległość, takich chwil mam zdecydowanie za mało.

PEWNIE CZĘŚĆ TWOICH RÓWIEŚNIKÓW STWIERDZIŁABY, ŻE „DALEJ SIĘ BAWISZ, ZAMIAST ZNALEŹĆ PRAWDZIWĄ PRACĘ" LUB „ŻE WYGŁUPIASZ SIĘ, CIĄGLE UDAJĄC NASTOLATKA". CO BYŚ TAKIM OSOBOM ODPOWIEDZIAŁ? CZYM JEST DLA CIEBIE DOROSŁOŚĆ?

Dorosłość to zobowiązania. Podatki, zarabianie pieniędzy, rutyna, codzienność, a przede wszystkim odpowiedzialność. Najważniejsze są dla mnie moje dzieci, Szymek, Ida, mój najmłodszy syn Antek i moja narzeczona Anisa. Rodzina i dzieci to motor do działania.

CO PRAWDA WYCHOWAŁEM SIĘ NA GRACH TONY'EGO HAWKA, W KTÓRYCH TRZEBA BYŁO WALCZYĆ O PUNKTY I ZŁOTE MEDALE, JEDNAK W MOICH OCZACH SKATEBOARDING OD ZAWSZE WIĄZAŁ SIĘ Z BUNTEM, NONKONFORMIZMEM, BYCIEM TROCHĘ TAKIM WYRZUTKIEM SPOŁECZNYM. DUŻO W TYM PUNKA, NIE SĄDZISZ?

Deskorolka, anarchia, punk to absolutnie jedno i to samo, tak pojmowały to dzieciaki jeżdżące w Kalifornii na początku lat osiemdziesiątych. Forma buntu, indywidualność, takie są korzenie deskorolki, a fakt, że jest to sport olimpijski, w żadnym stopniu nie zmieni pochodzenia skateboardingu.

WAŻNYM ELEMENTEM PUNK ROCKA BYŁA I JEST DALEJ IDEA DIY. JAK TO PRZEKŁADA SIĘ NA ŚWIAT DESKOROLKI?

DIY w deskorolce to obecnie budowanie na nielegalu betonowych ramp, quarterów, bowli czy innych miejsc do jazdy. Takie skejtowe squotowanie, budujące lokalne społeczności jeżdżących. Praktycznie w każdym większym mieście na świecie jest takie DIY, a wśród skaterów to określenie kojarzy się właśnie z takimi nielegalnymi spotami.

A JAK, W ODNIESIENIU DO NIEZALEŻNOŚCI I TEJ BUNTOWNICZOŚCI, OCENIASZ KOMERCJALIZACJĘ DESKOROLKI? CZY POJAWIAJĄ SIĘ WARTE UWAGI ALTERNATYWY DLA SKATE BIZNESU?

Deskorolka wchodzi na olimpiadę. Wiąże się to z tym, że coraz więcej firm będzie chciało na tym zarobić. Nie ma co ściemniać, taką szansę należy wykorzystać w celu propagowania deskorolki, nie sprzedać wszystkiego, co się kocha ludziom czy firmom, które wchodzą w ten świat jedynie dla zysku, tylko trzeba to zrobić umiejętnie, czyli w nawiązaniu do korzeni.

Z PERSPEKTYWY CZASU – CO DAŁ CI TEN KAWAŁEK DREWNA, A CO ODEBRAŁ/UNIEMOŻLIWIŁ?

Skateboarding to prawie całe moje życie. Siedzę w tym od ponad ćwierć wieku. Miałem okazję być w tym od samego początku tworzenia się w naszym kraju aż do aktywnych działań do chwili obecnej. Od młodzieżowych akcji, jarania jointów, wygłupów jak jackass, zawodów, przez sportowe, trenerskie działania czy managerowanie polskiego teamu Vans. Z pewnością nie jest to łatwy kawałek chleba. Światek deskorolki, mimo tych kilkunastu tysięcy jeżdżących, jest malutki.

JESTEŚ ZAŁOŻYCIELEM SKATE MARKI POGO ORAZ MAGAZYNU DIZASTER. MÓGŁBYŚ PRZYBLIŻYĆ POCZĄTKI TYCH INICJATYW? JAKIE CELE IM PRZYŚWIECAŁY I W JAKI SPOSÓB SIĘ W NICH REALIZUJESZ?

Pogo to bunt, to punk, to idąca prosto z serca idea stworzenia prawdziwej firmy deskorolkowej w naszym kraju. Z riderami jak rodzina, dobrymi deskami i zajebistymi ubraniami, noszonymi z przyjemnością, a nie za karę. Czasami zdaje mi się, że byłem zbyt naiwny, za dużo serca włożyłem w Pogo, czasem – że powinienem być szarą mrówką i zimnym biznesmenem, miałbym na pewno spokojniejsze życie. Dizastermag to twór, który powstał pierwotnie dla żartu. Chodziło o to, że w ówczesnych magazynach takich jak Hiro, Dosdedos, Info nie chciano za dużo Pogo, nie chciano stylu, jaki miałem, punkowej, ostrej, szczerej formy ekspresji. Miałem za dużo do napisania, do powiedzenia, więc wziąłem sprawy w swoje ręce i tak powstał pierwszy numer Dizastermag w formacie A3 rozdany na Mentor Session, bodajże w 2005. Wiersze, zdjęcia, teksty nie straciły przez lata na ostrości, co najśmieszniejsze wywołały wtedy skrajne uczucia, od palenia gazet do trzymania do dzisiaj przez wielu egzemplarzy kolekcjonerskich w domu!

OD RAZU MOŻNA ROZPOZNAĆ TWOJE ARTYKUŁY – MAJĄ CHARAKTERYSTYCZNY, ROZPOZNAWALNY STYL. NIE MYŚLAŁEŚ, ŻEBY NAPISAĆ COŚ DŁUŻSZEGO?

Tak, myślałem. Mam dużo w sobie tych liter, zdań, historii. Napalony Charles Bukowski spotkał Jima Morrisona, ale po upływie lat zaczął flirtować z buddyzmem. Kilkukrotnie przymierzałem się do tego, mam nawet rozgrzebane kilka większych tekstów. Po pierwsze, niestety nie mam na to czasu, mimo że zdarza mi się pisać bardzo szybko, tzn. moje najbardziej rozpoznawalne teksty powstawały w godzinę, może dwie. Szczerze powiedziawszy, jeśli pojawiłaby się osoba chętna wydać taką książkę, miałbym spokój finansowy na kilka tygodni, to pewnie bym na to poszedł. Ale musiałbym pisać o postaciach fikcyjnych, bo skończyłoby się na wielu pozwach sądowych, ha, ha.

CZĘSTO PODRÓŻUJESZ. NIE BRAK CI STABILIZACJI, ZWIĄZANIA SIĘ Z JEDNYM MIEJSCEM NA STAŁE?

Moje miejsce to Łódź. Jestem dumny z pochodzenia. Jest takie określenie "Lodzermensch", które interpretuję jako osobę przedsiębiorczą w tyglu polsko-żydowsko-niemieckiego miasta. Z racji pochodzenia mam siłę przebicia i określony styl, z którego jestem dumny, wiem, że moje miasto cały czas rośnie, a ten syf i szarość, i kominy to jego wilgotne piękno. Przez chwilę myślałem, że wyląduję w Portugalii nad oceanem. Domek i surfing. Być może tak skończę, tak ucieknę. Byłem w wielu miejscach, Europa plus minus wszędzie jest podobna, w Kalifornii niczym się nie wyróżniam w tłumie, chciałbym zobaczyć Indie, Nepal.

WYMIEŃ TRZY NAJLEPSZE MIEJSCÓWKI NA ŚWIECIE.

Chodzi, jak rozumiem, o spoty deskorolkowe? Mój lokalny bowl, Park im. Igora Kowalewskiego w Łodzi, Ceramica DIY, Portugalia, Venice Skatepark, Kalifornia.

WYJAZDY, ZAWODY, SZKÓŁKA DESKI, MAGAZYN, CIUCHY... DUŻO TEGO! SKĄD NA TO WSZYSTKO BIERZESZ SIŁĘ I ZAJAWKĘ?

Nie mam siły. To orka i non stop zapierdol. Czasem zastanawiam się, po co to robię. Brakuje mi przyjaciół, którzy ze wspólną pasją, a nie tylko dla kasy, pociągną to ze mną.

JAK WYGLĄDAŁA TWOJA DROGA DO WEGANIZMU? POSTRZEGASZ GO W RAMACH STYLU ŻYCIA, DIETY CZY MOŻE KWESTII ETYCZNEJ?

Z wegetarianizmem spotkałem się na początku lat dziewięćdziesiątych wraz z koncertami kapel punk/hardcore na Wunderwave w Łodzi, które przywoziły ze sobą różne nowinki z Zachodu. Pamiętam jeszcze, jak dwadzieścia lat temu śmiałem się z wegetarian. Wszystko odmieniła joga. Po ciężkiej kontuzji barku zacząłem praktykować jogę. Przez pierwsze lata w mękach otwierałem ciało, a wraz z tym umysł. Niejedzenie mięsa wyszło prozaicznie, byłem dość "sztywny", a gdzieś usłyszałem, że dzięki wegetarianizmowi mogę być bardziej rozciągnięty. To wszystko to był proces na poziomie dziesięciu lat co najmniej. Wielokrotnie odwiedzałem też mojego przyjaciela Adama, starego punka, który osiadł w Lizbonie i od lat gotuje w zdrowy sposób. Weganinem jest się z serca przede wszystkim, to trzeba poczuć, dojrzeć do tego. Dopisywanie jakichkolwiek etykietek uważam za zbędne.

CO JEST WEDŁUG CIEBIE KLUCZEM DO SKUTECZNEGO PROMOWANIA PRAW ZWIERZĄT?

Nic. Praca u podstaw. Zaczynasz od siebie. Budujesz świadomość wokół. Po prostu nie kupujesz mięsa czy produktów odzwierzęcych. To ewolucja, prędzej czy później wszyscy będą weganami (może nie za mojego życia, ale będą, ha, ha).

Z JAKIMI MITAMI NA TEMAT DIETY ROŚLINNEJ NAJCZĘŚCIEJ MUSISZ SIĘ MIERZYĆ?

Klasyk, czyli to, co wszyscy. Niedobory, słabość fizyczna, że zwierzęta mają instynkt, a nie uczucia (O! I niestety jak słyszę coś takiego, nie ręczę za siebie). Prócz złamanej nogi ostatnio, jak na 42 lata jestem w dobrym stanie fizycznym i na pewno nie zamierzam przestać jeździć.

WRACAJĄC JESZCZE NA MOMENT DO PODRÓŻY – WIELE OSÓB TWIERDZI, ŻE BYCIE WEGANINEM W DRODZE NIE JEST ŁATWE. MASZ NA TO JAKIEŚ SWOJE WYPRACOWANE METODY, SPECJALNE DANIA, KTÓRE DOBRZE SIĘ SPRAWDZAJĄ, GDY PODRÓŻUJESZ?

Zazwyczaj wszystkie moje wyjazdy łączą się z aktywnością fizyczną, jazdą na deskorolce, snowboardzie. Niestety nie ma co ściemniać, ale w podbramkowych sytuacjach robię sobie dzień dziecka, czyli opcja wegetarianin: jem pączka, coś z serem, jest to oczywiście ostateczność, ale się zdarza.

SZUKAJĄC NA CIEBIE HAKÓW, DOKOPAŁEM SIĘ FAKTU, ŻE UCZESTNICZYŁEŚ W PROGRAMIE „UGOTOWANI". OGLĄDAJĄC TO, OD RAZU PRZYPOMNIAŁEM SOBIE TE WSZYSTKIE KRĘPUJĄCE WIZYTY U RODZINY, ZNAJOMYCH, PEŁNE NIEZRĘCZNYCH SYTUACJI SPOWODOWANYCH MOIM WEGANIZMEM.

To nie jest żaden hak! Z pewnością byłem jedynym uczestnikiem programu "Ugotowani", który nigdy wcześniej go nie oglądał! Akurat byłem w bardzo aktywnym okresie mojego życia, totalnie w rozjazdach. Gdzieś, kiedyś jakaś pani zadzwoniła do mnie z pytaniem, czy chcę uczestniczyć w takowym programie (prócz ludzi, którzy zgłaszają się do programu, wyszukiwane są dodatkowo „interesujące, nietypowe osoby"). W rozmowie wyszło, że jestem weganinem, co prawdopodobnie spodobało się producentowi, bo mogło zawiązać ciekawy scenariusz odcinka. Potem była lokalna wizja mieszkania, akurat mnie nie było, no i na koniec krótki test przed kamerą. Skończyło się to tak, że wziąłem udział w programie, którego nagrywanie trwało tydzień, nie wiedziałem, o co chodzi, jak oceniać etc. Jednym zdaniem: ciekawa przygoda.

JAKIE BYŁO DANIE, KTÓRE SAMODZIELNIE PRZYRZĄDZIŁEŚ I Z KTÓREGO JESTEŚ SZCZEGÓLNIE DUMNY?

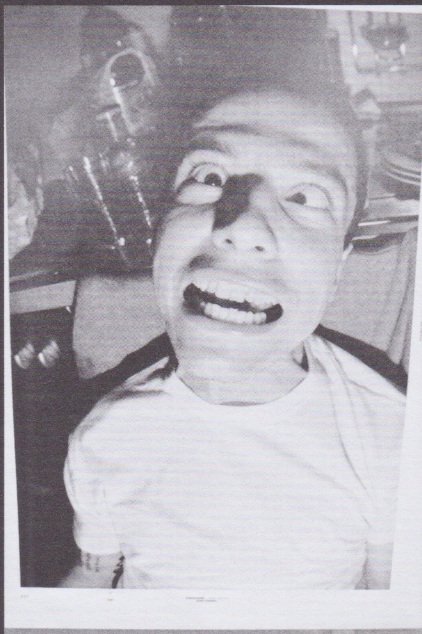
To wszystko to fristajl. Odmiany kuskusa, risotta, płatków owsianych. Proste dania, żadne dzikie węże. Z racji bałkańskich korzeni lubię ostro i z naturalnymi przyprawami.

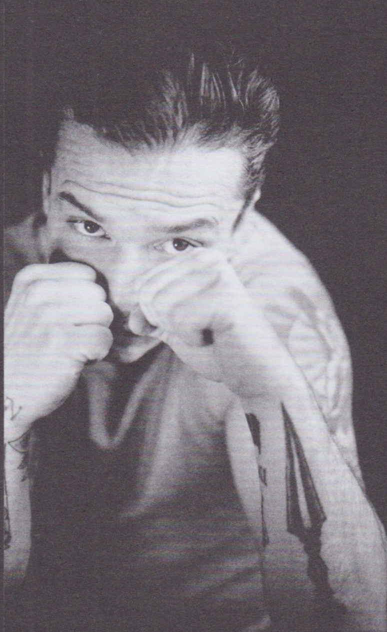
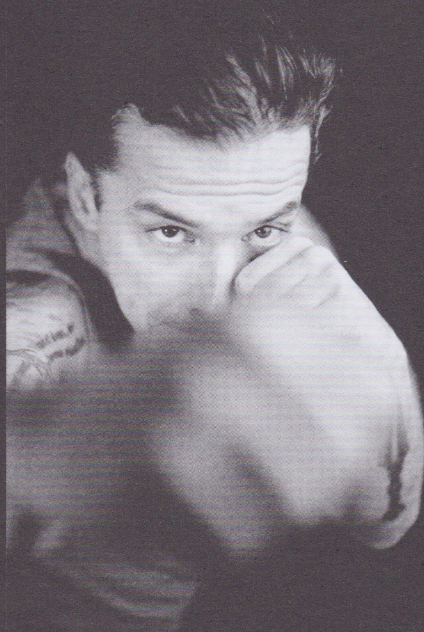
MÓGŁBYŚ POWIEDZIEĆ COŚ WIĘCEJ O PRAKTYKOWANIU JOGI? JAK WPŁYWA NA CIEBIE, TWÓJ UMYSŁ? JEST W TYM JAKAŚ GŁĘBSZA FILOZOFIA?

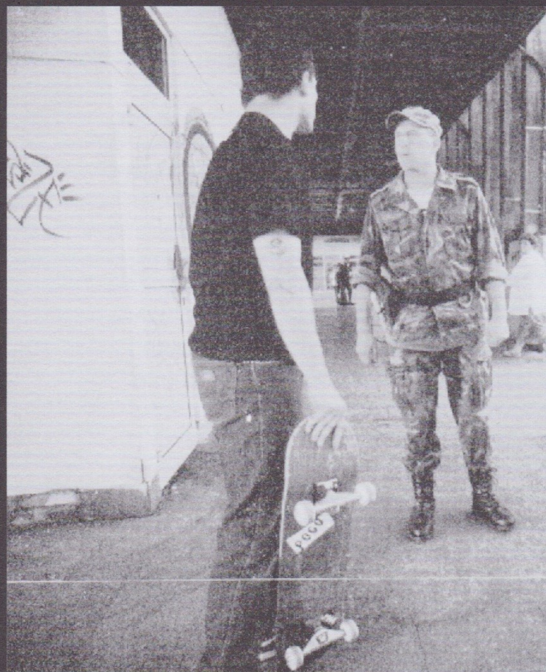
Z jogą jest trochę tak jak z myciem zębów. Nie zawsze ci się chce, ale wiesz, że jak to zrobisz, to poczujesz się lepiej. Zaczynasz od poziomu fizycznego, jakieś pozycje, rozciąganie i niektórzy na tym poziomie pozostają. Potem zaczynasz zdawać sobie sprawę, że praktykowanie wpływa na wszystkie aspekty twojego życia. Wchodzisz głębiej i poznajesz podstawowe zasady jak ahimsa (niekrzywdzenie), co odnosi się do wszystkich istot, jak i do siebie samego. Tak naprawdę to pracujesz z samym sobą, walczysz ze swoim ego, które dąży tylko do przyjemności i próżności. Praktykowałem wiele lat, byłem nawet na kursie nauczycielskim, to najlepsza praktyka, jaką znam, joginem jest się na całe życie, nawet jeśli zdarzają się przerwy.

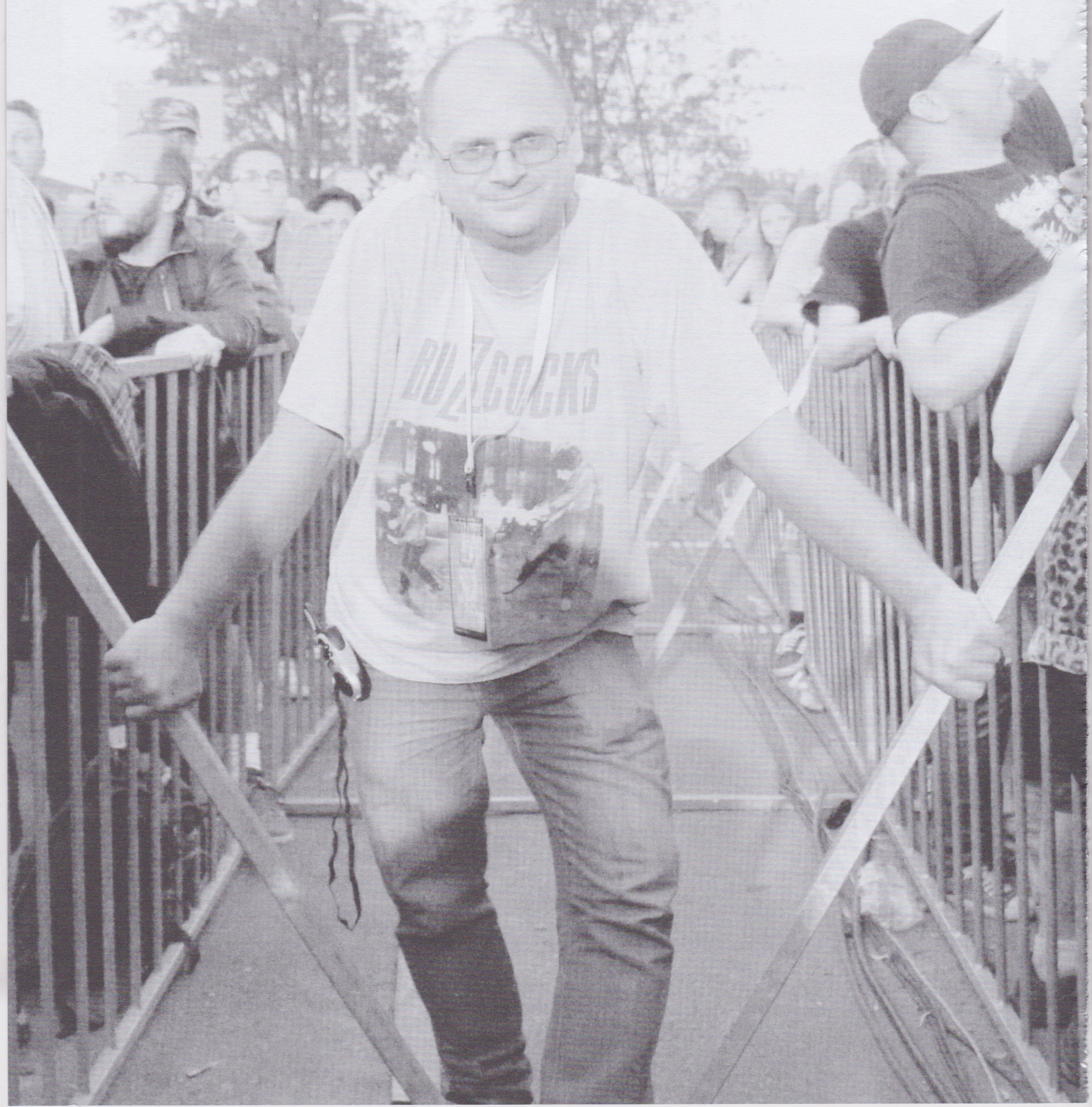
WIELKIE DZIĘKI ZA WYWIAD! CHCIAŁBYŚ NA KONIEC PRZEKAZAĆ COŚ CZYTELNIKOM?

Bądź sobą. Kieruj się sercem. Szanuj ✕




BUZZCOCKS

JACEK "ŻABA" ŻĘDZIAN

Albo się zgadzam z tym, co ktoś śpiewa, pisze, głosi, albo nie, ale nie odbieram nikomu prawa do wyrażania siebie w muzyce lub innej formie. Jakiekolwiek poczucie swojej wyższości nad kimkolwiek, z tego względu, że słucha czy gra akurat inaczej, niż mi się to podoba, trąca zwykłym scenowym faszyzmem.

ROZMAWIA: ADAM SOKÓŁ /
ZDJĘCIA: ARCHIWUM ŻABY/

Przyznaję, przeprowadzenie tego wywiadu było dosyć łatwym zadaniem, ponieważ znam Jacka większą część mojego życia, tak na oko – ponad ćwierć wieku. Poznałem go jako piętnastolatek w młodzieżowym pubie „Hades", w którym czasem odbywały się punkowe koncerty. Jacek był niekwestionowanym mentorem i ojcem chrzestnym całej lokalnej sceny małego miasteczka Mońki, w którym kapele punkowe, grunge'owe, metalowe i bluesowe pojawiały się jak grzyby po deszczu. Wiele kapel dzięki Żabie zagrało swoje pierwsze koncerty, niektóre zespoły dzięki jego znajomościom wydały swoje materiały w wydawnictwach niezależnych. Postać Żaby przypomina mi pewną scenową epokę lat 90. wielu małych miasteczek – Dębicy, Jasła, Puław, Iławy, Zagnańska, Nowego Dworu Mazowieckiego, Krosna, Łap, Kolbuszowej, Prabut itp, w których mental był inny niż załogancka rzeczywistość wielkich polskich aglomeracji miejskich i nastawiony był bardziej na relacje towarzyskie niż tylko ideowo. DIY był również w tamtych czasach zdecydowanie trudniejszy z powodów bytowo/lokalowych, a „duże" zespoły docierały zdecydowanie rzadziej do małych, prowincjonalnych miasteczek.

Z Jackiem wiążą mnie nie tylko scenowe relacje, ale zwykła, męska przyjaźń. Odwiedzaliśmy się często, jeździliśmy na imprezy, przeżywaliśmy wspólnie trudne osobiste sprawy, do dziś mamy ze sobą bardzo serdeczny kontakt, jak łyse konie, które niejedno razem przeszły.

Jacek „Żaba" Żędzian jest prawdziwym pasjonatem muzyki oraz sztuki punkowej i okołopunkowej, i chociaż większość ludzi kojarzy go z festiwalu Rock Na Bagnie, Jacka twórczość i aktywizm zaczęły się już w latach 80. Jacek, tak jak każdy z nas, ma swoje wady i zalety, tak jak każdy z nas popełnia błędy, ale cały czas się uczy, jak zaskakiwać festiwalową publiczność i wyciągać wnioski z porażek. Zadałem również Jackowi pytania, które założyłem, że chcieliby mu zadać nie tylko entuzjaści, ale i przeciwnicy festiwalu Rock Na Bagnie. A że na tzw. scenie (cokolwiek ona dzisiaj jeszcze oznacza) dyskutuje się coraz trudniej, postanowiłem owe zagadnienia podsunąć Jackowi do oficjalnego skomentowania. Rozmawiamy więc o latach 80., złotej erze punk rocka lat 90., niezależności, fanzinach, crust core, indiańskiej pasji, straight edge, a także o prawicowych zespołach i... chorobach.

COFNIJMY CZAS. WRÓĆMY DO WCZESNYCH LAT 80, KIEDY BYŁEŚ NASTOLATKIEM. WOKÓŁ KOMUNA, KONSERWATYWNE MAŁE MIASTECZKO, KILKA FABRYK ZATRUDNIAJĄCYCH KILKA TYS. LUDZI, ZE DWIE MORDOWNIE, DYSKOTEKA, ZE TRZY KLUBY SPORTOWE... NIE CIEKAWIŁO CIĘ PO PROSTU IMPREZOWANIE, JAK TO NASTOLATKI MAJĄ W ZWYCZAJU I PODRYWANIE DZIEWCZYN? CO TAKIEGO INTERESUJĄCEGO ODKRYŁEŚ W PUNK ROCKU, ŻE ZAWIESIŁEŚ SIĘ NA NIM, I WCIĄŻ, PONAD 3 DEKADY PÓŹNIEJ, WCIĄŻ W NIM SIEDZISZ PO SAME USZY?

Gdy zaczynałem swoją „punkową drogę", w Mońkach była tylko jedna „mordownia". Nazywała się „Jubilatka". Przechodziłem zawsze obok niej, idąc do szkoły i oglądałem zataczających się pod nią meneli. Jednak w pewnym momencie w centrum miasteczka powstał młodzieżowy bar o nazwie „Mikrus", w którym przez duże okno widywałem dziwnie wyglądających, starszych o kilka lat chłopaków. Później okazało się, że to ludzie związani z pierwszym na Podlasiu punkowym zespołem WS 666.

Od dzieciaka lubiłem odmienność, indywidualizm, nie ciągnęło mnie nigdy do robienia tego samego, co robią inni, więc ci goście mnie zainteresowali. Mniej więcej w tym samym czasie (możliwe, że 1979 albo 1980 r.) mój brat przyniósł od kogoś nagrania Sex Pistols z płyty „The Great Rock'n'Roll Swindle". Na pewno zdarzyło się to jeszcze przed stanem wojennym, bo płyta była wtedy nowością. Muzyką się interesowałem od zawsze, więc i tego posłuchałem, ale wydało mi się to wówczas brzydkie i dziwne. Jednak coś w tym było, bo zaczęła mnie ta brzydota w muzyce pociągać. Niedługo później poznałem The Damned, UK Subs... Odkryłem audycje Wiernika w Trójce, które długo były dla mnie główną kopalnią punk rocka, zaraz potem audycje Piotra Nagłowskiego, Sławka Gołaszewskiego... Zacząłem kupować „Non Stop" i „Magazyn Muzyczny", z tego wszystkiego wyłapywać wiadomości o punk rocku i nowej fali. Byłem z tym sam, nie znałem nikogo, kto by jeszcze tego w Mońkach słuchał, gdyż ci koledzy z WS 666 byli ode mnie o jakieś 5, 6 lat starsi, więc nie zadawali się z dzieciakiem. Kiedyś z wycieczką pod koniec 7. klasy podstawówki pojechaliśmy do Warszawy. Tam w sklepiku na dworcu zauważyłem takie węgierskie wydawnictwo „Poster", w którym były duże plakaty. Dwa mnie zainteresowały, ale że nie miałem za dużo kasy, to sobie kupiłem plakat Siouxie and the Banshees, a kolegę namówiłem, aby kupił Sex Pistols, bo to fajny zespół jest. Kolega nie znał Pistolsów, ale kupił. Dałem mu później do posłuchania ów zespół i w ogóle mu się nie spodobało. Poprosiłem więc, aby przyniósł mi do szkoły ten plakat, a ja go od niego odkupię. Transakcji dokonywaliśmy w szkolnym kibelku, w obecności kilku kolegów. Dwóch z nich chciało koniecznie zobaczyć, cóż tam mamy. Zobaczyli gości z Sex Pistols i totalnie odpadli. Poprosili, abym przyniósł do szkoły jakieś nagrania punkowych kapel.

Przyniosłem i... trzyma to ich do dziś. Byli to „Kołtun" (w latach 80. kultowa postać punk rocka w Mońkach) i „Łysy", który do dziś pomaga mi przy organizacji Rock na Bagnie. Chwilę później kolejni koledzy Kołtuna i Łysego wciągnęli się w punk rock: „Pompa", „Bebak", „Buda", „Gałun", trochę później „Wasyl". Tak więc na przełomie lat 83/84 mieliśmy tu już załogę, która wyglądem trzęsła miasteczkiem. Nie zwracaliśmy uwagi na takie rzeczy jak konserwatyzm, bo nawet nie wiedzieliśmy, co to jest. Interesował nas natomiast nasz własny indywidualizm, szokowanie przechodniów i dobra zabawa.

W DRUGIEJ POŁOWIE LAT 80. PUNK, RÓWNIEŻ W POLSCE, PRZEOBRAŻA SIĘ W HARDCORE. CO CIEKAWE, W MAŁYCH MIASTACH JEST CZĘSTO SPOWINOWACONY Z ELEMENTEM KRYMINOGENNYM I WCIĄŻ IDEOLOGICZNIE PRZEWAŻA NO FUTURE. TY JEDNAK ODKRYWASZ IDEOLOGIĘ STRAIGHT EDGE I OD 1986 R. ZACZYNASZ Z TYM RACZKUJĄCYM W POLSCE RUCHEM SIĘ UTOŻSAMIAĆ. SKĄD DOWIEDZIAŁEŚ SIĘ O SXE, KAPELACH, FANZINACH, AUDYCJACH RADIOWYCH? PAMIĘTASZ JAKICHŚ INNYCH SXE Z PODLASIA W TAMTYM CZASIE?

To mogło być nawet wcześniej, w 1985 roku. Gdzieś przeczytałem wywiad z jakimś polskim punkiem, który się naśmiewał, że słyszał o tym, że w Ameryce są takie punki, co nie piją, nie używają narkotyków, nie palą, a nawet często nie mówią brzydkich wyrazów. On twierdził w tym wywiadzie, że takie coś nie może przyjąć się w Polsce, bo mamy inną kulturę, a picie jest u nas wręcz tradycją. Wtedy sXe nie było jeszcze kojarzone z wegetarianizmem.

U mnie w domu się nie piło, więc i mnie do tego nie ciągnęło. Poza tym czasem przykro było patrzeć, jak moi punkowi koledzy coraz bardziej rajcują się nawaleniem niż zdziałaniem czegokolwiek albo nawet przeżywaniem koncertu na trzeźwo. Pomyślałem, że w końcu trafiłem na wieści o takich punkach jakim sam jestem, że jednak nie jestem sam. Z punka starałem się zawsze wyciągać pozytywy, negatywne rzeczy mnie nie interesowały. Znałem już wcześniej takie kapele jak Minor Threat, ale za cholerę nie wiedziałem, że to są takie punki właśnie.

Długo nie znałem żadnego innego sXe na Podlasiu ani w Polsce. Każdy napotkany punk raczej się dziwił na wieść o tym, że nie piję. Dopiero parę lat temu dowiedziałem się, że Kordian Michalski, podlaski artysta, autor wielu okładek płyt i grafik festiwalu Rock na Bagnie, mniej więcej w tym samym czasie co ja zaczął identyfikować się z tym ruchem. Kilka lat później (chyba '89) trafiłem na koncert UOM, wcześniej w Polsce nie słyszałem zespołu, który by śpiewał „pijesz wódkę, bo jesteś słaby". Jakoś w 1990 r., gdy zmarła dziewczyna, w której się podkochiwałem, załamałem się i pierwszy raz sięgnąłem po piwo, ale nadal nie lubię nadużywać, jednak wypić piwko od czasu do czasu w granicach rozsądku jest fajne, są jednak fajniejsze rzeczy do robienia w życiu niż uwalanie się na umór.

NOWY ŁAD W POLSCE PO '89 ROKU JEST DLA CIEBIE RÓWNIEŻ OKRESEM DUŻEJ AKTYWNOŚCI. ZACZYNASZ WYDAWANIE PUNKOWEGO FANZINA „PROWINCJAL UNDERGROUND", W KTÓRYM PROMUJESZ ROZMAITE NURTY PODZIEMNEGO GRANIA, RÓWNIEŻ METAL, REGGAE, GRINDCORE, ROCK CZY FOLK. RÓWNOCZEŚNIE ZACZYNASZ ORGANIZOWAĆ KONCERTY I GRAĆ W PIERWSZYM POWAŻNIEJSZYM ZESPOLE – WS 999. DLACZEGO WS 999 ROZPADŁ SIĘ W MOMENCIE, KIEDY MOŻNA BYŁO PRZEJŚĆ DO CZĘSTEGO KONCERTOWANIA, NAWET ZA GRANICĄ (GRALIŚCIE PRZECIEŻ W NIEMCZECH JAKO PIERWSZA KAPELA Z PODLASIA)? ZIN „PROWINCJAL UNDERGROUND" WYDAJE SIĘ ZANIKAĆ TEŻ W TAMTYM OKRESIE. CO SIĘ WŁAŚCIWIE STAŁO?

Jak zapewne pamiętasz, Mońki to mała miejscowość, w której za komuny dostęp do ksero był właściwie niemożliwy, ale i tak udało się przed jej upadkiem mnie i Kołtunowi, w porozumieniu z Zeusem, perkusistą Insektów na Jajach (stara kapela z Łodzi) wydać ich wznowienie demo z 1983 r. Na marginesie wspomnę, że około 2004/2005 roku trafiłem we Wrocławiu na czad giełdę, gdzie znalazłem na jednym stoisku piracką kopię tej kasety. Pan niezależny wydawca mógłby się pofatygować i przynajmniej mnie poinformować o zamiarze jej wydania, bo adres do korespondencji widniał na naszym oryginalnym wydawnictwie. No ale po co...

Ale do rzeczy. Po upadku komuny w końcu można było bez problemów korzystać z punktów ksero. W Mońkach posiadał go nieistniejący już zakład UNITRA i tam odbijałem pierwsze numery swojego zina. Zawsze chciałem zin wydawać, a pierwsze zagraniczne fanziny zaczęły do mnie docierać w połowie lat 80. Również polskie, takie jak „QQRYQ" i inne. Nie miałem jednak wcześniej takich możliwości. „Prowincjal Underground", na przekór zawężającej się wówczas coraz bardziej „scenie", starał się łączyć wszystkie elementy niezależności, co zresztą robię do dziś, a co wśród dziwnych, ponurych osobników nie jest mile widziane. Tak jak zauważyłeś, było w nim wszystko: punk, HC, reggae, folk... Jestem zdecydowanym przeciwnikiem robienia getta z tzw. „sceny niezależnej" od zawsze. Pierwsze 3 numery robiłem sam. Później pojawił się „Darża" i wspólnie wydaliśmy kolejnych 6 edycji. Potem „Darża" wyemigrował do USA, a ja jeszcze zmontowałem ostatni 10. numer na przełomie 1994/95 r. Gazeta się rozrosła. Ostatni numer to drukarnia i 500 egz. nakładu. Miałem trudności, żeby samemu to udźwignąć, więc zin padł śmiercią naturalną. Koncerty organizuję nieprzerwanie od lutego 1990 r.

Dodam jednak, że w ostatnich latach cały rok organizacji pochłania mi festiwal. Nie było jednak od 1990 r. ani jednego roku przerwy. Łącznie zrobiłem ponad 100 gigów, a kapel, którym zorganizowałem koncerty (łącznie z Bagnem), będzie więcej niż 700.

WS 999? Tak, to pierwszy poważny band. Wcześniejsze (Pierwsza Linia Frontu, Criminal Chaos, Macabra...) kończyły się na próbach lub paru koncertach. WS 999 wydał kilka demówek, pojawił się na kilku składankach i sporo koncertował, w tym dwa razy w Niemczech. Załamanie w zespole przyszło pod koniec 1992 r. Najpierw odszedł Tomek (gitara), chcąc grać coś innego, i pociągnął za sobą Darka (perkusja). Wydarzyło się to przed naszym drugim wyjazdem do Niemiec, w grudniu 1992 r. Drugi wyjazd w porównaniu do pierwszego był po prostu tragiczny, skład skleciliśmy na szybko, nawet ja nie pojechałem na ten wypad i zastąpił mnie „Funio" z zespołu Klaustrofobia. Z Maćkiem (druga gitara) ciągnęliśmy jeszcze WS 999 przez dwa lata, lecz nie nabraliśmy już takiego rozpędu jak z tym wcześniejszym składem. Więc z końcem 1994 r. założyłem Tomahawk, w którym połączyłem swoje fascynacje hardcore/punkiem i indianizmem.

OK, TO W TAKIM RAZIE PRZEJDŹMY DO PYTANIA O TOMAHAWK. KTO BYŁ W TWOIM ŻYCIU PIERWSZY – KAROL MAY CZY JOHNNY ROTTEN? DLACZEGO KULTURA INDIAN PÓŁNOCNOAMERYKAŃSKICH JEST DLA CIEBIE TAK CIEKAWA I ISTOTNA? TOMAHAWK JUŻ CHYBA Z ZAŁOŻENIA MIAŁ BYĆ INDIAŃSKI? ZNAŁEŚ JAKIEŚ INNE KAPELE PUNKOWE POLSKIE I ZAGRANICZNE NAWIĄZUJĄCE DO KULTURY INDIAN AMERYKAŃSKICH?

Johnny Rotten był sporo przed Karolem May'em, ale przed jednym i przed drugim byli... Indianie. Jako dzieciak uwielbiałem westerny, ale tylko te z Indianami, gdyż fascynowała mnie i wciąż fascynuje ich naturalna wolność i umiłowanie natury. Książki Karola Maya zacząłem czytać dosyć późno, bo dopiero w wieku lat 15, 16 (teraz bym po nie nie sięgnął, bo gdy się wie o życiu Indian dużo, to są one po prostu żenujące) W 1986 r. po raz pierwszy zetknąłem się z Polskim Ruchem Przyjaciół Indian podczas wystawy dotyczącej kultury Indian Północnoamerykańskich w Białymstoku. Jednak pierwszy swój zlot ruchu zaliczyłem dopiero w 1994 r. w Supraślu. Jeździłem na zloty po całej Polsce do czasu, aż bywał na nich Sat-Okh (2003 r.) – postać dla mnie wręcz bajkowa. Po śmierci Sata byłem chyba tylko raz na zlocie, aby pokazać synowi i bratanicy, jak to wygląda. Rozczarował mnie zlot po latach. Za mało natury, za dużo cepelii.

Tomahawk łączył moje dwie fascynacje: kulturę Indian i hc/punk. Wtedy mocno zaangażowałem się w sprawy polityczne dotyczące problemów Indian. Śpiewałem o tym, wysyłałem protesty i petycje do rządu USA dotyczące łamania praw rdzennych Amerykanów, wydawałem wraz z kolegą zin „Saukenuk", wygłaszałem prelekcje na spotkaniach z punkami, w szkołach, a nawet zdarzyło się nam ze spotkaniem trafić do poprawczaka.

Tomahawk działał do 2003 r., grając koncerty w całej Polsce, wydając dwie kasety. Nasza twórczość znalazła się na kilku składankach, w tym na sławnej „Muzyka Przeciwko Rasizmowi" z całą masą znanych zespołów (m.in. Armia, Dezerter, Kult, Post Regiment). Przed Tomahawkiem znałem jakieś kapele nawiązujące do podobnej tematyki, chociaż było ich niewiele i raczej temat poruszały w pojedynczych utworach lub oprawie. Z polskich to m.in. Armia i Tzn Xenna, a ze światowych – np. Broken Bones, Overkill L.A., Agent 86 czy mniej punkowy Red Box. Teraz takich zespołów jest znacznie więcej. Sami Indianie też grają punka, jak np. Blackfire z rezerwatu Navaho, z którymi gościnnie nawet śpiewał czasem Joe Ramone.

A CO MYŚLISZ O TWÓRCACH

MAINSTREAMOWYCH, TAKICH JAK SEPULTURA CZY STING, KTÓRZY WPROWADZILI SPRAWY EGZYSTENCJI INDIAN DO SHOW BIZNESU? SEPULTURA NAGRAŁA KILKA PŁYT Z MUZYKĄ ETNICZNĄ INDIAN, NAGRYWAŁA W AMAZOŃSKIM BUSZU, STING BRAŁ NA TRASY AKOMPANIUJĄCĄ GRUPĘ BRAZYLIJSKICH INDIAN ETC – MYŚLISZ, ŻE TO POMOGŁO NAGŁOŚNIĆ PROBLEMATYKĘ WYKORZYSTYWANIA I EKSPLOATACJI RDZENNYCH LUDÓW OBU AMERYK?

Jasne, co prawda Sepultura i Sting to nie moje klimaty, ale szanuję takie posunięcia w ich działalności. Każde nagłaśnianie spraw problemów tubylczych ludów ma sens, bez względu na to, czy to underground, czy mainstream. I tu już wcale mi nie chodzi o Indian, a o każdy lud, któremu grozi wyginięcie, także poprzez eksploatację ich środowiska. Jest teraz wielu artystów stających w obronie tubylczych ludów. O ile jest to robione szczerze i nie dla komercyjnego rozgłosu, to ja tych artystów szanuję.

NAJWIĘKSZA AKTYWNOŚĆ TOMAHAWKA PRZYPADA NA DRUGĄ POŁOWĘ LAT 90. WÓWCZAS BYLIŚCIE REGIONALNIE OTOCZENI PRZEZ ŚWIĘCĄCY WCIĄŻ TRIUMFY CRUST CORE. W BIAŁYMSTOKU DZIAŁAŁ SANCTUS IUDA, W EŁKU – ANTI HOSTILITY, W KOLNIE – MONOTEIZM CO-EXISTENCE, NAWET ISTNIAŁA LOKALNA MONIECKA KAPELA CRUST. TY CHYBA W TAMTYM CZASIE NIE NALEŻAŁEŚ DO WIELKICH ENTUZJASTÓW CRUSTA? ZDARZYŁO SIĘ WAM GRAĆ JAKO TOMAHAWK KONCERTY Z CRUSTOWYMI KAPELAMI? BUKOWAŁEŚ CRUSTOWE KAPELE?

Dlatego zawsze byliśmy w cieniu „sceny", bo moda na radykalizm i crust przyćmiła wszystko inne. Nie dało się w latach 90. grać koncertów, na których by nie było crustowych kapel, więc takie grywaliśmy. Miałem też znajomych crustów i bywałem na crustowych koncertach oraz sam czasem je organizowałem (ostatni raz to nawet w 2008 r. dla Nuclear Death Terror). W większości nudziły mnie te kapele. Pamiętam np. koncert Hiatus/Fleas & Lice (1995 r.), którym się do dziś fani crusta zachwycają, a dla mnie, już po dwóch kawałkach, stawało się to nudne jak flaki z olejem. Fajna energia była tylko na początku ich koncertów. Później to już jednostajny łomot. Każda crustowa kapela grała w kółko to samo i miała identyczne teksty. Dla mnie to zaprzeczenie punka – taki sam wygląd, takie same poglądy, taka sama muzyka... Mówiłem o tym już w wywiadzie do #10 „Pasażera" w 1996 r. i powtarzam dziś – to wojsko jakieś, nie punk.

Mnie bardziej interesowała droga wyznaczona przez amerykańskie kapele hard core przełomu lat 70. i 80., angielskie granie z lat 70. oraz '82 czy nowa fala i post punk niż napierdalanie w kółko tego samego. Panowie mieli piękny zwyczaj wówczas pouczania wszystkich, co to jest prawdziwy punk. Nieraz rozmawiałem z młodszymi ode mnie o 10 lat dzieciakami, którzy mi tłumaczyli, co to jest „prawdziwy punk". Gdzie teraz są te dzieciaki? Czasem widuję niektórych z nich. Zapomnieli już dawno o tym, że byli takimi „prawdziwymi punkami" – nie jedli mięsa, chodzili na demonstracje, walczyli z korporacjami itd. To samo będzie z większością współczesnych hejterów w sieci. Lubię niektóre crust kapele, jednak bez przesady: Doom, Nuclear Death Terror czy ich protoplastów Discharge i Antisect. W dużej dawce crust jest nudny. Z białostockimi crustami utrzymywałem w latach 90. luźny kontakt. Kiedyś byłem na spotkaniu z nimi i opowiadałem o współczesnych problemach Indian, czasem coś napisałem do jakiegoś zina. Nawet do sławnego „Crust" spłodziłem duży artykuł, jednak kolejny jego numer się już nie ukazał. A szkoda, bo poświęciłem na niego dużo czasu. Bywałem na koncertach m.in. Sanctus Iuda, Anti Hostility... W Mońkach koncert grali m.in. Monoteizm Co-Existence, o miejscowych z Taedium Vitae nie wspomnę. Kiedyś poszedłem na ich próbę i nie zauważyłem otwartego wejścia do piwnicy, w podłodze, w ciemnym domu, w którym grali, i połamałem sobie żebra. Zemsta crustów :) Ale żeby się jarać wówczas tą modą... Nie, dziękuję.

TOMAHAWK POD KONIEC LAT 90. STAJE SIĘ ORYGINALNYM I MISTYCZNYM ZESPOŁEM KONCERTOWYM, DOŁĄCZA KLAWISZOWIEC I CORAZ ŚMIELEJ ZMIENIA SIĘ MUZYKA, CO BARDZO DOBRZE ODDAJĄ KONCERTOWE NAGRANIA, CHOĆBY Z GOŁUCHOWSKIEJ FIESTY INDIAŃSKIEJ W 1998 R. NA KONCERTACH WYSTĘPOWALIŚCIE W TRADYCYJNYCH STROJACH INDIAŃSKICH (VIDE KROTOSZYN), PALILIŚCIE ZIOŁA, PRZED KONCERTAMI PUSZCZALIŚCIE TRADYCYJNĄ MUZYKĘ INDIAŃSKĄ. WIĘC Z JEDNEJ STRONY BYŁ AGNOSTYCKI HARDCORE PUNK, Z DRUGIEJ POLITEISTYCZNE, POGAŃSKIE WIERZENIA INDIAN, A TY SAM OD ZAWSZE JESTEŚ WIERZĄCYM, PRAKTYKUJĄCYM KATOLIKIEM. NIGDY CI SIĘ TO NIE GRYZŁO?

He, he. No i teraz wielu przeciera oczy ze zdumienia. Nigdy mnie nic nie gryzło, bo ponad wszystko stawiam zawsze szacunek do drugiego człowieka, bez względu na jego wiarę czy poglądy. To jest najważniejsze, bez tego nic się nie zbuduje, oprócz wojen i podziałów. Poza tym zawsze interesowały mnie inne kultury i wierzenia (nie tylko te indiańskie, które były bardzo różnorodne, biorąc pod uwagę obie Ameryki). No a szczerej wiary wszelacy kaznodzieje i księża mogliby się uczyć od Indian. Nie jestem bezkrytyczny wobec Kościoła i daleki od fanatyzmu, więc spoko.

Większość moich przyjaciół i znajomych to agnostycy lub ateiści i to czasem radykalni, czasem, tak jak ty, nieco odmiennej wiary – a jednak mój serdeczny przyjaciel od lat. A ja jestem natomiast przeciwnikiem, niestety, modnego ostatnio w Polsce narodowego katolicyzmu i fanów rozgłośni w Toruniu. Każdy z nas jest wolnym człowiekiem i różnie widzi świat, więc ma wolny wybór. Ale wracając do Indian, to właśnie ta ich duchowość bardzo mnie swego czasu zainteresowała i wiem, że wiele z ich wierzeń pokrywa się z chrześcijańskimi. Wystarczy tylko chcieć to zauważyć. Do ich nawracania wcale nie była potrzebna przemoc. Niestety ludzie nie lubią zagłębiać się w coś, czego nie znają i przez to sprawiają cierpienie tym, których nie rozumieją. Dotyczy to też wielu punków, których tolerancja w ostatnich latach jakoś dziwnie się zawężyła. Pamiętam wciąż słowa pewnego starego Indianina skierowane do młodych Polaków chcących zagłębiać tajniki indiańskich wierzeń – „Po co chcecie się tego uczyć? Przecież nigdy nie zostaniecie Indianami, nigdy nie poczujecie tego tak, jak czujemy to my, bo zostaliśmy wychowani w innych światach. Macie swoją religię, więc szanujcie ją i szanujmy się nawzajem". Wszystko proste: każdy inny, wszyscy równi.

WRÓĆMY NA CHWILĘ DO KONCERTÓW, KTÓRE ORGANIZOWAŁEŚ. OBLICZYŁEŚ, ŻE ZORGANIZOWAŁEŚ ICH PONAD 100. POGADAJMY O CZASACH PRZED BAGNEM I MAŁYCH, KLUBOWYCH IMPREZACH. JAKIEŚ SZCZEGÓLNE WSPOMNIENIA? NAJLEPSZE KONCERTY, KTÓRE ZAPAMIĘTAŁEŚ? NAJGORSZE, TAKIE, O KTÓRYCH CHCIAŁBYŚ ZAPOMNIEĆ I ŻAŁUJESZ ŻE JE ORGANIZOWAŁEŚ?

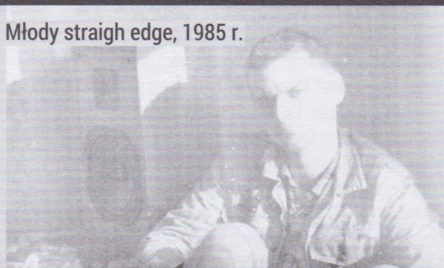
Na pewno na zawsze zapamiętam pierwszy swój koncert. Była to impreza, na której zadebiutowałem jako muzyk i jako organizator. Zorganizowaliśmy go w miejscowym kinie „Sputnik", które już nie istnieje, bez wiedzy i zgody właściciela kina. Pełna konspira i DIY, w lutym 1990. Informacja o nim rozeszła się drogą pantoflową, a sprzęt na niego przenieśliśmy własnymi rękoma z MOK, taszcząc kolumny ulicami miasta. Zagrały dwa miejscowe bandy, w których powstawaniu też uczestniczyłem – grind core'owy wówczas Criminal Chaos i death metalowa Macabra, w której gościnnie grałem na basie. Inny koncert, który pamiętam dobrze, to zorganizowany tego samego roku w MOK przegląd kapel, z udziałem Murder In Corporation (kapela powstała na gruzach Stigmatizer i jak dla mnie – protoplaści białostockiej sceny crust), Celebration, Macabra, Insane.

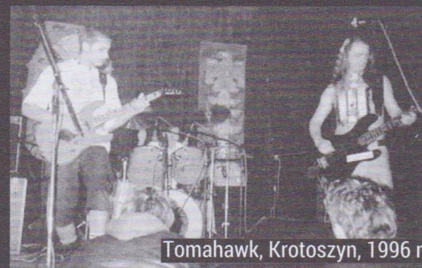
Największy natomiast koncert z takich klubowych to na pewno Pidżama Porno w 1998 r. Zespół właśnie stał u progu wielkiej kariery i ściągnął ponad 400 osób. Po raz pierwszy zostały mi po koncercie jakieś pieniądze i nie trzeba było dokładać, jak to często się zdarzało. W drugiej połowie lat 90. za organizowanie koncertów w Mońkach wzięła się też młodsza ekipa, m.in. z tobą, Adam, na czele i nieraz wspólnie organizowaliśmy fajne imprezy w „Prologu". Były tam np. Ssaki, Rumor, Spejs Braders.

Najdłużej chyba organizowaliśmy koncerty w pubie „Rokita". Wystąpiło wiele kapel. Często grali w Rokicie P.D.S czy Dumbs. Koncertowały m.in.: Junk, Plebania, Redakcja, Sexbomba, November, Hellraizer, Tempelhof, Uran, nawet twoja Manta Birostris grała. Było jeszcze wiele innych miejsc, gdzie organizowałem koncerty, nieistniejące już kluby „Cinema", „Montana", nawet w świetlicy Cechu Rzemiosł Różnych.

Jedyny, o którym chciałbym zapomnieć, to drugi przegląd kapel w MOK w maju 1991 r. Koncert ten został totalnie rozpierdzielony przez miejscową żulerkę. Zagrały wtedy The Glans, Reinkarnacja, Insane, Encroach. Nie zdążyły zagrać WS999 i Nieżas, ponieważ po koncercie Encroach na salę wpadła grupa gitowców. Rozwalili w pył całą imprezę i ganiali przyjezdnych ludzi z Białegostoku i Ełku po całym mieście. Sytuacja nie była ciekawa. Pobito wiele osób i zniszczono sprzęt, przez co sprawa swój finał znalazła w sądzie, a kilku z tych żuli mających „zawiasy" trafiło do aresztu. Nieciekawa sytuacja wydarzyła się w 2001

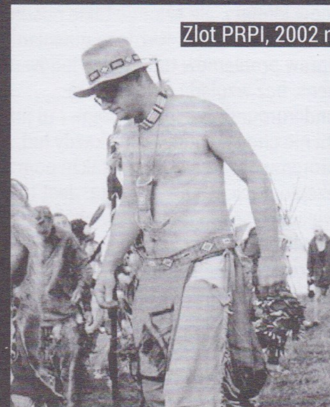

WS 999, 1990 r.

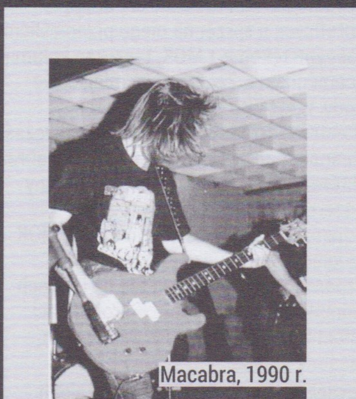

Młody straigh edge, 1985 r.


Tomahawk, Krotoszyn, 1996 r.




1990 r.


Zlot PRPI, 2002 r.


Macabra, 1990 r.


Pytający i przepytywany




Z Sat Okh, zlocie PRPI, Prostynia 1995 r.


Stage Team RnB 2017


Z Darkiem, konferansjerem RnB, 2015 r.




Z Darkiem Duszą, RnB 2013 r.


Z synem, 2015 r.





r., gdy zachciało mi się zorganizować swój pierwszy festiwal pod nazwą „Prowincjal Underground Fest". Wszystko było przygotowane do dużej jednodniowej imprezy w amfiteatrze, na 11 kapel, gdy nagle, na dwa dni przed festiwalem, dowiedziałem się, że ktoś pod osłoną nocy zdemolował skrzynkę doprowadzającą prąd pod sceną tak, że impreza nie mogła odbyć się w tym miejscu. Więc trzeba było ją przenieść do sali w Domu Kultury, gdzie nie było atmosfery festiwalowej, a salę przejęliśmy tuż po odbywającym się tam kilka godzin wcześniej weselu. Zostały w niej baloniki, serpentyny itp., zupełnie niepunkowe ozdoby.

Impreza jednak się odbyła, z tym że o 22.00 policja kazała nam ją, nie wiem czemu, kończyć, przez co skróciliśmy występ głównej atrakcji festiwalu – zespołu Coca Carola ze Szwecji. Zagrały wtedy też m.in. PDS, Rumor, Tomahawk, Anti-Holocaust, Chinook.

Co do przerywanych przez policję koncertów, to też głupio sprawy potoczyły się w czasie koncertu KSU w monieckim amfiteatrze w 2002 r. Zabawa była normalna, ludzie się fajnie bawili, a tu dostaję telefon od komendanta, że jeśli zespół nie skończy grać o 22.00, to wysyła na nas oddziały prewencji. Jakieś chore to było, bo niby za co? Legalna impreza, organizowana wówczas przez lokalny oddział „Gazety Współczesnej", która poprosiła mnie o ściągnięcie „gwiazdy" na... odbywające się wtedy wybory miss powiatu monieckiego :)

PRZEJDŹMY WIĘC DO TWOJEGO NAJBARDZIEJ DZISIAJ ZNANEGO DZIECKA – FESTIWALU ROCK NA BAGNIE. ROCK NA BAGNIE TO FESTIWAL ROCKOWY? PUNKOWY? ROCKOWY Z PUNKOWYM WKŁADEM? CO SPRAWIA, ŻE Z JEDNEJ STRONY BAGNO MA TAK WIELU ZWOLENNIKÓW I SYMPATYKÓW, A Z INNEJ (NIEKONIECZNIE NA ZASADZIE PRZECIWWAGI, BO ZWOLENNIKÓW CHYBA MA ZDECYDOWANIE WIĘCEJ) – NIEMIŁOSIERNYCH KRYTYKÓW?

Bagno od samego początku miało być festiwalem rockowym, nie punkowym, no, może z punkowym wkładem, tak jak to określiłeś, ale to dlatego, że w pierwszym składzie organizatorskim było dwóch starych załogantów – Piotr Znaniecki i ja. Więc to oczywiste, że chcieliśmy podczas tej imprezy przemycać dużą liczbę zespołów punkowych, choćby z tego względu, że cały czas byliśmy związani z tą punkową „sceną" i zależało nam na tym, aby pokazać szerszemu gronu odbiorców zespoły, które nigdy nie miałyby szansy pokazać się dla kilkutysięcznej publiczności, zagrać na wielkiej scenie i z nagłośnieniem wysokiej klasy. Zrobiliśmy to! Dzięki festiwalowi masa ludzi dowiedziała się o zespołach, o których nigdy by wcześniej nie usłyszała. Teraz często się zdarza, że te osoby kupują płyty poznanych kapel i jeżdżą na ich koncerty. Mam na to wiele przykładów.

A jednak ortodoksyjnej części sceny DIY bardzo to się nie podoba, gdyż ona woli, aby punki grały tylko dla punków. Ja nie widzę sensu w tym, aby grać i śpiewać ważne treści w tekstach czy nawet grać ciekawą muzykę wciąż dla tych samych ludzi, którzy doskonale kumają wiele spraw. Sztuką jest wyjść do publiczności, w której oprócz punków jest też duża grupa innych ludzi o różnych gustach oraz poglądach, i przekonać ich do siebie. Gdyby w latach 80. punkowe kapele nie grały w Jarocinie, Rockowisku czy nawet w Opolu, to ilu z nas znałoby dziś muzykę punkową? Czy w ogóle powstałaby jakakolwiek „scena" w RP? Zawsze byłem, jestem i będę przeciwnikiem robienia getta z punka, bo klepanie się po dupach wśród swoich nie ma sensu. Wielu scenersom się to nie podoba, ale to nie mój problem, tylko ich.

Nie podoba się też niektórym, że na Bagnie hardcorowe i post/punkowe zespoły grają obok oiowych czy też punko-polo, a jednocześnie pieprzą farmazony o tolerancji. Czasem się zastanawiam kim są ci, którzy tak namiętnie glanują inne zespoły i innych ludzi, że mają prawo kogokolwiek oceniać? Każdy ma prawo do odbioru lub wyrażania muzyki i poglądów tak, jak mu pasuje. Ja akurat słucham punk rocka od A do Z, czyli wszystkich jego odłamów, gatunków oraz odnóg i mi się muzyka podoba albo nie. Przeczytałem setki zinów, dziesiątki książek, rozmawiałem z tysiącami ludzi i albo się zgadzam z tym, co ktoś śpiewa, pisze, głosi, albo nie, ale nie odbieram nikomu prawa do wyrażania siebie w muzyce lub innej formie. Jakiekolwiek poczucie swojej wyższości nad kimkolwiek z tego względu, że słucha czy gra akurat inaczej, niż mi się to podoba, trąca zwykłym scenowym faszyzmem.

Jak czasem czytam bzdury na swój temat wszelakich hejterów, to nie wiem, czy płakać, czy się śmiać. Gdzieś wyczytałem np., że jestem królem jabol panków. Adam, znasz mnie wiele lat. Ile razy widziałeś, abym pił jabola? A jak wiele w mojej płytotece widziałeś płyt i kaset z kapelami punko-polo? W porównaniu do całego zbioru jest to niewielki procent. Same brednie... Nic trafionego. Na szczęście jest to tak wąskie grono, że mi nie zaszkodzi. Jednak jaki jest w tym cel? Nie mam pojęcia, bo krzywdy nikomu nie zrobiłem, robię to samo od 35 lat, sobie i ludziom organizuję festiwal, tracąc czas i zdrowie, niewiele z tego mając, ryzykując natomiast wiele. Nikogo nie oszukałem, staram się, aby każdy człowiek czuł się dobrze na imprezie, a jednak nie wszystkim się to podoba. Ale spoko, jak ktoś woli na jakimś innym festiwalu srać po krzakach, to jego sprawa. Ja wolę jednak, aby na imprezach, które organizuję, sranie było do opróżnianych i mytych kabin. Aby ludzie mieli możliwość umycia się, mieli fachową opiekę medyczną.

Z niedowierzaniem czytam czasem zarzuty, że na Bagnie jest ochrona, barierki i że z piwem nie można podejść pod scenę. Pogratuluję każdemu osobiście, komu w tym kraju uda się zrobić imprezę dla 6000 osób bez przestrzegania ustawy o imprezach masowych, bez pozwolenia z policji, straży pożarnej, sanepidu i tego nieszczęsnego wójta, którego wielu ma mi za złe. Ktoś powie Ultra Chaos tak jednak może. OK, na Ultra Chaos Piknik przyjeżdża jednak 6 razy mniej ludzi niż na Bagno, więc mogą ryzykować robienie imprezy do 1000 osób, która nie wymaga tylu zezwoleń co Bagno. U nas to nie przejdzie, gołym okiem widać, że liczba ludzi znacznie przekracza 1000, w związku z czym obowiązują inne przepisy i zaostrzenia. Ale powiem więcej, ja nadal uważam, że Bagno jest robione na zasadzie DIY. Sami chodzimy, gdzie się da, i zbieramy na nie pieniądze. Sponsorzy (o ile są) nie mają wpływu na nic, oprócz tego, że dajemy im możliwość zareklamowania się na imprezie czy naszych stronach internetowych. Podobnie jakikolwiek urząd – czy to gminy, starostwa czy marszałkowski – oni się cieszą, że dzięki festiwalowi na to zadupie przyjeżdża coraz więcej ludzi z Polski i zagranicy, a festiwal jest ogromną promocją dla Goniądza i Podlasia. My sami – ludzie związani z Fundacją na rzecz Rozwoju Powiatu Monieckiego, która od 2013 r. jest formalnym organizatorem Bagna – decydujemy o formie festiwalu, a za cały program odpowiadam wyłącznie ja. Chcę na festiwalu okazywać różnorodność sceny niezależnej, a nie tylko jej jedną stronę, jak by to chcieli niektórzy. Dlatego na festiwalu obok siebie mogą zagrać i Larwy Polarne z Kubą Rozpruwaczem, i Long Way To Go czy Cymeon X. Bracia i Siostry SS obok Spirit of 84, Magilla ze Zwłokami i Inkwizycja obok Wojtka z Against All Odds i Armii. [Peru], DRAH, Martim Monitz, The Analogs, The Sandals, Sedes, 1125, Dead Infection... Siła jest w różnorodności. Kto nie pojmie, że należy się wzajemnie szanować, nie ma czego na Bagnie szukać, a nawet pewnie będzie przeciwnikiem festu. No cóż, to już jego problem, że poczucie tolerancji ma nieco pomniejszone, za to zwiększone swoje własne ego. Jedno jest pewne – na pewno nie mają szans zagrać u nas zespoły o skrajnych poglądach, kapele namawiające do nienawiści i nietolerancji. Punk to różnorodność i niestety, czy się to komuś podoba, czy nie tak, było i tak będzie. Nie interesuje mnie tworzenie kolejnych podziałów, bo jest ich już i tak za wiele. Do czego to prowadzi? W ostatnich latach owe podziały zwiększyły się okrutnie. Nawet starzy przyjaciele zrywają ze sobą znajomość z powodów niezgodności w poglądach. Ludzie skaczą sobie do oczu za byle gówno. To do niczego dobrego nie prowadzi. To jest tragedia. Albo inny zarzut – na Bagno przyjeżdża zbyt dużo starych kapel i starych punków. No i spoko, mnie to cieszy. Jak chcę pokazywać całą „scenę", to całą, a nie jej wybrany, swój ulubiony skrawek. Klimat festiwalu trafił w gust wielu starym załogantom i ja się z tego cieszę. A jako że na Bagnie grają i stare, i młode kapele, to i starzy mają okazję poznać coś świeżego, i młodzi zobaczyć coś historycznego. Kilka reaktywacji było naprawdę udanych. Więc dla mnie całe to czepianie się Bagna jest po prostu szukaniem dziury w całym. Nie wiem, być może boli kogoś to, że jego zespołu nie zaprosiłem na festiwal, być może to, że na koncercie jego ulubionej kapeli pod sceną było 40 osób, a na koncercie kapeli, którą uważa za obciachową – 2000 ludzi, lecz czyja to jest wina, moja? A może ze sceny poleciało coś z ust kapeli, co się komuś nie spodobało? To co, zamknąć usta i wprowadzić cenzurę? Powtarzam – na Bagnie może zagrać każdy, o ile nie pochwala skrajności, totalitaryzmu lub jakiejkolwiek nienawiści. I pamiętajcie, festiwal nazywa się Rock Na Bagnie, a nie Punk Na Bagnie – to robi pewną różnicę, a to, co należy piętnować, to jest ludzka głupota i krzywda, a nie to, że ktoś robi to, co lubi. Polecam też prześledzenie historii festiwalu i sprawdzenie, jak wiele różnorodnych zespołów zagrało na tej imprezie, począwszy od 2010 r., i jak wiele

różnorodnych imprez towarzyszących odbyło się na Bagnie.

JEDNĄ Z CZĘŚCIEJ PORUSZANYCH DYSKUSJI I KONTROWERSJI DOOKOŁA TWOJEGO FESTIWALU JEST UDZIAŁ ZESPOŁÓW PRAWICOWYCH I PATRIOTYCZNYCH. CZĘSTO TE ZESPOŁY SĄ POSTRZEGANE JAKO NIEBEZPIECZNIE FLIRTUJACE ZE SKRAJNĄ PRAWICĄ BĄDŹ WRĘCZ FASZYSTOWSKIE. FAKTYCZNIE – JAK WIELE TYCH ZESPOŁÓW BYŁO? CO DLA CIEBIE OZNACZA PATRIOTYZM? WIDZISZ W PUNKU MIEJSCE DLA ZESPOŁÓW ŚPIEWAJĄCYCH O MIŁOŚCI DO OJCZYZNY?

O które zespoły chodzi? O Kubę Rozpruwacza, Larwy Polarne, a może o Spirit of 84? Poważnie? Jeśli tak, to trzeba by mocno zweryfikować scenę amerykańską i w sporym stopniu angielską. W innych krajach pewnie też kapel typu Murphys Law, Circle Jerks, Dropkick Murphys, Stars and Stripies, Wretched Ones, Anti-Flag, Anti-Heroes, Agnostic Front, Last Resort, Cock Sparer itp. nie brakuje. Akurat te zespoły nie wstydzą się poruszania tematu miłości do ojczyzny. Punk to nie tylko anarchistyczny przekaz. To jak to jest? Tym z zagranicy można, a tym z Polski nie można? Jakieś żarty! Ja mogłem w Tomahawku śpiewać o rzezi Indian pod Wounden Knee, Silna Wola mogła śpiewać o rzezi Indian w Meksyku, Kortatu o gnębieniu Basków, a Larwy Polarne nie mogą zaśpiewać o rzezi na Wołyniu? Zło to zło i należy je piętnować bez względu na to, kiedy, przez kogo i gdzie zostało dokonane. Co to jest? Jakieś wprowadzanie cenzury do punk rocka, jakie tematy zespoły w tekstach mogą poruszać, a jakich nie? W co można wierzyć, a w co nie? Bez jaj! Nie można też odbierać komuś prawa do wyrażenia zadowolenia z tego, gdzie mieszka i kim jest. Dopóki nie ma w tym namawiania do skrajności, do nienawiści, do popierania rasizmu, faszyzmu itd., to można śpiewać, o czym się chce. Kto ustala te wszystkie reguły i kodeksy w punk rocku? Zawsze uważałem, że punk polega na tym, że każdy może wyjść na scenę i z niej zaśpiewać wszystko to, co mu na sercu leży, a ja mogę się z tym zgodzić lub nie. Skoro panowie z Kuby Rozpruwacza czy Larw Polarnych mają taką potrzebę, to nikomu nic do tego, zanim nie zaczną nawoływać do nienawiści – tu jest ta granica, której nie można przekroczyć. A wiem, że żaden z zespołów, które na Bagno zapraszam, tej granicy nie przekroczy. Rock na Bagnie jest po to, aby pokazywać całą gamę muzyki niezależnej, w tym różnorodność punk rocka, i nie będę się ograniczał do jednej strony, bo komuś się chce zamknąć punka w pewnych pasujących mu ramach. Stawianie Kuby Rozpruwacza czy Larw Polarnych obok kapel naziolskich jest dużym nadużyciem, ale, niestety, ktoś w necie puścił bąka, ktoś inny tego bąka wciągną i wypuścił jeszcze większego i tak gówno się na te kapele rozlało, bo oczywiście w Polsce nie można obecnie w tekstach poruszać pewnych tematów. A ja dziwnym trafem pamiętam, że nawet w jednym ze starych numerów QQRYQ Pietnia napisał, że jest patriotą i nikt go od nazioli nie wyzwał. Teraz niestety brakuje ludziom zdrowego rozsądku. Świat staje się coraz bardziej czarno-biały, a środowisko punkowe – bardziej plotkarskie niż stare babki w kolejce do lekarza. Pamiętam, jak na ostatniej edycji Bagna, słuchając koncertu zespołu Bracia i Siostry SS, który miał wyraźnie tzw. obecnie przez niektórych „lewacki przekaz", stojąc obok Budynia ze Spirit of 84, który też koncertu wysłuchał z zainteresowaniem, powiedziałem do niego: „Nikt z krytykujących Bagno nie zwróci uwagi na to, że ten zespół tu zagrał, natomiast będą latami wyciągać Bogu ducha winnych Kubę Rozpruwacza i Larwy Polarne". I tak się stało. A Bagno to jedynie miejsce, gdzie, jak już wspomniałem wcześniej, obok siebie mogą właśnie zagrać Spirit of 84 i Profanacja, Kuba Rozpruwacz i Eye For An Eye, Long Way To Go obok Bachora... Powtórzę się – każdy ma prawo przedstawić swój punkt widzenia, o ile nie namawia do nienawiści i skrajności. Zwróć uwagę na to, że Rock na Bagnie od początku gra pod patronatem „Muzyka Przeciwko Rasizmowi" (sam z Tomahawkiem czynnie brałem udział w tej akcji). Czy zespoły naziolskie zagrałyby na imprezie pod tym szyldem? Nigdy! Niektórzy chyba nie mają większych problemów, więc szukają ich na siłę, tam, gdzie ich nie ma. Bo to, że się z kimś nie zgadzam w poglądach, nie świadczy o tym, że ten ktoś jest gorszy, czy tym bardziej, że jest faszystą. Poza tym znasz mnie zbyt długo, abyś mógł mnie podejrzewać o puszczanie oka do naziolków. Ale na szczęście równowaga jest zachowana, jeśli chodzi o Bagno, bo druga strona ciemnej mocy nie pozostaje dłużna i spotkałem się też z takimi stwierdzeniami, że fest RNB „jest bardziej czerwony niż Przystanek Woodstock".

ZMIEŃMY TEMAT. ZAPEWNE BĘDĄC NIECO STARSZY ODE MNIE, DOSTRZEGASZ TEŻ ZWYCZAJNĄ LUDZKĄ UŁOMNOŚĆ, PRZEMIJALNOŚĆ I SŁABOŚĆ. NIE CHCIAŁBYM, ŻEBY TO BRZMIAŁO ZBYT PATETYCZNIE, ALE JAK MYŚLISZ, JAKO OSOBA ZMAGAJĄCA SIĘ Z NIEŁATWĄ CHOROBĄ, CO TAKA SYTUACJA ZMIENIA W ŻYCIU CZŁOWIEKA? CO SPRAWIA, ŻE NIE PODDAJESZ SIĘ CHOROBIE I NIE POZWALASZ, ŻEBY ZDETERMINOWAŁA TWOJE WYBORY CZY PASJĘ PUNK ROCKA?

Po prostu nie myślę o tym. Żyję tak, jakbym był zdrowy. Borelioza, którą załapałem mieszkając w tipi w lasach, przez 13 lat robiła w moim organizmie spustoszenie, zanim ją wykryto. Co jakiś czas mi gdzieś coś siadało i nikt nie wiedział dlaczego. Teraz już jest za późno na wyleczenie, ale obecnie jest OK. Było jednak w pewnym momencie tak kiepsko, że w 2011 r. zrezygnowałem nawet z organizowania Rock na Bagnie. Poprawiło się jednak po jakimś czasie i w końcu festiwal się odbył. I to jego najbardziej pamiętna edycja. Wtedy przez kilka miesięcy, od października do mniej więcej kwietnia, nie mogłem chodzić. Stopa bolała okrutnie i nie można było zaradzić temu miesiącami. I to jest to ryzyko. Nigdy nie wiadomo, co ci w którym momencie siądzie tak, że będziesz musiał zrezygnować z tego, co lubisz robić. Cały czas jest to ryzyko, ale co, mam usiąść i czekać, nic nie robiąc, bo nie wiadomo, kiedy mi się coś znowu w organizmie popsuje? Biorę leki, raz w miesiącu jestem u lekarza, wystrzegam się tego, czego mam się wystrzegać i mogę działać jeszcze, mam nadzieję, wiele lat.

I TAKIM TO SPOSOBEM DOTARLIŚMY DO KOŃCA ROZMOWY. OSTATNIE PYTANIE - 40 LAT PUNK ROCKA W POLSCE. PRZESZŁOŚĆ – TERAŹNIEJSZOŚĆ – PRZYSZŁOŚĆ. JAKIE TWOIM ZDANIEM BYŁY W NIM NAJCIEKAWSZE PRĄDY, JAKIE CHCIAŁBYŚ, ŻEBY SIĘ POJAWIŁY, A NAD JAKIMI UBOLEWASZ, ŻE ZANIKŁY? CO PUNK MA WCIĄŻ DO ZAPROPONOWANIA SPOŁECZEŃSTWU? JAK POSTRZEGASZ PRZYSZŁOŚĆ PUNK ROCKA?

40 lat minęło... Zdążyłem się przez ten czas otrzeć o pierwszą falę punka w Polsce, poprzez WS 666, a podczas drugiej fali (Dezerter, TZN Xenna) już świadomie mówiłem o sobie „punk" i bez przerwy, po dziś dzień, w tym wszystkim uczestniczę, chociaż na tym określeniu mojej osoby już od dawna mi nie zależy. Kiedy czasem patrzę, jak niektórzy próbują zdefiniować „punk", to myślę, że chyba nie pasuję do jego współczesnego wizerunku. Na szczęście też nie jest tak, że dziś jesteś punkiem, a jutro już nie. Każdy, kto twierdzi inaczej, nigdy punkiem nie był, gdyż to wynika z twojego charakteru, twojej osobowości, a nie narzuconych przez kogoś ideologii, które trzeba wyznawać. I możesz być „punk" nawet tak siebie nie nazywając, pierwsi punkowcy nie wiedzieli o tym, że są punkami. Miałem to szczęście obserwować i uczestniczyć w rozwoju punk rocka w latach 80., później – całej sceny DIY – w latach 90., a teraz – tego, co jest obecnie. W każdej tej epoce pojawiały się mocne i kiepskie momenty, jednak najgorzej było chyba na przełomie lat 80. i 90., gdy poprzez popularność punko polo każdy burak stawał się nagle punkiem. Bywałem w tamtych latach w Jarocinie i po prostu wstyd mi było się przez to zaklejone butaprenem i uwalone jabolami towarzystwo przyznać, że mam cokolwiek z punkiem wspólnego. Dzięki nim do dziś w społeczeństwie panuje przekonanie, że punk to chlanie na umór, bród, klej i chamskie zachowanie. Poza tym nie żałuję niczego. Obecnie punk w niektórych środowiskach bardzo się zradykalizował i podzielił na przeróżne odłamy, które się wzajemnie zwalczają. To osłabia. Punk podzielił się tak samo, jak reszta społeczeństwa. Widocznie taka nasza cecha narodowa, aby się wzajemnie kłócić, zamiast razem działać. Scena DIY też jest hermetyczna, dlatego coraz bardziej się kurczy, więc przyszłość punka widzę w zespołach, które nie zamykają się tylko w swoim środowisku i potrafią wyjść na zewnątrz do innych ludzi. Kiedyś, około 1983 r., w gazecie „Radar" czytałem wywiad z kompletnie zapomnianym zespołem SGO Nalot i tam padło na koniec takie zdanie: „Wierzę, że punk rock stanie się kiedyś muzyką klasyczną". To już się stało. Takie zespoły jak Sex Pistols, The Clash, The Ramones są wymieniane przez krytyków i historyków rocka na równi z The Beatles czy The Who, a ich płyty kupisz nawet w Biedronce. Ja natomiast wierzę, tak jak Indianie, że wszystko zatacza krąg i dobre czasy dla muzyki punkowej jeszcze wrócą. Ludzie w końcu muszą przejrzeć na oczy i zauważyć, że są robieni w konia ✕

STRAIGHT EDGE PERSONAL STORY /

CZY POTRZEBNY MI TAKI RADYKALIZM?

#19 / WOIK /

■Jakiś czas temu to pytanie zaczęło się coraz częściej pojawiać w mojej głowie, podważając jednocześnie decyzję, o której wiedziałam, że jest dobra. Ale jednak niesie za sobą nie tylko pozytywne konsekwencje… Wiadomą już dla mnie była pozycja wykluczenia spośród większości rówieśników, co z początku nie wydawało mi się problemem, zazwyczaj i tak wolałam być w mniejszości. Lecz skala, jaką przybrała po zupełnej zmianie środowiska (przeprowadzka do innego miasta), mnie przytłoczyła. Kiedy zorientowałam się, że presja otoczenia wywołuje u mnie poczucie winy, postanowiłam odbudować swoje granice, których wcześniejsze zburzenie naruszało moją przestrzeń psychiczną, a miało tylko pomóc mi być bardziej otwartą i konsekwentnie empatyczną. Lubię poznawać kontekst człowieka (czyli to, w jakich warunkach dorastał), by mieć pełniejszy jego obraz, wiedzieć, skąd biorą się jego zachowania i nie oceniać zbyt pochopnie. Niestety doświadczenie pokazuje, że przeradza się to później w skrajną wyrozumiałość i nadmierne usprawiedliwianie niepożądanych postaw. Po rozczarowaniach zostaje mi podśpiewywać sobie pod nosem piosenkę zespołu Die Last. Leci tak: „Wybacz mi za szukanie dobra w ludziach, za szukanie dobra w tobie". Poznawałam ludzi, którzy – w przeciwieństwie do znajomych z gimnazjum – oprócz imprezowania i rozmawiania o tym mieli (bądź mają) jeszcze jakieś pasje. Wzbudzało to szacunek, było jakąś nowością, bo „akceptowali" mój sxe, jak błędnie przez jakiś czas uważałam. Po prostu byli zdania, że „OK, możesz przy nas być trzeźwa, ale to, jak się czujesz wśród nas, mamy w dupie". Nie mówię, że to było założenie, ale przynajmniej ja tak to postrzegam. Nie bardzo było z nimi o czym rozmawiać w takim stanie. Wiązało się to z tolerowaniem zachowań, które mi przeszkadzały na zasadzie „hm, oni mnie «akceptują», to ja ich też «akceptuję»". Oczywiście było to błędem, bo budowanie na takich zasadach znajomości (na jakimkolwiek poziomie) nie wychodzi na dobre. Zwłaszcza bliższej relacji. Z punktu widzenia osoby introwertycznej, wege, sxe, aseksualnej, będącej outsiderem wchodzenie w znajomości jest nie lada wyzwaniem i potężną grą zmuszającą do przybierania masek. Jasne, że można to wszystko olać, ale to, co robi samotność z człowiekiem (a przynajmniej to, co robi ze mną), najzwyczajniej mnie przeraża. No i szuka się naiwnie tej akceptacji mimo tak wielu sparzeń, co przyczynia się do niezbyt dobrej formy psychicznej. Jednak po dłuższej obserwacji dostrzegłam, że wspomniani znajomi tak naprawdę też są samotni, bo ich liczne znajomości opierają się na tym, czy mają dostęp do CZEGOŚ i czy nie załatwią po znajomości. Ewentualnie na struciu się razem, bo bez tego nudno spędzać ze sobą wolny czas. I to staram się sobie przypominać, kiedy dotyka mnie smutek. Śmieszne, że takie sytuacje potrafiły odwrócić kota ogonem – doprowadzały mnie do myślenia typu „jestem sztywną nudziarą", kiedy w rzeczywistości to ja uważałam (i uważam) ich sposób przemijania za nudny i monotonny. Przebywanie w takim gronie naruszyło moje przekonania i nie wiedziałam, co ze mną nie tak. Zastanawiałam się, komu właściwie są tacy jak ja potrzebni… Wśród tych znajomych byli i tacy, którym nieobce były idee środowiska alternatywnego. Takie typy pozerów. Gdy mieli wybór: iść na koncert albo na melanż, to oczywistym wyborem była druga opcja. Zapomnienie, że jakiekolwiek problemy w ogóle istnieją. Idąc tym tokiem myślenia – może pijmy, by zapomnieć o lepszym jutrze? Będzie prościej! To nawet poziom

wyżej od osób muszących się wstawić, będąc już na koncercie, żeby jakoś wytrzymać i przypadkiem czegoś nie zapamiętać, nie?

Patrzyłam na to, jak znajomi „radzili" sobie z problemami. Ich życie zdawało się łatwiejsze. Cokolwiek by się nie działo – *pyk* alkohol, marihuana czy inna używka i już problemu nie ma. Aż brzmi zachęcająco, przynajmniej na chwilę. Ucieczka. A ja zmagałam się ze swoimi problemami na trzeźwo. Dogłębnie doznawałam bólu, odczuwając każdy najmniejszy jego bodziec. Nie było ucieczki. Wprawiało mnie to w różne dziwne stany i długie niedyspozycje, brak akceptacji siebie, poczucie bycia gorszą. Byłam na siebie zła, bo przecież powinnam swoją postawą zachęcać ludzi do bycia straight edge, a nie pokazywać, że się nie da, że sobie nie radzę.

Kiedy widzisz, jak bliska ci osoba sxe wpada w używki, bo nie może sobie poradzić psychicznie... Tracisz wsparcie, wszystko się sypie... Pozornie zaczyna się wydawać, że na próżno utrudniasz sobie życie. Jednak nigdy nie chciałam zapomnieć o problemach czy zniknąć, by ich nie czuć (czasowo bądź na stałe), tylko chciałam, żeby coś się zmieniło i chyba to trzyma mnie do dzisiaj przy trwaniu w wyborach, których dokonałam. Poznałam również osobę, która mimo iż wie niesamowicie dużo na temat substancji psychoaktywnych i chlubi się tym, że wie kiedy, co i jak, zagubiła się w tym przez czysty hedonizm. Wcześniej mówiąc przekonująco, że substancje psychoaktywne nie są złe, bo dopóki człowiek umie z nich korzystać, to przecież mu służą. Brzmi pięknie, nie? Aż początkowo w to uwierzyłam. Wiesz, masz problemy z bezsennością, idziesz spalić jointa i śpisz jak królewna, zamiast nie spać całymi nocami, walcząc z lękami, a w dzień chodzić jak zombie, jak było w moim przypadku... Jednak po dłuższym czasie okazało się to jedynie teorią (jako że ludzie nie umieją z niczego korzystać), czar prysł i u śpiącej królewny pojawiła się amnezja, brak kojarzenia faktów – skutki uboczne (osoba ta pokusiła się w pierwszej kolejności o myślenie, że w sumie niepamiętanie może być fajne w tym marnym świecie – jak wielki to jest obłęd chyba nie muszę tłumaczyć, ale dodam, że uderzyło to we mnie mocniej ze względu na doświadczenie amnezji po wstrząsie mózgu; naprawdę niefajnie jest nie pamiętać). Przestało działać. Komiczne – bo ta sama osoba użyła alkoholu, by wyznać sXe'owi swoje uczucia, na trzeźwo trudno o tym rozmawiać. Taki fun fact.

Chciałabym wierzyć w ewolucję. Jednak obserwując, jak koleżanki i koledzy skrzywdzeni w dzieciństwie przez bliskich pod wpływem lgną do tego samego... Nawet jak część z nich nie chciała i zapierała się w przekonaniu, że nigdy nie chcą być tacy jak rodzice, że nie chcą powtarzać błędów „swoich ojców", to na jakimś etapie życia, prędzej czy później, znajdują się w podobnej sytuacji. Patologia ciągnie się za patologią, czy jakoś tak.

Ale tutaj zmierzam do tego, w jaki sposób doszłam do decyzji o postawie sXe. Obserwacja. Z początku nie wiedziałam o czymś takim jak straight edge. Stopniowo coraz bardziej obrzydzało mnie zachowanie ludzi będących pod wpływem wszelkich używek. Zaczynając od najbliższych – moi dziadkowie byli i wciąż są uzależnieni. Teraz wiem, że miało to wpływ na wychowanie każdego z moich rodziców. Noszą w sobie rany z dzieciństwa do dzisiaj. Niewątpliwie odbiło się to na ich związku; nie potrafili ze sobą żyć. Do tej pory nienawidzę przebywać u babci i dziadka, robię to jak najrzadziej. Przed wejściem biorę głęboki wdech, otwieram drzwi i buch! Smród nie do zniesienia, aż chce się płakać. Następnie zmeneleni ludzie na ulicy, patologie, przemoc, choroby. Alkohol jako środek terapii dla myśliwych czy żołnierzy (piję, by zapomnieć, że zabijam), kultura polska i nie tylko polska. Kurde, chyba gdy widzisz paczkę papierosów z napisem „palenie zabija", czujesz smród i widzisz zachowanie palaczy, to zdrowym odruchem nie jest sięgnięcie po to, nie? Zawsze wydawało mi się to bardzo nielogiczne. Chociaż ostatnio spotkałam się z podważeniem moich wniosków przez koleżankę z klasy – bo przecież niektórzy nie chcą żyć i napis na paczce papierosów jest dla nich zachętą.

W każdym razie świadomą decyzję podjęłam, będąc w drugiej klasie gimnazjum, totalnie zniesmaczona zachowaniem rówieśników, którzy nie potrafili inaczej się „integrować", niż Razem się unieprzytomnić i pośmiać z tego, jak głupio się zachowują. Oczywiście każda wycieczka klasowa czy szkolna również była planowana pod względem strategii przemycenia alkoholu czy fajek i odurzeniu się po kryjomu. Zresztą równie świetną odskocznią było uprawianie seksu w przypadku jednostek, które ewidentnie potrzebowały większej ilości bodźców, by poczuć się wystarczająco dobrze. Mieli problem z moim izolowaniem się od tego. Potem doszła kwestia testowania na zwierzętach, choćby wyrobów tytoniowych. W podobnym czasie przeszłam na wegetarianizm (na przemian z weganizmem), więc również pod tym względem mnie to obrzydzało.

Fun fact #2: często śni mi się, że palę papierosy albo je skręcam (choćby ubiegłej nocy).

Z obecnej pozycji oceniam tę historię, jakby straight edge wystawił mnie na wielką próbę, którą pomimo licznych zawahań przeszłam pozytywnie. Stałam się bardziej odporna i silna. Sama staram się tworzyć inicjatywy sprzyjające takim osobom (jak i innym) bądź uczestniczyć w już organizowanych i je wspierać. Na razie mam w planie dwie dość kontrowersyjne dla przeciętnych popijaczy akcje – trzeźwy wieczorek poetycki w Sylwestra i trzeźwą osiemnastkę za kilka miesięcy – dwie okazje, na których popularnym jest tracić przytomność✕



STRAIGHT EDGE PERSONAL STORY /

JESTEŚ TRZEŹWY, CO ZROBISZ?

#20 / KRZYSIEK /

■Z tematem straight edge spotkałem się dzięki dobremu koledze, który jakiś czas siedział w klimacie hc/punk. Trochę o tym opowiadał, wiedziałem, o co chodzi, ale traktowałem sprawę bez specjalnego przekonania. Ot, kolejna subkultura, zajawka dla dzieciaków, które potrzebują zaspokoić potrzebę przynależności, więc wymyśliły coś, wokół czego mogłyby się organizować i tyle. Trochę później na jednym z koncertów, kiedy wracałem od baru z browarem w ręce na salę, gdzie grały kapele, coś mnie tknęło, żeby zadać sobie pytanie – po co mi to? I tak to się chyba u mnie zaczęło. Na początku z rezerwą. Fajek nie paliłem, po dragi nie sięgałem, „wyrywanie lasek" to też nie była moja bajka. Było samo alko, które piło się, bo był weekend, bo gdzieś się szło, bo było co oblać, był gorszy nastrój albo dobry dla odmiany, lub też nie było nic do robienia. Gdybym miał odpowiedzieć po latach, dlaczego się piło, to musiałbym szczerze napisać, że nie wiem. Po prostu tak się czas spędzało. Pili ci starsi, rodzina, o tym się myślało, to się planowało i w końcu się robiło. O dziwo, rezygnacja z tego przyszła z łatwością. Powiedziałem sobie, że spróbuję i jakoś poszło. Parę miesięcy wcześniej udało się z wegetarianizmem, od kilku tygodni eksperymentowałem z weganizmem, scenę hc/punk dopiero co poznawałem, więc czas na zaprowadzanie zmian był dobry. Mimo że żyłem zgodnie z założeniami sXe i ono samo stanowiło dla mnie inspirację, to jednak określenie się tak zajęło mi trochę czasu. Zawsze z dystansem podchodziłem do utożsamiania się z jakimiś grupami, ruchami, ideami. Nie inaczej było tym razem. Powoli jednak wsiąkałem w sprawę, coraz bardziej wczytywałem się i poznawałem tematy, które poruszały kapele tego nurtu, czy to w tekstach, wkładkach do płyt, wywiadach czy między kawałkami na koncertach. Równocześnie dość mocno wgłębiałem się w filozofię wyzwolenia zwierząt i tak, chcąc nie chcąc, obie drogi zaczęły układać mi się w jedną całość lub raczej upewniałem się, że vegan straight edge to jest dokładnie ścieżka, jaką podążam i jaką chcę iść. Podkreślanie wagi własnych wyborów, odpowiedzialności za nie i ponoszenia ich konsekwencji, podnoszenie sprawy walki o prawa zwierząt, prawa człowieka, niszczenia natury i zagrożeń, jakie to niesie – to były kwestie, które spowodowały, że drogę tę uznałem za własną i to przekonało mnie, że jednak sXe jest dla mnie. Muzyka? Tak, też miała i nadal ma swój urok. Energia, pasja, czasem wkurzenie i chęć zniszczenia innym razem pozytyw i sporo nadziei. Ona też w końcu jest nośnikiem tej idei. Cała otoczka, specyficzny styl, postawa wobec świata – to jest to. Etyka DIY, zaangażowanie, oddolne działanie, grupy oparte na dobrowolności i koleżeństwie – wszystko, co oferuje hc/punk, tylko że na trzeźwo i świadomie. Licząc od dnia, kiedy postanowiłem spróbować nie pić, mija w tym roku 13 lat. Z perspektywy czasu wybór ten okazał się jednym z lepszych, a droga, którą wtedy obrałem, mocno ukształtowała mnie i to, co robię. Wszystkie osoby, które dzięki temu poznałem, sytuacje i momenty, jakie przeżyłem, to jest dopiero cenne i ma prawdziwą wartość. Niepicie, niepalenie, życie bez narkotyków – tak brzmią główne założenia idei straight edge, ale to, co dla mnie ważne, kryje się w tym, co oferuje i daje, jak już się w to zagłębisz. Wolność własna i innych, wyzwolenie zwierząt, troska o środowisko, sprawy społeczne, konieczność samorozwoju, aktywizm. Skoro jesteś już trzeźwy, to co z tym zrobisz? Tym jest dla mnie straight edge✕

GRA O TWOJE ŻYCIE

OPOWIADA: BARTEK /
CIAŁKO X ZIELENI ZNE /

■Sport od dłuższego czasu jest tematem na topie. Nie mam tu jednak na myśli kwestii kibicowania drużynie piłkarskiej czy dopingowania reprezentacji krajowej na olimpiadzie. Mówię tu o aktywności naszej i naszych znajomych. O ludziach spotykających się kilka razu w tygodniu, żeby razem uprawiać nordycki marsz czy grających w piłkę albo śmigających na rowerach. Nikt już nie patrzy na tych „oszołomów" ze zdziwieniem, w kategoriach „a nie lepiej byłoby ci się walnąć na wyrze, otworzyć browarki, serial jakiś obejrzeć?". Ludzie uprawiający sport hobbistycznie są już codziennością. Nie zawsze jednak tak było, a ja dobrze pamiętam sytuację, gdy jako dziecko ze zdziwieniem patrzyłem na gościa biegającego wzdłuż kanału, przy którym mieszkałem. Siedząc z chłopakami, po kolejnym meczu rozegranym przed domem, myśleliśmy sobie, że po co ten palant to robi, po co ten typ biega tam i z powrotem, wbiega po schodach, zbiega po nich i znowu biegnie pod górkę? Był to chyba mój pierwszy kontakt ze sportem postrzeganym jako hobby, a było to jakieś 25 lat temu.

Dziś, szpiegując internety znajomych, widzę, że coraz więcej ludzi z moich kręgów wkręca się w sport. Coraz więcej samojebek z treningów i zawodów, coraz więcej udostępnianych informacji na temat tego, jak podnieść swoje osiągi, co jeść, jakiej techniko używać, o której trenować itd. Cieszy mnie to bardzo, bo ludzie ci inwestują nie tylko w plażowe wrażenia i łóżkowe wygibasy, ale też w swoją przyszłość i poniekąd w przyszłość swoich najbliższych. W jaki sposób? Ano w taki, że dbanie o swoje zdrowie teraz zaprocentuje na starość w postaci zdrowych stawów, lepszej mobilności, lepszego samopoczucia, możliwości ganiania za wnukami i nieobecnością wszelkiej maści leków, które pozwalają jakoś tam egzystować. Poza tym jest mniejsze prawdopodobieństwo, że będziesz obciążeniem dla swoich dzieci, bo fakt, że sam będziesz mógł sobie podetrzeć dupsko na starość, jest niezaprzeczalnie umiejętnością, o którą warto walczyć, c'nie? Także starania o podniesienie standardu życia teraz i „jutro" nie powinny być naszym hobby, ale obowiązkiem. Poza tym do tego zostaliśmy stworzeni – do ruchu. I nie ma znaczenia, jakiego rodzaju jest to ruch, ważne jest, aby coś robić. Dlaczego? Jest mnóstwo powodów, ale najważniejszymi są te:

- Wysiłek fizyczny poprawia samopoczucie i obniża poziom negatywnych emocji. Dzieje się tak, ponieważ wpływa on na regulację hormonalną, pozwala zwalczać depresję i powoduje produkcję endorfin, które wzmagają poczucie spełnienia i radości. Więc jeśli właśnie rzuciła cię dziewczyna lub masz stres, który ci gniecie, wskakuj w trampki i idź pobiegać lub podnieś coś ciężkiego z ziemi, a zobaczysz, ile będziesz mieć wewnętrznej energii, żeby zmierzyć się z przeciwnościami losu.
- Wysiłek fizyczny pomaga w spalaniu tłuszczu. Zapomnij jednak, że ćwicząc jak Pudzianowski, możesz jeść jak prosię, bo nie można ćwiczeniami pokonać złej diety. Poza tym lepiej jest patrzeć na to jako na inwestowanie kalorii w aktywność, a nie spalać je na rowerku stacjonarnym w drodze donikąd. A dlaczego bycie szczupłym jest lepsze niż bycie grubym chyba nie muszę mówić i bez względu na to, co mówią kolorowe magazyny, bycie grubym nie jest ani sexy, ani zdrowe. Tak samo w drugą stronę – bycie zasuszonym szczurem nie jest ani ładne, ani zdrowe.
- Wysiłek fizyczny sprawia, że jesteśmy silniejsi i mamy zdrowe kości. Tu chyba nie ma żadnych wątpliwości, jeśli chodzi o korzyści. A jeśli masz jakieś to pomyśl, co jest lepsze – jedna podróż do samochodu czy kilka, żeby przytargać zakupy do domu?
- Wysiłek fizyczny sprawia, że masz więcej energii. Może to zabrzmieć jak paradoks dla niektórych, bo jak to? Podnoszę ciężary i zamiast czuć się jak zbity pies, czuję się jak młody bóg? A wszystko dlatego, że dzięki systematycznym ćwiczeniom lepiej śpimy, a nasze serce i płuca lepiej funkcjonują.
- Wysiłek fizyczny sprawia, że twój mózg lepiej działa. Podniesione tętno sprawia, że krew transportuje szybciej i więcej tlenu do dyńki oraz przyspiesza produkcję hormonu odpowiedzialnego za budowę komórek mózgowych, a co za tym idzie, łatwiej jest ci się skoncentrować, masz lepszą pamięć oraz oddalasz lub redukujesz ryzyko wystąpienia chorób związanych z pracą naszego głównego ośrodka dowodzenia. Nie dziwi zatem, że czołowe korposzczury na wysokich szczeblach mają bloki aktywności fizycznej w swojej codziennej rutynie.
- Wysiłek fizyczny wpływa też na naszą psychikę. Pewnie nieraz czułeś się, że to już koniec, że srać na to, że już nie dasz rady... potem szedłeś na trening i zamiast planowanych 5 km przebiegłeś 6 km, a gdy myślałeś, że to już dość, przebiegłeś 7 km, a potem 8 km i wiedziałeś, że dasz radę dołożyć jeszcze 2 km. Po takim treningu wiedziałeś też, że nie ma przed tobą problemu, któremu nie jesteś w stanie podołać, że nic cię nie zatrzyma w drodze do celu.
- Wysiłek fizyczny sprawia również, że lepiej się relaksujesz, twoja skóra wygląda lepiej, chorujesz mniej, lepiej wypadasz w sypialni i nie zjedzą cię zombie, gdy przyjdą pod twój dom i kłykciami w drzwi załomocą.

Jak widać, aktywność fizyczna ma tylko pozytywne strony i pewnie zastanawiasz się, co zrobić, żeby spalić zbędny tłuszcz czy zbudować mięśnie? Na początek wybierz aktywność, która sprawia ci przyjemność. Jazda na rowerze, bieganie, przysiady, podciąganie się na drążku, boks, brazylijskie jiu jitsu, aikido. Tak naprawdę na początku nie jest ważne, na co się rzucisz, bo ważne jest, żeby wykształcić w sobie nawyk aktywności, a najłatwiej jest to osiągnąć, gdy aktywność, którą wykonujesz,

sprawia ci przyjemność. Wykształcenie nowego nawyku zajmuje nam średnio 2 miesiące. Pomyśl, jakie jest prawdopodobieństwo, że uda ci się wytrwać okres przejściowy, jeżdżąc na rowerze po pracy (bo jest to to, co lubisz), a jakie gdy postanowisz chodzić na siłkę o 4 rano przed pracą (w przypadku, gdy siłka jest aktywnością na końcu twojej listy)? Dlatego właśnie najpierw odpowiedz na pytanie, co sprawia mi przyjemność, a potem po prostu zacznij to robić. W moim przypadku są to 3 rzeczy: trening z masą ciała, kettlebells i trening trójboju siłowego.

Dlaczego trening z masą ciała? Ponieważ możesz zrobić go wszędzie i nie ma za dużo czynników, które cię ograniczają. Przysiady, pompki, podciągnięcia na drążku, sprinty. Te i inne ćwiczenia oraz nieskończona ilość wariacji na ich temat pozwolą ci zbudować zdrowe i silne ciało. Historia kalisteniki (kallos – piękno, sthenos – siła) sięga czasów starożytnego Rzymu i Grecji. Jeśli pamiętasz film „300", to oryginalni Spartanie (a nie aktorzy z wymalowanymi 6-pakami) ćwiczyli w ten sposób, również gladiatorzy ścierający się ze sobą budowali w ten sposób tężyznę. Co wyróżnia ten sposób treningu, to to, że wykonujesz tzw. ćwiczenia złożone, co oznacza, że angażujesz więcej niż jeden mięsień do wykonania pracy, a to przekłada się na poprawę twojej koordynacji ruchowej, stawy i ścięgna nie są obciążone żadnym dodatkowym ciężarem, a układ nerwowy szkolony jest, aby jednocześnie mobilizować większą ilość mięśni do wykonania pracy. Taka forma treningu jest doskonała do budowania masy, a także do ćwiczeń z zakresu siły statycznej, jak i eksplozywnej. Ćwiczenia z zakresu kalisteniki uczą twoje ciało jednoczesnego aktywowania mięśni, stawów i ścięgien w celu panowania nad ciałem jako całością. Progresję budujemy na zasadzie zmiany techniki wykonywanego ćwiczenia. Dla przykładu weźmy klasyczne pompki: w zależności od poziomu, na jakim jest twoja kondycja, zmierzasz z pionu do poziomu, więc np. możesz zacząć od odpychania się od ściany, imitując ruch, jaki można zaobserwować w pompkach, potem schodzisz niżej, np. na wysokość bioder, potem niżej i niżej, aż wylądujesz na podłodze i możesz zrobić pompkę z kolanami opierającymi się na ziemi. Z czasem, gdy twoja siła wzrośnie, starasz się zniwelować kontakt nóg z ziemią i robisz pompkę klasyczną. Później z szeroko rozstawionych rąk przechodzisz do wąskiego rozstawienia, potem jeszcze węższego, aż twoje dłonie złączą się i wykonasz tzw. pompkę diamentową. Kolejnym krokiem powinna być pompka na jednej ręce. W taki mniej więcej sposób buduje się progresję w kalistenice, ograniczeniem jest tylko twoja wyobraźnia.

Trening z masą ciała był moją ulubiona formą budowania tężyzny fizycznej przez dość długi czas, aż odkryłem kettlebells. Dla niewtajemniczonych – kettlebell to taka kula armatnia z uchwytem, którą macha się wte i wewte, do góry i w dół. Jedni mówią, że kettle narodziły się w Rosji, inni – że wymyślili je Grecy. Nie jest to dziś istotne. Co jest ważne, to to, że w treningu kettlebells rozróżniamy 2 rodzaje. Pierwszy to tzw hard style, który jest metodą treningu funkcjonalnego. Charakteryzuje się wysoką intensywnością i niewielką liczbą powtórzeń. Skupia się na dynamicznym wykonywaniu każdego powtórzenia z maksymalną mocą oraz zwraca uwagę na zachowanie balansu między prawidłowym oddechem, maksymalnym napięciem mięśni i ich rozluźnieniem. Hasłem przewodnim tego stylu jest „jakość ponad wszystko". Drugi styl to tzw. girevoy, który jest wykorzystywany podczas konkurencji sportowych. Nacisk kładziony jest tu na ekonomikę i jak najlepszą wydajność pracy z odważnikiem. Styl ten mocno rozwija wytrzymałość siłową. Natomiast wykonywanie pojedynczych ruchów odbywa się z użyciem jak najmniejszej energii. Jeśli dalej nic ci to nie mówi, to wyobraź sobie, że hard style jest kanciasty i eksplozywny, a girevoy płynny jak woda i elastyczny jak gumolit.

Zaletami takiej formy aktywności jest to, że kettle pozwolą ci rozwijać siłę, dynamikę, gibkość, kondycję i koordynację ruchową. Dzięki temu, że do wykonania ćwiczeń znowu potrzebne jest nam całe ciało, a nie tylko biceps czy dwugłowy uda, wszechstronnie rozwijamy naszą wydolność, mobilność i możliwości ruchowe. Mimo iż kettlebells nie są postrzegane jako najlepsze narzędzie do budowania masy mięśniowej, to na marginesie muszę wspomnieć, że moja instruktorka wygrała swoje ostatnie zawody bodybuildingu, do których przygotowywała się wyłącznie używając kettlebells. Jednak nie da się kettlom odmówić tego, że praca z nimi pozwala sprawnie spalić zalegający tłuszcz i zbudować niezłe pokłady siły (kto próbował wycisnąć nad głowę 48 kg, ten wie, że trzeba mieć parę w łapie jak kowal). Kształt odważnika pozwala na wykonywanie ćwiczeń zgodnie z anatomią człowieka, co w bardzo bezpieczny sposób wzmacnia stawy, ścięgna i mięśnie. Decydując się na ten typ treningu, możesz spotkać się z opiniami, że jest to trening niebezpieczny, że rozwalisz sobie plecy, że pęknie ci żyłka pierdząca. I wszystkie te opinie są prawdą, ale tylko jeśli wykonujesz ćwiczenia w sposób nieumiejętny. Dlatego pierwszym celem, jaki powinieneś sobie postawić, to znalezienie certyfikowanego instruktora kettlebells. Może ci się wydawać, że YouTube University jest idealnym miejscem, żeby czerpać wiedzę, ale uwierz mi, że w tym przypadku tak nie jest. Najlepiej jest skontaktować się z reprezentantem jednej z kilku wiodących szkół kettlebell, takich jak RKC, Strongfirst czy IKFF, a jeśli nie ma u ciebie w mieście osoby związanej z wymienioną organizacją, zapytaj, czy mogą kogoś polecić z twojej okolicy. Zazwyczaj są w stanie wskazać ci odpowiednią osobę, która nauczy cię odpowiednio korzystać z odważników kulowych.

Trening z odważnikami kulowymi niesie za sobą również tzw. efekt „co do diabła", który można wytłumaczyć najprościej w ten sposób, że ćwiczenia wykonywane w trakcie treningu ułatwiają nam wykonywanie codziennych czynności, a spontaniczność, z jaką może nam się to objawić, czasami przyprawia o zawrót głowy. Także nie zdziw się gdy np. będziesz musiał biec za autobusem z siatami pełnymi wegańskiego mleka i ziemniorów i zamiast go dogonić w pocie czoła, prześcigniesz go i czekać będziesz na niego na kolejnym przystanku.

Ostatnim przystankiem, na jakim się dziś zatrzymamy, jest trójbój siłowy lub – jak to nazywają nasi anglojęzyczni znajomi – *powerlifting*. Trójbój siłowy to jedna z dyscyplin sportowych, na którą składa się: przysiad, martwy ciąg i wyciskanie sztangi w leżeniu. *Powerlifting* nie jest dyscypliną olimpijską, ale ma swoje zasady, kategorie wagowe, dopuszczalny sprzęt, komisje dopingowe itd. Mimo że wykonywane ćwiczenia mają swoją historię i sięgają wielkiego wybuchu, gdy dinozaury ścigały się w tym, który z nich jest najsilniejszy, a potem zjadały najsłabszego, to pierwsze zorganizowane zawody miały miejsce w UK w latach 50. Zasady są proste jak drut.

Przysiad – ładujesz się pod sztangę, bierzesz ją na garba, robisz krok w tył, sędzia daje komendę do przysiadu, więc robisz przysiad, aż dupsko znajdzie się poniżej linii kolan i wtedy idziesz w górę. Można zejść niżej z tyłkiem, ale nie mniej niż pod linię kolan, bo wg zasad jest to skucha. Jak wrócisz do pozycji wyjściowej, sędzia daje komendę do odstawienia sztangi i tyle. Gotowe.

Wyciskanie na ławeczce leżąc – zasady podobne, ale jak już weźmiesz sztangę w łapska, to (w zależności od organizacji) twoje dupsko ma dotykać ławeczki, a stopy mają być płasko na podłodze i nie mają się prawa oderwać od podłoża, bo inaczej będzie kicha. Więc masz już sztangę w łapskach i schodzisz w dół, aż dotkniesz tułowia, wtedy czekasz na komendę od sędziego do pchania sztangi w górę i jak już wyciśniesz ciężar i zablokujesz łokcie, sędzia daje komendę do odłożenia sztangi. Ciach, kolejny rekord w pamiętniczku.

Martwy ciąg – procedura jest jeszcze prostsza – podchodzisz do sztangi, dźwigasz ją w górę i gdy „zamkniesz" pozycję, sędzia daje ci znak do opuszczenia sztangi.

Oczywiście sztuką jest podnieść jak najwięcej, a to już inna historia.

Co jest w tym z pozoru prostym sporcie? To, że kształtuje on w nas siłę fizyczną i mentalną. Pewnie niejeden z nas czytał tekst Rollinsa na temat dźwigania żelaza, pewnie niejeden widział motywujący cytat o tym, że przysiad jest doskonałą analogią życia, że *lightweight baby*. Formy, w jakich informacje te są podane, mogą się różnić, ale wszyscy oni mają rację, a zrozumieć to można w chwili, gdy masz załadowaną sztangę i czujesz niepewność, zanim pod nią wejdziesz, czasami czujesz tę ekscytację, jeszcze zanim trafisz na siłownię, czasami złapie cię to uczucie na samą myśl, że za kilka godzin będziesz musiał to zrobić, a potem, gdy w końcu robisz to, co zakładał twój program, wiesz, że nie ma na świecie siły, która cię zatrzyma.

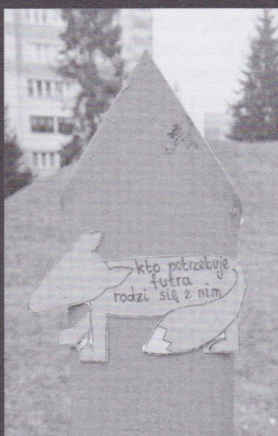
Podsumowując: nie jest ważne, jaki sport cię jara, nieważne, czy skończysz na scenie, platformie czy w garażu albo w parku. Ważniejsze jest to, co idzie za tym, co robisz. Ważne jest, aby być wytrwałym w tym, co się robi, bo jeśli daje ci to radość, będziesz to robić, jeśli nie, to nie. Jest tyle opcji na bycie aktywnym, tyle ćwiczeń, które są równie produktywne, co satysfakcjonujące. Dlatego nie warto jest ćwiczyć na siłce, jeśli tego nie lubisz, bo takie podejście nie doprowadzi cię do *happy endu*. Droga przez zdrowe życie to nie program „mięśnie brzucha w 30 dni" ani nie „całkowita transformacja w 2 miesiące" lub „bądź gotów na plażę już dziś". Żyć zdrowo to zobowiązanie, któremu oddawać powinniśmy się codziennie i dbać bardziej, niż o to, co

aktualnie dzieje się ze znanym jutuberem czy trzecioligowym politykierem. W drodze tej nie staraj się tez dojść do etapu końcowego jak najszybciej i za wszelka cenę, bo w perspektywie powinno być to, gdzie będziesz za 5, 10 i więcej lat. Jednak aby zacząć zmianę, potrzebujesz schematu, który będziesz powtarzać każdego dnia, dlatego miej w pamięci, że wykonywane ćwiczenia mają w głównej mierze podnosić u ciebie możliwości w wykonywaniu codziennych czynności, a nie je ograniczać. Aktywność fizyczna wzmocni twoje umiejętności w utrzymaniu równowagi, podnoszeniu przedmiotów, wspinania się na przeszkody, poprawi koordynację ruchową, siłę, szybkość, wytrzymałość, refleks i inne. Nie myśl jednak, że jazda na rowerku stacjonarnym przy jednoczesnym klikaniu w telefon da ci to samo, co śmiganie na rowerze po zatłoczonym chodniku między przechodniami czy kilkukilometrowy rajd przez las. Poza tym każda taka eskapada to kolejne doświadczenie, które rozwija praktyczne i przedłużające życie umiejętności. A co za tym idzie, nawet się nie obejrzysz, gdy stragan, którego tak się wstydziłeś, zniknie niezauważenie, bo bardziej skupiony byłeś na robieniu tego, co cię jara, a zignorowałeś powód, który zmusił cię do ruszenia dupska z kanapy. A w tajemnicy zdradzę jeszcze, że ciągła aktywność fizyczna nie tylko wydłuży życie, które możesz spędzić ze swoimi bliskimi, robiąc to, co lubisz, ale otworzy nowe możliwości i sposoby, w jakie możesz te dodatkowe lata spędzić.

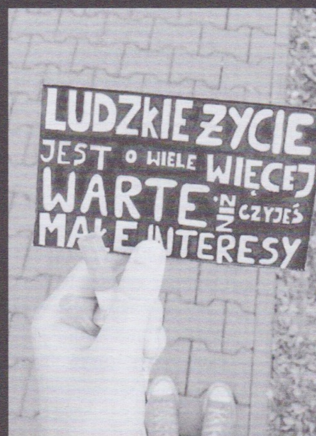
Pewnie teraz zastanawiasz się, kto odda ci 15 min z życia, które musiałeś poświęcić na przeczytanie tego tekstu? Zastanów się dobrze, czy faktycznie nie dasz rady wyciągnąć z tego jakiejś nauki? Może pojawiły się w twojej głowie myśli typu – nie mam czasu, żeby zacząć ćwiczyć, nie mam pieniędzy na zajebisty rower, karnet na siłownię kosztuje w cholerę albo, po prostu, nie wiem, od czego zacząć. Spoko, ja też byłem w tym miejscu, więc zacząłem od aktywności, które były za darmo. Swoje pierwsze sportowe podrygi zacząłem od biegania, potem była kalistenika, ciężary w piwnicy u kumpla i im dłużej się w to zagłębiałem, tym bardziej widziałem przełożenie na swoje codzienne sprawy. Tak fizycznie, jak i psychicznie widoczna była poprawa. Kilka lat minęło i kilka spraw się zmieniło. Teraz ćwiczę praktycznie 6-7 dni w tygodniu, z rożną intensywnością. Prawie każdy dzień rozpoczynam lekkim rozruchem, w skład którego wchodzi 40 przysiadów, 30 pompek, 20 wznosów nóg w pozycji leżącej i 10 podciągnięć na drążku. Trening na 10 min. W tygodniu robię 3 treningi ze sztangą i 5 sesji z kettlami, więc jak łatwo policzyć, zdarza mi się trenować 2 razy dziennie. W dodatku udało mi się dołożyć 2 sesje bjj w tygodniu. Zapomniałem chyba też wspomnieć, że pracuję na pełen etat i gram w 2 zespołach? To chyba eliminuje argument, że nie można znaleźć czasu na ćwiczenia, prawda? W dodatku jestem weganinem, więc to, co robię, nie jest dziełem jakiegoś nadczłowieka czy maszyny, bo wszyscy dobrze wiemy, że jako weganin mam niedobór białka, anemię i noszę rajstopy zamiast spodni. Więc jeśli ja mogę, ty możesz również, weź się zatem w garść i nie czekaj na kolejną zabawę sylwestrową, podczas której uroisz sobie w głowie jakieś nierealne założenia, tylko bierz się do roboty. Na szali jest twoja przyszłość. Gra toczy się o twoje życie! ✕

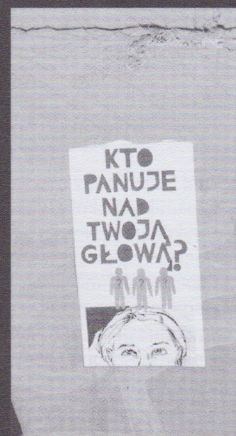












STREET ART ZNAJDUJE CIEBIE

OPOWIADA: WOIK /
SYTUACJA TEGO WYMAGA ZINE /

■Wzięła się we mnie taka potrzeba skanalizowania narastającej frustracji w jakiś pożyteczny, sensowny sposób. Padło na taki, a nie inny, bo czułam, że jest najbardziej odpowiedni i w ogóle płynie z tego taka wielostopniowa satysfakcja. W skrócie jest to recyklingowy street art, a w rozwinięciu nie tylko street art. Przekształcam odpady w taką formę, by mogły krzyczeć na ulicy... a przynajmniej wzbudzać refleksje. Najczęściej jest to postać takich twardszych i sztywniejszych vlep z kartonowych opakowań różnych produktów i gazet, ale również większych obrazów lub szablonów wyciętych z plastikowych śmieci, np. ze zdjęć rentgenowskich, ale to chyba już bardziej powszechne i spotykane. No i część z tego ląduje w przestrzeni miejskiej. Mianowaniu śmieci materiałem do tworzenia przyświeca idea „zero waste", chociaż zaczynając, owego terminu nie znałam. W każdym razie jakkolwiek by tego nie nazwać, nie chciałam zaczynać robić czegoś, co niepotrzebnie produkuje śmieci. Mimo że od początku ideą było kreowanie z użyciem odpadów, forma trochę ewoluowała – stopniowo starałam się coraz mniej domieszkować twory innymi materiałami. Pierwsze prace były na kartonikach, ale rysowane pisakami czy kredkami, potem przeszłam na wycinanie liter również z kartoników bądź gazet. Na koniec staram się dodawać tylko klej.Źródło czerpania pomysłów na tematy, które poruszę, nie jest stałe. Początkowo inspiracją była muzyka (fragmenty tekstów piosenek, których akurat słuchałam), potem kwestie, które bardzo chciałam zmienić, czyli w niektórych przypadkach ta działalność przybierała postać małego protestu, następnie dzieliłam się swoimi refleksjami, żalem i bezsilnością, dopasowywałam tematykę do okazjonalnych dni, cytowałam swoje teksty piosenek, wymyślałam autorskie gry słowne, no i chyba najnowszą formą są obrazy. Czasem, choć rzadziej, inspirują mnie same śmieci; po prostu jak na nie patrzę, to mam już w głowie obraz tego, co mogłoby powstać. Idąc dalej, dotyka mnie takie „zboczenie zawodowe" i gdy widzę w sklepie potencjalnie "przydatne" opakowanie, pojawiają mi się automatycznie pomysły, co mogłabym z tego zrobić. Ale póki co panuję nad tym i nie kupuję rzeczy tylko ze względu na opakowanie. Wręcz przeciwnie, staram się wykluczyć, jak najbardziej to możliwe, opakowane produkty. Ale fakt faktem, moja babcia zawsze kupuje „ładne" chusteczki i zostawia mi opakowania.

Pojawiły się wybory polityczne, walka ze smogiem, temat imigrantów, obrona zwierząt, wycinka drzew i wiele innych, ale przy ostatnim pozwolę sobie na chwilę się zatrzymać. Pamiętam, że na osiedlu, na którym mieszkałam, trwała jakaś wzmożona wycinka drzew, z reguły po takiej akcji zostawały takie brązowe słupki z pni bez gałęzi, które nie miały najmniejszej szansy odrosnąć (nie wiem, skąd taki fantastyczny pomysł). Moja frustracja była ogromna, no i będąc bezradna, chodziłam i przyklejałam swoje sfrustrowane myśli na miejscach zbrodni. Było takie grube drzewo rozgałęzione na dwie części, świeżutko obcięte przypominające literę Y, z jedną gałęzią uciętą niżej, tak że mogłam tego dosięgnąć. Wlepiłam tam napis „Nie wycinaj życiodajnych drzew, nie działaj logice wbrew!". W tym czasie wycinka na osiedlu dalej trwała i dosłownie na następny dzień, przechodząc koło opisywanego drzewa, zauważyłam brak hasła. Przewidywałam, że ktoś je zerwał ale uwaga: gałąź była ścięta o jakieś 20 cm więcej... nie wiem, jak to skomentować. Zdarza się, że docierają do mnie opinie na temat moich komentarzy rzeczywistości. Pomijając już tych wycinaczy drzew, przykład, który najlepiej pamiętam, dotyczył kartoniku z napisem „IZOLACJA ZAMIAST JEDNOŚCI" (to jest fragment tekstu piosenki Damiana SyjonFama „Cały jak ten świat"), który przykleiłam kiedyś na mojej codziennej trasie do szkoły. Po jakimś czasie, kiedy był już zerwany, koleżanka opowiadała mi, że kiedy tamtędy przechodziła, to stała przy tym słupie dwójka ludzi i mówili coś w stylu „Tu kiedyś był taki fajny napis, ale nie pamiętam jaki". Natomiast jeszcze za czasów wiszenia tych słów ostro walczyłam z ktosiami, którzy bezczelnie zaklejali je ulotkami reklamującymi chwilówki, więc musiałam tę trasę oczyszczać regularnie. Kiedyś nawet doczekałam się tego, że na chemii w szkole to, co robię, zajęło kawałek lekcji, bowiem ktosia wrzuciła ten temat do prezentacji na lekcję o śmieciach w sztuce. Kontrolując stan swoich tworów na mieście, doszłam do tego, iż dodatkowo weszło mi w nawyk oglądanie się za słupami itp. Dzięki temu znajdowałam coraz więcej przekazu ulicznego również innych ludzi. Większe wrażenie wywołują na mnie często mniejsze prace o mniejszych walorach artystycznych niż wielkie graffiti o niczym, choć i te lubię (i też mam w planach je robić, jednak niełatwym jest zadaniem znaleźć do tego przedsięwzięcia chętną grupkę bezinteresownych pomocników). Dobrym tego przykładem jest to, że pamiętam wyraźnie taki dzień, gdy pospiesznie tuptając ulicą, zatrzymałam się i podeszłam do słupa, bo widziałam, że coś tam wisi, ale nie widziałam co. Na małym skrawku papieru, zwykłym długopisem było napisane „Uciesz się tym, co Cię dziś nie boli". Chodziło to za mną ze trzy dni, a do dziś to pamiętam. Albo taka malutka karteczka z narysowanymi kredkami rzeką, liściem i napisem „Bądź Eco". Serio, pamiętam to bardziej niż wielkie murale z poprawną ortografią. Moim zdaniem w street arcie świetne jest to, że żeby się z nim skonfrontować, nie musisz iść do muzeum czy galerii sztuki, nie musisz płacić za bilet ani nawet nie musisz do niego iść, bo to on znajduje ciebie. Czytaczu, szukaj tego w przestrzeni miejskiej i na Instagramie (@rebelelel – publikuję tam dokumentację opisanego wyżej działania i czasem w opisach więcej treści, którą chcę nim przekazać)!✕


FC ST. PAULI
1910

ANTI-FLAG

Chcemy powiedzieć wszystkim marginalizowanym ludziom, że nie są sami i że jest ktoś gotowy bronić ich. Jeśli się zjednoczymy, będziemy naprawdę mocni.

ROZMAWIA: SEBASTIAN RERAK/
ZDJĘCIA: BAND PROMO & FACEBOOK/

■Od czasu debiutanckiego „Die for the Government" z 1996 roku Anti-Flag wzmocniło i ośmieliło słuchaczy dwóch pokoleń borykających się z nowym tysiącleciem dotkniętym wojnami, konfliktami rasowymi i kryzysem finansowym. Ten osobliwy kwartet z Pittsburgha konsekwentnie ucieleśniał ponadczasowego punkowego ducha, atakując do niedawna dziewięcioma znakomitymi albumami, w tym wartymi wspomnienia „The Terror State" czy „For Blood And Empire".

Ostatnio, gdy oblicze USA zmieniło się po kontrowersyjnych wyborach prezydenckich z 2016 roku, zaatakowali zdecydowaną, dziesiątą w dorobku studyjną płytą „American Fall", wydaną jesienią 2017 roku.

Z oczywistych względów wciąż skupiają się na polityce, pozostają wierni swoim przekonaniom, są krzykiem sprzeciwu. Co prawda ich charakterystyczne brzmienie ewoluowało w kierunku łagodniejszych dźwięków, hojnie obdzielonych większą ilością melodii, ale to po części zabieg rozmyślnie obranej taktyki. To dobry sposób, aby w trudnych i mrocznych czasach nieść przesłanie w przystępny dla słuchacza sposób. Nie brakuje tu jednak galopującego tempa, napędzonych furią gitar i pełnych wściekłości wokali. To nadal jest ten sam wybuchowy Anti-Flag, który konsekwentnie i bezkompromisowo wystawia środkowy palec w oblicze ucisku i tyranii.

Więcej o nowej płycie i okolicznościach jej powstania opowiada wokalista Justin Sane.

TYTUŁ NOWEGO ALBUMU SUGERUJE, ŻE JEST ON KONTYNUACJĄ POPRZEDNIEJ PŁYTY „AMERICAN SPRING".

Tak, na wiele sposobów jest to dalszy ciąg. O ile „American Spring" mówiło, że zbliżamy się do czasów pewnej transformacji, „American Fall" jest spojrzeniem na tę transformację. Jednocześnie stawiamy pytania o to, gdzie chcemy iść i jak powinna wyglądać przyszłość. Chciałbym pozbyć się Donalda Trumpa, ale nie chcę powrotu do neoliberalnego status quo czasów Baracka Obamy. Myślę, że jest to bardzo ważna kwestia do rozważenia.

CZY „AMERICAN FALL" JEST ZATEM REAKCJĄ NA WYBORCZE ZWYCIĘSTWO TRUMPA? CHYBA BYŁO ONO DLA WAS PEWNYM ZASKOCZENIEM?

Przeczuwałem, że Trump ma szansę na zwycięstwo, choć oczywiście miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie. Nie jestem bynajmniej zwolennikiem Hillary Clinton, ale Trump był najgorszym możliwym wyborem ze swoimi otwarcie rasistowskimi, ksenofobicznymi poglądami. Wiele utworów z nowej płyty stanowi reakcje na to, co się stało. Nie można było nie zareagować, kiedy obecna władza bierze na cel wszelkie mniejszości, a więc najbardziej bezbronnych ludzi w naszym społeczeństwie.

ZA RZĄDÓW OBAMY NAGRALIŚCIE DWIE CZYSTO PUNKROCKOWE PŁYTY: „THE PEOPLE OR THE GUN" I „THE GENERAL STRIKE". OBIE PO PLUS MINUS PÓŁ GODZINY, Z KRÓTKIMI, STOSUNKOWO PROSTYMI UTWORAMI. SPODZIEWAŁEM SIĘ, ŻE GNIEW I FRUSTRACJA NA SYTUACJĘ PANUJĄCĄ OBECNIE W USA SPRAWI, ŻE NOWY ALBUM BĘDZIE PODOBNY.

Mógłbym wskazać milion powodów, dla których „American Fall" brzmi tak, jak brzmi. Niektóre wynikają z przemyślanych decyzji, inne są odbiciem sytuacji, w jakiej znajdujemy się w danym momencie. To nasz jedenasty album. Myślę, że zawsze towarzyszyła nam potrzeba szukania nowych środków – nie chcemy nagrywać wciąż takiej samej płyty. Zdajemy sobie sprawę z tego, że nastały trudne czasy. Dla Afroamerykanów, gejów czy imigrantów są wręcz niebezpieczne. Po dojściu Trumpa do władzy neonaziści poczuli się na tyle pewni siebie, że bezkarnie urządzają swoje wiece na ulicach. Niedawno zabili kobietę

demonstrującą przeciwko nim. Oczywiste więc było, że musimy odnieść się do niełatwych spraw. Niektóre zapewne podajemy w przystępnej formie, bo nie chcemy walić słuchacza po głowie.

OGÓLNIE TO DOŚĆ PRZYSTĘPNY ALBUM. CHCIELIŚCIE DOTRZEĆ Z NIM DO WIĘKSZEGO AUDYTORIUM?

To nie jest takie proste. Gdybym wiedział, jak nagrać przebojową płytę, która trafi do wielu ludzi, to zrobiłbym to. Ostatecznie jednak jesteśmy punkowym zespołem i tworzymy po prostu punkowe piosenki. Kilka nowych utworów ma dość popowy posmak, więc może dotrzemy z naszym przekazem do szerszego grona odbiorców, ale... nie mamy takiej gwarancji. Wiem jedno – więcej pszczół zwabisz przy pomocy miodu (śmiech).

„AMERICAN FALL" JEST DOŚĆ RÓŻNORODNE, CHOĆ NIE TAK UROZMAICONE I EPICKIE JAK PAMIĘTNE „THE BRIGHT LIGHTS OF AMERICA". CO SĄDZISZ O TAMTYM ALBUMIE Z PERSPEKTYWY CZASU? MYŚLISZ, ŻE MOŻECIE KIEDYŚ JESZCZE NAGRAĆ PODOBNĄ RZECZ?

Nie mam pojęcia. W czasie nagrywania „The Bright Lights..." każdy z nas przechodził burzliwy moment w życiu osobistym, co znalazło wyraz w muzyce. To faktycznie bardzo epicka produkcja, pełna dramaturgii i rozbudowana brzmieniowo. Pracowaliśmy wtedy z Tonym Viscontim, producentem, którego metody pracy były dla nas nowością, co bardzo nas ekscytowało. Stąd wszystkie te dodatkowe instrumenty i nietypowe rozwiązania. Być może dlatego, że nie do końca kontrolowaliśmy wówczas własne życie, to i muzyka wymknęła się nam spod kontroli. Niemniej „The Bright Lights..." to fajna i wyjątkowa płyta, dokumentująca pewien punkt zwrotny w naszej historii. Po jej wydaniu staliśmy się bardziej uniwersalnym zespołem, ponieważ wyrwaliśmy się z ram tradycyjnie rozumianego punk rocka.

JEDNOCZEŚNIE NA NOWYM KRĄŻKU ZNALAZŁY SIĘ FRAGMENTY ZAWIĄCE SIĘ POWROTEM DO KORZENI ANTI-FLAG. WEŹMY NP. „WHEN THE WALL FALLS" – NIE PAMIĘTAM, KIEDY OSTATNI RAZ WYKORZYSTALIŚCIE JAKIŚ MOTYW SKA.

O rety, chyba w kawałku „That's Youth" z „A New Kind of Army", a więc drugiej płyty. Faktycznie, szmat czasu. Ten motyw ska pojawił się zresztą za sugestią producenta Benjiego Maddena. Pierwotnie graliśmy ten numer o wiele wolniej. Benji bardzo nam pomógł i jeśli mowa o przystępnym charakterze albumu, to w dużym stopniu jest to jego zasługa. On ma bogatą wyobraźnię – wie, w jakim kierunku powinien rozwinąć się dany utwór i pomagał nam to osiągnąć.

JEDNOCZEŚNIE LIDER GOOD CHARLOTTE TO DOŚĆ ZASKAKUJĄCY PRODUCENT DLA ANTI-FLAG. Z TEGO, CO WIEM, ZOSTAŁ PRODUCENTEM ALBUMU TROCHĘ PRZEZ PRZYPADEK?

W pewnym sensie. Benji jest naszym przyjacielem, wiedział, że szykujemy się do nagrania płyty. Zaproponował nam skorzystanie z jego studia w Los Angeles, abyśmy mogli wyrwać się z naszego starego otoczenia w Pittsburghu. W miarę postępów w pracy uznaliśmy, że udziela nam tyle wskazówek, że logiczną decyzją będzie powierzenie mu produkcji. To utalentowany człowiek, który pomaga wielu muzykom i nie oczekuje niczego w zamian. Myślę, że to właśnie mamy z sobą wspólnego – wspieramy inicjatywy, które uważamy za godne wsparcia.

NA POPRZEDNICH DWÓCH ALBUMACH POJAWILI SIĘ ZNANI GOŚCIE. NIE CHCIELIŚCIE ZAPROSIĆ NIKOGO DO UDZIAŁU W „AMERICAN FALL"?

Nie było na to czasu – nagraliśmy całość bardzo szybko. W przypadku poprzednich płyt zarówno Tim Armstrong, jak i Tom Morello byli po prostu w pobliżu, więc zaprosiliśmy ich do studia. To zawsze działa w ten sposób.

STAŁYM MOTYWEM JEST U WAS OBSESJA AMERYKANÓW NA PUNKCIE BRONI I PRZEMOCY. CO SĄDZISZ O NIEDAWNEJ STRZELANINIE W LAS VEGAS?

To oczywiście tragedia, ale może skłoni ludzi do refleksji i doprowadzi do zmian pozwalających uniknąć podobnych wydarzeń w przyszłości. USA to bardzo zmilitaryzowany kraj, w którym od zawsze celebrowano wojnę i przemoc. Nasza gospodarka stawia zysk ponad ludźmi, a kiedy pieniądze są motorem napędowym całej kultury, to kompas moralny społeczeństwa jest popsuty i prowadzi nas na manowce. Uważam to za główny powód, dla którego wciąż podobne tragedie mają miejsce.

MÓWILIŚMY TU O RÓŻNYCH NEGATYWNYCH SPRAWACH, ALE OGÓLNA WYMOWA „AMERICAN FALL" WYDAJE SIĘ DOŚĆ BUDUJĄCA. OSTATECZNIE MACIE DO PRZEKAZANIA COŚ POZYTYWNEGO.

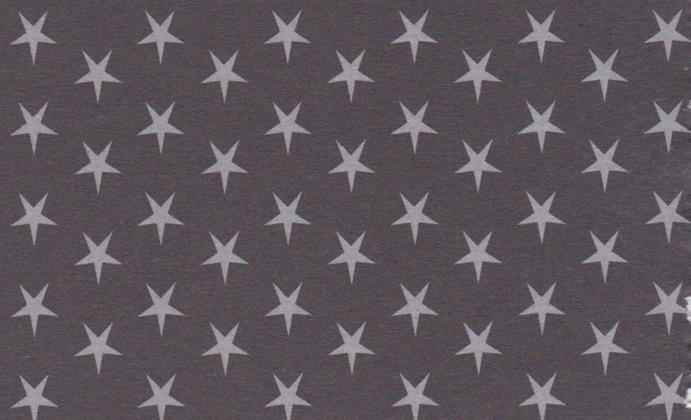
Staramy się. Najważniejsze w przekazie płyty są solidarność i jedność. Chcemy powiedzieć wszystkim marginalizowanym ludziom, że nie są sami i że jest ktoś gotowy ich bronić. Jeśli się zjednoczymy, będziemy naprawdę mocni. W tym sensie album ma bardzo pozytywną myśl przewodnią. Cieszy mnie, że to zauważyłeś, bo właśnie to chcemy zakomunikować słuchaczom.

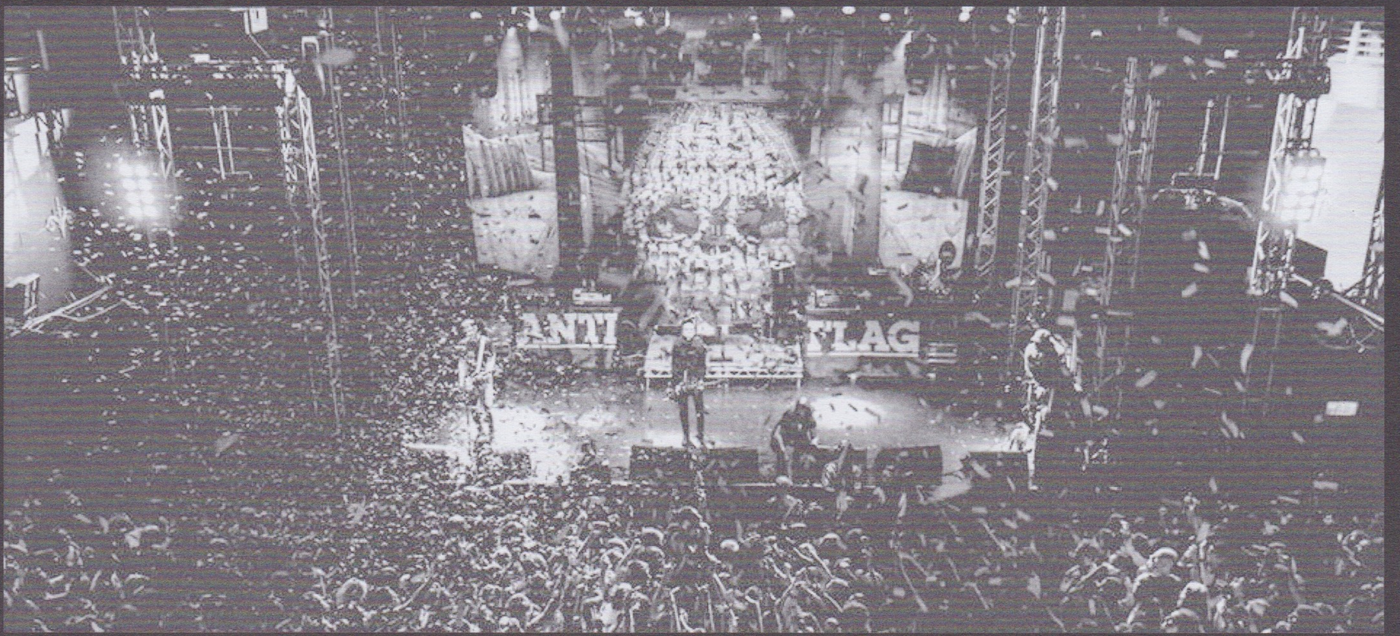
PODOBA MI SIĘ TAKŻE TO, ŻE ZAMIEŚCILIŚCIE KOMENTARZE DO TEKSTÓW UTWORÓW. TO DOBRA PUNKOWA TRADYCJA – SAM WIELE DOWIEDZIAŁEM SIĘ DZIĘKI TEMU.

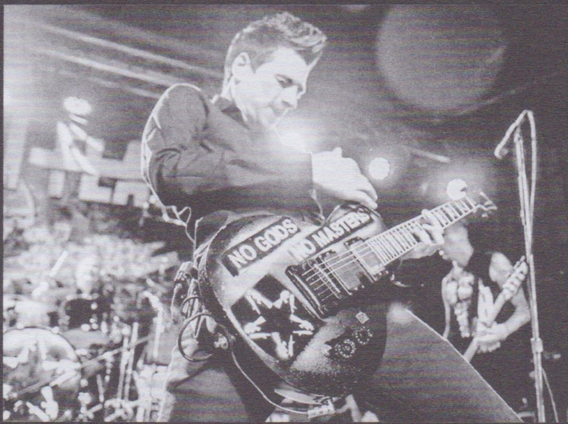
To jest nas dwóch (śmiech). Ja sporo nauczyłem się z płyt Dead Kennedys czy zinów Positive Force DC dołączanych do płyt. Zgadzam się, że jest to bardzo przydatna punkowa tradycja, aby zamieszczać odnośniki do zewnętrznych źródeł, mogących dać ludziom więcej inspiracji i czegoś do przemyślenia, niż dwuipółminutowa piosenka.

NA KONIEC ZAPYTAM O COŚ NIE DO KOŃCA SERIO. WIDZIAŁEM, ŻE „AMERICAN FALL" DOSTĘPNE JEST TAKŻE W SPECJALNYM ZESTAWIE ZE... SZKLANKAMI. TO WY NIE JESTEŚCIE STRAIGHT EDGE?

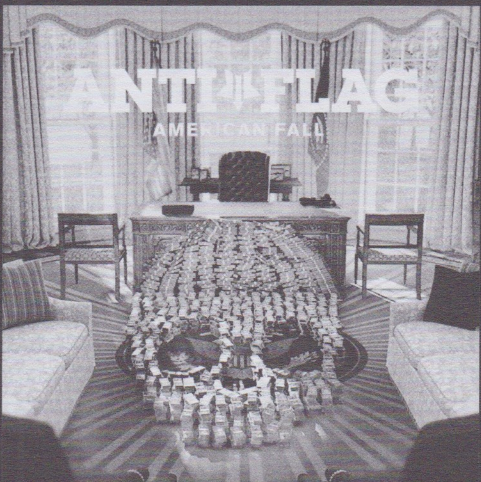
(Śmiech) Nasz perkusista jest straight edge praktycznie całe życie, ale reszta obecnie nie praktykuje tego stylu życia. Ja osobiście lubię dobre piwo i raz na jakiś czas wyskoczę na imprezę. Byłem jednak straight edge przez większość życia, było to bardzo pomocne i wciąż popieram to jako pozytywny wybór. Ludzie podejmują różne wybory na różnych etapach. Dopóki przy tym nikogo nie krzywdzą, niech robią, co chcą. Życie to długa i wyboista droga ✕




ANTI FLAG

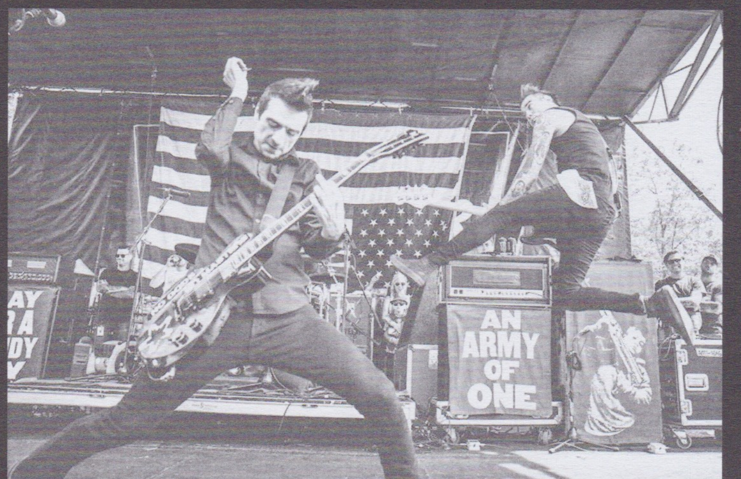

NO GODS
NO MASTERS




ANTI-FLAG
AMERICAN FALL






AN
ARMY
OF
ONE



GUANTANAMO PARTYPROGRAM

Nie jesteśmy politykami, charyzmatycznymi przywódcami tłumów. Nie prowadzimy nikogo na barykady, nie dajemy do rąk kamieni i nie wskazujemy celu. Mamy ukształtowane poglądy na to, co jest dobrem, a co złem. Wierzymy, że nasi odbiorcy potrafią je odczytać.

ROZMAWIA: PAWEŁ/
ZDJĘCIA: ARCHIWUM GPP/

■Do tej rozmowy postanowiłem podejść w sposób szczególny, bo i szczególna jest dla mnie działalność tego zespołu, a wyjątkową okazją ku temu jest nowy, trzeci pełny album w dorobku. Jednak nie będzie tu mowy o koncertach, które są swoistym emocjonalnym pociskiem przeszywającym serce; nie będzie o fenomenie rewelacyjnie brzmiącej płyty nagranej metodą DIY; nie będzie słowa o tym, że zawodowo zrealizował ją Haldor Grunberg z Satanic Audio, a wydała kultowa Antena Krzyku; nie wspomnę też o lawinie dobrych recenzji i słów uznania. Jest to z pewnością warte omówienia, ale to znajdziecie gdzie indziej. Ja natomiast miałem potrzebę wniknięcia głębiej w nieco inny wymiar twórczości GPP. Na zwierzenia udało mi się namówić Grześka – basistę, a rozmowę naszą zajął powracający szerokim echem... krzyk.

NOWĄ PŁYTĘ KOŃCZY WERS „MILCZĘ, WIĘC MNIE NIE MA, KRZYCZĘ, WIĘC JESTEM". TO Z JEDNEJ STRONY DOSKONALE OBRAZUJE WSPÓŁCZESNOŚĆ, W KTÓREJ WSZYSTKO I WSZYSCY WYDAJĄ SIĘ KRZYCZEĆ, JAKBY CORAZ GŁOŚNIEJ I W WIĘKSZEJ DESPERACJI. PODOBNIE JAK W MEDIACH SPOŁECZNOŚCIOWYCH, JEŚLI NIE JESTEŚ W NICH OBECNY, TO NIE ISTNIEJESZ.

Często myślę, że powstanie mediów społecznościowych zamiast sprawić, że ludzie będą bliżej siebie, sprawiło, że otacza nas dużo więcej negatywnych emocji, przemocy, zgiełku – takich pierwotnych instynktów i zachowań. Krzyk obecny w sieci to często wrzask, który niczemu nie służy poza zwróceniem na siebie uwagi, wystraszeniem innych. Ewentualnie to zwykła próba zawłaszczania przestrzeni. Gdy brak argumentów, zdolności do rzeczowej rozmowy, zawsze można próbować być głośniejszym. Nie chcę mówić, że świat zwariował, bo wokół nas zachodzą te same procesy co wcześniej, może tylko ich intensywność jest pozornie większa, ze względu na szybkość przepływu informacji. W jakimś więc sensie jesteśmy skazani na trwanie w tym hałasie, wojnie na decybele.

MILCZENIE PRZESTAŁO BYĆ CNOTĄ, KTÓRA POTRAFIŁA WYRAZIĆ WIĘCEJ?

Nie wiem, jak było kiedyś, bo albo mnie wówczas nie było, albo tego zwyczajnie nie pamiętam, niemniej wydaje mi się, że milczenie wciąż może być cnotą, wartością. Cisza bywa bardzo wymowna i czasem ciszą można osiągnąć zdecydowanie więcej niż krzykiem. Gdy wszyscy krzyczą, milczenie jest prowokacją. Wydaje mi się, że wiedza, kiedy zamilknąć, to wyższy poziom samoświadomości, w kulturze Zachodu często niedoceniana. Kiedy oglądam azjatyckie filmy, mam wrażenie, że milczenie jest w nich atrybutem siły, wielkości. To taka cicha demonstracja własnej odrębności i jednocześnie oskarżycielski palec skierowany w oprawców. Milczenie wówczas, jakkolwiek to zabrzmi, staje się poprzez kontrast krzykiem w wymiarze symbolicznym. Są jednak chwile, gdy milczenie to bierność. Kiedy doświadczamy, jak powoli wokół nas zaciska się pętla państwowej przemocy albo głupoty ludzkiej, nienawiści, niesprawiedliwości społecznej – w takich sytuacjach krzyk jest walką o godność, prawo do samostanowienia, zasygnalizowaniem, że jesteśmy tutaj i swojego fragmentu rzeczywistości łatwo nie oddamy.

MOŻE KRZYK JEST JEDYNĄ FORMĄ, KTÓRĄ MOŻNA COŚ OSIĄGNĄĆ, ZDOBYĆ?

Trochę zapominamy, że krzyk wiąże się z różnorodnymi emocjami i doświadczeniami. Jest czymś naturalnym, ale też czymś bardzo pierwotnym. Ludzie krzyczą, kiedy się boją, kiedy odczuwają ból albo radość, gdy próbują dodać sobie odwagi lub odgonić zagrożenie, gdy podejmują wielki wysiłek lub stracili nadzieję. Ale jest też drugi aspekt – krzyk jako forma komunikowania się. Dla mnie taki krzyk jest rodzajem przemocy. Jeśli ludzie nie potrafią rozmawiać inaczej niż tylko krzycząc (nawet jeśli to tylko komunikacja w sieci), to coś poszło nie tak. Bliska mi jest koncepcja bagna behawioralnego. Stoimy w obliczu przeludnienia, stąd mamy coraz mniej przestrzeni dla siebie. Obserwuję coraz większą skłonność do zachowań przemocowych, agresywnych; obawiam się, że prędzej czy później to szaleństwo doprowadzi do jakiegoś kataklizmu.

KRZYK MA NAJCZĘŚCIEJ NEGATYWNE KONOTACJE, ALE PODOBA MI SIĘ TO, CO POWIEDZIAŁEŚ, ŻE LUDZIE KRZYCZĄ, TAKŻE ODCZUWAJĄC RADOŚĆ. MYŚLĘ SOBIE, TERAZ ŻE NP. ZE SMUTKU WYNIKAJĄ TEŻ DOBRE RZECZY, JAK TĘSKNOTA, TROSKA... WYNIKA Z TEGO, ŻE DO ŻYCIA POTRZEBNE SĄ TAKŻE NEGATYWNE EMOCJE.

Nie ma złych emocji. Możemy czuć gniew, radość, smutek, euforię... Odczuwamy je po coś. Uczymy się dzięki nim, poznajemy siebie. Z każdej odczuwanej emocji może wyrosnąć coś dobrego. Z gniewu, z frustracji może powstać współczucie, chęć zmiany, możemy zacząć coś robić. Szczęście, radość pozwalają nam definiować rzeczy dobre i ważne. Jeśli nie

mamy wglądu w to, co czujemy, to znaczy, że nie znamy siebie i ciężej będzie nam zrozumieć innych ludzi. Bez emocji nie ma współodczuwania.

KAWAŁKI NA „TRÓJCE" NIE MAJĄ TYTUŁÓW, SAMA PŁYTA TEŻ NIE MA PEŁNEGO TYTUŁU, TYLKO SYMBOL USTAWIAJĄCY JĄ W CHRONOLOGII. CZY PRZEWROTNIE BRAK TEGO WSZYSTKIEGO NIE JEST BIERNOŚCIĄ?

Brak tytułów poszczególnych numerów czy tytułu płyty jest konsekwencją wcześniejszych wydawnictw. Pierwszy album nie miał nazwy (a przy okazji kasetowej reedycji otrzymał „I"), drugi album to po prostu „II". Trzeci musiał więc nazywać się tak, a nie inaczej. Co do tytułów poszczególnych utworów, to już wcześniej na splitach pojawiły się kawałki nienazwane. Tym razem uznaliśmy, że pozostawienie tylko czasów poszczególnych utworów będzie pójściem w skrajny minimalizm, pozostawieniem przestrzeni dla odbiorców. Jeśli komuś brakuje tytułów, może nadać je samodzielnie. Jeśli ktoś potrzebuje nazw, by wiedzieć, czego słucha, musi zdać się na swój intelekt, talent czy cokolwiek innego. Wierzę w to, że ludzie potrafią czytać między wierszami, że nie potrzebują, by wykładać im wszystko wprost. Naszym głosem są teksty piosenek, nasza muzyka, nasze wypowiedzi w zinach, rozmowach, nasze działania, które podejmujemy na co dzień i od święta. Tytuł płyty, tytuły piosenek nie mają znaczenia.

W TEKSTACH PIOSENEK DUŻO JEST ODNIESIEŃ DO PRZEMIJANIA, ULOTNOŚCI CHWIL, NAWIĄZAŃ DO CZASU I SŁÓW. CZY TU KRZYK MOŻE BYĆ NARZĘDZIEM, KTÓREGO ECHO ZAPISZE NAS NA ZAWSZE?

Przemijanie jest częścią życia. Dzisiejsza kultura pochwala młodość, żywotność, piękno cielesne. Na ubocze spycha starość, upływ czasu, zmiany, którym podlegamy. Dziś śmierć jest postrzegana jako przerażający finisz, kotara, za którą nie ma już nic, jakiś uwłaczający koniec burzący potęgę rozumu. Myślę, że każdy – prędzej czy później – musi zmierzyć się ze swoim poczuciem kruchości życia, jego ulotności. Przepracować ten temat samodzielnie i jakoś go oswoić. Nie wiem, jaka jest recepta na to, by gdzieś pozostała cząstka nas samych. Staram się żyć swoim życiem najlepiej jak potrafię i mimo że popełniam błędy i zdarza mi się robić rzeczy, których się potem wstydzę, to jednocześnie próbuję być fair wobec siebie i innych. Mamy tylko jedną szansę, ponieważ nie da się cofnąć czasu. Nie wierzę w duszę, życie po śmierci, karę za grzechy, ognie piekielne i wieczne zbawienie. Czasem bardzo mi brak osób, istot, które odeszły. Nie ma ich i już nigdy ich nie spotkam. Czuję wówczas wewnętrzny ból, bezradność i rozdarcie. Myślę, że to taki element życia, z którym musimy się pogodzić, bo nic innego nam nie pozostało. W tym indywidualnym wymiarze krzyk niczego nie zmieni, pozwoli tylko uwolnić nadmiar napięcia, jakie w nas wygenerowały emocje.

Nie jesteśmy politykami, charyzmatycznymi przywódcami tłumów. Nie prowadzimy nikogo na barykady, nie dajemy do rąk kamieni i nie wskazujemy celu. Mamy ukształtowane poglądy na to, co jest dobrem, a co złem. Wierzymy, że nasi odbiorcy potrafią je odczytać. W wymiarze twórczym GPP jest kłębkiem silnych emocji. Znajdziesz i krzyk, i milczenie. Smutek, bezsilność, nadzieję, radość, szczerość i furię. Dla mnie to nadrzędna wartość tego, co robimy jako zespół.

ZNAJDUJĘ TEŻ MOCNO ZARYSOWANĄ WIZJĘ UPADKU. „JESTEŚMY JAK DRZEWA, ODDYCHAMY ZEPSUTYM POWIETRZEM, DUMA I WIECZNOŚĆ SĄ GÓWNO WARTE, GDY WIELKIE DRZEWA I TAK BĘDĄ MARTWE". TO NIE POZOSTAWIA ZŁUDZEŃ. JEDNAK GDZIEŚ POMIĘDZY PRZEMYKA PRZEJMUJĄCO WYKRZYCZANY WERS „NIE CHCĘ TAK ZNIKNĄĆ". DLACZEGO NIE WARTO ZNIKAĆ?

Każdy z nas powinien móc znaleźć cel i sens. To element człowieczeństwa. Kiedy go odnajdujemy, możemy obrać kierunek i przeżyć nasze życie w wartościowy sposób. Każdy z nas odnajduje sens w innych rzeczach, sprawach. Poświęcając się temu, co dla nas ważne, zatrzymujemy czas. Istniejemy. Zapisujemy się w pamięci innych osób. Dzięki temu trwamy dłużej niż tylko przez tych kilkadziesiąt lat życia.

ERNST FISHER POWIEDZIAŁ, ŻE „W UPADAJĄCYM SPOŁECZEŃSTWIE SZTUKA, JEŚLI JEST AUTENTYCZNA, MUSI RÓWNIEŻ ODZWIERCIEDLAĆ UPADEK". TO ZDAJE SIĘ PASOWAĆ DO WASZEJ MUZYKI.

Sztuka to bardzo górnolotne określenie. Myślę, że każdy przejaw ludzkiej twórczości musi wynikać z potrzeb twórcy. Musi być więc z definicji szczery. Jest on nośnikiem chwili, emocji, wspomnieniem wydarzeń. Nikt nie pamięta, jaką melodię grała orkiestra na Titanicu chwilę przed katastrofą. „Guernica" Picassa jest w kanonie najważniejszych dzieł wszech czasów.

W TAKIM RAZIE IDĄC DALEJ ZA MYŚLĄ FISHERA, „CZY SZTUKA MOŻE PEŁNIĆ FUNKCJĘ SPOŁECZNĄ POMAGAJĄCĄ ZMIENIĆ ŚWIAT?"

Tylko poprzez tworzenie można zbudować inny świat.

WIERZYSZ, ŻE MUZYKA, TEKSTY MOGĄ WPŁYWAĆ NA ZMIANĘ ŚWIATA, JEDNOSTKI?

Tak, zdecydowanie tak. Moje poglądy ukształtowały się także poprzez muzykę. To dzięki temu, że wiele lat temu usłyszałem Dezertera, Alians, Włochatego, Infekcję czy Homomilitię zacząłem sobie zadawać różne pytania. Cały ruch hippisowski, czy późniejszy punk, rozwijał się nie dzięki akademickim dywagacjom, ale dzięki zwykłemu niezadowoleniu, sprzeciwie, frustracji. Uważam, że jest w historii świata przynajmniej kilka piosenek, które mogły być katalizatorem zmian.

A WŁASNA TWÓRCZOŚĆ PRZESIĄKNIĘTA TAK OSOBISTYMI ROZWAŻANIAMI JEST SYPANIEM SOLI NA NIEZABLIŹNIONE RANY CZY TEŻ KSZTAŁTUJE, MA KOJĄCE, TERAPEUTYCZNE ZNACZENIE?

Każdy potrzebuje jakiegoś wentylu bezpieczeństwa. Każdy ma swoje lęki, obawy, nieprzepracowane bądź oswojone traumy. Teksty GPP to zapisy chwil, ulotnych myśli. Jeśli jakaś definicja punk rocka zawiera szczerość, pozostawanie w zgodzie ze sobą, to jesteśmy zespołem do bólu punk rockowym. Nie ma tu kalkulacji, póz. Są osobiste doświadczenia i mierzenie się z ciemną stroną człowieczeństwa. Na „dwójce" było dużo słów o bezsilności w różnych aspektach – czy to społecznym, czy jednostkowym (osobistym). „Trójka", jeśli przyjmiesz jedną z możliwych interpretacji, to płyta o wątpliwościach – czy potrafiliśmy kochać, dawać, mierzyć się z życiem, być silnym, czy wiemy, kim jesteśmy, co sprawia, że jesteśmy takimi, a nie innymi ludźmi. To moja interpretacja na dziś, na 12 lutego 2018.

TAKA INTERPRETACJA ZMUSZA DO WEJRZENIA W GŁĄB SIEBIE, DO REFLEKSJI, MOŻE PRZEWARTOŚCIOWANIA PEWNYCH RZECZY. TO JEST DLA MNIE NAJWIĘKSZĄ SIŁĄ TEJ PŁYTY. MASZ ŚWIADOMOŚĆ TEGO, ŻE TO MOŻE BYĆ TAK ZNACZĄCE?

Moje spojrzenie na GPP jest z definicji skrzywione. Nie umiem ocenić tego, co robimy, obiektywnie. Nie wiem, czy nasza muzyka ma siłę oddziaływania, ale kłamstwem byłoby, gdybym powiedział, że nie chciałbym tego. Boję się trochę samozadowolenia, usypia ono czujność i krytyczne myślenie. Widzisz, wbrew pozorom jest we mnie wiele optymizmu i życzliwości wobec świata, nawet gdy wypowiadam kategoryczne sądy. Cenię sobie przyjaźń, uwielbiam czuć zaciekawienie ludźmi. Nie lubię jednak bezrefleksyjności, uważam, że stanowi ona pierwszy krok do zniewolenia. Jeśli tracimy pewną zdolność do spoglądania na siebie w szerszej perspektywie, to tracimy również taką zdolność wobec świata. Nie rozumiejąc siebie, nie rozumiemy tego, co dzieje się wokół nas. Kultura masowa otępia zmysły, gasi zdolność do krytycznego myślenia, wypełnia każdą przestrzeń życia, podając łatwe odpowiedzi. Jasność umysłu versus hedonistyczne otępienie. Wbrew pozorom mamy do czynienia z kulturą totalną. Dlatego uważam, że należy zawsze zadawać sobie pytania o przyczynę, cel i skutek.

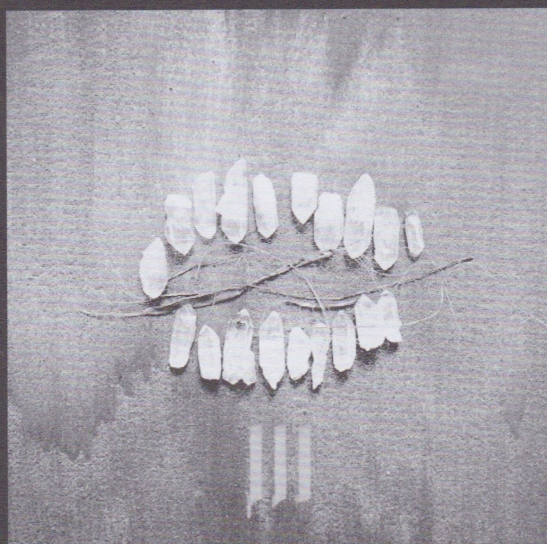
ZAGADKĄ JEST DLA MNIE OPRAWA GRAFICZNA „TRÓJKI". JEŚLI MA BYĆ DOPEŁNIENIEM PŁYTY, TO KOJARZY MI SIĘ Z ZĘBAMI, KTÓRE PRZY WTÓRZE WSPOMINANEGO KRZYKU CHCĄ GRYŹĆ.

To bardzo dobra interpretacja. Jeśli okładka i zawartość płyty wzbudziły w tobie taki odbiór całości, to świetnie, bo to oznacza, że płyta spowodowała, że coś poczułeś. Nie ma jednej i właściwej odpowiedzi na twoje pytanie. Każda jest słuszna i prawdziwa.

W TAKIM RAZIE MAM TEŻ TAKĄ TEORIĘ, ŻE DIAMENT MOŻE POSŁUŻYĆ DO OKREŚLENIA PEJORATYWNEGO ZNACZENIA KRZYKU, KTÓRY NIEOSZLIFOWANY, JEST JAK „SŁOWA RANIĄCE JAK STAL", ALE OSZLIFOWANY, STAJĄC SIĘ DIAMENTEM, MOŻE NIEŚĆ SZLACHETNY PRZEKAZ.

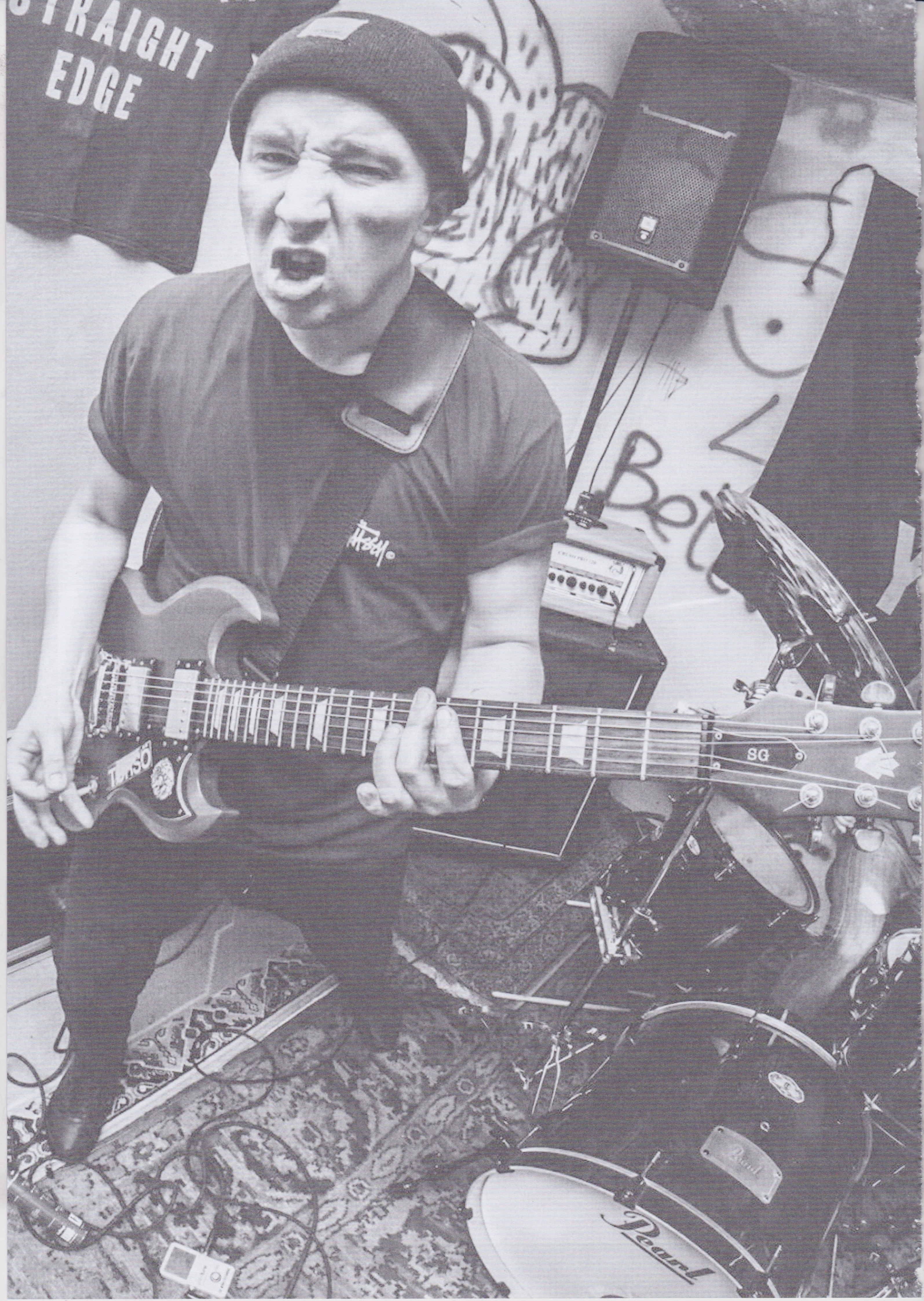
Nie przyszło mi to do głowy. Dla mnie kryształy są czymś zarówno doskonałym w formie (regularnym, uporządkowanym), jak i czymś fałszywym i niebezpiecznym. To piękne, błyszczące bryły, ale mają ostre krawędzie i potrafią zranić. Wszystko jest wielowymiarowe. Trochę to taka postmodernistyczna zabawa, ale jestem zwolennikiem raczej mnogości znaczeń i skojarzeń bazujących na emocjach niż pustej formy górującej nad treścią. Jak już wspomniałem, każda interpretacja jest słuszna ✕








161 CREW
Marshall


STRAIGHT
EDGE
SG
Pearl

G L A M O U R

Stereotypy to jest coś, co powoduje mur między ludźmi. Powinniśmy je wszystkie zamieść pod dywan, wszelkie odgórne sentencje na temat płci, koloru skóry czy pochodzenia są po prostu krzywdzące.

ROZMAWIA: MARCIN/
ZDJĘCIA: PIATAESENCJA.PL/

Glamour to młoda warszawska ekipa, która dopiero co (2016 to przecież całkiem niedawno, nie?) wskoczyła na scenę, a już stała się jednym z ciekawszych jej punktów. Surowy, szybki punk, przyodziany w cekinowe spodenki i obsypany brokatem – brzmi jak najgorszy koszmar homofobów. I słusznie, niech się boją, że dopadnie ich Glitter Stomp! Ale nie dajcie się zwieść hałasowi i chaosowi, które można spotkać na koncertach Glamour. Wbrew pozorom to miłe chłopaki, pełna kultura. Dlatego też postanowiłem zamienić z nimi kilka zdań. Padło na wywiad internetowy, no ale cóż, takie czasy. Na pytania odpowiadali: Borys (wokal) i Bartek (gitara).

W JAKICH ZESPOŁACH UDZIELALIŚCIE SIĘ DO TEJ PORY? CO SPRAWIŁO, ŻE POSTANOWILIŚCIE PODĄŻYĆ ZA SCENOWĄ MODĄ I WZIĄĆ SIĘ ZA OLD SCHOOLOWY HARDCORE? (ŚMIECH)

Borys: Dla mnie to pierwszy zespół, nigdy wcześniej nigdzie nie grałem. Zawsze chciałem, ale jakoś nigdy się nie składało. Miałem strasznie gówniany okres w życiu, ale raczej typowa. Widmo straty pracy, list, że jestem skreślony ze szkoły, moja mama wylądowała w szpitalu i gwałtownie zakończył się mój związek. To wszystko sprawiło, że coś we mnie pękło, no i jakoś te normy społeczne zaczęły mnie wyjątkowo drażnić. Skrzyknęliśmy się razem w internecie, w sumie trochę z przypadku i tak to powstało. Przynajmniej w moich oczach. Teraz próbuję sił w nowym zespole, z ludźmi z Krakowa i zobaczymy, co z tego wyjdzie. Pierwszy gig gramy w marcu.

A MÓGŁBYŚ ZDRADZIĆ, CO TO ZA ZESPÓŁ?

Borys: Podobno nazywamy się Laxity. Preferujemy styl penitencjarny, siermiężna perkusja ze stalowni, fałszująca gitara, połamany bas i delay na wokalu. Szrot wymieszany z papierem ściernym i wywar z lumpeksu. A na scenie planujemy dużo chaosu. Jestem zainspirowany mocno zespołem Q i ich występami na żywo, więc element niekontrolowanej destrukcji na pewno będzie grany.

Bartek: Nie grałem w niczym wartym odnotowania. Garażowe granie, z którego nic nie wyszło. Glamour chyba nie celuje w żadne trendy, jest trochę wypadkową tego, co nam gra w głowach. Aktualnie pracuję nad nowym projektem post-punkowym, ale tutaj wszystko jeszcze w powijakach.

NIE JESTEŚCIE JESZCZE TACY STARZY, JAK NA STANDARDY SCENY, WIĘC MOŻE POCHWALCIE SIĘ SWOIMI NAJWCZEŚNIEJSZYMI WSPOMNIENIAMI Z PUNKIEM. RACZEJ NIE BYŁ TO JAROCIN, CO?

Bartek: Pierwszy kontakt z punkiem to Chumbawamba w intro gry „World Cup 98". Nienawidzę piłki nożnej, więc odpalałem grę tylko, żeby posłuchać „Tubthumping". Potem na jakimś obozie kolonijnym Offspring był słuchany na magnetofonie podłączonym do głośniczków od kompa i jakoś to się rozwinęło.

Borys: No u mnie punk to jak dostałem kasetę Offspringa „Americana" od brata, jak miałem 5 lat. To chyba jest ten moment, kiedy mogę powiedzieć, że punk rock zmarnował mi życie. Wiadomo, świadomości raczej nie było. W gimnazjum Dezerter i Farben Lehre, w liceum pokochałem Post Regiment, Crass i generalnie szukałem już tekstów, które by mnie poruszyły. No i wiadomo – Black Flag, ten zespół zmienił moje życie! A teraz aktualnie wszystko od sekciarzy z La vida es un mus mi wchodzi i kocham Lumpy Records!!!

NO TO ZAZDROSZCZĘ, JA ZA DZIECIAKA KATOWAŁEM JUST 5 (ŚMIECH).

Borys: Wszystko jest dla ludzi!

ALE BEZ PRZESADY.

Borys: Zawsze mogłeś trafić na patriotyczny rap, ale wtedy to jeszcze chyba nie było takiego wytworu.

JEST JUŻ NAWET PATRIOTYCZNY NU METAL!

Borys: No, w dzisiejszych czasach to wszystko powoli staje się patriotyczne.

ALE PRZEJDŹMY MOŻE DO WASZYCH POCZYNAŃ MUZYCZNYCH. RZUTEM NA TAŚMĘ, PRZED KOŃCÓWKĄ ROKU WYPUŚCILIŚCIE NOWĄ EPKĘ. UDAŁO SIĘ OSIĄGNĄĆ WSZYSTKO, CO SOBIE Z NIĄ ZAPLANOWALIŚCIE?

Bartek: Na ten moment plany co do EP są jeszcze realizowane, nie wiem, co możemy z tego zdradzić. Borys wypowiesz się?

Borys: No, rzutem na taśmę to nie wiem, czy to dobre określenie. Mamy kłopoty z logistyką i komunikacją, ha, ha. Nagrany materiał był już cały w czerwcu. Ale u nas to jest tak, że każdy słucha innej bajki i każdy ciągnie w swoją stronę, i do tego dodaj niezdecydowanie, i to, że raczej mamy mało czasu, bo cały czas ktoś ma dużo spraw pozazespołowych. Wynikiem tego były półroczne miksy i mastery. Przepraszamy Jędras, byliśmy gównianymi klientami. A co do planów, to nie było planów. Wydać to w końcu, bo ile można i tyle. No ale wyszło, odbiór chyba był OK.

A JAKIEKOLWIEK ZAŁOŻENIA PRZYNAJMNIEJ JEŚLI CHODZI O BRZMIENIE, ZAWARTOŚĆ TEKSTOWĄ?

Borys: Brzmienie i zawartość tekstowa to jest bardzo poważne określenie, jakbyśmy przygotowywali się do tego nie wiadomo ile czasu. W naszym przypadku to jest raczej strzał, Bartek robi riffy raz dwa, nie wiem, jak on to szybko wymyśla, fanem brzmienia i kręcenia jest u nas Szymon. On cały czas by tylko poprawiał brzmienie, a teksty to

jest moment wkurwu i szybki wylew na kartkę. Raczej z marszu.

CZYLI SPONTAN I UCHWYCENIE CHWILI.

Borys: Tak jest. Myślę, że tak jest najlepiej. Wiem, że teksty nie zapiszą się swoją poezją jak Mickiewicz w historii, ale tak moja głowa działa i takie rzeczy z niej wychodzą.

OKREŚLACIE SIĘ MIANEM QUEERCORE. DLACZEGO CHCIELIŚCIE SZCZEGÓLNIE PODKREŚLIĆ AKURAT ASPEKT ORIENTACJI SEKSUALNEJ/IDENTYFIKACJI PŁCIOWEJ W WASZEJ TWÓRCZOŚCI?

Bartek: Nigdy nie określiliśmy się jako zespół queercore. Jeśli ktoś tak nas zaszufladkował, to nie protestowaliśmy, bo w żaden sposób nam to nie przeszkadza, ale jeśli już, to jesteśmy przede wszystkim LGBTQ friendly.

O, TO CIEKAWE. BARDZO CZĘSTO WIDZIAŁEM, ŻE WAS TAK OKREŚLALI NA PLAKATACH. MYŚLAŁEM, ŻE TO OD WAS WYSZŁO...

Borys: Nie wiem, czy my się określamy (śmiech). Na pierwszym gigu bardzo chciałem szufladki. Teraz raczej nie patrzę na to i czy ktoś to woli nazwać queercorem, hc pankiem czy pankopolo, nie robi mi to różnicy. Ale na pewno wynikło to z wkurwu na pewien problem, który się pojawia, a mianowicie wszelkiego rodzaju fobie. Myślę, że ten temat nie jest szczególnie oblegany przez kapele punkowe. Fajnie by było więcej o tym słuchać! Niestety dzieją się w naszej hermetycznej scenie dziwne akty seksizmu, homofobii i transfobii. Koncert Dezertera, na którym dziewczyna była dotykana przez jakiegoś zbowida, Siksa doskonale to pokazuje! A czemu chcemy go poruszać? Bo uważam, że miłość to miłość i każdy ma do niej prawo. Jestem fanem prostych zdań i uważam, że to zdanie powinno zamknąć wszelkie dyskusje. Ale jak widać niestety nie, szczególnie w dzisiejszych, ciężkich czasach politycznych.

Bartek: W tym kraju wystarczy założyć wąskie spodnie, by doświadczyć, czym jest homofobia, a przynajmniej jej namiastki. Mam czasem wrażenie, że wszystkich po kryjomu faszeruje się testosteronem. Jest powód do wkurwu i krzyku.

DOBRZE, ŻE O TYM WSPOMINASZ BARTEK. SAM MIAŁEM TAKIE DOŚWIADCZENIA, PRZEZ CO JESZCZE LEPIEJ ZROZUMIAŁEM SYTUACJĘ OSÓB LGBTQ. OCZYWIŚCIE NAMIASTKĘ TEGO.

Borys: Generalnie bawi mnie to, albo inaczej – to jest śmiech przez łzy, że w dzisiejszych czasach ciasne spodnie czy nie taki kolor koszulki potrafi w czyichś oczach zdefiniować twoją orientację seksualną. Ludzie, kurwa, to jest dramat.

NIESTETY TAK JEST OD MAŁEGO. RÓŻOWY TO KOLOR DLA DZIEWCZYN, NIEBIESKI – DLA CHŁOPCÓW.

Borys: Stereotypy to jest coś, co powoduje mur między ludźmi. Powinniśmy je wszystkie zamieść pod dywan, wszelkie odgórne sentencje na temat płci, koloru skóry czy pochodzenia są po prostu krzywdzące.

DOKŁADNIE TAK, JAK MÓWISZ, MNÓSTWO OSÓB POSŁUGUJE SIĘ SZTYWNYMI SCHEMATAMI MYŚLENIA, CHOCIAŻBY NA TEMAT OSÓB NIEHETERONORMATYWNYCH. KTÓRE Z NICH NAJBARDZIEJ WAS BOLĄ/WKURWIAJĄ? JAK Z NIMI WALCZYĆ?

Borys: Wiesz co, nie ma co ich nawet przytaczać i strzępić ryja. Nie chcę też wypowiadać się za wszystkich, bo każdy ma swoją wrażliwość i swoje granice. Bardzo mnie boli, że ludzie utożsamiają seksualność z ubiorem i z ruchami. Że jak sięgnę po coś w sklepie w nie taki sposób jak trzeba, to już można usłyszeć epitety. Siedzenie z nogą na nogę... No myślę, że te codzienne rzeczy są okropne. Że dla niektórych ciasne spodnie, wcześniej przez nas przytoczone, to równoznaczne z deklaracją orientacji. To jest po prostu żałosne w naszym społeczeństwie.

PRZYPOMNIAŁEŚ MI, JAK NA STUDIACH JEDNA DZIEWCZYNA Z MOJEJ GRUPY NAZWAŁA SWOJEGO DAWNEGO NAUCZYCIELA "DZIWNYM", BO WŁAŚNIE ZAKŁADAŁ NOGĘ NA NOGĘ I OD RAZU SUGEROWAŁA, ŻE JEST GEJEM, JAKBY TO BYŁO COŚ ZŁEGO.

Borys: Jest na to ciche przyzwolenie. W szkole raczej nauczyciele nie hamowali nas przed takim słownictwem i nie było to piętnowane, przynajmniej u mnie. Ale za to jak powiedziałeś „ty chuju", to już jesteś na dywaniku. To są właśnie te małe paradoksy, które powodują, że takie słownictwo w pewnym momencie jest akceptowane. Niestety.

Bartek: Wkurwia mnie, że kult męskości i siły tak zdominował społeczeństwo, że zwykły small talk potrafi sprowadzić się do jakichś homofobicznych czy seksistowskich wrzutek. Non stop spotykam się z określeniem prawdziwy mężczyzna czy prawdziwa kobieta. Wszędzie gloryfikacja powszechnego poboru do służby wojskowej. Gloryfikacja "tradycyjnej" (czyt. patriarchalnej) rodziny i płodzenia dzieci ku chwale narodu. W tej wizji nie ma miejsca na homoseksualizm. Jest on traktowany jako zagrożenie, słaby punkt. Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, co musi przeżywać osoba nieheteronormatywna, będąc wystawiona na coś takiego na co dzień.

CO DO HOMOFOBICZNYCH SMALL TALKÓW – DLACZEGO PRZEWAŻNIE SIĘGAJĄ PO NIE FACECI POZUJĄCY NA "PRAWDZIWYCH MĘŻCZYZN"?

Borys: Historia nie raz pokazała, że oni sami są homoseksualni i to odruch obronny. A reszta przypadków to chyba rywalizacja i chęć wyższości nad innymi. Zazwyczaj występują w większych ilościach, gdzie stadny instynkt i nabuzowane hormonami muskuły i alkohol powodują te gówniane sytuacje.

Bartosz: Myślę, że wbrew pozorom faceci nie czują się pewni swojej męskości. Nie chcę się bawić w domorosłego psychologa, ale podejrzewam, że ma to podłoże w kompleksach.

A SPOTKALIŚCIE SIĘ OSOBIŚCIE, CZY KTOŚ Z WASZEGO OTOCZENIA, Z AGRESJĄ FIZYCZNĄ TYM SPOWODOWANĄ?

Borys: Jasne, że tak. Mój kolega został wyrzucony z pociągu, jak jechał z kibicami Legii. Nie pasował do ich kodeksu Polaka.

Bartek: Anegdotka z mojej strony. Marcin wspomniałeś o studiach. Na naszym wydziale jeden z wykładowców, fantastyczny człowiek, tak skutecznie obalał swoją osobą stereotypy dotyczące homoseksualistów, że jeden ze studentów nacjonalistów zmienił poglądy.

OSOBIŚCIE ZNAM PRZYPADEK GORLIWEGO KATOLIKA, PRAWICOWCA, KTÓRY ZMIENIŁ SWÓJ STOSUNEK DO HOMOSEKSUALIZMU PO TYM, JAK SIĘ OKAZAŁO, ŻE JEGO DOBRY KUMPEL JEST GEJEM. MOŻE TO JEST METODA? OTWARTOŚĆ, UJAWNIANIE SIĘ. TYLKO CZY TO NIE ZA DUŻE RYZYKO?

Borys: Uważam, że to jest przeokropnie trudne pytanie. Nie jestem w stanie odpowiedzieć. To jest zawsze indywidualny przypadek i indywidualna sytuacja. Fajnie, jakby każdy mógł być sobą i bez konsekwencji, otwarcie mówić, co czuje. Trzymam kciuki, żeby wszystkie coming outy były bezpieczne i zaakceptowane!

ZALEŻY TEŻ NA PEWNO OD WRAŻLIWOŚCI TEJ DRUGIEJ STRONY...

Bartosz: Również trudno mi na to pytanie odpowiedzieć. Tak jak Borys powiedział, bezpieczeństwo przede wszystkim. Każda sytuacja jest indywidualna. W dużych miastach myślę, że łatwiej dokonać coming outu, ale w małych takie sytuacje potrafią prowadzić do tragedii.

CZASAMI ZASTANAWIAM SIĘ, CZY W OGÓLE TAKI STATYSTYCZNY POLAK JEST REFORMOWALNY W KWESTII HOMOFOBII/TRANSFOBII. PO RZEKOMYM PODZIALE POLSKI NA DWA OBOZY CIĘŻKO JEST PRZEKONAĆ KOGOŚ O KONSERWATYWNYCH POGLĄDACH DO CZEGOKOLWIEK, CO MOŻE KOJARZYĆ SIĘ Z LEWICĄ.

Borys: Wiesz co, ja nie jestem generalnie fanem stawania się coraz bardziej skrajnym. „Odpowiedzialność II" Guernica y Luno mnie tutaj wychowywała. Jak przysłowiowemu Januszowi od razu zabierzesz kiełbasę i będziesz krzyczał, że od teraz wege i tyle, to wiadomo, że nie przekonasz go do siebie. Wręcz odwrócisz od danej myśli i jeszcze będą rękoczyny. Myślę, że dyskusja, dyskusja i dyskusja. Edukacja jest bardzo ważna. Uczenie otwartości. Z tymi, co już są, możesz tylko rozmawiać i ktoś się może przekona. Ważne, żeby dzieciaki uczyły się otwartości. Lepiej wpływać na dzieciaki i im pokazywać alternatywy, niż przekonywać jakiegoś dewota/-kę, który/-a jest uparty/-a.

Stawiam na młodzież w tym przypadku.

Bartek: Kropla drąży skałę. Osobiście, w przypadku, kiedy rozmowa schodzi na tory, które mi nie odpowiadają, jasno przedstawiam swoje stanowisko. Dobrze, żeby statystyczni Janusze i Seby wiedzieli, że nie zawsze będzie im ktoś przyklaskiwał na ich rasistowskie i homofobiczne poglądy czy śmiał się z seksistowskich żartów.

A ZAUWAŻACIE JAKIEŚ ŚWIATEŁKO W TUNELU WŚRÓD SWOICH RÓWIEŚNIKÓW CZY NAWET MŁODSZYCH LUDZI SPOZA SCENY?

Borys: Tak, jak już wspominaliśmy, boli mnie przyzwolenie na stosowanie pewnych określeń. Ale ja, jako ziomek z Zalesia, co się tu kręci i na boisku spędza długie wieczory z ludźmi w wieku 10-25, to myślę, że w tej wsi jest nadzieja!

OBY TAKICH WSI BYŁO JAK NAJWIĘCEJ!

Borys: Pukam w niemalowane – nie ma żadnych celtów i innych głupot na murach, nie ma dziwnych graffiti, wiec cieszę się z tego, że chociaż tu dzieciaki wolą jeździć na desce, niż zajmować się patriotycznym rapem.

Bartek: Wśród moich rówieśników obudził się taki zew nacjonalizmu, że mam już ich serdecznie dosyć. Ograniczam kontakty jak tylko to możliwe. Co do młodzieży do niedawna myślałem, że wszystko idzie w dobrym kierunku, jednak tutaj też coś poszło nie tak.

TENDENCJA JEST OGÓLNOPOLSKA, WIĘC NIE MA SIĘ CO DZIWIĆ, WYSTARCZY PODLICZYĆ SAME TZW. „KÓŁKA PATRIOTYCZNO-HISTORYCZNE", W KTÓRYCH DZIEJĄ SIĘ PODEJRZANE RZECZY... JAK OCENIACIE PRÓBY KRZEWIENIA TOLERANCJI PRZEZ MEDIA LIBERALNE? SPOTKAŁEM SIĘ Z OPINIAMI, ŻE BYŁA ZBYT NACHALNA, PRZEZ CO WIELE OSÓB ODEBRAŁO JĄ JAKO TĘ MITYCZNĄ „HOMOPROPAGANDĘ", KTÓRA CHCE NA SIŁĘ ZMUSIĆ DO POLUBIENIA ŚRODOWISK LGBTQ+. ZGODZILIBYŚCIE SIĘ Z TYM? GDZIE POPEŁNIONO BŁĄD?

Borys: Myślę, że mainstreamowe media raczej nigdy nie będą po jasnej stronie mocy z przekonania, a raczej ze słupków oglądalności. Tu się liczy sensacja, a nie dobro. Niestety mam wrażenie, że człowieka przed telewizorem jest bardzo łatwo zmęczyć i jak cokolwiek, z czym niekoniecznie się zgadza, powie się więcej niż 3 razy, to określi to mianem propagandy. Poza tym generalnie mam wrażenie, że ludzie są zmęczeni i nie utożsamiają się z tymi problemami, chcą co mieć do gara włożyć. Niestety te tematy schodzą na drugi tor. Wkurwia mnie to. Ale nachalność medialna i często wybiórcze fakty pod dany program, niekoniecznie prawdziwe, nie pomagają sprawie. Ta wspomniana nachalność jest na pewno problemem. Trzeba o tym mówić, ale odpowiednio i w odpowiednich ilościach, żeby ten człowiek niezdecydowany nie poczuł się oblegany. Trzeba dać impuls do myślenia!

Bartek: Nie wiem, co propagują media liberalne, chyba tylko to, na czym w danym momencie można zarobić. Jest gorący temat, który napędza oglądalność i reakcje w mediach społecznościowych, to go poruszą.

PRÓBUJĄ UDAWAĆ TAKICH POSTĘPOWYCH, A JAK PRZYCHODZI CO DO CZEGO, TO WYCHODZI KONSERWA.

Bartek: Konserwa wychodzi straszna. Od niegroźnego "kiedyś to było" po zawoalowaną homofobię. Często aż mi zęby zgrzytają, jak słyszę niektóre mądrości w TV.

W KAWAŁKU „WCALE NIE JEST" PADAJĄ SŁOWA „EMPATIA I WRAŻLIWOŚĆ, TO NIE JEST SŁABOŚĆ". MYŚLĘ, ŻE TO BARDZO WAŻNA LINIJKA, SZCZEGÓLNIE W OBECNYCH CZASACH. JAK Z TAKIM PODEJŚCIEM NIE ZWARIOWAĆ W RZECZYWISTOŚCI ZDOMINOWANEJ PRZEZ PRZEMOC, DOMINACJĘ I NIENAWIŚĆ?

Borys: Ja to cały czas wariuję przez tę głupotę codzienną. A tak na poważnie to mam tak – są dni, kiedy wybiegasz z domu i jak taran jesteś w stanie stawiać czoła przeciwnościom losu, ale później przychodzi dzień, kiedy boję się komukolwiek w pociągu w oczy spojrzeć. To jest ciągła sinusoida emocjonalna. Codzienność na pewno jest zdominowana przez prawo większego, niesprawiedliwość cały czas gdzieś tam zagląda. Ja po prostu wiem, że nikt nie jest nienormalny i trzeba o tym pamiętać w tym codziennym zawirowaniu. Na chwilę słabości to zawsze i tylko wyłącznie papieros z przyjaciółmi i głośny punk z dobrym tekstem na słuchawce. Wtedy wiesz, że nie jesteś sam w tym gównie.

W TYM SAMYM NUMERZE JEST TEŻ DEKLARACJA „DZIŚ NIE SPOJRZĘ W ZIEMIĘ, DZIŚ WYBUCHNĘ GNIEWEM". SKĄD WZIĄĆ W SOBIE TYLE ODWAGI, BY PRZECIWSTAWIĆ SIĘ TRUDNYM SYTUACJOM TAKIM JAK DYSKRYMINACJA, JAWNA AGRESJA? JAKIEŚ WŁASNE DOŚWIADCZENIA?

Borys: Staram się w tekstach opisywać oba stany, o których mówiłem. „Dziś nie spojrzę w ziemię, dziś wybuchnę gniewem" to jest ten moment, kiedy po prostu wiem, że nie jestem sam. Że są też ludzie, którzy czują ten syf i mają go dość. To taki mój osobisty hymn asertywności i powiedzenie NIE przed sobą i presją codzienności. Ja nie lubię stwierdzenia „przekonywanie przekonywanych". Bo sam często potrzebuję przypomnienia, że jesteśmy tutaj razem i coś nas wszystkich wkurwia. A razem zawsze jest raźniej. To jest o tym, że pewne żarty i sentencje tego dnia codziennego nie są już po prostu śmieszne.

DLACZEGO TOLERANCYJNE PUNKI, KTÓRYCH NIE TRZEBA JUŻ DO NICZEGO PRZEKONYWAĆ, DALEJ POSŁUGUJĄ SIĘ OKREŚLENIAMI TYPU „PEDALSKA KAPELA" I MAJĄ PROBLEM Z TAKĄ NP. SIKSĄ?

Bartek: Kojarzysz taki typ człowieka "jestem tolerancyjny, ALE". Siksa fenomenalnie wyrywa z punkowej strefy komfortu i zmusza do myślenia. Do jej muzyki nie potupiesz nóżką, musisz się z nią zmierzyć.

Borys: Siksa to jest ciekawy temat, pozdrawiamy całym sercem Alex i Buriego i niech mają siły dalej grać! Bardzo wierzę w to, co robią, i będę stał za nimi murem. Niektórych to może bawi albo powiedzą "ty, no, ale ja żartuję". Sam pewnie wiesz, że podwójne standardy na scenie czasami funkcjonują. No to jest słabe. Nie odpowiem ci, czemu się nimi posługują, bo nie wiem, co mają w głowach, ale jest to definitywne złe. A oburzenia na tematy Siksy? Nie będę w żaden sposób odkrywczy. Jest poruszenie, znaczy, że potrzebna jest na ten temat dyskusja. Mają tę igiełkę i dobrego cela i potrafią przebić ten balon.

BORYS, LUBISZ ZROBIĆ MAŁE SHOW NA GIGU. TO TROCHĘ BROKATU, TO ŚWIECĄCE BUTY. CIEKAWI MNIE, JAKIE BYŁY REAKCJE NA TO WSZYSTKO, SZCZEGÓLNIE NA MAKIJAŻ. JAK NA CIEBIE REAGUJĄ PUNKI, ODNOSZĄC SIĘ DO TYCH SKRYWANYCH UPRZEDZEŃ?

Borys: Powiem ci, że tylko jedną taką dotkliwą, mocną sytuację mieliśmy w Poznaniu. Jakiś typ, przypadek psychiatryczny, generalnie pierdolił, że "za dużo pedalstwa jest na scenie", to było przed gigiem, a akurat stałem za nim, już umalowany do gigu i się zapytałem, czy tak uważa. Typ wybuchnął, krzyknął coś, że za dużo "pedalstwa", zwrócił się w kierunku wyjścia i krzyknął jeszcze na pożegnanie "abyście warszawiaki przed pustą salą grali" (śmiech). Oprócz tego raczej takich in your face sytuacji nie było. Wiadomo, że jak już umalowany idę na fajka przed gigiem, to są podśmiechujki itp., ale już po raczej zostają one rozwiane. Myślę, że tu osiągam swój cel, mianowicie łamania stereotypu koloru i tego, że umalowany chłopiec musi być łagodny i taki, i taki. Nie spodziewają się krzyku, krwawiącego czoła, skoków w tłum i autoagresji. Po gigu zazwyczaj są otwarte oczy i otwarta japa, i już się nikt nie śmieje.

Bartek: Gramy na gigach organizowanych przez fantastycznych ludzi, na które schodzi się równie wspaniała publika. Jak do tej pory każdy gig wspominam bardzo dobrze!

SKĄD U CIEBIE TE AKCJE W STYLU LEKKIEGO GG ALLINA?

Borys: Kurde no, emocje. Nie panuję nad tym. Motyw czoła powstał kiedyś na 2-dniowej trasce z chłopcami z Suicidebycop. Pozdrawiamy, buziaki, kochamy was :* Z Igorem było generalnie imprezowanie i powstał motyw, kto sobie bardziej czoło na gigu rozwali na GG Allina. I tak jakoś mi to zostało. Myślę, że pasuje to do konwencji łamania stereotypów, chociażby scenicznych.

TORUŃ BAWI I UCZY.

Borys: Poza tym ja okropnie lubię scenę w Stanach, gdzie dzieciaki po tych piwnicach

skaczą, robią jakieś dziwne rzeczy, gdzie gigi to jest definicja złości i wkurwienia. Uwielbiam performatywno-obrzydliwe zespoły. Dawn of Humans i ich gigi, cudo. Przeokropnie u nas mało tego.

JAKIŚ CZAS TEMU ROZCZAROWAŁEM SIĘ MOCNO, BO POJECHAŁEM DO GDAŃSKA NA KONCERT, LICZYŁEM NA DOBREGO MOSHA, A TAM STYPA...

Borys: Ja bym chciał, żeby to się zmieniło. W Stanach zespoły mają fajny pomysł na ogólne show i rozpierdol, brakuje mi tego.

WRACAJĄC JESZCZE DO POLITYKI... POLITYCY OPCJI RZĄDZĄCEJ PRZEKONUJĄ, ŻE NIE MAMY PROBLEMU Z FASZYZMEM I ŻE JUŻ WIĘKSZYM ZAGROŻENIEM JEST KOMUNIZM. ZA TO NA ULICACH CORAZ ŁATWIEJ O SPOTKANIE TRZECIEGO STOPNIA Z PATRIOTYCZNĄ PIĘŚCIĄ. JAKIE AKCJE/DZIAŁANIA ANTYFASZYSTOWSKIE SĄ WEDŁUG WAS POTRZEBNE, ŻEBY PRZEŁAMAĆ DOMINACJĘ SKRAJNEJ PRAWICY?

Bartek: To moim zdaniem klasyczna zagrywka dziel i rządź. Zatrwożyli się na widok ludzi w mundurach SS, jednak zacierają powiązania tych samych ludzi np. z Marszem Niepodległości. Łysi nacjonaliści są jednym z ich targetów wyborczych i szansą na tanią bojówkę partyjną. Odcinają się od największych oszołomów, głaszczą po glacy tych, którzy mogą im się przydać, i wskazują mitycznego wroga – odradzających się komunistów.

Borys: Ostatnio odpaliłem sobie tv, wiadomości TVP i, kurwa, nie wierzyłem. Akurat głośna była sprawa sławienia Hitlera przez narodowców. Przedstawienie sytuacji wygląda w sposób następujący: oczywiście, że nazizm trzeba tępić, ale koniecznie jeszcze bardziej trzeba tępić komunistów! I tutaj przebita z marszu antyfaszystowskiego (z – nie pamiętam – roku 2014?, 2015?), kiedy był jakiś typ z flagą z sierpem i młotem. Po minucie przecież od wyciągnięcia tej flagi dostał w ryja i został wyjebany z demonstracji, a TVP nie wspomniało o owej wyjebce, tylko że niby maszerował z nami. Więc takie "zapominanie" o pewnych faktach przez media jest śmieszne. A co do akcji, myślę, że na pewno bez kominiarek! Niestety, ale tu chodzi o to, żeby przyciągnąć zwykłego, statystycznego Polaka, nie robimy tego po to, żeby go wystraszyć. Ja rozumiem wszystko, ale generalnie uważam, że nie powinno być kominiarek i zamaskowanych twarzy. Okulary przeciwsłoneczne spoko, bo Janusz pomyśli, że słońce mocne (śmiech), ale raczej tu chodzi o to, żeby ludzie chcieli się z nami zgodzić, a nie przestraszyć. A niestety mam wrażenie, że jest opinia w narodzie, że antyfaszyści to to samo, tylko z drugiej strony. Strasznie przykre, że tak jest.

POWIEM CI, ŻE CZĘŚĆ ZWYKŁYCH LUDZI PO WYJAŚNIENIU POWODÓW POTRAFI TO ZAAKCEPTOWAĆ. ALE CIĘŻKO STWIERDZIĆ, JAKI TO PROCENT.

Borys: Ja rozumiem ten dylemat pomiędzy tym, czy zakrywać twarz, czy nie. Moje zdanie jest, że nie, ale wiadomo, nie będę nikomu zabraniał, jak czuje się bezpiecznie, to jest OK.

W POLSCE ROBI SIĘ NAPRAWDĘ DZIWNY KLIMAT... OSTATNIO WDANO SIĘ W ROZDMUCHANY KONFLIKT Z IZRAELEM, PRZEZ CO CZĘŚĆ PRAWICOWYCH PUBLICYSTÓW POZWOLIŁA SOBIE NA ANTYSEMICKIE WYPOWIEDZI, TYGODNIKI „WSIECI" I „DO RZECZY" NAKRĘCAJĄ SPIRALĘ NIENAWIŚCI SWOIMI ABSURDALNYMI OKŁADKAMI, A BYŁY KSIĄDZ MIĘDLAR ZARABIA NA KOSZULKACH Z NAPISEM „NIE PRZEPRASZAM ZA JEDWABNE". DOKĄD TO WSZYSTKO ZMIERZA?

Bartek: Uważam, że to szambo antysemickie wybiło, bo siedzi głęboko w wielu Polakach. Kto choć raz nie usłyszał pogardliwego "jesz w czapce jak jakiś żyd?". Myślę, że nie skłamałbym, stwierdzając, że połowa usłyszanych przeze mnie w życiu kawałów była rasistowska czy stricte antysemicka. I tak od najmłodszych lat. Polak może nigdy nie zobaczyć żyda na oczy, ale ma wyrobione na jego temat zdanie.

Borys: Wszystko zmierza do tego, że będziemy jednym wielkim pośmiewiskiem i nikt nas poważnie nie będzie traktował. Prowadzi to do mojej skaczącej guli, jak odpalam jakiś portal z wiadomościami i prowadzi do przyzwolenia na coraz więcej gówna, które będzie nas otaczało. Przesuwana jest granica niesmaku, a wręcz likwidowana. Boli mnie to, że już nawet nie jestem zdziwiony, to chyba najlepiej pokazuje ten temat... Parę lat temu byłoby to nie do pomyślenia. Teraz jest normą. Nic dobrego z tego nie będzie. Nie jest to odkrywcze, ale myślę, że prawdziwe.

JEST JESZCZE W TYM WSZYSTKIM JAKAŚ SZANSA DLA PUNK ROCKA? W CZASACH, KIEDY PODOBNO NIE MA JUŻ SUBKULTUR, A DZIECIAKI BARDZIEJ INTERESUJĄ SIĘ POCZYNANIAMI JUTUBERÓW?

Borys: Wiesz co, punk w jakimś stopniu też się stał wyeksponowany przez mainstream w pewną formę i tak jest przedstawiany. Został zamknięty w klatce stereotypu. Jak mówisz punk, to znaczy, że to jest irokez i wino spod lady za pasem. Taki jest odbiór tego słowa i tej subkultury. Czy prawdziwy? Zależy pewnie, na jakie gigi i wydarzenia chodzisz. Ja lubię zabrać czasem moich przyjaciół na gig. Coś tam kumają, że lewaki i że darcie ryja, ale widzę, że jest cały czas jakaś taka dziwna łatka przylepiona. Teraz na jesień pojechaliśmy wspólnie na Static Shock Fest do Londynu. Zobaczyli Limp Wrist na żywo. Ich oczy po gigu to był widok niesamowity. Całą drogę w autobusie mówili mi, że nie wiedzieli, że coś takiego istnieje, taka siła, taka energia i że ci wszyscy ludzie, ten mosz, te słowa ze sceny... Siła w tej muzyce jest i nigdy jej nie zabraknie, kłopot z tym, jak ludzie to odbierają przy pierwszej styczności. Nie jest to atrakcyjne na pierwszy rzut oka, poza tym trzeba się też, niestety, przebić przez tę hermetyczną barierę, która według mnie jednak istnieje. Boli mnie też trochę na gigu śmianie się z dzieciaków z irokezami, które starają się tam nieudolnie robić pogo, bawią się za agresywnie. Jestem raczej fanem pokazania im tej mniej pijanej ścieżki, a nie piętnowaniem ich. A jutuberzy? Niech sobie tam żyją i sobie robią te vlogi. A może to jest właśnie ta droga, by zachęcić dzieciaki.

Bartek: Średnia wieku na gigach raczej rośnie niż maleje. Nie wróży to optymistycznych prognoz dla punk rocka. Z drugiej strony znane są mi przypadki, gdzie bardzo młoda osoba angażuje się nie tylko w punk rocka, ale i w wiele świetnych inicjatyw DIY, także tylko brać przykład i czerpać inspiracje. Kiedyś spotkałem się z opinią, że punk ma się najlepiej, gdy jest martwy i muszę przyznać, że jest w tym trochę racji. Aktualnie działa wiele świetnych zespołów i wydawców. Ludzie spotykani na koncertach nie pojawiają się z przypadku. Z większością możesz się zakumplować praktycznie ot tak. Zdecydowanie odpowiada mi aktualny stan sceny. Wszystko odbywa się w głębokim podziemiu, koncerty są kameralne, nagrania wydawane przez małe niezależne labele i sprzedawane z ręki do ręki. Nie chciałbym powrotu czasów, gdy kasety zespołów pokroju Para Wino były dostępne w kioskach Ruch i był na nie popyt. Stawiałbym w tym wszystkim na jakość niż ilość, choć nie wykluczam ponownego boomu na ten gatunek. Pamiętajmy, że trendy lubią zataczać koło. Spójrz na tych modnych newschoolowych raperów jak MGK czy Lil Peep. Można się u nich dopatrzeć nawiązań do punk rocka. U ASAP Ferga głównym motywem klipu „Uzi Gang" jest koncert hc punk.

Z DRUGIEJ STRONY WIELU MŁODYCH LUDZI PRZYCIĄGAJĄ RADYKALNE IDEE. JAK MYŚLICIE, DLACZEGO WIĘKSZOŚĆ Z NICH TRAFIA DO OBOZU NARODOWEGO ZAMIAST NP. DO ANARCHIZMU?

Bartek: Nacjonalizm jest atrakcyjny, bo oferuje odpowiedź na frustracje młodego człowieka. Imponuje siłą i jednością. Upraszcza ten złożony i pełen niuansów świat. Czemu nie wybierają anarchizmu? Myślę, że ludzie boją się wolności.

Borys: To jest właśnie ta hermetyczność. Jak zaczynałem chodzić na gigi, to pamiętam podśmiechujki z irokeza, „O ZOBACZCIE, TO JEST PUNK, A NIE TO CO MY" i inne teksty. Nie rozumiałem, o co chodzi. Było mi trochę przykro, ale zbyt to lubiłem, żeby sobie darować. Myślę, że niejeden na tym etapie poprzestał i rzucił to w kąt. Więcej wyrozumiałości i "zapomniał wół, jak cielęciem był". Kolejnym problemem jest to, co jest podsuwane przez głupie strony internetowe jak kwejki i demotywatory. Niby słodkie zwierzątka i głupie memy, ale co 10 mema masz jakiś cytacik z Korwina, tutaj – że kibice zorganizowali zbiórkę dla domu dziecka. Jeżeli jesteś fanem takich stron jako młodziak i nie zwracasz uwagi na to, to jesteś karmiony shitem. Dobrze ci się to kojarzy. Nie wiem, czy nie są to wnioski za

daleko idące, ale ostatnio myślałem, że to może być jednym z czynników. A samo słowo anarchizm dla zwykłego człowieka to też jest hołota. Bardzo ważny jest dobór słów. Trzeba odczarować pewne słowa, bo niestety dla statystycznego człowieka kojarzą się źle. To jest na pewno problem, pewne definicje są po prostu kojarzone z najgorszego sortu skrajnością i chuliganką bez powodu.

ŻEBY NIE BYŁO TAK PESYMISTYCZNIE – JAKIE POZYTYWNE INICJATYWY DOSTRZEGACIE WOKÓŁ SIEBIE? MOŻE SAMI BIERZECIE/BRALIŚCIE W CZYMŚ UDZIAŁ?

Borys: Rzeczy zawsze się dzieje dużo. Trzeba szperać, nie tylko punk rockiem człowiek żyje. Ja bardzo lubię wszelkie DIY rzeczy i muzykę. Mam mój mały label, w którym sobie wydaję kasety i winyle. Jeżdżę na gigi i to opycham po jakichś śmiesznych cenach. Zawsze jestem na minus, a moje plecy przez te toboły mają skoliozę poziom 1000. Staram się z tego oddawać dużo kasy na benefity, bo to jest jakaś realna pomoc. Przynajmniej mam nadzieję. Tak więc kupujcie polskie rap płyty. A tak naprawdę to róbcie to, na co macie ochotę, ja nikomu nic nie mogę dyktować.

Bartek: Benefity, wszędzie benefity. W Warszawie bardzo dużo takich akcji. Znaczna część koncertów DIY to zrzuta na jakiś fantastyczny cel. Studia tatuażu regularnie organizują charytatywne walk-in day'e. Jest wiele okazji, by wspomóc jakąś fajną akcję i przy okazji skorzystać z dobrych atrakcji. Myślę, że to świetna sprawa.

NA KONIEC, ZANIM POZDROWICIE MAMĘ, TATĘ I WUJKA, WYMIEŃCIE SWOJE ULUBIONE WEGAŃSKIE DANIE.

Bartek: Jestem prostym człowiekiem. Dajcie mi pierogi ze szpinakiem z Baru Stołecznego, a będę szczęśliwy.

Borys: Ja zawsze marzę, że jak kiedyś dorosnę i będę WIELKIM ROCK'N'ROLL STAR to w rajterze napiszę WEGAŃSKA PIZZA W STYLU AMERYKAŃSKIM. Uwielbiam pizzę! Kocham, niech cały świat otacza pizza.

DOBRZE, TERAZ MOŻECIE POZDROWIĆ TEGO WUJKA LUB DODAĆ COŚ OD SIEBIE (ŚMIECH).

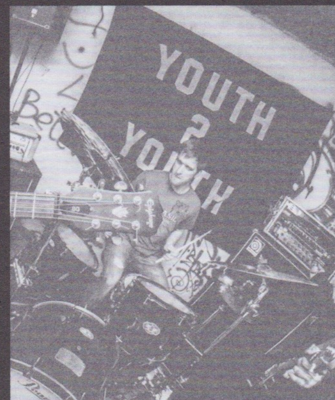
Bartek: Pozdrawiać to chcę wszystkich, których spotkaliśmy, spotykamy i pewnie spotkamy na naszej drodze! Toruń, Siksa, Torpur, Saszka, Negative Vibes, Hanako. Wszyscy, którzy nam zrobili gig, wszyscy, którzy przybili z nami pionę!

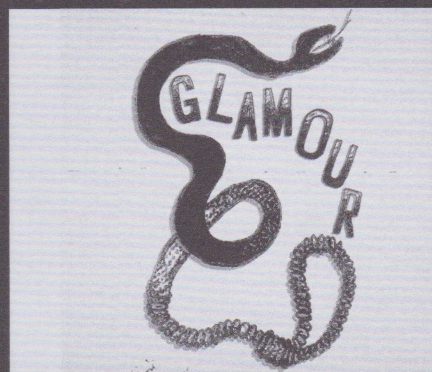
Bartek: Na koniec chciałbym pozdrowić wszystkich zagadkowiczów ✕















WYWIAD /

P R O T E I N

To zależy od nas, ale też od tego, czy ludziom to siądzie, także okaże się, czy tego chce ulica i czy tego chcą dzieciaki. Oby nam to było dane.

ROZMAWIA: JANEK/
ZDJĘCIA: KEEPTHISMOMENT.COM/

■Pokrótce – jest to pierwsza kapela sXe, która powstała w Polsce od kilku lat. Grają od niedawna, a w składzie członkowie Regresu, ViciousXReality i Radiance. Granie jak z Ameryki nagrane w studiu w Małopolsce. Na pytania odpowiadali Krystian, Robert i Maciek.

CZEŚĆ! MIESZKACIE W RÓŻNYCH MIASTACH. CZY W OGÓLE GRACIE PRÓBY? CZĘSTO WAM SIĘ TO ZDARZA?

Krystian: Wbrew pozorom całkiem często. Co prawda są to próby główne instrumentalne, ale Robs w miarę możliwości odwiedza miasto smogu i wtedy też sklejamy podstawy numerów w całość. Zresztą mamy XXI wiek i głupio by było nie wykorzystać technologii. Ciągle wymieniamy się pomysłami, czy to w formie nagrywki z telefonowego dyktafonu, czy w postaciach dupiatej jakości wideo.

Robert: Dokładnie. Przed pierwszymi koncertami to w sumie sekcja muzyczna spotykała się chyba raz na tydzień, a ja wbijałem tak raz na miesiąc; generalnie problemu nie ma. Nie widzę się z resztą składu na co dzień, no ale i tak jest super – każdą próbę w piątkę staramy się wówczas jak najlepiej wykorzystać, po próbie pójdziemy coś zjeść itd.

Maciek: Pierwsze próby całą pakietą to jedno z najlepszych wspomnień ubiegłego roku – Robert przyjeżdżał w sobotę wieczorem, bujaliśmy rowerami po mieście, a w niedzielę próba i całodzienny hangout w pełnym słońcu.

JESTEŚCIE PIERWSZYM OD DŁUŻSZEGO CZASU NOWYM SKŁADEM SXE W POLSCE. W 100% SXE – TAKI BYŁ ZAMIAR CZY JEST TO TYLKO KWESTIA PRZYPADKU?

Krystian: Nie będę ukrywał, że zespół straight edge chodził mi po głowie, odkąd tym straight edgem zostałem, więc w dużej mierze było to podyktowane takim zamiarem. Natomiast skład udało się stworzyć z takimi ziomkami, z którymi mógłbym grać w jakimkolwiek innym zespole (chociaż najfajniej by było jakieś black metale, bo chciałbym zobaczyć Roberta w corpse paintingu!!!).

Robert: Z jednej strony przypadek, z drugiej nie. Przypuszczam, że każdy z nas jara się przede wszystkim graniem w kapeli, ale że była opcja stworzenia tego z samymi niepijącymi nudziarzami, to czemu nie. Dla mnie świetna sprawa. Gdyby chłopaki znaleźli jakiegoś straight edge'a w Krakowie, który by się powydzierał, to pewnie bym już nie brał udziału w tym wywiadzie.

ROK 2017 BYŁ GENERALNIE BARDZO DOBRY DLA POLSKIEJ SCENY HC, NIE SĄDZICIE?

Krystian: Ja mam tak, że nie grupuję lat na te dobre i złe. Odkąd siedzę w scenie (a nie jest to jakoś wybitnie długo na tle niektórych weteranów), rok po roku mógłbym wymienić kilka takich rodzimych wydawnictw – zinów, epek, longów itd., które mną pozamiatały. W roku 2017 było tak samo. Nowe epki Bright Light, Glamour, Heatseeker były prima sort. Powstał Embitter, czyli słuszny 90's, jakiego brakowało w Polszy, a ich materiał jest gruuuuby. Ekipa toruńska też prężnie działa (czekam na materiał False Act). Nadal wychodzą fajne ziny, nadal jest co czytać.

Robert: Tak, to był bardzo dobry rok. W chuj koncertów, Pogłos, nowe zespoły, nowe płyty – w zasadzie to, co powiedział Krystian, a ja jeszcze odniosłem wrażenie, że nowe twarze widzę.

Krystian: Zdecydowanie się zgadzam z tymi "nowymi twarzami". Też czasem zauważam nowe dzieciaki na koncertach i mam nadzieję, że taka tendencja się utrzyma, bo fajnie jest nie być w końcu na nich najmłodszym typem.

MNIEMAM, ŻE WSZYSCY Z WAS GRALI/ŚPIEWALI WCZEŚNIEJ W JAKICHŚ ZESPOŁACH. WYMIEŃCIE, PROSZĘ, KAPELE, W KTÓRYCH UDZIELALIŚCIE SIĘ LUB NADAL UDZIELACIE.

Krystian: Ja dotychczas grałem na basie w Radiance i to wszystko.

Robert: Protein to mój pierwszy raz. W gimnazjum z kolegą trochę rapowaliśmy.

Krystian: Czemu ja o tym nic nie wiedziałem?!

Maciek: Pierwsze podrygi robiłem w Get Out, a od kilku lat razem z Damianem gramy w ViciousXReality. Damian gra jeszcze w Regresie.

W INTERNECIE NIEWIELE MOŻNA O WAS PRZECZYTAĆ, NIE MACIE FACEBOOKA ANI NAWET BANDCAMPA. DLACZEGO NIE CHCECIE POZOSTAWIĆ PO SOBIE NIC WIĘCEJ NIŻ TYLKO DEMA NA STRONIE Y2Y REC ORAZ WZMIANKI NA DISCOGSIE?

Krystian: Błąd! Bandcampa już mamy.

Robert: Chyba nie mamy ciśnienia, by zakładać tego fejsa, ale pewnie się go dorobimy w końcu – nie po to, żeby go po prostu mieć i podniecać się przy kolejnym lajku, ale trzeba przyznać, że po prostu ułatwia ludziom dotarcie do informacji, śledzenie aktualności... no i oglądanie filmików z psami, które na pewno będziemy udostępniać.

Maciek: Ja chyba jestem największym przeciwnikiem aktywnej obecności w Internecie; może dlatego, że w Y2Y i VxR ogarniam Facebooka, to już dla mnie trochę dużo. Żyjemy w czasach przeładowania informacjami, różne bodźce docierają do nas z każdej strony, mam takie wrażenie, że demko Protein dotarło tam, gdzie miało dotrzeć, i ten, kto chciał je znaleźć, nie miał z tym problemu. Jest sens robić więcej szumu?

Krystian: Ja rozumiem punkt widzenia Słonia, natomiast nie miałbym nic przeciwko temu, żeby w końcu tego fanpage'a się dorobić.

WASZE DEMO ZOSTAŁO WYDANE NA KASECIE. CZY SĄ PLANY NA WINYL?

Krystian: Demo na winylu nie wyjdzie, ale nowa epka już się robi i ona raczej na

pewno pojawi się na winylu.

Maciek: Chcielibyśmy bardzo, żeby nowa EP pojawiła się na winylu, a jak wyjdzie, to zobaczymy, tak jak mówi Krystian, szlifujemy nowe kawałki i jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to w kwietniu ponownie odwiedzimy studio Maćka z After Laughter.

DEMO POLECIŁ MI ZNAJOMY, MÓWIĄC, ŻE TO "GRANIE JAK Z AMERYKI". JAKIE KAPELE BYŁY DLA WAS NAJWIĘKSZĄ INSPIRACJĄ PRZY TWORZENIU KAWAŁKÓW PROTEIN?

Krystian: Te numery przeleżały w szafie parę ładnych lat, ale gdy je robiłem, to jarałem się Mindsetem (który nadal uważam za jeden z najlepszych zespołów ever), Floorpunchem, True Colors i Sportswear, co chyba słychać.

Robert: Lirycznie chyba się nie sugerowałem jakimś konkretnym zespołem, ale w okresie pisania do demo na pewno z youth crew leciało u mnie sporo Get The Most, Insist, In My Eyes i Floorpunch.

JAKIE SĄ WASZE PLANY NA PRZYSZŁOŚĆ. CZY TEN ZESPÓŁ JEST JEDNORAZOWYM STRZAŁEM, CZY ZA MOCNYM DEMEM BĘDZIE KONTYNUACJA W POSTACI NOWYCH NAGRAŃ?

Krystian: Mam nadzieję, że ten zespół trochę pożyje! Epka – tak jak wspomniałem – jest bliżej niż dalej i ja osobiście uważam, że zjada ona demo w każdym kontekście.

Robert: Ja na pewno nie widzę tego zespołu jako jednorazowego strzału i wydaje mi się, że chłopaki podobnie. Chciałbym trochę pograć, wydać co nieco, pojeździć może. To zależy od nas, ale też od tego, czy ludziom to siądzie, także okaże się, czy tego chce ulica i czy tego chcą dzieciaki. Oby nam to było dane.

MACIEK, WRAZ Z PAWŁEM Z REGRESU/VICIOUS X REALITY TWORZYCIE YOUTH 2 YOUTH RECORDS. JAKI BYŁ POCZĄTEK TEGO LABELU?

Maciek: Y2Y powstało w wyniku tego, że dużo gadamy z Pawłem, spędzamy dużo czasu w busie, jeżdżąc razem na koncerty, i w którejś z naszych rozmów zaczęliśmy śmieszkować, że założymy wytwórnię kasetową. Później już poszło sprawnie, akurat nasze ziomy z Heatseekera nagrały nowy materiał, a promo ich ostatniej epki ukazało się jako Y2Y 001, przypieczętowując też obecność Maćka Wolańskiego w Y2Y, bo w sumie tworzymy to w trójkę, a Maciek jest supermózgiem i bez jego pomocy Y2Y nie wyglądałoby tak ładnie.

DZIAŁACIE DOSYĆ PRĘŻNIE. JAKIE SĄ PLANY NA NAJBLIŻSZĄ PRZYSZŁOŚĆ WYDAWNICTWA?

Maciek: Właśnie wydaliśmy split Vicious X Reality z Time and Distance z Brazylii – to takie wydawnictwo, które powstało przede wszystkim z okazji naszej wspólnej brazylijskiej trasy, zostało jeszcze kilka sztuk. W planach kolejne promo Heatseekera. Chłopaki nagrali właśnie materiał na 12", my wydajemy promo tape z 3 kawałkami i coverem na kasecie, a pełnowymiarowym wydawnictwem zajmuje się Robert Refuse.

BĘDZIE TROCHĘ NIE NA TEMAT, JEDNAK NIE BYŁBYM SOBĄ, GDYBYM NIE ZAPYTAŁ O TO WYDARZENIE. A SKORO PADŁA JUŻ NAZWA VICIOUS X REALITY, CZY MÓGŁBYŚ POWIEDZIEĆ COŚ O TRASIE PO BRAZYLII, Z KTÓREJ WŁAŚNIE WRÓCILIŚCIE?

Maciek: O tej trasie moglibyśmy napisać oddzielnego zina, działo się sporo, na szczęście tylko dobrze. Wszystko udało się dzięki ogromnemu zaangażowaniu chłopaków z Time and Distance, którzy świetnie wszystko rozplanowali i zadbali o to, byśmy się nie zgubili, zagrali świetne koncerty i jeszcze do tego pobuszowali w dżungli czy wygrzali się na plaży. W moim odczuciu brazylijska scena jest bardzo żywotna, bardzo eklektyczna, na koncerty przychodzą młode osoby, które wydają się być zainteresowane tym, co masz do powiedzenia – to było ekstra. Każdy koncert był inny, każdy wiąże się z innym wspomnieniem. Graliśmy koncert na ulicy, po której normalnie jeździły samochody, jeden z najlepszych gigów to ten w Piracicabie, gdzie zagraliśmy w studiu nagrań, a na koncercie zjawiło się ponad 100 osób. Salka, w której graliśmy, mogła zmieścić w porywach 30. W Piracicabie piliśmy też sok z pieska... ale to temat na inną historię. Chyba najlepszy koncert to ten z Sorocacby – poniedziałek, 200 dzieciaków, iksy na rękach, ciepły wieczór i stoiska na dworze, wszystko tam się zgadzało, ale inne koncerty nie odstawały, serio. Na tej trasie dostaliśmy o wiele więcej dobra, dobrej energii, jakiejś takiej ludzkiej życzliwości, niż sobie to w najśmielszych marzeniach wyobrażaliśmy. No i ten widok Ogura zajaranego jak pięciolatek po przykryciu przez falę, piękna sprawa.

ROBERT, OD POCZĄTKU PRAKTYCZNIE SAM (O ILE SIĘ NIE MYLĘ) TWORZYSZ ZINA XIDEALNYMOMENTX. OPOWIEDZ NAM NIECO O TYM PRZEDSIĘWZIĘCIU, O TYM, W JAKICH OKOLICZNOŚCIACH UKAZAŁ SIĘ PIERWSZY NUMER, I CZY WTEDY W ZAMIARZE MIAŁEŚ KONTYNUACJĘ? CZY I KIEDY UKAŻE SIĘ NUMER SIÓDMY?

Robert: Zgadza się, xIMx to jednoosobowa redakcja, choć zawsze przed drukiem daję do zobaczenia Patrycji, aby mogła się do czegoś przyczepić. Jeszcze przy szóstym numerze Kacper z WeWatchClouds, który siedzi w grafice i w składowaniu tekstów, bardzo mi pomógł, składając właśnie ten numer, dzięki czemu wyglądał, moim zdaniem, sporo lepiej niż poprzednie numery. Ale żadne tam przedsięwzięcie – pierwszy numer wyszedł nieco ponad 4 lata temu, choć pomysł i materiał zbierał się już z 2 lata wcześniej. Po prostu w pewnym momencie chciałem coś dać od siebie, coś zmaterializowanego, coś, co sam bardzo lubię w HC, czyli zina. Kłębiły się różne myśli w głowie, a że nie dane mi było wówczas grać w jakimś zespole, to zin wydawał się być dobrą, alternatywną opcją do wyrażenia siebie. Wtedy, jak i teraz nie myślałem o tym, jak długo to będę pchał, choć pamiętam, że nie chciałem na pewno skończyć na jednym czy dwóch numerach, no, żeby przynaaajmniej ze 3 były. A siódmy, mam nadzieję, już będzie śmigał po osiedlach, w momencie gdy to czytasz, drogi czytelniku.

DLA UATRAKCYJNIENIA WYWIADU ZADAM PYTANIE POZAMUZYCZNE. JAKIE SĄ DLA WAS TOP 3 LOKALE WEGAŃSKIE I WEGETARIAŃSKIE W POLSCE? KRYTERIA OCENY POZOSTAWIAM WAM DO WYBORU.

Krystian: Pod Norenami to bezapelacyjny numer jeden, bo kocham kuchnię azjatycką, a lepszej niż w PN nie jadłem. Vegab – dwa (kaman, to jest super, w końcu wegański real fast food, polecam każdemu), a trzy... chyba rzeszowskie Cocina Verde, chociaż jest wiele fajnych miejsc, które teraz przychodzą mi do głowy. Po ostatnich wojażach w Warszawie również Lokal Vegan Bistro. Zapiekanka ziemniaczana mną pozamiatała.

Robert: To ja chyba polecę z kolei samą Warszawą – Lokal Vegan Bistro na czele za jedzenie, ludzi i klimat plus ich cukiernia Lokal Dela Krem. Potem chyba Leonardo Verde za pizzę! No i Loving Hut, blisko domu, pysznie, a po kilku latach chodzenia tam nadal nie skosztowałem ich wszystkich dań.

Maciek: Ja szanuję dozgonnie Mazaya Falafel za to, że ekipa, która tworzy to miejsce, jest zawsze supermiła i oprócz pysznego falafela z dużą ilością kiszonej rzeczy zarażają totalnym PMA. Lubię krakowską Karmę, przede wszystkim za kawę i ich tofurnik, a niedawno w Krakowie otworzył się Zaczyn – wegańska piekarnia, której bardzo bardzo mocno kibicuje. W W-wie króluje Lokal Vegan Bistro i szef kuchni Kajdan, czekam na powrót tej ostrej zupy.

NO DOBRA, SKORO WYDAJECIE SIĘ W WYDAWNICTWIE, KTÓREGO NAZWA NAWIĄZUJE DO MŁODOŚCI, JAKA JEST WASZYM ZDANIEM NAJLEPSZA AMERYKAŃSKA KRESKÓWKA?

Krystian: Amerykanie robią kiepskie kreskówki. W sercu Pokemony i Naruto. Ale jakbym musiał wybierać, to pewnie Fineasz i Ferb albo Ed, Edd i Eddy.

Robert: Ja jeszcze dodam od siebie Dragonballa. A jeśli amerykańskie, to Laboratorium Dextera – to było to.

Maciek: Dexter był sztosem, Pinkie i Mózg też piękna sprawa.

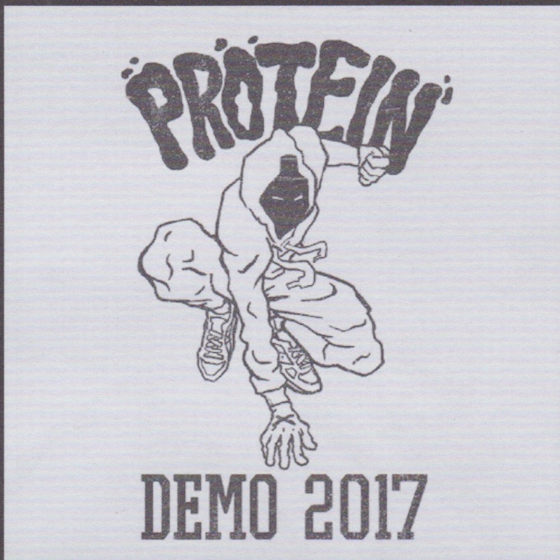
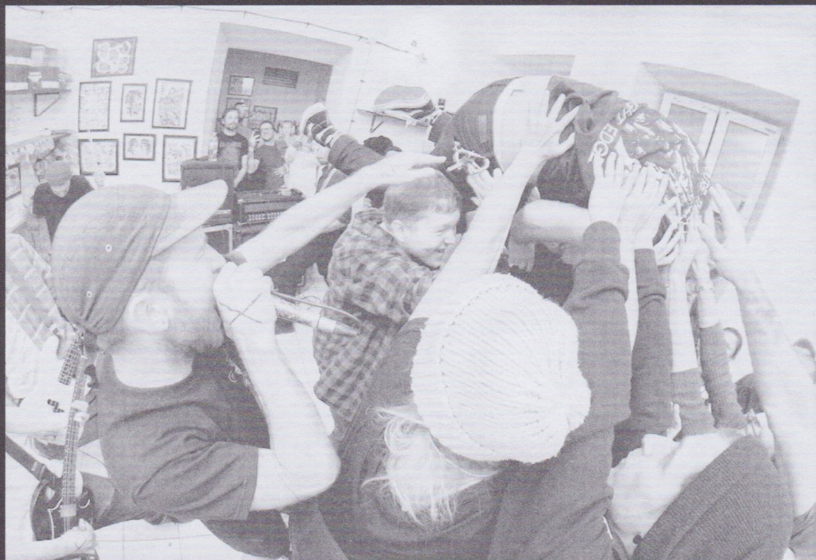
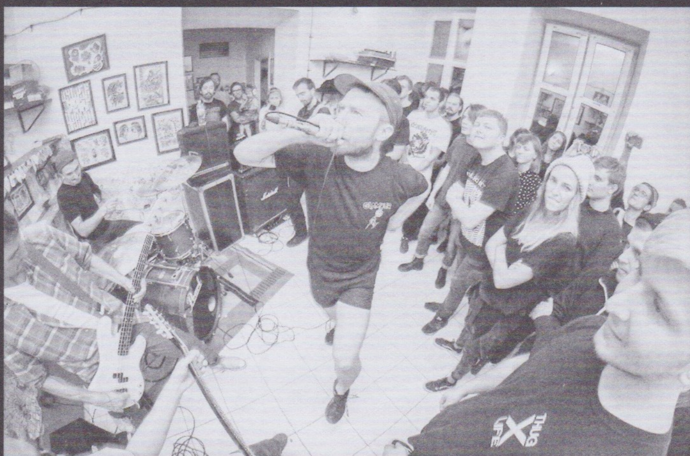
Z MOJEJ STRONY TO TYLE. DZIĘKUJĘ WAM ZA WYWIAD, NA KONIEC MOŻECIE POZDROWIĆ, KOGO CHCECIE.

Robert: Pozdrawiam PLHC, wszystkie znajome mordy, moją rodzinę i mojego psa. Dziękujemy Janku i całe WNŻ za wywiad, wszystkiego dobrego z zinem! Dla dzielnic muzyka, zapomnij o narkotykach.

Maciek: Chcę zobaczyć więcej dzieciaków na gigach, jak to czytasz i jesteś w gimnazjum albo liceum, zabierz swoich kolegów i koleżanki na kolejny koncert. Dzięki za świetne pytania, yo!

Krystian: Jebać myśliwych ✕




PRÖTEIN
DEMO 2017








WYWIAD /

C F 9 8

Kapela, muzyka, wartości – to jest część ciebie, styl życia i jest to pasja, której można wiele poświęcić, jeśli tylko się chce. Nie rezygnuje się z tego, bo ma się inne obowiązki, to po prostu staje się jednym z kilku obowiązków.

ROZMAWIA: MARCIN/
ZDJĘCIA: ARCHIWUM CF98/

■Weterani melodyjnego punka powracają! I to nie w byle jakiej formie. Mogłoby się wydawać, że po tylu latach grania w głowach członków zespołu powinno być coraz mniej pomysłów i zapału do dalszej działalności. Nic bardziej mylnego. W czerwcu ubiegłego roku CF98 wypuściło nowy album „Story Makers", który zamyka usta krytykantom (a przynajmniej części z nich), niemogącym uwierzyć, że na „polskiej ziemi" również da się sprawnie połączyć tonę melodii z konkretną treścią. Szczególnie że tym razem kapela mocno skręciła w rejony hiciarskiego hc po linii Ignite. A po mega energetycznym występie krakowskiej grupy na Nacjonalizm? Nie, Dziękuję! Fest wprost nie mogłem odmówić sobie przyjemności porozmawiania z nimi o paru sprawach.

TROCHĘ CZASU UPŁYNĘŁO OD UKAZANIA SIĘ WASZEJ NAJNOWSZEJ PŁYTY „STORY MAKERS". JAK JĄ OCENIACIE PO TYCH KILKU MIESIĄCACH, KIEDY EMOCJE NIECO OPADŁY?

Karolina: Hej! Przede wszystkim dzięki za pogaduszki z nami. Pod wieloma względami „Story Makers" to jest album, dzięki któremu chcemy nadal być CF98 i możemy w tym momencie o tym wszystkim ci opowiedzieć. Ciężko ocenić swoje własne dzieło, nam emocje nie opadły, bo nie tylko uwielbiamy grać te numery na żywo, ale jeszcze ostatnio zagraliśmy kilka koncertów akustycznie, głównie z tym albumem, a co najlepsze pojawiają się dzięki „SM" zaproszenia na kolejne gigi. Na pewno album przełomowy i dla nas jednak najważniejszy, trochę jakby miało go nie być, a wydarzył się dzięki pracy, postawie i kilku osobom i to cieszy najbardziej.

Delma: Powiem ci szczerze, że mi się ta płyta jeszcze bardziej podoba. Wiem, że nie powinno się mówić głośno, że słucha się swoich płyt, ale jak to powiedział kiedyś kolega ze STAY NOWHERE – "nie dałbym rady grać muzyki, której sam nie mógłbym słuchać". Jest też syndrom ostatniej płyty, a wiadomo, te najbardziej się podobają.

Alek: Ciężko ocenić samego siebie. Najczęściej jest się krytycznym, bo zwraca się uwagę na to, co można zrobić, by było lepiej. Nasza ocena zawsze będzie wyglądać inaczej niż ocena słuchacza. Osobiście uważam, że ten album jest kontynuacją tego, co zrobiliśmy w 2010 roku, a co powinniśmy zrobić jeszcze wcześniej. Myśleliśmy od początku o takich kompozycjach, w których jest miejsce dla energicznego rytmu, przeplatanego melodyjnym punk rockiem i hardcorem z lat 90. Myśleliśmy także o kompozycjach, które w warstwie lirycznej nie będą błahe. Poprzednie albumy były zrobione w innym miejscu, w innym czasie, z ludźmi, z którymi dzieliły nas zupełnie inne doświadczenia. Dlatego też są zupełnie inne niż „Story Makers" czy „Nic Do Stracenia". Swoich płyt najlepiej się słucha po latach, kiedy czas zdąży odświeżyć umysł.

A JAK PRZYJĘTO ALBUM? SCENA HC/PUNK W KOŃCU WAS ZAAKCEPTOWAŁA? CHYBA NIE JEST TAK ŹLE, NIE RAZ WIDZIAŁEM, JAK NA CEEFOWYCH GIGACH NAWET GROŹNI BRODACZE PODBIEGALI DO MIKROFONU POKRZYCZEĆ I POŚPIEWAĆ (ŚMIECH).

Delma: Scena hc/punk w Polsce paradoksalnie mało co akceptuje, jeśli wychodzi to trochę poza ramy. Znam jednak trochę tych groźnych brodaczy, a oni od początkuślędzą ten zespół, kibicują i słuchają, ale w domu, jak koledzy nie widzą.

Alek: Jak do tej pory „Story Makers" zbiera dobre recenzje i pochwały. Mam nadzieję, że tak będzie przy kolejnym albumie. Wydaje mi się, że wiele osób jest miło zaskoczonych naszymi koncertami. Reakcje słuchaczy są wywołane tym, jaki mamy wpływ na odbiorców. Zawsze byliśmy zespołem, który kładł nacisk na atmosferę podczas występu, dlatego też ludzie są zaskoczeni, że live wypadamy o wiele lepiej niż na albumie. To sympatyczne, że zacierają się granice pomiędzy groźnymi brodaczami a nieśmiałymi młodzieniaszkami. To miejsce jest dla wszystkich.

Karolina: Nie chcę myśleć takimi kategoriami, wiesz? Nasz przedostatni album '13' miał więcej rockowego pazura (ha, ha) niż punkrocka w sobie i nie dziwię się, że nie było wśród osób hc/punk większego odzewu. Za „Story Makers" dostaliśmy wiele opinii i pozytywnych recenzji od osób, po których nie spodziewaliśmy się, że będą chciały w ogóle odpalić ten album. I za miłe słowo tych osób, jak i wieloletnich słuchaczy mega dziękujemy. Myślę, że po prostu ze „Story Makers" mieliśmy coś szczerego do zaoferowania i to wróciło jak karma.

MELODYJNY PUNK CZĘSTO NIE JEST TRAKTOWANY ZBYT SERIO. JA NATOMIAST SPOTKAŁEM SIĘ Z OPINIAMI, ŻE WASZA MUZYKA JEST W STANIE PODTRZYMYWAĆ NA DUCHU, DODAWAĆ SIŁY. DOCIERAJĄ DO WAS TAKIE GŁOSY?

Karolina: To zależy gdzie. Zgodzę się z tobą, że nie jest poważnie traktowany i z góry zakłada się, że jest o niczym albo o byle czym, niestety jest to popularne stwierdzenie w Polsce. Ale powracając do pytania, to tak, i chyba jest to najładniejsza rzecz, jaką można usłyszeć jako zespół, że dla kogoś te słowa są ważne i mogą podbudować. Ja zawsze byłam chyba po tej jasnej stronie, wiesz, PMA, życie jest jedno, do przodu, braterstwo, girl power itd. Lubię nostalgię i smutek w muzyce, ale nie lubię w niej dołującej ciemności, dlatego jak

kogoś moje słowa podtrzymują na duchu, to łezka się w oku kręci.

Alek: Jest tak, że melodyjny punk często nie jest traktowany poważnie. Być może przez „wesołkowatość" i wolny od ideologii przekaz. Jednak mimo to jest sporo zespołów grających melodyjnie i poruszających ważne tematy, niekiedy w warstwie tekstowej o wiele konkretniej niż niejedna zaangażowana kapela. Zdarza się nam usłyszeć lub czytać opowieści, jak to nasza muzyka dodaje energii lub dla niektórych słuchaczy przez pewien okres była częścią dorastania. To miłe.

MY MUSIC ZMIENILIŚCIE NA ANTENĘ KRZYKU. CZYM RÓŻNIĄ SIĘ OBIE WYTWÓRNIE W KWESTII WSPÓŁPRACY?

Karolina: Wszystkim. My Music po prosu nie jest dla nas, nie powinniśmy tam się nigdy pojawić, nie nasz świat.

Delma: Arek ma lepsze kapelusze i wydaje fajniejsze kapele!

„STORY MAKERS" MA WYRAŹNIE CIĘŻSZE BRZMIENIE, BARDZIEJ W TONIE MELODYJNEGO HARDCORE'U. TO BYŁ PRZEMYŚLANY KIERUNEK? ZAINSPIROWAŁY WAS DO TEGO JAKIEŚ KONKRETNE KAPELE?

Karolina: Na to brzmienie i klimat złożyło się kilka czynników. Po pierwsze, chcieliśmy grać szybko, co, dzięki Adrianowi (ex bębniarz W Kilku Słowach), było możliwe i to jak! Po drugie, mieliśmy traumę po '13' (śmiech); po trzecie, wtedy już wiedzieliśmy, że takie granie wychodzi nam razem najlepiej, a po czwarte, dołączył do nas na drugą gitarę Delma. Nie pamiętam długich i wnikliwych dyskusji na ten temat, każdy z nas po prostu wiedział, że to dobry kierunek. Trochę czuliśmy, jakbyśmy odnaleźli w końcu drogę do domu (śmiech).

Delma: Brzmienie tej płyty to, wydaje mi się, wypadkowa, tego, co słuchamy, na czym się też wychowaliśmy. Nie wydaje mi się, że można zaplanować, że ta płyta będzie taka czy sraka. Duża część materiału była już zrobiona, gdy dołączyłem do CF-ów, siłą rzeczy Karolina też często puszczała mi nagrania z prób, sam byłem zafascynowany, w jaką stronę ten zespół zmierza.

JAKIE PŁYTY ODCISNĘŁY NA WAS NAJWIĘKSZE PIĘTNO I DLACZEGO AKURAT TE?

Delma: Ciężko mi wymieniać, bo jest tego sporo i jest to przeróżna muzyka. Pamiętam, że za totalnego małolata Dezerter miał bardzo duży wpływ, jeśli chodzi o nastawienie mnie ideologiczne, na pewno też Satanic Surfers, Kid Dynamite, Samiam, Shelter, Black Train Jack, Złodzieje Rowerów i Coalition. Jedną z niewielu płyt, które totalnie wgniotły mnie w ziemię i do dzisiaj słucham ich bardzo często, jest NEWBORN „In these desperate days..." – to było coś, turbo melodyjne gitary i wokal niczym wyziew piekła. Pamiętam, że jeden z numerów był na składance Pasażera i jako 16-letniemu gnojkowi nie mogło mi się pomieścić w głowie, jak można to połączyć.

Karolina: Większość kapel z dziewczyną na wokalu, ostatnio Not on Tour, moje ukochane Paramore, Lights, ale także Adhesive, Ignite, Against Me, Modern Life is War, Złodzieje Rowerów, Aporia, Gaslight Anthem, Hazen Street i wiele wiele innych. Albumy tych kapel na pewno były tłem do różnych wydarzeń, ale też trochę naprostowały myślenie i nastawienie.

CF98 MA JUŻ PONAD 13 LAT, ZGADZA SIĘ? CO NAJBARDZIEJ DOCENIACIE, A CO BYŚCIE ZMIENILI W TYM OKRESIE?

Karolina: Nie wiem, nigdy o tym nie myślę. Serio. Nie jestem osobą, która używa słów typu „szkoda", „żałuję, że" itd. Jedną rzecz, jeśli mam wymienić – może jakbyśmy poszli za ciosem i po „Nic do Stracenia" nagrali „Story Makers"... Ale to i tak nie byłoby możliwe, bo „SM" nie powstałoby w innym czasie i z innymi ludźmi. Co doceniamy? Kurde, zabrzmi banalnie, ale każde dobre słowo, także mądrą krytykę i podpowiedź. Poznaliśmy dzięki tej przygodzie wiele superowych osób, a bycie w zespole tak długo to niezły sprawdzian charakteru, cierpliwości i przyjaźni.

MINĘŁO TYLE LAT, TO I POJAWIŁ SIĘ NA PŁYCIE WĄTEK NOSTALGII. JAK ODNAJDUJECIE SIĘ W DOROSŁYM, ODPOWIEDZIALNYM ŻYCIU? CIĘŻKO BYŁO WEJŚĆ W DOROSŁOŚĆ, CIĄGNĄC JEDNOCZEŚNIE PUNKOWĄ KAPELĘ? KLIMATY POP PUNKOWE RACZEJ NIE SPRZYJAJĄ POWADZE I DOJRZAŁOŚCI.

Delma: Piosenki o przemijaniu są zawsze fajne! Generalnie to społeczeństwo wymaga na tobie, że jak skończysz 3 dychy, powinieneś mieć dziecko, dom, psa, dwa samochody i zapierdalać do pracy w garniturze. Więc samo przez się jest to wyraz sprzeciwu, a wiadomo, bunt nie przemija, tylko się ustatecznia (śmiech).

Karolina: Nie odczułam tego w ogóle w ten sposób. Kapela, muzyka, wartości – to jest część ciebie, styl życia i jest to pasja, której można wiele poświęcić, jeśli tylko się chce. Nie rezygnuje się z tego, bo ma się inne obowiązki, to po prostu staje się jednym z kilku obowiązków. Na tym wg mnie polega różnica miedzy zajawką i pasją, to drugie realizujesz nawet wtedy, gdy boli i nie zawsze przynosi wymierne korzyści. Dorośli zresztą często np. na imprezach zachowują się jak spuszczeni ze smyczy (śmiech). Ja wolę być w kapeli i tam wykrzyczeć złość i bezradność.

GDYBYŚCIE MIELI TAKĄ MOŻLIWOŚĆ, CO BYŚCIE PRZEKAZALI SWOJEMU NASTOLETNIEMU „JA"?

Delma: Nie zaczynaj palić papierosów!

Karolina: Nic. Niech sobie radzi sama (śmiech).

Alek: Czasy są zupełnie inne niż te, kiedy my byliśmy nastolatkami, ale należy pamiętać o tym, kim się jest. W miarę dorastania człowiek zapomina o swoich postanowieniach i ideałach, które miały być na całe życie. Więc pamiętajcie, kim jesteście i jakie są wasze korzenie.

NAWIĄZUJĄC DO SINGLA CF98, JAKA JEST WASZA RECEPTA NA ZOSTANIE „MAŁOMIASTECZKOWYM BOHATEREM"?

Delma: Wystarczy być sobą, robić to, co się kocha, realizować swoje pasje, nie patrząc na przeciwności, a przede wszystkim nie wstydzić się swojego pochodzenia!

Karolina: Z biegiem lat doceniasz w życiu wiele osób, które pozostają często niewidoczne, a robią dużo dobrego, pomagają, tworzą. To może być twoja mama, która przeznaczyła ostatnie pieniądze na kurs prawa jazdy dla ciebie, to może być osoba gotująca dla FNB, przyjaciel, który zawsze jest pomocny, ludzie zmieniający rzeczywistość tworzeniem czegoś z niczego, inicjatywami oddolnymi, zaangażowanymi w społeczności. Wszystko to, co „nie wystarczy", by nazwać ulicę od czyjegoś imienia, a teraz i tu dla wielu ta osoba jest wzorem do naśladowania i inspiracją. Chciałam oddać hołd takim bohaterom, którzy niekoniecznie funkcjonują w wielkich, głośnych miastach lub podbijają fotkami Insta (śmiech).

WSZYSCY JESTEŚCIE Z MAŁYCH MIEJSCOWOŚCI? JAK TO NA WAS WPŁYNĘŁO? CO WAM NAJBARDZIEJ PRZESZKADZA W TAKIEJ TYPOWEJ MENTALNOŚCI MAŁYCH MIAST? A MOŻE SĄ JAKIEŚ ZALETY?

Delma: Jestem z małej miejscowości. Wiesz, czym one się charakteryzują? To jakby ktoś nieustannie na twoją tablicę na Facebooku wrzucał twoje foty z każdej twojej życiowej sytuacji. Wszyscy się znają i kiszą we własnych plotkach, oczywiście nie akceptując tego, że możesz nie pić albo co gorsze, masz tatuaże jak recydywa. Najlepsze w tych miejscach jest to, że łatwo się z nich wyrwać.

Karolina: Oprócz Alka jesteśmy z Dębicy, Chełmka i Żywca. Nie wiem, czy coś mi konkretnego przeszkadzało w mniejszym mieście. Na pewno życie było kameralne. W autobusie, w drodze do szkoły nie było właściwie obcych twarzy, wszędzie można było dojść pieszo. Wiedziałam po jakimś czasie, że raczej nie mam tam znajomych, z którymi mogłabym założyć kapelę. A już wtedy coś mi świtało (jak na nastoletni umysł), że jednak nie chcę iść w stronę ukochanego wtedy Pearl Jamu, lecz w Offspringa i Green Day'a, nad którymi często się zastanawiałam – jak można tak melodyjnie, porządnie i szybko grać? Nie byłam w stanie tego wtedy pojąć.

TO, CO MNIE ZACIEKAWIŁO NA „STORY MAKERS", TO WĄTKI (ŻE TAK TO UJMĘ) SPOŁECZNO-POLITYCZNE W KAWAŁKACH „NORMAL BEHAVIOR" I „BIGGER BUSINESS". MOGLIBYŚCIE JE ROZWINĄĆ?

Karolina: Do pewnego momentu myślałam, że te tematy zostawię osobom, które umieją to idealnie ująć, o tym napisać, śpiewać, krzyczeć, że ja nie dam rady i będzie to






CF98
STORY MAKERS











słabe. W końcu przestałam się mazgaić, potrzeba śpiewania o ważnych społecznie sprawach, rasizmie, o tym, co jest dla różnych grup normalnym zachowaniem, stała się bardzo silna, silniejsza od myśli, czy będzie to dobre. W końcu to moje słowa i mój głos, mogę ująć to inaczej i po swojemu. I tak powstał Normal i Business.

Michał: Myślę, że jesteśmy ludźmi, którzy rozumieją, że nasza wolność kończy się tam, gdzie zaczyna cudza. To banalne stwierdzenie, wiem, ale powinno być prawdziwe zwłaszcza teraz, kiedy wiele osób zdaje się o tym zapominać. Polityka, to, co dzieje się na świecie, to rzeczy, które mogą wydawać się nieważne, odległe, ale przecież każdy z nas w tym uczestniczy, każdy z nas tworzy społeczeństwo, dlatego warto o tym mówić, a w dzisiejszych czasach nawet krzyczeć!

PEWNYM ZASKOCZENIEM DLA NIEKTÓRYCH MÓGŁ BYĆ WASZ WYSTĘP NA NACJONALIZM? NIE, DZIĘKUJĘ! FEST. NIE BYŁO ŻADNYCH NEGATYWNYCH KOMENTARZY, ŻE „BIERZECIE SIĘ ZA POLITYKĘ”? CZY TEGO TYPU IMPREZY MAJĄ JESZCZE RACJĘ BYTU? SĄ W STANIE COŚ ZMIENIĆ? JAK OCENIACIE/WSPOMINACIE SAM FESTIWAL?

Delma: Sam festiwal wspominam niezwykle fajnie, bielska ekipa zawsze staje na wysokości zadania, jeśli chodzi o organizację. Wydaje mi się, że bardziej mogliśmy zaskoczyć tych, którym się wydawało, że ten zespół nie ma nic wartościowego do zaśpiewania i zagrania. Każda impreza, która ukazuje problem nasilającego się rasizmu itp., jest potrzebna, żeby uzmysłowić, że to nie jest problem lat 90., tylko ta banda zjebów znowu rośnie w siłę. Michał: Myślę, że komentarze na ten temat nie zmieniłyby naszej chęci w wyrażaniu sprzeciwu do tego, co teraz dzieje się wokół nas. Na tej imprezie zostało powiedzianych wiele ważnych rzeczy, a najgorsze, co nam grozi, to cisza. Jeśli przestaniemy mówić, co nas boli, to ci drudzy zwyczajnie wygrają.

Alek: Zawsze będą dwie frakcje. W wyniku tego część ludzi krytykowała nas za poruszanie spraw politycznych, a część cieszyła się, że w końcu możemy poważnie porozmawiać. Jasne, takie imprezy mają rację bytu, choć same w sobie nie załatwiają sprawy. Chodzi bardziej o budowanie świadomości wśród ludzi i dialog. Te tematy są od lat poruszane, problem wciąż jest aktualny, więc nie należy nabierać wody w usta.

W KAWAŁKACH CF98 CZĘSTO PRZEWIJA SIĘ MOTYW WALKI, NIEPODDAWANIA SIĘ. O CO WARTO WALCZYĆ W DZISIEJSZYCH CZASACH? O CO WY WALCZYCIE?

Michał: Każdy z nas walczy o co innego. Jedni walczą o przyszłość dla swoich dzieci, a inni o to, żeby nikt nie nienawidził drugiego człowieka za to, że się gdzieś albo jakiś urodził. Myślę, że nie można też narzucać nikomu, o co ma walczyć. A tak z innej beczki to motyw niepoddawania się jest u nas ważny, bo gdybyśmy 2 lata temu poddali się z Karoliną i Alkiem, nie byłoby już o czym rozmawiać i z kim nagrywać płyt CF98 (śmiech). Nie będę skromny i powiem, że odwaliliśmy kawał dobrej roboty, spotykając się co tydzień przez pół roku, tylko po to, żeby popatrzeć na nasze znudzone i zmęczone twarze. Nie poddaliśmy się i teraz jest nas piątka! I nikt nie jest już Znudzony!

KAROLINA – PYTANIE DO CIEBIE. OSTATNIMI CZASY BYŁ PRAWDZIWY WYSYP OSKARŻEŃ O SEKSISTOWSKIE ZACHOWANIA, TAKŻE NA SCENIE HC/PUNK. FAKTYCZNIE CIĘŻEJ JEST KOBIETOM W ZESPOŁACH? BYŁAŚ ŚWIADKIEM JAKICHKOLWIEK NIESTOSOWNYCH/DYSKRYMINUJĄCYCH ZACHOWAŃ? JAK MYŚLISZ, JAKA POWINNA BYĆ NA TO REAKCJA?

Karolina: Nie mogę mówić za kogoś, zjawisko istnieje i gotuje się we mnie za każdym razem, jak słyszę o takim wydarzeniu, ale głównie znam je z opowieści. Rzadko byłam świadkiem seksistowskiego zachowania, a przez ponad 13 lat śpiewania w kapeli nie spotkało mnie nic takiego ze strony kolegi z zespołu, z innego zespołu, ze strony ludzi na koncertach. Więcej takich zachowań doświadczyłam w środowisku pracy lub na komendzie niż na scenie. Wiem też, że nie każda kobieta jest na tyle silna, aby sobie z tym poradzić. Ważnym głosem w tej sprawie jest Siksa, aby przemówić niektórym osobnikom, że ich zachowanie nie jest OK..

DLACZEGO ZAWSZE, KIEDY KOBIETA JEST W ZESPOLE (SZCZEGÓLNIE JAKO WOKALISTKA), MUSI TO BYĆ WSZĘDZIE PODKREŚLANE? POPULARNE NA ZACHODZIE OKREŚLENIE „FEMALE FRONTED BAND” NIGDY JAKOŚ NIE MUSIAŁO MIEĆ SWOJEGO MĘSKIEGO ODPOWIEDNIKA...

Karolina: A dlaczego do pewnego czasu było to sporym wydarzeniem, gdy kobieta leciała w kosmos, weszła na Mount Everest czy była naukowcem? To ma również z tym związek – przecież kobiety nie od zawsze mogły grać w kapelach, każda branża była obstawiona przez mężczyzn i pewnie dlatego to określenie działa jak haczyk, ciekawostka i argument, dla którego ktoś odpala daną kapelę. Bo to coś innego, ciekawostka, rzecz mniej powszechna, ale też „zobaczmy, jak sobie poradziła”. W tym momencie ten opis jest troszkę śmieszny, ale kiedyś było to normą i sami tak się opisywaliśmy.

ZASTANAWIAJĄCE JEST TO, ŻE SCENA NIEZALEŻNA, KTÓRA TAK CZĘSTO NAWOŁUJE DO ODRZUCENIA UPRZEDZEŃ, RÓWNIEŻ MUSI SIĘ MIERZYĆ Z TAKIMI PROBLEMAMI. JAK MYŚLICIE, DLACZEGO TAK JEST?

Karolina: Scena, czy tego chcemy, czy nie, to również część/wypadkowa społeczeństwa w którym żyjemy, w którym się obracamy, które obserwujemy, czasem chłoniemy, czasem się buntujemy. Uprzedzenia są i będą, bo nie jesteśmy perfekcyjni, ale ważne jest jednak to, że sobie je uświadamiamy i o tym rozmawiamy.

A JAKIE WARTOŚCI WYNIESIONE Z HC/PUNKA NAJBARDZIEJ SOBIE CENICIE? JEST COŚ, CO Z MŁODZIEŃCZYCH IDEAŁÓW DA SIĘ SKUTECZNIE PRZENIEŚĆ NA GRUNT CODZIENNOŚCI TRZYDZIESTOLATKI/-A?

Delma: DIY! Generalnie da się dużo przenieść – sposób myślenia, bycie tolerancyjnym i szanowanie innych ludzi. Poza tym bycie trzydziestolatkiem nie oznacza, że się dalej nie jest młodzieńcem, ha, ha.

Alek: Szczerość i akceptacja, choć z tym drugim to naprawdę rożnie bywa. Są ludzie, którzy na starcie dyskwalifikują nas za kobiecy wokal. Scenę tworzą naprawdę różni ludzie zaangażowani w przeróżne tematy i to jest chyba najlepsze, że tyle samo nas dzieli, co łączy.

ALEK, MIŁO ZASKOCZYŁA MNIE INFORMACJA, ŻE BYŁEŚ KIEDYŚ STRAIGHT EDGE. JAKOŚ PRZEOCZYŁEM DO TEJ PORY TEN FAKT. MÓGŁBYŚ COŚ O TYM POWIEDZIEĆ? CO CIĘ ZAINTERESOWAŁO W SXE? JAK WSPOMINASZ TEN OKRES? I JAK ZAREAGOWALI ZNAJOMI NA TWOJĄ OSIEMNASTKĘ NA TRZEŹWO?

Alek: Tak, był taki okres. To było w drugiej połowie lat 90., kiedy to z chłopakami z dzielnicy byliśmy zafascynowani punk rockiem. Ja w pewnym momencie zacząłem sięgać po kapele hardcore'owe. Pewnego dnia przyleciał do mnie kumpel z wycinkiem gazety z Bravo, którą zabrał siostrze. Był tam artykuł o Morning Again. Jak to? Oni nie piją, nie palą, nie jedzą mięsa, unikają przygodnego seksu i do tego grają hardcore? Pomyśleliśmy, że to coś dla nas, taki radykalizm, a równocześnie coś, co daje nam do myślenia i czyni nas jeszcze większymi outsiderami. Tak więc zaczęło się moje kreślenie x-ów, które trwało ok. 7 lat. Przez ten okres sporo skupiałem się na duchowym aspekcie, w wyniku czego założyliśmy kapelę Dailybread, to był chyba 2001 rok, potem kolektyw/wspólnota "Alternatywni" dla ludzi tworzących podobne kapele i myślących podobnie. Sporo jeździłem po festiwalach i organizowałem mnóstwo koncertów, w tym jeden z ostatnich 33 Rotations. Miło też wspominam ostatni koncert Awake w Częstochowie i nocowanie u chłopaków z Regresu. Tamten czas mnie kształtował i pomógł rozwiązać sporo problemów. Czasem z sentymentem sięgam po Congress, Liar, Refused, Sunrise i innych. Co do osiemnastki, to dla znajomych nie było szoku. Po prostu jej nie urządziłem.

OGROMNE DZIĘKI ZA WYWIAD! CHCIELIBYŚCIE PRZEKAZAĆ JESZCZE COŚ CZYTELNIKOM?

Karolina: Wystarczająco się już rozgadaliśmy, dziękujemy za wywiad i zapraszamy na koncerty. A tych, którzy jeszcze nie słyszeli, zachęcamy do odpalenia „Story Makers”✕



ALBUM STORY /

MANTA BIROSTRIS
OKO PROROKA

OPOWIADA: ADAM/
ZDJĘCIA: ARCHIWUM ADAMA/

■ *OKOLICZNOŚCI*

Po płycie „Tasamouh" z 2014 r starałem się wyciągać wnioski. Mimo iż płyta była słabo nagrana i zmiksowana, zyskała grono odbiorców, z którymi przez wiele miesięcy wymienialiśmy się e-mailami i dyskutowaliśmy o aspektach płyty, Bliskim Wschodzie, religiach, muzyce etc. Chciałem oczywiście kontynuować również bliskowschodnie wątki w przekazie, obecne na poprzednich dwóch wydawnictwach, skupiając się tym razem na roli ślepej religii sprowadzonej do pustych rytuałów, które zabijają istotę wiary. Głównym tłem miało zostać krótkotrwałe zaburzenie psychiatryczne zwane syndromem jerozolimskim, które widziałem na ulicach tego miasta, w okolicach miejsc związanych z postacią Chrystusa bądź Mojżesza. Jednocześnie bacznie obserwowałem programy TV o pielgrzymkach w ramadan, a nawet zobaczyłem ten fenomen osobiście, czekając w porcie lotniczym w Istambule. Całe lotnisko było pełne muzułmanów-pielgrzymów z całego świata odlatujących z Istambułu do Mekki, Medyny i innych ważnych dla islamu miast. Ślepa religijność w jakiś sposób mnie zastanawia i fascynuje, a z drugiej strony przeraża i niepokoi. I wszyscy ci religijni ludzie, odrzucający świat doczesny, a z drugiej – rozpychający się w świecie doczesnym na maksa. Zaciekawiła mnie rola fałszywych i prawdziwych proroków w pismach Starego Testamentu oraz roli jednych i drugich, nie tylko w ówczesnych społeczeństwach, ale i w dzisiejszych. Zastanawiałem się nad rolą znienawidzonych proroków prawdziwych, przepowiadających nadchodzącą zagładę i zniszczenie, oraz ubóstwianych pop proroków, bożyszczów

tłumów, bachusowskich archetypów beztroski, błazenady i hedonizmu, świadomie, bądź nie, odciągających ludzi od prawdy. Oko proroka to także piękny niebieski kamień ozdobny, jaki widziałem na wielu afgańskich kramikach. Przeklętym Okiem Proroka zatytułowano również stary polski przygodowy film, którego akcja toczy się w XVII w. wśród wojennej zawieruchy Polski sarmackiej i buntów Chmielnickiego. Głównym motywem jest szlachetny kamień zwany Okiem Proroka, obłożony klątwą, pożądany przez wielu, a każdemu z właścicieli przynoszący pecha. I w tym wszystkim dzieciak Hanusz ruszający do muzułmańskiej Turcji, żeby odszukać ojca uprowadzonego w jasyr. Album miał więc być wielowątkowy, wieloznaczny i uniwersalny, a jednocześnie na swój sposób uduchowiony i religijny.

■*LUDZIE*

Płyta demo była gotowa już w 2015 r., jednak nie mogłem znaleźć odpowiednich ludzi, z którymi mógłbym nagrać materiał, więc nie cisnąłem za wszelką cenę. Spokojnie w domu ogrywałem numery, ślęcząc nad tekstami (choć 1/3 płyty to kompozycje instrumetalne!) i całokształtem. Nieoczekiwanie rozpadł się sludge'owy band w Wawie, w którym grałem na kilku próbach, i perkman Piotrek wkrótce zasilił stonerowy Mary & The Highwalkers. Zadeklarował, że nagra całą perkę. Piotrek też skoptował ze swojej kapeli krakowskiego basistę Patryka (w Mary & The Highwalkers grającego na gitarze) – ucznia Novego z Vadera, i już wiedziałem, że płytę zrobimy w trzech. Wstępnie album miał miksować Tony von Kinsky, wysłałem mu nawet 5 numerów demo. Ostatecznie jednak nie mógł, bo nie dysponował wówczas odpowiednim sprzętem, a wynajem wiązał się z dodatkowymi kosztami. Potem rozmawiałem z Maciusiem Flankiem (Będzie Dobrze), ale niestety koleżeńska stawka, jaką mi zaproponował, była dla mnie wciąż wysoka (choć standardowa dla grup DIY), podobnie Bartek Kapsa (Something Like Elvis, Contemporary Noise Sextet etc.). Ostatecznie zadecydowały nawet nie tyle koszta finansowe, co po prostu nie chciałem dywagować nad ostatecznym brzmieniem na odległość, wysyłając pliki e-mailem bądź nawijając przez telefon . Musiał być więc ktoś lokalnie, a na nieszczęście warszafski miszcz brudnych produkcji (mi.n. Ceaseless Desolation) Adam Czechowicz z Fonii wyemigrował do Skandynawii. Musiało więc zostać w „rodzinie" i produkcji podjął się basman Patryk Kozera, który nagrał ścieżkę basu, wbił kilka gitar i back vocs. Myślę, że stonerowa sekcja trochę przebiła się w naszych nagraniach i odrobinę tej sceny metalowo-pustynno-psychodelicznej słychać. Ostatecznie wszystkie tracki nagraliśmy od nowa. Kiedy demo płyty było gotowe, poszukując brzmienia, wysłałem nagrania do kolegów z innych bandów, prosząc o sugestie. Cenne rady podesłali Drut z Inkwizycji, Jorge z Peru, Łukasz Mahava z Siły czy Bartes z O.D.R.A.

W międzyczasie doszliśmy do wniosku, że trzeba album skrócić, więc zrezygnowaliśmy z nagrania 3 numerów (w tym jednego tanecznego drum'n'bass, efektu mojego zajarania sceną klubową). Zapewne podobnie jak „Syndrom jerozolimski" i „Ostatni Psalm" – odrzuty z „Tasamouh", otwierające „Przeklęte Oko Proroka" – owe utwory znajdą się na kolejnym wydawnictwie Manta Birostris.

Oprawy graficznej podjął się wspaniały warszawski sXe artysta Jakub Stański, grafik, designer, voc glam punkowego WARSAW DOLLS i wydawca DEAD PRESS zine. Stan wykonał świetną okładkę inspirowaną arabskimi mozaikami, znad której szpary wyziera oko... Boga? Proroka? Niniejszym okładka zaczęła spekulacje nad motywami... masońsko/illuminackimi w twórczości Manta Birostris, tudzież lavey'owskimi. Przyznaję, łowcy teorii spiskowych bywają dokuczliwi ;) Ważnym spoiwem artystycznym w kontekście prac nad płytą w 2017 r. okazały się moje osobiste spotkania z wieloma bardzo ważnymi dla mnie artystami – Steve'em Austinem z Today is the Day, Justinem Broaderickiem (Godflesh) czy Jacaszkiem. Szczególnie Justin Broaderick, będący po koncercie w warszawskim Teatrze Rozmaitości w znakomitym nastroju, utwierdzał mnie w przekonaniu, że warto szukać własnej, osobistej drogi i wizji punk rocka.

■*UTWORY*

1. Syndrom Jerozolimski

W ogóle tak miał brzmieć tytuł albumu pierwotnie. Jednak stopniowo dochodziły inne wątki, nie tylko hebrajskie, więc ostatecznie tytuł zmieniłem. Utwór ten bezpośrednio nawiązuje do mojej obserwacji pielgrzymów przybywających do Jerozolimy. Siedziałem z żoną na schodkach Bazyliki Grobu Pańskiego i oglądaliśmy pielgrzymów z całego świata, przybywających do Świętego Miasta, odwiedzających Grób i popadających w chwilową euforyczność bądź spontaniczne akty skruchy. Tandetność tego pseudochrześcijańskiego biznesu, opartego na dewocjonaliach, „świętej wodzie z Jordanu, w którym chrzcił Jan Chrzciciel", różańcach, przelotnych wzruszeniach i stanach histerii, była tak porażająca, że zastanawiałem się nad tym, jak ci ludzie dają się na to nabrać. Nawet sam ultrakatol Cejrowski przeokrutnie wyśmiewał w swoich programach ten niecny proceder. Podobne emocje towarzyszyły nam w palestyńskim Betlejem, gdzie urodził się Chrystus. Żadna polska Częstochowa nie odda ducha tego miejsca, totalnie skomercjalizowanego, zaprzedanego mamonie i nabijaniu ludzi w butelkę. Z drugiej strony, wierzcie lub nie, syndrom jerozolimski, który obserwowałem, w jakiś sposób wciągnął w swoje szpony też mnie. Modlitwa, którą wyszeptałem pod Ścianą Płaczu (zachodnia ściana zniszczonej świątyni zbudowanej przez biblijnego króla Heroda), była jednym z najdziwniejszych doświadczeń, jakie miałem w życiu. Gościnnie i nieśmiało śpiewa fragment tekstu Ania Żeńca, moja serdeczna kumpela, na co dzień wokalistka pop, śpiewająca w chórkach m.in. z Natalią Kukulską, najbardziej znana z bycia ekszoną... Michała Wiśniewskiego z Ich Troje! Anka, świetna prywatnie osobowość, ma sporo scenicznych powiązań. We wczesnych latach 90. grała w zespole Glawthabak, który tworzył połamany HC; grali z Ahimsą i Paraphrenią, a także zakwalifikowali się na ostatni Jarocin 1994, niestety nie zdążyli zagrać z powodów zadymy. Udział Ani miał być eksperymentem, czy udanym – zostawiam słuchaczom. Jednakże wokalizy w ostatnim numerze „Przeklętego Oka Proroka", autorstwa Ani, siadły nam bardzo.

2. Ostatni Psalm

Jedną z najpiękniejszych rzeczy, którą mogę oglądać czasem w moim życiu, jest powrót z totalnego dna i upadku ludzi, na których wielu (a czasem nawet i ja sam) postawiło kreskę. O ludziach, którzy dzwigają się ze swojego upadku, i ku zdziwieniu innych odbudowują życiowe dziury, naprawiają krzywdy, które zrobili, szukają pojednania ze swoimi wrogami. Wbrew postronnym obserwatorom – szydercom i hipokrytom. I obserwacja takich ludzi jest MEGA inspirująca. O tym właśnie opowiada Ostatni Psalm. Riff podkradłem Melvinsom, jeno zagrałem go deko szybciej.

3. Diaspora

Wstępnie utwór ten miał opowiadać o rozsianym po świecie narodzie ormiańskim i miał być śpiewany po ormiańsku przez Artaszesa Baroyana. Artaszes uciekł z rodzicami do Polski w bardzo wczesnych latach 90. Unikając poboru do armii w zaczynającej się i niedokończonej do dziś wojny Armenii z Azerbejdżanem o Górski Karabach. Dzisiaj jest już polskim obywatelem, jednak do swojej ojczyzny wciąż nie może wrócić z powodu nierozwiązanego stosunku do służby wojskowej. Artaszes tuż przed nagraniem wyjechał do Holandii i nie zdążył nagrać swoich partii, choć teksty były gotowe. Musieliśmy zaimprowizować i nagrać swoje wersje wokali, które podbiliśmy tak pankowym instrumentem jak didgeridoo. Temat Armenii na pewno jeszcze kiedyś powróci w mojej twórczości.

4. Synagoga

Jestem wielkim fanem starej polskiej międzykulturowości przedwojennej, kiedy to mieszanka kulturowo-etniczna ówczesnej Polski była bardziej mozaikowa, a rzymski katolicyzm, nawet jeżeli był większościowy, to jednak nie tak dominujący jak w dzisiejszych czasach. Judaizm, prawosławie, protestantyzm... Kwitły niezliczone loże masońskie, istniały nawet legalnie działające i niepokojone przez nikogo (dopóki nie łamały prawa) bractwa okultystyczne. Z tamtego okresu zostało niewiele żydowskich domów modlitw, większość zbeszczeszczono (robiąc z nich np. świniarnie, żeby już nigdy nie pełniły funkcji sakralnych) i spalono, a te, które przetrwały, zwiedzam z wielką ciekawością – chociażby przepiękną, muzealną synagogę w Tykocinie. Kiedyś z Markiem Iwańczukiem, współzałożycielem Kryzysu, i jego nastoletnim synem byliśmy w sklepie spożywczym w Inowłodzu, który przed wojną pełnił rolę żydowskiej synagogi. Wewnętrz sklepu są wciąż freski i napisy po hebrajsku oraz rosyjsku. Długo rozmawialiśmy o tym, jak wielka to szkoda, że ową synagogą nie zainteresowały się ani lokalne władze, ani społeczność żydowska, a spadkobierca budynku z żalem musiał przekazać budynek w prywatne ręcę z aneksem do umowy, że była synagoga może być wykorzystywana w dowolnym celu, za wyjątkiem uczynienia z niej... burdelu. „Synagoga" jest więc taką tęsknotą za „tamtą" Polską. Wymyśliłem sobie, żeby w „Synagodze" zagrał na waltorni Krzysztof 'Banan' Banasik, znany najbardziej, rzecz jasna, z Armii i Kultu. Spotkaliśmy się na reaktywacji Falarka, w zdychającym CDQ, Banan wstępnie wykazał zainteresowanie, ale jednak przed nagraniami nieoczekiwanie się wycofał. Opchnąłem więc temat Bartkowi Bobełowi, folkowemu muzykowi z Wrocławia, który po dwóch tygodniach przesłał mi pliki demo. On właśnie gra w tym utworze na pinquillo – flecie peruwiańskim oraz na klarnecie. Przy okazji okazało się, że Bartek, tak jak ja, jest fanem twórczosci Sławka Gołaszewskiego.

5. Purim

Purim jest nawiązaniem do żydowskiego święta Purim, w którym Żydzi świętują ważną część swojej historii. Oto pewna kobieta, Estera, żona pogańskiego króla swoją mężną i odważną postawą zapobiega eksterminacji narodu żydowskiego, na którą zapowiadało się za czasów króla Kresksesa w V w p.n.e. Jest to wielkie żydowskie święto radości, w niektórych żydowskich tradycjach w tym dniu Żydzi mają jakby nawet nakaz „upić się tak, żeby nie odróżniać zła od dobra". Celowo zrobiliśmy z tego takie etno na djembę, coby słuchacz wrzucił słowo „Purim" w sieć i znalazł znaczenie.

6. Modlitwa o deszcz

Kuba Herok, muzyk wywodzący się ze Śląska Cieszyńskiego, to bardzo barwna i ciekawa postać. Jest nieprzeciętnym muzykiem o bardzo radykalnych poglądach i specyficznym sposobie gry na gitarze. Wywodzi się ze sceny gothic/new wave, jednak mocno przekreśla swoje korzenie i niezbyt chętnie wraca pamięcią do starych czasów, końcówki lat 80. Ma natomiast w sposobie gry specyficzny trans, który – gdyby tylko Kuba wyrzekł się przekonań – mógłby być niezłą bazą dla szanującej się noise rockowej kapeli. Kuba grał w kilkunastu projektach, choć nigdy nie nagrał płyty z prawdziwego zdarzenia i głównie para się obecnie muzyką chrześcijańską. Oprócz tego jest totalnym i kompletnie bezkrytycznym fanem, entuzjastą państwa Izrael, które odwiedza co najmniej raz w roku, od wielu lat. Utwór "Modlitwa o deszcz", wynik herokowej fascynacji muzyką żydowską i klezmerską oraz specyficznego transu, należy do repertuaru grupy Chaim, której Kuba jest kierownikiem oraz gra w niej na akordeonie. Chasydzizm na piątym biegu ;)

7. Biesłan

W 2014 roku odwiedził mnie Zbyszek Pawlak, freelancer współpracujący z wieloma organizacjami pozarządowymi na całym świecie. Zbyszek przygotowywał właśnie swoją pierwszą książkę zatytułowaną „Pęknięte Miasto". Siedzieliśmy i gadaliśmy, jedliśmy i piliśmy, dzień się kończył, a Zbyszek wciąż nie mógł skończyć swojej opowieści o wydarzeniach z osetyjskiego Biesłanu, których słuchałem z zapartym tchem. Dostaliśmy w prezencie demo egzemplarz książki, która miała się ukazać kilka miesięcy później nakładem wydawnictwa Znak. Książkę tę przeczytałem w 48 h, zarywając nocki. Ta historia bezsensownej przemocy, która raptem wymknęła się spod kontroli i została skierowana przeciwko dzieciom, poruszyła mnie dogłębnie. Wiedziałem, że zrobię z tego pankroka. Zadzwoniłem do Zbycha, dostałem od niego błogosławieństwo na zrobienie punkowego kawałka o Biesłanie i tak się zaczęło. Pisałem jakiś tekst, ale nie kleił mi się kompletnie. Więc jakoś bezradnie napisałem e-mail do Experta. Na początku nie był zachwycony, tak jak ja, bał się strywializowania, ale i przepatetyzowania tematu. W końcu po miesiącach spotkaliśmy się na warszawskiej Adzie, tuż przed koncertem Inkwizycji/Pochwalonych/The Pau i Expert z szelmowskim uśmiechem oznajmił, że ma tekst prawie gotowy. Gdy powstała muzyka, proste cztery akordy, wysłałem je Drutowi, a Grzegorz Drut, inkwizycyjny riffmasterman, dorzucił świetne solówki. Wszystko się składało w całość i żarło, naprawdę czułem, że wszystkim nam zależało na zrobieniu tej pieśni.

Klip do "Biesłanu" powstał w równie spontanicznych okolicznościach. Grzegorz napisał do mnie, żebym zrobił klip, ale ja niestety nie miałem o tym zielonego pojecia. Drut zakomunikował więc, że on weźmie na siebie stronę montażu. Całość rozegrała się w ciągu jednego tygodnia. Drut w poniedziałek wydumał temat klipu, dzień później zadzwonił Expert, czy mam chęć zrobić klip, w piątek przybyłem do Krakowa. W sobotę rano w totalnie undergroundowym Muzeum Fotografii zaczęliśmy pierwsze ujęcia do „Biesłanu". Całość reżyserował Expert, scenariusz to również jego zasługa, zdjecia robiła Expertowa Aga, montował Drut. Podczas zdjęć wewnątrz było strasznie zimno, a Expert rozwalił sobie kolano (na ujęciu w klipie jest poślizg Experta, totalnie niezamierzony). Pojawiło się sporo plotek i kontrowersji wokół teledysku. Przede wszystkim klip wrzuciłem w sieć 1 września, w kolejną rocznicę wybuchu II wojny światowej, więc zaczęły się komentarze typu „Tutaj nam wojna wybuchła, miliony ludzi w piach poszły, a ty jakiś mały konflikt lokalny przywołujesz" etc. Inną kwestią okazały się bezsensowne dyskusje internautów obwiniających o wszystko tylko jedną stronę – głównie Rosjan. Plus jakieś anonimowe debaty, że podobno obrazy teledysku obrażają pamięć ofiar i są bluźniercze w odniesieniu do osetyjskiej kultury (chodziło o rwanie zdjęć ofiar masakry uwiecznione w klipie). Ogólnie „Biesłan" to ważny moment płyty i jest chyba najbardziej znanym utworem z tego albumu. Został bardzo dobrze przyjęty i choć nie byliśmy pierwsi, którzy w punkowej twórczości nawiązali do Biesłanu, to myślę, że przypomnieliśmy tę sprawę szerszej publiczności. Jeszcze milszą niespodzianką okazał się fakt, że koledzy z Inkwizycji wzięli ten utwór do swojego repertuaru koncertowego.

8. Ezekiel

Mój absolutnie ulubiony numer na płycie i taką właśnie muzykę chciałbym grać na okrągło – wolne, brzydkie, transowe, zapętlane, industrialne riffy. Tekst jest parafrazą tekstu żydowskiego proroka, mistyka i wizjonera Ezechiela, podobno chorującego na zaburzenia neurologiczne. Sama treść opowiada o istocie i osobie biblijnego Lucyfera, pokazanego jako pogański król Tyru, Sydonu oraz Babilonu. Było mi szczególnie miło, kiedy ten utwór wyróżnił również Wojtas z Sanctus Iuda, recenzując „Przeklęte Oko Proroka" na blogu SanctusPropaganda. Przebijającą się solówkę zagrał opuszczający wówczas macierzysty band, wrocławską O.D.R.Ę, Bartes.

9. Ayat

Ayat znaczy znak lub werset w języku arabskim i odnosi się do fragmentów Koranu czy innych tekstów starożytnych. Jest pewnym słowem-kluczem, podobnie jak słowo ayatollah – „znak/wysłannik Boga".

10. Przeklęte Oko Proroka

To chyba najstarszy tekst, który napisałem, jeszcze przed poprzednią płytą „Tasamouh". Opowiada o moich wewnętrznych rozterkach i wątpliwościach, które miewa każdy normalny człowiek, wierzący bądź nie. Ścieżki gitary, przyznaję, zasłyszane i podkradzione z płyty „Souls at Zero" Neurosis, czemu oczywiście nie zaprzeczam. Jednak na bazie tych wwiercających się pseudosolówek chciałem utkać własną opowieść. Black metalowe gitary dodał znów Grzegorz 'Drut' Włodek, a orientalne wokalizy wyśpiewała Ania Żeńca✕


Eksperymentalny preformance w artystycznej komunie SteigerHouse, Warszawa


z Justinem Broadrickiem w Teatrze Rozmaitości

PROJECT X

STRAIGHTEDGEREVENGE

WYBRAŁ: MACIN /

■Archiwa nowojorskiego hardcore'u pełne są płyt legendarnych, prawdziwych kamieni milowych gatunku. Nagrań, które często już w chwili wydania osiągały niesamowitą popularność i szacunek. Przy tak ogromnej liczbie wydawnictw i zespołów z pewnością ciężko było przebić się do świadomości przeciętnego fanatyka mosha, szczególnie gdy większość muzyki opierała się na kilku prostych riffach. Wielu musiało sporo się napocić, żeby ktoś ich docenił. Ekipie Johna Porcelly'ego wystarczyło natomiast nagrać niecałe siedem minut materiału, aby rozgrzać scenę do czerwoności. Już sam ten fakt decyduje o wyjątkowości niepozornej epki z 1987 roku.

Project X nie był nawet regularnym zespołem! Geneza tego projektu także nie należy do codziennych. W drugiej połowie lat 80. John Porcelly, grający wtedy na gitarze w Youth Of Today i Judge, prowadził wraz z Alexem Brownem (z Side By Side i Gorilla Biscuits) zina „Schism". Pod tym szyldem mieli też zamiar wypuścić parę płyt. Podczas prac nad siódmym numerem zina (w którym miały się ukazać m.in. wywiady z Agnostic Front, Dag Nasty, Slapshot i Gorilla Biscuits) wpadli na pomysł dołączenia do pisma siedmiocalowego winyla, który byłby składanką reprezentującą scenę Nowego Jorku z niepublikowanymi utworami, sięgającymi wczesnych lat 80. Ku ich zdziwieniu każdy zespół, z jakim zdołali się skontaktować, odsyłał ich z kwitkiem, twierdząc, że nie ma żadnych kawałków, które byłyby w tamtym momencie niewydane. Skoro nie mogli liczyć na pomoc innych kapel, nie pozostało im nic innego, jak postąpić tak bardzo w duchu idei DIY, jak tylko się dało – Nie masz kogo wydać? Załóż swój własny zespół! Tym oto sposobem narodziła się grupa niemogąca pochwalić się zbyt długą żywotnością (delikatnie mówiąc) i obszerną dyskografią, za to zdążyła uzyskać status prawdziwego złota wśród straight edge'owych taśm. Pozostało jeszcze tylko skompletować skład i można było podbijać amerykański underground. Do zespołu został zaproszony nie byle kto. Dziś pewnie nazwano by ich supergrupą, Porcelly bowiem zdołał namówić do udziału w projekcie Waltera Schreifelsa (Gorilla Biscuits i Youth Of Today) oraz Sammy'ego Sieglera (Side By Side, Youth Of Today i Judge). Nie było to trudne, w końcu wszyscy się znali i razem grali we wspomnianych zespołach. Z pewnością sukces samego „Straight Edge Revenge" też w dużej mierze zależał od tego, kto za nim stał. Każdy z chłopaków przyjął sobie pseudonim: Porcelly stał się Slamem, Brown – Kid Hardem, Sieglera okrzyknięto The Youth w związku z tym, że był wtedy jeszcze nastolatkiem, a Schreifelsa oznaczono enigmatycznym skrótem N.D. Miał on oznaczać „No Drugs", choć członkom grupy zdarzało się żartować, iż właściwe rozwinięcie brzmi „Not Dedicated" przez małe zaangażowanie Waltera w sprawy zespołu. Kapelę nazwano Project X, co świetnie oddawało charakter całego przedsięwzięcia, choć spotkałem się również z teorią, jakoby miało to być nawiązanie do filmu o tym samym tytule z Matthew Broderickiem z 1987 roku, czyli tego samego, co omawiana płyta. Nie wiem, na ile ta wersja jest prawdziwa, szczególnie że tematyka filmu (przeprowadzanie przez wojsko eksperymentów na szympansach) bardziej kojarzy mi się z ikoniczną „maskotką" Gorilla Biscuits...

Trudno było nie zauważyć niskobudżetowości siedmiocalówki Porcelly'ego i spółki. Czarno-biała okładka została skserowana na wyjątkowo cienkim, leciutko brązowawym papierze (to dzięki niemu można poznać, czy mamy do czynienia z oryginałem, czy „śnieżnobiałą" podróbką). Koszt nagrania wynosił zaledwie 100 dolarów. Przed wejściem do studia Dona Fury'ego zespół zdążył przećwiczyć materiał zaledwie trzy razy. Poza Walterem oczywiście, ten bowiem odpuścił sobie jedną próbę. Nakład wynosił 500 sztuk, nietrudno się więc domyślić, że jest to obecnie prawdziwy święty Graal dla kolekcjonerów. Pierwsze 300 sztuk poszło razem z zinem „Schism". Labele winyli z tej partii były czyste, bez żadnych nadruków. Zawierały jedynie odręcznie napisane oznaczenia stron płyty oraz różne humorystyczne dopiski, np. *I was straight before you heard the Sex Pistols lub We shaved X's in the backs of our heads.* Kolejne 100 sztuk wyprzedało się w ekspresowym tempie na koncercie Bold w Connecticut. Na labelach miały już stemple „Project X Side A", a na odwrocie „Schism 1". Ostatnią setkę sprzedano niewiele później. Pomimo wielu próśb nie wznowiono „Straight Edge Revenge". Nie ma się co dziwić, że w takiej sytuacji świat zalała fala bootlegów różnorakiej jakości. Jeden z autorów amerykańskiej podróbki miał rzekomo ponieść z tego powodu przykre konsekwencje. Po wytłoczeniu 500 sztuk i sprzedaniu setki członkowie Project X podobno osobiście go dorwali i zniszczyli resztę płyt. Oficjalny repress, którego podjęła się wytwórnia Bridge Nine Rec., miał miejsce dopiero w 2005 roku. W chwili wydania kultowa epka okazała się tak dużym sukcesem, że słuchacze, co łatwe do przewidzenia, oczekiwali kolejnych nagrań. Porcelly, absolutnie nie mając w planach kontynuacji projektu, postanowił zażartować z tej sytuacji i podając w magazynie Maximum Rocknroll listę słuchanych przez siebie płyt, wymienił *Project X – „The Edge of Quarrel"*. Ci, którzy dali się nabrać, oszaleli na punkcie nieistniejącego albumu i spędzili mnóstwo czasu na poszukiwaniach płyty-widma. Z marnym skutkiem, rzecz jasna.

Końcówka lat 80. wiązała się ze wzrostem przemocy na hardcore'owych koncertach. Część straight edge'owych załóg zbyt dosłownie rozumiała przekaz swoich idoli i wszczynała bójki z dzieciakami, które ośmieliły się trzymać w dłoni piwo bądź papierosa, ściągając tym samym na cały ruch sXe złą sławę. Strona przeciwna także nie była święta, coraz dobitniej dając do zrozumienia, że bycie abstynentem przestało być „fajne". Krytyka dosięgła również Youth Of Today, co bardzo frustrowało Porcelly'ego. Uważał to za niesprawiedliwe, szczególnie biorąc pod uwagę pozytywny przekaz jego macierzystego zespołu.

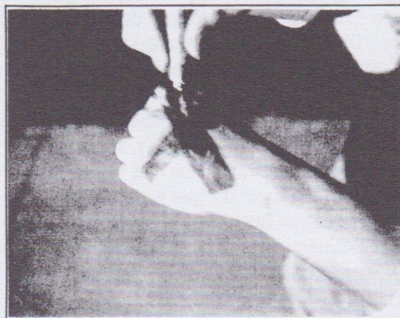
Z czystej przekory postanowił dać wszelkim krytykantom to, na co tak lubili narzekać – straight edge'owy tekst o poziomie wojowniczości sięgającym absurdu. Tak powstał pierwszy track Project X, „Straight Edge Revenge", który – co ciekawe – miał pierwotnie znaleźć się w repertuarze YoT, lecz Ray Cappo odrzucił go właśnie ze względu na jego bojowy charakter.

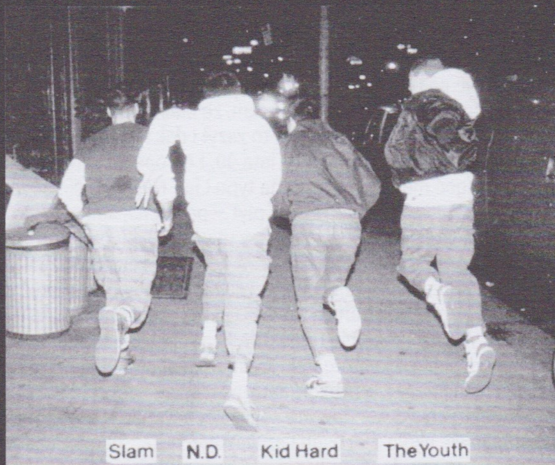
I'm as straight as the line that you sniff up your nose / And I'm as hard as the booze that you swill down your throat / And I'm as bad as the shit you breathe into your lungs / And I'll fuck you up as fast as the pill on your tongue

Z jednej strony powyższe wersy można traktować jako żart z napakowanych sXe napinaczy lub jako ironiczne wyolbrzymienie wszelkich zarzutów stawianych ruchowi. Jednak, jak sam Porcelly przyznał w jednym z wywiadów, jest w nich coś więcej. Nie podobało mu się, że wraz z ulotnieniem się mody na odrzucenie używek wśród nowojorskich scenersów przybrał na sile nacisk, by pić. Tak było przynajmniej w jego odczuciu. Przeciwstawiając się tej anty-straight edge'owej mentalności, chciał zmienić sytuację, stosując „odwróconą presję". Tłumaczył to następująco: „Jeśli będziesz wywierał na mnie presję, ja zacznę wywierać ją na tobie", po czym dodał jeszcze: „Nawet jeżeli Project X nie był poważnym zespołem, był odbiciem tamtych czasów. W tym sensie był na poważnie". Będąc pod ostrzałem wielokrotnych prób nakłaniania do picia, niejeden straight edge'owiec zapewne marzył o odpłaceniu się tym samym swoim adwersarzom. Stąd słowo „zemsta" w tytule. Po latach John przyznał, że to było głupie. „Jeśli rzeczywiście masz przesłanie, które chcesz przekazać ludziom, nie możesz na nich wrzeszczeć i krytykować ich". Niezależnie od tego, jak będziemy postrzegać ten utwór, nie zmieni to faktu, że stał się on prawdziwym hymnem sXe. Tekst to jedno, ale nie można zapomnieć o prostej, ale zarazem prawdziwie mistrzowskiej linii basu, która niesie cały kawałek. Tę melodię zna chyba każda osoba, która maluje sobie iksy na dłoniach.

Wbrew pozorom „Straight Edge Revenge" jest jedynym numerem na tym minialbumie traktującym wprost o abstynencji. Drugi w kolejności „Shut Down" odnosi się do sytuacji, jaka miała miejsce na koncercie YoT 18 października 1987 roku w klubie CBGB. Doszło wtedy do spięcia między muzykami a lokalem, w którym od jakiegoś czasu panował zakaz stage divingu. Publika złożona z młodych punków nic sobie z tego nie robiła i w dalszym ciągu bawiła się na koncertach tak, jak chciała. Pracownicy CBGB uznali, że winę za to ponoszą zespoły, w tym Youth Of Today. Grupa Porcelly'ego i Cappo nie mogła już się tam pokazywać. Ten pierwszy postanowił wylać swoją żółć na papier i w ten sposób narodziło się „Shut Down". Następne w kolejce jest „Cross Me". Tekst jest wymierzony w członków zespołu Half Off, którzy byli straight edge i mocno wzorowali się na YoT. Co w takim razie było z nimi nie tak? Według Johna „te dzieciaki były naszymi wielkimi fanami, ale w zazdrosny sposób (...). Chciały zająć nasze miejsce". Kawałek „Dancefloor Justice" stanowił odpowiedź na nagły wzrost przemocy na scenie, która jeszcze do niedawna przypominała jedną wielką rodzinę. W pewnym jednak momencie coś się popsuło. Sytuacja była tak zła, że pójście na koncert wiązało się z ryzykiem postrzału lub dźgnięcia nożem. Chłopaki chcieli zwrócić uwagę na to, by każdy uważał na siebie i na swoich przyjaciół, szczególnie podczas moshu, gdyż to najczęściej wtedy pijani twardziele szukali pretekstu do rozpoczęcia bijatyki. Dzieło Project X kończy się numerem „Where It Ends". Czytając do niego tekst, można uznać, iż jest to po prostu kolejna piosenka o utraconej przyjaźni. Z pewnością było wiele tego typu historii – po odrzuceniu używek okazuje się, że nie mamy już za wiele wspólnego z naszymi starymi znajomymi. Jednak to nie wszystko, co Porcelly chciał przekazać. „Kiedy jesteś młody/-a, jesteś przepełniony/-a młodzieńczym idealizmem. (...) Lecz kiedy się starzejesz, fale materializmu wciągają cię z powrotem w normy społeczne. I kiedy patrzysz na ludzi, którzy wciąż próbują podtrzymać rewolucyjnego ducha, postrzegasz to jako coś tandetnego i przestarzałego". Bardzo często proces „dorastania" oznacza przystosowanie się do tego, co społeczeństwo uważa za normalne. Porzucenie wartości z młodzieńczych lat, jako tych naiwnych i nijak mających się do „prawdziwego", „dorosłego" życia, uznawane jest wręcz za oznakę dorosłości. Naturalną konsekwencją takiego rozumowania jest negatywna ocena tych osób, które nie zerwały z ideami z czasów nastoletnich. Uważa się je za dziecinne, niedojrzałe czy idealistyczne (nadając temu określeniu jednoznacznie pejoratywny wydźwięk). Jednak czy jest to właściwe i racjonalne podejście? Z pewnością pragmatyczne. Nie oznacza to automatycznie, że w pełni słuszne. Owszem, z wiekiem i doświadczeniem życiowym przychodzi pozbycie się złudzeń na szybką „naprawę" świata, lecz nie musi to od razu oznaczać porzucenia ideałów. Mogą one bowiem wyewoluować w osobistą, przemyślaną postawę negacji tego, co złe wokół nas. Idee to paliwo, które nas napędza. Dzięki nim nie poprzestajemy na stanie obecnym. Chcemy czegoś więcej. Chcemy zmiany na lepsze.

Poza konfrontacyjnymi czy skłaniającymi do przemyśleń tekstami muzyka Project X to po prostu dawka konkretnego hardcore'u. Szybko, surowo, z brudem, spontanicznie. Pięć kawałków w niecałe siedem minut kopie w ryj, nawet po tych wszystkich latach od ukazania się krążka. Równie dobrze pozostałe cztery numery mogłyby być słabymi zapychaczami, a i tak warto byłoby sprawdzić tę legendę dla samego hymnu z zemstą w tytule. Nieokiełznany, niewypolerowany i grany ze szczerej pasji – taki powinien być hc/punk!✕







OSOBISTY TOP XXX /

TRZY IKSY TRZY PŁYTY

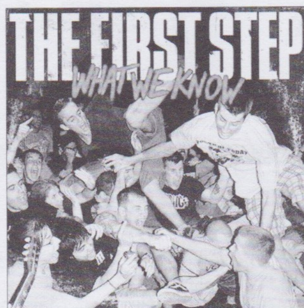
WYBRAŁ: PAOLO EDGE /
REGRES / VICIOUS X REALITY / YOUTH 2 YOUTH RECORDS /

■Nie potrafię za bardzo opisywać płyt, recenzować. Muzyka po prostu podoba mi się lub nie. Musi sprawiać, że chce mi się przy niej tańczyć, skakać jak wariat, musi mnie też wzruszać, musi być do tego fajny tekst, który mnie porusza. „Słuchaj i tańcz" – jak mówił pewien artysta z dredami. Tych płyt pewnie mogłoby być tutaj dużo więcej, ale jako że miały być trzy i miały być straight edge, to dla mnie nie ma lepszych zespołów od tych trzech wymienionych. Jasne, że może warto byłoby wymienić Minor Threat, bo to byli geniusze dźwięku, ale wybrałem coś innego.



MAINSTRIKE „NO PASSING PHASE"

W sumie nie pamiętam, czy najpierw poznałem Reaching Forward, późniejszy zespół basisty Mainstrike, czy może działo się to chronologicznie. Na pewno pamiętam, że Mainstrike pokazał mi mój kolega Wojtek z Kielc, przegrał mi tę płytę, okładkę z całą książeczką odbił na ksero, ładnie to zszył i dał, mówiąc, że na bank mi się to spodoba. Tańczę do tego do teraz. Nie ma dla mnie lepszej płyty, jeśli chodzi o lata 90. i europejski straight edge hardcore. Do tego typy grały w czasie, kiedy obok było pełno jakiegoś metalowego gówna typu Liar. Na tej płycie podoba mi się wszystko, no i legendarne studio Bunt, w którym zostało nagranych tyle świetnych płyt – posłuchaj sobie, jak to jest nagrane, jak to brzmi, jakiego ma kopa. Z Regresem na koncertach graliśmy kiedyś pierwszy utwór z tej płyty – „Confused", ale niestety nie był za bardzo rozpoznawalny dla publiki, chyba że my go graliśmy aż tak źle. A w tym utworze jest zawarta cała kwintesencja hardcore'u, te riffy, sprzężenia na początku, potem narastający bas... Nie dane mi było zobaczyć Mainstrike na żywo, za to widział ich mój kolega Robert Refuse i zazdroszczę mu tego bardzo (na DVD zawierającym pożegnalny koncert zespołu i ich występ z Iper widać tańczącego Roberta). Ale na koncercie Birds Of A Feather w Piasecznie, gdzie na wokalu był Bigma (wokalista Mainstrike), z radością rozjebałem sobie rękę i zegarek. Mainstrike nie widziałem na żywo, ale trochę wynagrodził mi ten fakt Reaching Forward, który widziałem kilka razy, a raz zorganizowałem ich koncert w Częstochowie. Koncert odbył się w poniedziałek, a na wcześniejszych weekendowych koncertach we Wrocławiu i Warszawie była trochę lipa frekwencyjna. Natomiast w Częstochowie około 250 osób i szaleństwo oraz... pamiętne dla mnie wejście szukającego noclegu gitarzysty Second Age, po pierwszej w nocy, do mieszkania, ale piętro niżej.



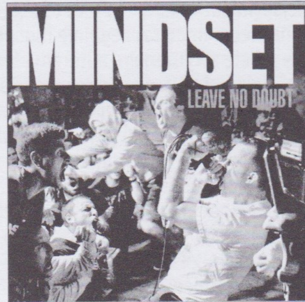
THE FIRST STEP "WHAT WE KNOW"

O ile lata 90. to dla mnie Mainstrike, tak po 2000 roku nie było lepszej kapeli od The First Step. Mam kilka płyt i pamiętam, gdzie i jak każdą z nich kupiłem. „What We Know" – od Roberta Refuse'a w Piasecznie, jeszcze ciepłą, prosto z rozpakowywanej paczki. A pierwszy kompakt "Open Hearts And Clear Minds" Robert podał mi na stacji benzynowej w Częstochowie, w drodze na jakiś koncert na Śląsk, na który jechał z Piotrkiem z Sunrise/Iron To Gold.

Czy można przy tej płycie stać spokojnie? Jak na apelu za komuny na baczność? No, kurwa, nie da się...Skaczę i śpiewam: „True colors will always show WHAT WE KNOW!" Te teksty, muzyka mają tak pozytywny przekaz – o miłości, wsparciu, zajawce na życie i próbie przeżycia go jak najlepiej. Często obserwując kapele na koncertach, zastanawiam się, czy są one w stanie przyciągnąć młodych ludzi do sceny hardcore, czy raczej odrzucić? Często niestety widzę, że powstały tylko po to, by grać dla kolegów. Mnie do sceny przyciągnęła Apatia, Cymeon X, Dezerter, Post Regiment i wiele innych kapel, ale myślę, że gdybym miał naście lat na początku XXI wieku, to The First Step kupiłby mnie swoją postawą. Taki hardcore kocham.

Żeby podkreślić wartość tej płyty, podam kilka ciekawych faktów: płytę wyprodukował Walter znany z YOT/Gorilla Biscuits, bębny nagrał Issa z Good Clean Fun, chłopaki z TFS udzielali się lub udzielają w takich kapelach jak Stand And Fight, Betrayed, Internal Affairs, Stand And Fight, Union Of Faith, Peace, Keep It Clear. Czy potrzeba lepszych rekomendacji?

Kiepski ze mnie buddysta, ale poczułem też więź z wokalistą TFS Stephenem ze względu na jego buddyzm.



MINDSET „LEAVE NO DOUBT"

Tak naprawdę to jest ta sama ekipa co TFS, oczywiście zupełnie inny skład, ale to są koledzy z tego samego podwórka i dla mnie ta rekomendacja wystarcza. To jest najważniejsza obecnie dla mnie kapela, najlepsza po 2010 roku, a też nie wiem, czy nie najważniejsza w ogóle.

O ile dwie pierwsze epki Mindset były bardzo dobre, tak ten pełny album jest arcydziełem, czuję tutaj tę samą energię, którą słyszę na płycie Mainstrike. Jest to dla mnie „No Passing Phase" przeniesione w XXI wiek.

Przez te 19 lat trochę koncertów w Częstochowie zorganizowaliśmy, było tych kapel naprawdę sporo i nie chcę nikogo wyróżniać, ale najważniejszym dla mnie koncertem, który zrobiłem, był koncert Apatii. Był to taki sprawdzian, zobaczyć od środka zespół, który uwielbiałem od zawsze, i Apatia się w chuj obroniła. Takim sprawdzianem był też koncert Mindset i tu zespół również wygrał w moim sercu, natomiast część publiki sromotnie przegrała swoim zachowaniem (po czasie pomogło mi to spojrzeć trzeźwo na scenę i wiem, z kim nie chcę trzymać sztamy).

Mindset to zespół stworzony przez naprawdę przemiłych typów i z wielką radością zorganizuję ich każdy nowy projekt, jak na przykład Praise, który gościliśmy już dwa razy w naszym mieście.

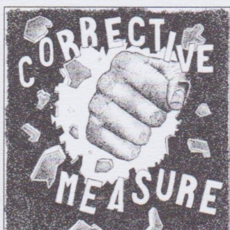
To doskonali muzycy, z ich perkusistą Danielem pewnie chciałaby grać każda amerykańska kapela, wielki talent. Gitarzysta Austin jest mistrzem i chciałbym chociaż w połowie potrafić grać tak jak on (nie przez przypadek grał na ostatniej trasie z Have Heart czy reunion In My Eyes w 2009 roku). Ostatnio też okazało się, że całkiem dobrze śpiewa w zespole Line Of Sight. A widok jak Austin biegnie w czasie występu For Pate's Sake w Berlinie bawić się na coverze Sportwear będę pamiętać zawsze, bo wydawało mi się, że Amerykanie mają gdzieś europejskie kapele. Zresztą ten pożegnalny koncert Mindset w Berlinie wymagałby osobnego artykułu i był to dla mnie zajebisty wyjazd.

Ostatnio doszedłem do wniosku, że nie będę już kupować innych płyt, tylko będę uzupełniać „Leave No Doubt" o wersje, których nie mam, a jeszcze brakuje mi kilku wydań.

A gdyby były tu cztery płyty, a nie trzy, to na pewno byłyby lata 80. i nie mam wątpliwości, że byłby to YOUTH OF TODAY KURWA! WE'RE NOT IN THIS ALONE! WIĄŻ SZNURÓWKI I TAŃCZ!✕

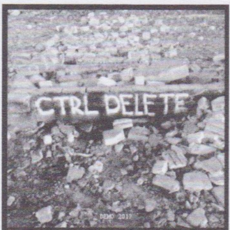
MUSIC REVIEWS

SPISAŁ: MARCIN /



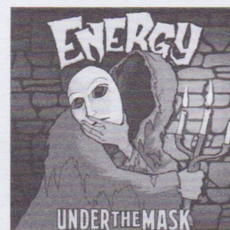
Corrective Measure – S/T

Ta recenzja będzie tak krótka, jak omawiana płyta. Zespół Corrective Measure zdecydowanie stawia na klasyczne podejście do tego, co robi. Bez bawienia się w wielkie kompozycje, wydziwianie, grę na dwie gitary i inne takie. Prosto z mostu, megaszybko, z brudem i pazurem! Na wypadek, gdyby ktoś zagubił się w nowoczesnych brzmieniach, tych czterech chłopaków z Maine w ekspresowym tempie przypomni, jak to się kiedyś grało hardcore. Kawałki, według niepisanej tradycji, odarto z wszelkich niepotrzebnych elementów, zostawiając sam rdzeń wkurwu i szaleństwa. Prostota i szczerość to ich tytułowy środek naprawczy. Świata naprawiać może nie chcą, ale relacje międzyludzkie już tak. I ten oto wątek głównie się przewija na ich epce. Najwięcej dostaje się fałszywym przyjaciołom, którzy wbijają nóż w plecy, kiedy nie widzisz, a z jakąkolwiek prawdą mijają się po łuku szerszym niż Wisła. A wszystko w rytm dźwięków totalnie staroszkolnych, jazgotliwych gitar. Inspiracje zdecydowanie sięgają ponad 30 lat wstecz, czerpiąc to ze sceny nowojorskiej, to z bostońskiej. Jak już namachasz się głową do ekspresowych nawalanek, kark odpocznie przy stylowych zwolnieniach. Sześć numerów na siedmiocalowym placku, po trzy na każdą stronę, więc nawet nie opłaca się siadać na kanapie. Dobry konkret z zastrzykiem energii. Na pewno zdrowszy niż Kawa!



Ctrl Delete – Demo 2017

Moja fascynacja hip-hopem skończyła się już dosyć dawno, zabita przez zżerającą go komercjalizację, seksizm i homofobię. Na polskiej rap scenie są oczywiście chlubne wyjątki, jednak ogólny jej obraz wystarczająco mnie zniechęcił. Dlatego też cieszę się, że mogę niejako powrócić do swoich korzeni i posłuchać dobrych rapsów bez cienia zażenowania. O ironio, za tymi sześcioma numerami nie stoi żaden uznany raper czy podziemny wyjadacz, a najprawdziwszy pancur. Projekt CTRL DELETE wypłynął na światło dzienne niespodziewanie i zdaje się, że spontanicznie, ale efekt jest jak najbardziej zadowalający. Czuć klimat zaangażowanego rapu sprzed lat, w którym przede wszystkim liczyły się dobre teksty i trafne obserwacje otaczającej rzeczywistości. Króciutkie intro odstaje nieco od reszty ze swoim klasycznie brzmiącym bitem na samplu z winyla, napędzanym połamaną perkusją, okraszoną skreczami. Jest też bardziej energetyczne i zaczepne, kontrastując z refleksyjnymi, wolniejszymi kawałkami. W nim też barwa głosu naszego emce szczególnie mocno kojarzy mi się z Tymonem, autorem klasyka „Oto ja". Później to wrażenie rozmywa się, kiedy gospodarz dema przejmuje mikrofon na dłużej niż jedną minutę. Ma swój styl, proste, ale sprawne flow, niekiedy kombinując z rozłożeniem i dynamiką wersów. Słychać również, że nie robi tego od wczoraj, za co wielka mu chwała, bo, o ile w odmętach polskojęzycznego YouTube'a i Bandcampa paru anarcho/antyfaszystowskich/lewicowych/punkowych raperów się jeszcze znajdzie, to zdecydowana większość nie reprezentuje zbyt wysokiego poziomu. Rapowanie nie jest tak proste, jak mogłoby się początkowo wydawać. Na szczęście mózg operacji CTRL DELETE ma ciekawy głos, dobrą dykcję, nie za dużo rymów na czasownikach i naturalny luz w płynięciu po bicie. Jednym słowem ma skillsy. Jego opanowany, przytłumiony styl dobrze współgra z kolegą po fachu Domkiem, który udziela się gościnnie w dwóch trakach. Ten z kolei więcej bawi się głosem, np. świetnie tnąc wyrazy pod nowoczesny podkład w „CTRL", przypominając, że na kalendarzu mamy rok 2018, a hip-hop nie stoi w miejscu. Poruszane tematy nie wybiegają jakoś szczególnie poza ramy wypracowane przez scenę hc/p, jednak podane w nowej formie nabierają świeżości. Co tu dużo mówić, po prostu dobry, niezależny rap z punkowym backgroundem. Przyszłość projektu nie jest pewna, lecz mam nadzieję, że to jeszcze nie koniec. Tak jak nigdy w życiu żadnej drużynie nie kibicowałem, tak teraz kibicuję CTRL DELETE!



Energy – Under The Mask

Czy ktoś jeszcze pamięta bostońską kapelę Energy i ich hiciarski debiut „Punch The Clock" z 2006 roku? Mogłoby się wydawać, że chłopaki zapadli się pod ziemię po wypuszczeniu dwóch kolejnych wydawnictw pod skrzydłami Bridge Nine Rec. Nic bardziej mylnego! Co jakiś czas, raz z większymi przerwami, raz z mniejszymi, wychylają głowę zza grobu i nagrywają nowe kawałki. Co ciekawe, prawie za każdym razem ze zmodyfikowanym lineupem. Jedynie mózg operacji w postaci wokalisty Jasona Tankerley'a pozostaje bez zmian. W samej muzyce również zmieniło się dużo. To już nie ten szaleńczo pędzący przed siebie, młodociany hardcore punk, co kiedyś. Energia (o ironio) dość znacząco spadła, jednak pozostałe, charakterystyczne dla grupy cechy zostały na swoim miejscu. Mowa oczywiście o uwodzącym poczuciu melancholii, tajemniczości, ultramelodyjności i miłości do horrorów. Nie od dziś w końcu wiadomo, że Jason wpatruje się w Misfits i AFI jak w święte obrazki. Z owych inspiracji potrafi jednak wykrzesać swoje własne, unikalne brzmienie. Pierwotna żywiołowość ustąpiła miejsca sprawniejszej budowie utworów. Co tu dużo gadać, to po prostu dobrze napisane kawałki! Teraz zdecydowanie bliżej im do punk rocka. Mrocznego, nastrojowego, idealnego do słuchania na jesiennych spacerach po cmentarzach. Nie zabrakło także wpadających w ucho, wielowarstwowych wokali pełnych zharmonizowanych, przeciąganych fraz, z których Jason słynie. Wszystko do siebie idealnie pasuje i wtedy… pojawia się kawałek „I Killed Your Boyfriend", który pierwotnie ukazał się w ramach projektu pobocznego Children of the Night. Przyznam, że nie podszedł mi na początku, głównie przez niezbyt poważny tekst. „I killed your boyfriend / He just wasn't cool / I killed your boyfriend / You were dating such a fool" – serio? Jednak ten love song z przymrużeniem oka jest tak urokliwy, ze słodkim (ale nie tandetnym!) pop punkowym vibem, że nie mogłem mu się

oprzeć. W mojej czołówce znalazły się też tracki „The Witching Hour" i „A Prayer For Rain". Mam nadzieję, że reanimowane Energy pociągnie nieco dłużej. Po tak udanej epce warto byłoby ruszyć z pełnym albumem, pierwszym od lat!



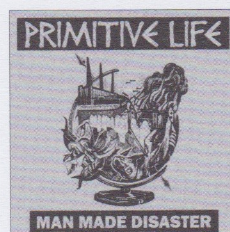
LOVTE – It is not a lack of love, but a lack of communication

Nie wiem, jak się powinno poprawnie czytać nazwę tego zespołu, ale pewnie z jakimś łamiącym język, skandynawskim akcentem. Patrząc na minimalistyczną do granic możliwości zewnętrzną stronę digipacka, również mam skojarzenia z zimną, pustą Północą (bo w środku to już dla odmiany pełen gotyk!). Przy takiej oprawie nie powinno więc zbytnio dziwić to, co znalazło się na samym krążku. Choć w sumie powinno, ja przynajmniej nie spodziewałbym się kompletnie takiego zespołu na polskiej scenie. Przede wszystkim – fuzja chaotycznego, crustowego jazgotu z niemal popowym, kobiecym śpiewem to rzecz u nas niecodzienna. Oczywiście granie tego typu kontrastami nie jest żadną nowością, wystarczy przypomnieć sobie modę na śpiewane refreny w metalcorze. Odkryciem Ameryki nie jest też dorzucenie do partii gitarowych nieco podkładów elektronicznych. Co w takim razie sprawia, że LOVTE nie jest jedynie kopią popularnych swego czasu zespołów (aczkolwiek mój najwidoczniej głuchy ziomek porównał ich do Eyes Set To Kill...)? Kluczem jest wspomniana na początku skandynawska aura, która otacza nas, kiedy tylko do głosu dojdzie Magda, odpowiedzialna za partie śpiewane i ową elektronikę. Już samo intro wprowadza w senny, hipnotyczny stan. Wtedy to, oczami wyobraźni, można przenieść się nad fiordy lub do gęstego norweskiego lasu..., w którym najwidoczniej zagubiła się kolejna black metalowa horda podczas kręcenia teledysku, bo po chwili spokojną melancholię przerywa ogień piekielny wydobywający się z głośników. No może nie black metalowa, raczej neocrust/screamowa. Ale tak samo wiedzą, jak rozpętać istny armagedon. Perkusja łupie jak oszalała, gitary tworzą trzeszczącą ścianę dźwięku, a całość dodatkowo napędza przygniatający wrzask drugiego wokalisty. Grupa rewelacyjnie żongluje nastrojem i emocjami, na zmianę popadając to w smutek, to w agresję. Jest bardzo emo, szczególnie gdy oba głosy nachodzą na siebie i przeplatają się, tworząc swoisty dialog. Znalazł się nawet jeden utwór w całości zaśpiewany po fińsku do mglistej, chwilami dość dramatycznej kompozycji (te sample smyczków!), co dobrze pokazuje, że aspekt elektro nie jest wciśnięty na siłę i – odarty z reszty instrumentów – jak najbardziej broni się sam. Subtelne, trochę lakoniczne (może czasem aż nazbyt?) teksty, opisujące głównie pokrętne relacje międzyludzkie, odpowiednio wpasowują się w klimat płyty. „It is not a lack of love, but a lack of communication" porywa od pierwszego odsłuchu. Cudowny album.



Modern Love – Tross alt

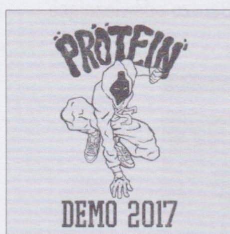
Przymierzałem się do odsłuchania tej płyty dobre parę razy, lecz zawsze kończyło się na pierwszym utworze. Myślałem sobie „bardzo fajne, ale mam jeszcze milion innych rzeczy do sprawdzenia". Jaki byłem głupi! Kiedy w końcu zabrałem się za „Tross alt" tak jak należy, nie mogłem uwierzyć, że tak świetny album nieomal umknął mi sprzed nosa. Panowie z Modern Love dopiero po pięciu latach aktywności postanowili upichcić główne danie w postaci longplay'a, do tej pory karmiąc słuchaczy jedynie przystawkami, a mianowicie jedną epką, kilkoma singlami i skromnym splitem. Nakładem Refuse Rec. i Stonehenge Rec. ukazała się prawdziwa perełka. To, co stworzyło ML, trudno wrzucić do jakiejkolwiek jasno sprecyzowanej szufladki, tyle jest tutaj odniesień, tyle muzycznych barw. Nie oznacza to, że zespół nie zostawił po sobie pewnych tropów. Najbardziej widocznym z nich jest z pewnością odwołanie do pamiętnego okresu garażowego grania prosto z Waszyngtonu lat 80. – Revolution Summer. Eksperymenty z łagodniejszym obliczem punka podszyto typowo skandynawskim sznytem i garścią melodii, co w rezultacie dało fascynującą mieszankę wybuchową. Bogactwo aranżacyjnych odcieni uzupełnia dodający uroku język norweski, w którym zaśpiewane są wszystkie kawałki. Cała mozaika robi wrażenie. A to raz wokal zawieje lekkim post-punkiem, a to bas wleci w orbitę brit popu, by po chwili akompaniować gitarze miotającej się między przestrzennym jazgotem a niezbyt zawiłymi, ale konkretnymi melodiami. Płyta jest prawdziwą kompilacją nieoczywistych, szybko przyklejających się do ucha refrenów. Szczególnie wyraźnie słychać to w iskrzącym „Hold meg", opartym na prościutkich akordach, którym pełni przebojowości nadaje głęboki, romantyczny głos wokalisty. Warstwa tekstowa nie należy do zbyt promiennych. Oparta na osobistych doświadczeniach, drąży rejony depresji, poczucia beznadziei, niemocy, izolacji. Lecz jest w niej także miejsce na nadzieję, solidarność i przede wszystkim miłość. Sami autorzy zresztą przyznają, że tak naprawdę każdy z utworów na „Tross alt" można określić mianem love songu. Nawet jeśli poruszają przygnębiające tematy, można wyciągnąć z nich pozytywną esencję. W jednym z kawałków wokalista Erik śpiewa „Nie chcę umrzeć, po prostu nie chcę żyć", co ma uwidocznić codzienne życiowe zmagania, przy jednoczesnym i kategorycznym przeciwstawieniu się myślom samobójczym. Postawa i wypowiedzi zespołu to podkreślają – miłość do życia, jakie by ono nie było. Warto zagłębić się w ten album, nie tylko ze względu na treść. Bardzo odświeżające granie!



Primitive Life – Man Made Disaster

„Animals suffer – humans die / Expect no mercy for your lies / Fuck your life – fuck your dreams / The war goes on against your primitive life". Zacytowany fragment tekstu pochodzi z epki zespołu, wydanej w 2016 roku. Wszyscy ci, którym wydawało się do tej pory, że berlińska grupa w jakikolwiek sposób nawiązuje swoją nazwą do idei prymitywizmu, mogą rozwiać swoje wątpliwości. Mnie też przez jakiś czas tak się kojarzyli. Muzycy jasno określili, co uznają za „prymitywne życie" – bezrefleksyjną eksploatację planety, pogoń za zyskiem, skrajny egoizm, zadawanie niepotrzebnego cierpienia innym. Czyli wszystko to, co mieści się w stworzonej przez ludzi cywilizacji, że tak pozwolę sobie na odrobinę cynizmu. Na świecie nie poprawiło się za wiele od ostatniej epki, a więc czas na kolejną. Niestety, ale nadal hc punki widzą potrzebę nagrywania o starych i dobrze znanych problemach – ludzkiej niekonsekwencji, zagrożeniu ze strony skrajnych prawicowców, zabijaniu zwierząt, wycinaniu lasów, militarnej rywalizacji... Lista może ciągnąć się w nieskończoność. Napisałem „niestety", ponieważ w dalszym ciągu są to sprawy przerażająco aktualne, a tak być nie powinno. I o tym jest ta płyta. O wszechobecnej destrukcji, jaką człowiek sprowadza sam na siebie. Stojąc w opozycji do ograniczonej egzystencji, nastawionej jedynie na dobra materialne, zespół jednocześnie sięgnął po brzmienie jak najbardziej prymitywne. Ale prymitywne w pozytywnym tego słowa znaczeniu, o ile można tak w ogóle napisać. W końcu to hardcore, a nie rock progresywny. W klimat „Man Made Disaster" ekspresowo wprowadza nas penerskie intro z

gruboskórnym basem i szorstkim riffem. Później już tylko lecą ostre luty prosto w ryj. Lubisz The Rival Mob? To już wiesz, o co chodzi. Jest mocno po bostońsku, a że Boston i Berlin są na literę B, kończą się na N i mają po sześć liter, to nie może być przypadek. Kawałki uderzają w punkt. Tu nie ma czasu na ładne refreny i cztery zwrotki! Bo i jak niby się z tym wyrobić w ledwo minutę? Dobra sieczka do chamskiego mosha w wykonaniu straight edge'owców zza zachodniej granicy. Wydawnicza kooperacja Inges Revenge, Refuse i Backbite Records spisała się na medal! A czy ty jesteś prymitywem?



Protein – Demo 2017

Tak mało w tym kraju kapel straight edge. Zdecydowanie za mało! Nic więc dziwnego, że jak tylko jakaś nowa banda pojawia się na horyzoncie, od razu rzucam się wygłodniały na jej nagrywki. Reprezentanci częstochowskiego Youth 2 Youth Records wjechali na pełnym old schoolu. Pięć energetycznych kawałków to nic innego, jak czystej wody hardcore w nieco zaniedbanym (przynajmniej u nas) klimacie youth crew. Jest bardzo po amerykańsku, ale to absolutnie nie zarzut. Chodzi bardziej o umiejętne przeniesienie całej tej zajawki na polski grunt, bez wymuszonych póz i sztuczności. Po prostu chłopaki dobrze czują to, co chcą grać i to słychać. A omawiane demo to wręcz oddanie hołdu minionym czasom, kiedy to w USA pojawiały się jak grzyby po deszczu kolejne załogi pozytywnej młodzieży z iksami na dłoniach. Widać to po okładce, tekstach, brzmieniu. Tak, te dźwięki były już odgrywane miliony razy, ale jak tylko Protein serwuje nam wolniejsze tempo, 2 step wchodzi aż miło! Co prawda wokal na początku wydawał mi się za mało agresywny, jednak po paru dodatkowych przesłuchaniach stwierdzam, że wszystko do siebie pasuje i jest tak, jak powinno być. W tych fragmentach, gdzie jest mniej krzyczący, barwa głosu i intonacja przywodzą mi na myśl stare, klasyczne kapele, od których aż biło pozytywnym nastawieniem i pasją. Ciężko to ubrać w słowa, to się po prostu czuje. W zalewie najróżniejszych eksperymentów muzycznych i nieskończonej liczby podgatunków dobrze wrócić do prostoty tradycyjnego hardcore'u. Świetne, pędzące partie, riffy wyrywające z butów, no i oczywiście niezmordowany perkusista – całość ładnie kopie, ale i tak wchodzi o wiele lepiej na żywo! Polecam każdemu, nie tylko weganom z niedoborem białka.



Speak The Truth… Even If Your Voice Shakes – Everyone You Love Will Slip Away From You

Początek lat dwutysięcznych wyraźnie odznaczył się w historii prawdziwą eksplozją popularności specyficznej mieszanki stylów (przez jednych ubóstwianej, przez drugich wręcz znienawidzonej), tj. emo, pop punka i lekkiego post-hardcore'u. Wszystko działo się głównie w Stanach, u nas jakoś nigdy nie patrzono zbyt przychylnie na tego rodzaju granie, poza paroma wyjątkami. Ja tam katowałem swego czasu The Get Up Kids, Taking Back Sunday, Jimmy Eat World, Saves The Day, Senses Fail… No właśnie – Senses Fail. Już od ładnych paru lat zespół ten odpłynął od charakterystycznego dla siebie, przebojowego brzmienia na rzecz większych eksperymentów. W międzyczasie reaktywowała się grupa Finch, która także odniosła na początku nowego wieku ogromny sukces. Oba zespoły miały w planach wspólną trasę wyznaczoną na 2016 rok, co jednak nie doszło do skutku przez kolejne zawieszenie działalności Fincha. Muzycy tej grupy, zamiast pracować nad nową płytą, postanowili zaprosić wokalistę SF Buddy'ego Nielsena do całkiem nowego projektu. Założeniem był powrót do brzmienia z początków obu kapel. A jaki jest efekt końcowy? Całe szczęście nie jest to tylko puste żerowanie na nostalgii słuchaczy. Przede wszystkim Speak The Truth to jedna wielka terapia dla każdego z członków zespołu, którzy w ostatnim czasie nie mieli za wesoło w życiu prywatnym. Najwięcej ma oczywiście do powiedzenia Buddy jako autor tekstów. Przez album przewijają się głównie motywy śmierci, odrzucenia, depresji, uzależnienia oraz odwiecznej batalii o swoje prawdziwe „ja". Szczere do bólu linijki zapadają w pamięć, a sam Nielsen nie oszczędza się, stawiając przed sobą niewygodne pytania. Jednak najbardziej chwytający za serce tekst pada w kawałku „Drowning On The Sidewalk Or Dying Inside", który jest próbą pogodzenia się z utratą nienarodzonego dziecka wokalisty. „If I had one wish I know what I'd do / I'd go to heaven and I'd ask them about you / Are you okay? Are you in pain?". Ale zaraz, zaraz… Czy ja nie pisałem o powrocie do pop punkowego brzmienia? A i owszem, to jest najciekawsze na tej płycie – depresyjne wersy stoją w kompletnej opozycji do muzyki, która jest niesamowicie przebojowa, żywa i upbeatowa. Krążek przelatuje bez żadnej zamuły, a hit goni hit. Refreny są nieznośnie chwytliwe, gitary wypluwają bezbłędne melodie, z kolei bębny nadają temu wszystkiemu odpowiednią dynamikę. Pojawiają się też pod koniec cięższe, hardcore'owe wrzaski pod strukturami z wyczuwalną nutką easycore'a. Panowie obiecywali przed premierą, że album będzie jak z 2002 roku, no i udało im się. Oczywiście nie chodziło o odgrzewanie starych patentów w skali 1:1. Słychać progres, kombinowanie z dźwiękami i najzwyklejszą frajdę z tworzenia. „I know it's hard to be who you are / Don't be afraid to show your scars" – tymi oto słowami kończy się płyta, bo pod ogromem rozpaczy znalazło się także i pozytywne przesłanie. Jeśli nie boisz się czystego śpiewu i ładnych melodyjek, sprawdzaj koniecznie!



Upon The Gears – Demo 2017

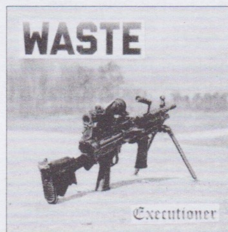
UTG powstało w 2016 roku w Rzeszowie. Na chwilę obecną (styczeń 2018) przyszłość zespołu stoi pod dużym znakiem zapytania, gdyż z tego, co można wyczytać na ich Facebooku, został sam wokalista. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie w dobrym kierunku i znajdą się chętni/-e do grania, ponieważ to, co grupa do tej pory zdołała stworzyć, jest bardzo obiecujące. Oczywiście, nowy skład, nowi muzycy, a więc i nowe brzmienie, jednak jeśli będą się trzymać obranego na demówce kursu, nie ma się co martwić o poziom nagrań. Pożyjemy, zobaczymy. A teraz, zamiast bawić się w przepowiednie, warto sprawdzić wspomniane demo. Chłopaki zarejestrowali je już w kolejnym roku działalności. Słychać, że dobrze się zgrali, całość ładnie buja, a i patenty kompozycyjne, jak na moje ucho o rodowodzie ze Wschodniego Wybrzeża USA, zdecydowanie trafione i kreatywnie wykorzystane. Co prawda na wydawnictwo złożyło się tylko pięć krótkich kawałków, lecz spokojnie, zdążą one stworzyć odpowiedni klimat. A ten mocno kojarzy mi się z nurtem, który namieszał na amerykańskiej scenie jakieś 10 lat temu, czyli modern hardcore'em. Nie wiem, czy to moja nostalgia, czy faktycznie tak jest, ale głos i maniera wokalisty przypominają mi do pewnego stopnia The Effort, nieodżałowanych bostońskich wymiataczy z emocjonalną głębią. Podobnie też ma się tematyka utworów – raz społeczno-polityczne, raz bardziej osobiście, z pasją i szczerością serca przeciwko zakłamanemu światu. Warto wczytać się w umiejętnie napisane teksty (choć umówmy się, nie odbiegające od standardów hardcore'u), które faktycznie są o czymś. Na szczęście język angielski nie jest w tym przypadku kamuflażem dla braku treści. Sprawnie dopasowane słowa do

rytmu muzyki znacznie podbijają dynamikę, przez co ciężko usiedzieć w miejscu. Jakby tego było mało, dużo tutaj szybkich partii prowadzonych przez piłującą gitarę. Demo pędzi jak burza, a melodyjne riffy płynnie przechodzą w połamane ciosy, nie ma więc nawet mowy o ziewaniu z nudów. Już pierwszy kawałek na liście – „Burden" wyraźnie podnosi ciśnienie, a minisolówka pod koniec to najlepsze zakończenie, jakie można było wymyślić! Wiem, że słodzę, ale serio, to, co zgotowali rzeszowianie, daje mi solidnego kopa. Świetny początek, tak więc ogarniajcie się i grajcie dalej!



V/A – Nigdy Nie Będziesz Szedł Sam – Tribute to Guernica Y Luno

Wiadomość o pracach nad tym wydawnictwem gruchnęła jak grom z nieba ponad rok temu. Nie powiem, mega się ucieszyłem, chociaż Guernikę poznałem tylko dzięki empetrójkom i Internetowi. Cóż, minęliśmy się, nie to pokolenie niestety... Jednak cała zaleta nagrań jest taka, że można je odtworzyć po wielu latach, przez co ich zawartość staje się nieśmiertelna. Dzięki temu także i ja mogę powiedzieć, że twórczość GYL wywarła na mnie piorunujące wrażenie, dając mi sporo do myślenia. Tak więc czekałem i czekałem, no i jest! Ale nie jest to zwykła składanka z coverami jakiegoś tam klasyka punk rocka. To prawdziwy hołd złożony kapeli ze Słupska, która porządnie namieszała na scenie, dorabiając się po drodze statusu legendy i której teksty wciąż są zaskakująco aktualne. W paczce, oprócz płyty, znajdziemy booklet z przemyśleniami ekip biorących udział w projekcie oraz zina, który aż pęka od materiałów na temat zespołu – mnóstwo starych artykułów, wywiadów, parę recenzji, zdjęć, wspomnień. Rewelacyjna sprawa, szczególnie dla kogoś, kto nie miał możliwości czytać tych wszystkich kserowanych zinów w czasach, kiedy się ukazywały. A na deser spisana dyskografia i teksty do większości kawałków. Spokojnie starczy na niejedną przerwę w pracy. Szacunek! Jedna uwaga – rozumiem, że pewnie inaczej się nie dało, ale momentami skany są zbyt małe, by je komfortowo przeczytać. Mój wzrok jeszcze nie jest zły, ale boję się o starszych załogantów... Na składaka zaproszono prawdziwą plejadę (że się tak brzydko wyrażę) „gwiazd" polskiej sceny hc/punk. Rozstrzał stylów jest dość duży, co jest dodatkowym atutem, bowiem nikt tutaj nie starał się odtworzyć oryginału kropka w kropkę. Ogromnym zaskoczeniem (i to na plus!) jest obecność hip-hopowego kawałka w wykonaniu CTRL DELETE do bitu opartego na zsamplowanych skrzypcach z „5 minut" GYL. A skoro już jesteśmy przy „5 minutach", ten numer na swoje barki wzięło Guantanamo Party Program, uwspółcześniając treść, co jeszcze bardziej wgniata w fotel. Każda nagrywka to porządna robota, choć to przede wszystkim zasługa potencjału samych pierwowzorów. Są emocje, jest ciężar, brud, ultraszybkość kiedy trzeba, a wszystko elegancko nagrane. Ciekawym akcentem jest początek i koniec płyty, gdzie za wokal wzięły się całe załogi – Berlin i Rozbrat Punx. Zajebiście to wyszło, szczególnie przy wieńczącym składaka „Hymnie Miłości". Nie da się tego opisać, mnie rozwala na łopatki! Piękny to prezent dla punków, którzy nie ograniczają się jedynie do wlewania w siebie jaboli i szalenia w pogo. I dla tych, którzy nie boją się myśleć. A czy ta płyta będzie jedynie powiększeniem zbiorów z niezależnym punk rockiem, to już zależy tylko od nas samych.



Waste – Executioner

Szwedzka scena straight edge lata świetności ma niestety za sobą, lecz to nie oznacza, że całkowicie wymarła. Dobrym tego przykładem jest grupa Waste pochodząca z Göteborg. Personalnie powiązana z The Hammer i Lose The Life, trzaska klasycznego hardcore'a z paroma szlifami, dzięki którym nabiera on nieco bardziej współczesnego ducha. Na „Executioner" jest wszystko, czego można wymagać od trzymającej się ram gatunku kapeli hc – szybkość, eleganckie zmiany tempa, siła wokalu, raz pędzące, raz bujające szorstkie gitary. Materiał zrealizowano z mega kopem, nawet instrumentalne intro nosi jak trzeba. Skoro mamy do czynienia z reprezentacją Skandynawii, nie mogło zabraknąć wyraźnie zarysowanego, upolitycznionego przekazu wprost z lewej strony barykady. Najlepiej to słychać w kończącym epkę kawałku „Retribution", gdzie padają wersy „The product of your work, never to be seen/The means of production forever out of reach". Jednak to, co najbardziej do mnie przemawia w przypadku Waste, to postrzeganie straight edge nie tylko jako osobistego wyboru, ale jako postawy motywowanej politycznie. W ujęciu grupy to również wyraz solidarności z tymi wszystkimi, którzy muszą na co dzień zmagać się z uzależnieniem, swoim bądź swoich bliskich. Empatia połączona z bezkompromisowością – takie straight edge smakuje mi najbardziej. A jeśli podane jest w klasycznym, ale nie nużącym stylu, to już w ogóle jestem uradowany. Konkret, sprawdzać na taśmach i gigach!



xREIGNx – Demo

Ciąg dalszy eksploracji współczesnej metalcore'owej sceny vegan straight edge. xREIGNx to zespół pochodzący ze słonecznej Kalifornii, a konkretniej z San Diego. Sądząc po całokształcie twórczości, grupa postanowiła włączyć się w konkurencję o nazwie „kto najlepiej odtworzy aurę lat 90-tych". Tak więc mamy skromne demo, wydane na obowiązkowej kasecie, z okładką wyglądającą jak kserówka ksera, na której widać niewiele poza dłońmi trzymającymi wielki gwóźdź i młotek. Owa grafika kojarzy mi się od razu z taktyką stosowaną przez Earth Liberation Front, polegającą na przebijaniu gwoździami pni drzew tak, aby uniemożliwić drwalom ich ścięcie. I to jest jak najbardziej słuszny trop, gdyż zespół na każdym kroku otacza się symbolem ELF, tj. skrzyżowanym kluczem francuskim i kamiennym młotkiem. W związku z tym łatwo przewidzieć zawartość tekstową czterech kawałków, jakie upchnięto na taśmę. Nie ma tutaj żadnej taryfy ulgowej – niewygodna prawda zostaje podana brutalnie i bez niepotrzebnego owijania w bawełnę. Już pierwszy wers otwierający wydawnictwo nadaje charakter całości. Nie ma nawet sekundy, żeby się przygotować na nadciągającą rzeź dla uszu i sumień, bowiem po wciśnięciu przycisku play od razu wchodzi ciężki łomot i słowa „life reduced to resource" wywrzeszczane z prawdziwą furią. W tym samym kawałku padają jeszcze dwie, bardzo trafne, a zarazem proste linijki: „The enemy won't capitulate to ever meet our needs / Speaking truth to power never changed a thing". Radykalizmu muzykom z pewnością nie brakuje. Po ataku na władzę i kapitał, które bez skrupułów niszczą planetę, przyszedł czas na wytknięcie społeczeństwu ignorancji oraz finansowania okrucieństwa wobec zwierząt. Standard. Dlatego na takim tle wybija się „No Absolution", który nie zostawia na policji suchej nitki. Całość zamyka utwór będący niemalże manifestem straight edge, które rozumiane jest w kategoriach postawy politycznej, a nie tylko osobistej decyzji. To zdecydowany sprzeciw wobec „chorobliwej kultury, uzależnień, inżynierii społecznej, znormalizowanej przemocy oraz stawiania zysków ponad dobro jednostek i społeczności". Demo obfituje w ogrom szorstkich, brudnych riffów oraz kozacką sekcję rytmiczną. Zdecydowanie dominuje średnie i wolniejsze tempo, przez które czuć fajny, bujający groove.

ZINE REVIEWS

SPISAŁ: PAWEŁ/

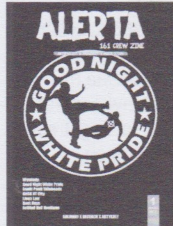


About the good times #5
Ściana wschodnia #22
split zine, 52 str. A4, wiosna '18

Idea split zina jest bardzo fajna, pokazuje, że w jedności siła i jest fajną pamiątką. „Ściana wschodnia" ma już w swoim dorobku podobną pozycję, w wydanym w 2010 roku numerze 11. dzieliła wspólną przestrzeń z nonszalanckim i obiecującym „Scenowym dzielnicowym", który niestety zdechł po drugim numerze. Dla „About the good times" jest to pierwszy raz.

Mimo różnic stażu i bagażu, oba te tytuły prezentują zbliżony poziom. Daje to spójny, bezkolizyjny efekt, mimo iż eksplorowane rejony punka w każdym z nich są nieco inne. W części zagospodarowanej przez „ATGT" jak zawsze kolumny i wywiady (Ansa, Odra, Hyena, Ohyda, pozamuzycznie Krzywa Kreska), jeden drobny artykuł i relacja oraz garść recenzji. Oprawa graficzna podobno „brzydka, chaotyczna, nieczytelna, jak z lat 90." – cóż, jako jej autor muszę się z tym zgodzić.

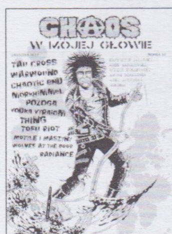
Po stronie „ŚW" tradycyjny, ograny punkowy koncept, a w środku m.in.: wywiady z BSB, Nieviem, Nofu, 210 oraz pozamuzycznie i szeroko o Arabii Saudyjskiej z niejakim Fotisem.



Alerta #1
52 str. A4, jesień '17

Długo wyczekiwany i bardzo udany debiut antyfaszystowskiego magazynu tworzonego przez grupę 161 Crew. Pierwsze, co od razu rzuca się w oczy i pozytywnie zaskakuje, to jakość wydania – całość w kolorze, na dobrym papierze, spięta elegancką okładką. W środku dominują oczywiście treści antyfaszystowskie i anarchistyczne, ale nie brakuje również njusów i wywiadów muzycznych, co bez żadnych wątpliwości określa rodowód pisma. Na łamach pierwszego numeru ciekawe wywiady tematyczne: „Good night white pride" – z Harlonem Jonsem, postacią kopiącą neonazistę na logo GNWP, „Sankt Pauli Skinheads" – z kibicem, należącym do grupy, „Rash NY City" – historia ruchu kibicowskiego i Red and Anarchist Skinheads w Nowym Jorku oraz kilka okołomuzycznych z Lion's Law, Boot Boys Ofiziala, Actitud HxC Hooligan i Derdols. Jest też pokaźna garść artykułów, kilka kolumn i recenzje.

Od samego początku dość wyraźnie rysuje się charakter i kierunek „Alerty" i jestem pewien, że wkrótce stanie się obszernym i prężnie działającym, o dużym zasięgu organem prasowym środowiska antyfaszystowskiego. Nie trzeba szczególnie przekonywać, że takowe jest wyjątkowo pożądane w kontrze do wszelkich radykalno-prawicowych magazynów. Trzymam kciuki!

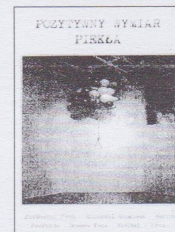


Chaos w mojej głowie #16
210 str. A4, zima 2017

Ten największy i najciekawszy – moim zdaniem – zin punkowy w naszym kraju wyraźnie zintensyfikował częstotliwość ukazywania się. Już od kilku numerów wychodzi w półrocznych odstępach, co na tak olbrzymią cegłę rodzi we mnie mieszankę podziwu z niedowierzaniem. Zdarzało mi się pisać kolumny do „Chaosu", ale przestałem wyrabiać właśnie przez to niewiarygodne tempo!

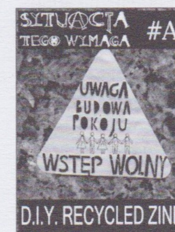
Zawartości nie da się zaprezentować w jednej małej recenzji, nie zamierzam tego robić, ogranicza mnie nie tylko ilość miejsca, ale karkołomność tego zadania. Za rekomendację musi wystarczyć opinia najlepszego źródła szeroko pojętej informacji scenowej, publicystyki anarchistyczno-wolnościowej, antyfaszystowskiej, historycznej, kulturalnej, podróżniczej i nie tylko. Każdy z pewnością znajdzie tu coś dla siebie na długie posiadówy. Efekt dodany obcowania z lekturą to wyrobiony biceps.

Nie mogę sobie odmówić małej dygresji na koniec. Autorem okładki jest Pablo, twórca „Chaosu", uzdolniony punkowy rysownik. Niestety jego prace rzadko lądują na okładkach, a po poprzedniej, kiepskiej, mam nadzieję, że będą częściej.



Pozytywny wymiar piekła #1
44 str. A5, jesień '17

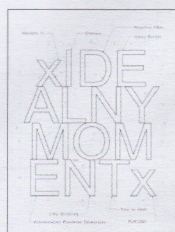
Bardzo miłe zaskoczenie. Widać, że autor jako jeden z nielicznych w dzisiejszych czasach twórców zinowych ma nożyczki, klej i skromny budżet, który ledwie starcza na ordynarnej jakości ksero. W dodatku ma niewybredny język, niezbyt gładko wypolerowane słownictwo, którego wdzięcznej szorstkości daleko do aksamitnych i powabnych mdłości z pism dla znudzonych gospodyń. To sprawia, że w jednej minucie przeniosłem się w najlepsze czasy lat 90. Chaotyczne wyklejanki, marnej jakości kolaże, ręczne dopiski. Do poczytania wywiady z Herida Profunda, Abnormal Sickness, Nicitel, Sheeva Yoga, Posthuman Production i pominięty na okładce wywiad z Psychoneurosis dołączony do zina w formie rozkładówki. Ponadto raport z Brna, recenzje płyt, zinów i oczywiście trochę autorskich przemyśleń.



Sytuacja tego wymaga #A
16 str. A5, zima '18

Co się stanie, gdy za dużo pomysłów w głowie i kleju w szufladzie? Stanie się zin! Tak, młoda załoga, mająca dość bierności i bezczynnego siedzenia na dupie, postanowiła zrobić tak niepopularną, nie niosącą splendoru rzecz jak wydanie zina. I zrobiła to w sposób niezwykły. W zasadzie można powiedzieć, że jest to artzin.

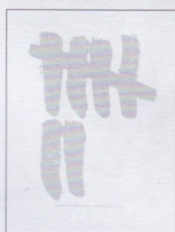
Dominuje tu głównie poezja, będąca owocem kłębiących się niespokojnych myśli, pełnych niezgody na obecny kształt świata. Jest jeden mały felieton o punkowym buncie i krótki tekst upamiętniający pionierkę rock'n'rolla Rosettę Tharpe. Słowo pisane uzupełnione jest wizualnie pełnymi wdzięku kolażami, komiksami i zdjęciami. Cały zin ma nieodparty urok spontanicznej zajawki, dlatego tak bardzo cieszy.



xIdealny Momentx #6
60 str. A5, lato '17

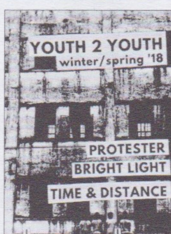
„Idzie lato, a to jest idealny moment"! Takim pozytywnym akcentem rozpoczyna się szósta odsłona mojego ulubionego sXe zina. Pozytywnych akcentów jest tu więcej. Przede wszystkim jestem mile zaskoczony częstotliwością, z jaką ukazuje się ten zin. Średnio co sześć miesięcy, co jest wynikiem godnym odnotowania. Przez cały ten czas pozytywnie dojrzewa skład. Jest czytelny, uporządkowany, minimalistyczny, ale sznyt punkowy jest obecny. Jest też bardzo fajna, dopracowana okładka!

Zawartość tego numeru to przede wszystkim wywiady. Spore grono wzięte na spytki reprezentują tym razem Negative Vibes, Time to Heal, Mentally Ill, Limp Blitzkrieg, Heavy Runner i Glamour. Pogaduchy są ciekawe, oddają ducha i klimat sceny. Zabrakło mi tylko osobistych przemyśleń i wywodów, tak specyficznych i charakterystycznych dla tego tytułu. Jest tu z grubsza jedno takie, a to zdecydowanie pozostawia niedosyt.



xIdealny Momentx #7
88 str. A5, wiosna '18

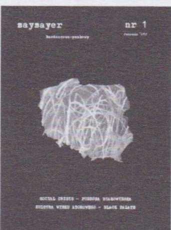
Ta odsłona to duży skok jakościowy w stosunku do poprzednich numerów. To głównie za sprawą porządnej drukarni i eleganckiej klejonej oprawy. Ale to nie wszystko. Pojawił się nowy cykl, na wzór ankiet z twórcami graffiti, ale tym razem do przesłuchania przystąpili animatorzy kultury niezależnej organizujący koncerty. To lwia część tego numeru, stanowi prawie połowę objętości, a goszczą w niej osoby działające pod szyldami tak zacnymi jak Act Stupid, Do or Die, Noise Attack, A&A Booking, JointPLHC, Non-Exposure Space, Boo!King, Rebelsnowman, Too Loud For The Crowd, Mad & Loud. Sylwetek graficiarzy też nie brakuje, są dwie postaci: niejaki Michał oraz drugi sympatyczny osobnik ukrywający się pod tagiem „End". Inną niewątpliwą atrakcją jest obszerna i nieźle napisana relacja z trasy „Youth 2 Youth Weekender", obejmująca występy zespołów zebranych wspólnie pod banderą Y2Y Records. Są także dwa wywiady – długaśny na kilka kęsów, ale smaczny z Embitter, i króciótki, nie mniej smaczny, bo dotyczący domowej produkcji tempehu, z sympatyczną ekipą działającą pod szyldem „Ale tego". Osobistych przemyśleń znów mi brak, są tylko dwa, ujęte jako rozwinięcie wstępu i zakończenia. Nie narzekam i nie marudzę jednak, bo dobrej lektury jest tu pod dostatkiem.



Youth 2 Youth #2
28 str. A5, wiosna '18

Maciek zapewniał, obiecywał czy też odgrażał się, że zrobi numer drugi swojego zina i słowa dotrzymał! Jest to kolejna okolicznościowa odsłona, dedykowana brazylijskiej załodze z Time & Distance, a tłem do niej jest fenomenalna brazylijska trasa Vicious X Reality, w którym Maciek udziela się za mikrofonem. Piękniej być nie mogło! W środku kilka osobistych wywodów, dobre wywiady z krajowym produktem w postaci Bright Light i Protester oraz wspomnianym już Time & Distance, przy którym warto nadmienić, że to głównie dzięki nim brazylijska przygoda VXR mogła się spełnić. To jest piękne w scenie, to jest piękne w przyjaźni! Dopełnieniem całości jest krótki, acz treściwy raport o wszystko mówiącym tytule „The Straight Edge in Poland" – pomysł w dyszkę moim zdaniem.

Skład nieco różni się od poprzedniego numeru, jest tu więcej estetycznego chaosu, zapewne za sprawą wykorzystania ponadczasowej techniki „cut, pasta, pomodori". Palce lizać!

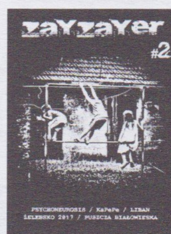


Zayzayer #1
52 str. A5, wiosna '17

Każdy debiut zinowy przepełnia mnie niekrytą radością i uznaniem, że komuś jeszcze się chce, nie dość, że napisać kilka akapitów, przepisać wywiady z nośnika cyfrowego, to jeszcze poświęcić się mozolnej sztuce złożenia tego tak, by nadawało się do druku na papierze.

„Zayzaer", mimo iż złożony na komputerze, to odnosi się do starej szkoły zinowej, dzięki użytym tłom, poddrukom i czcionce maszynowej. Mimo punkowej estetyki panuje tu porządek i czytelność. W tym przypadku jest to oczywiście zaletą.

Na szczególną uwagę zasługuje treść, bo żywo przypomina, po co robi się ziny i czym one różnią się z zasady od mniejszych czy większych magazynów branżowych. Jest to oczywiście pasja i zajawka, by podzielić się tematyką ważną i bliską autorowi. Obowiązkowe pozycje, jakie klasyczny punkowy zin musi mieć, to wywiady (Blak Palate, Sosial Crisis, Kultura Wieku Atomowego), relacje i recenzje. Towarzystwem dla nich są drobne przemyślenia autora i dwa większe teksty: zasługujący na szczególną uwagę o Puszczy Białowieskiej i nie mniej ciekawy o tym, że... Punki nie znają się na owadach. Warto przeczytać, bo zaiste autor wie, o czym pisze.



Zayzayer #2
52 str A5, jesień '17

Jeśli faktycznie istnieje klątwa pierwszego numeru, to szybko została złamana. Twórca „Zayzaera" nie zasypia gruszek w popiele i szybko atakuje drugą odsłoną. Daje się już poznać poniekąd kierunek tego pisma, bo ten numer jest kontynuacją dóbr zawartych w pierwszym numerze. Skład utrzymany w tej samej stylistyce i treść kultywująca podobne tradycje. Na zawartość składają się wywiady z Psychoneurosis (propsy za ich przypomnienie), Kapepe, obszerna relacja z dziesiątej edycji Ultra Chaos Pikniku okraszona dużą ilością zdjęć, inne pomniejsze relacje i recenzje. Nie zabrakło również garści przemyśleń, kontynuacji wątku o Puszczy Białowieskiej z poprzedniego numeru oraz dobrego tekstu z wyprawy do Libanu.

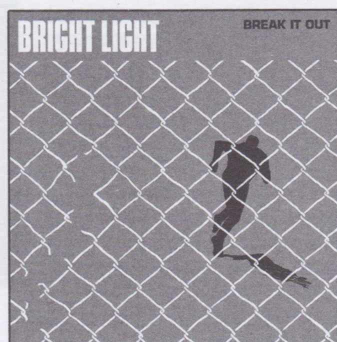
„Zayzaer" daje się lubić, dlatego jeśli klątwa drugiego numeru istnieje, to mam nadzieję na rychłe jej złamanie.

YOUTH 2 YOUTH

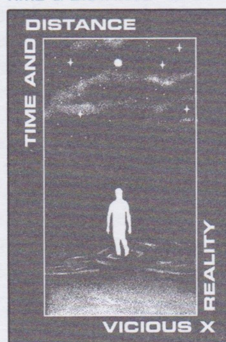
POSSE!

WCIĄŻ DOSTĘPNE:

BRIGHT LIGHT - BREAK IT OUT 7"



VICIOUS X REALITY / TIME & DISTANCE - SPLIT MC



WYLĄDOWAŁO!

HEATSEEKER - INFECTED PROMO MC



2YOUTH 2YOUTH RECORDS

YOUTH2YOUTHRECORDS.BANDCAMP.COM
YOUTH2YOUTH.8MERCH.COM

ZATANCZ DO:
ODD MAN OUT, HEATSEEKER, PROTEIN + ...
29.06 WARSZTAT, KRAKÓW

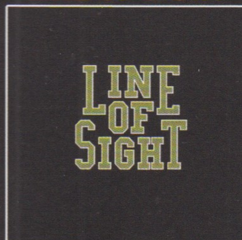
REFUSE RECORDS

XXV LECIE REFUSE:
08-09.06. BERLIN · CASSIOPEIA
12-13.10. WARSZAWA · POGŁOS





LINE OF SIGHT



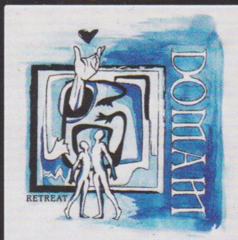
s/t 12"
Washington DC Straight Edge. Członkowie Mindset, Protester, Free. Posiforce!

WALL BREAKER



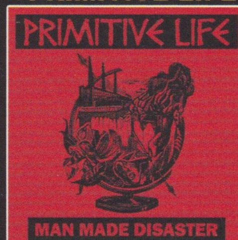
s/t 7"EP
New Jersey Straight Edge. FFO: SSD, Life's Blood, Tear It Up

DOMAIN



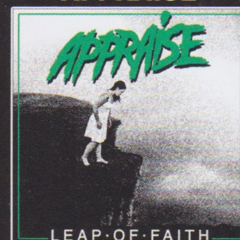
"Retreat" 7"EP
Mannheim Straight Edge. FFO: Wide Awake, Turning Point

PRIMITIVE LIFE



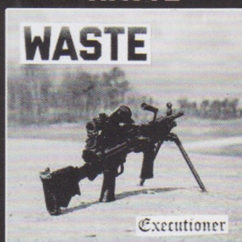
"Man made disaster" 7"EP
Berlin Straight Edge

APPRAISE



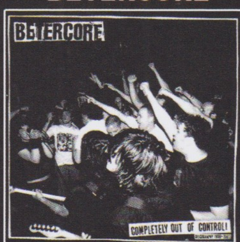
"Leap of faith" 7"EP
Barcelona Hardcore. Najnowszy EP

WASTE



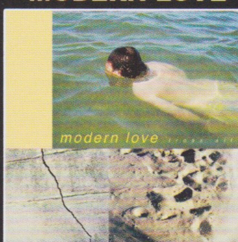
"Executioner" 7"EP
Mocny SEHC z żeńskim wokalem - Szwecja.

BETERCORE



"Completely out of control!" LP
Dyskografia 1998-2003. Szaleńczy hc/thrash/punk aka youthcrust z Amsterdamu

MODERN LOVE



"Tross alt" LP
Oslo HC z pływami DCHC połowy lat 80. i postpunk. Członkowie Damage Control, Death Is Not Glamorous i Subject To Change.

FUCK IT I QUIT



"In the shadow of extinction" 7"EP
New Jersey Straight Edge. Szybki i polityczny HC, ex-Ensign

NATIONS ON FIRE



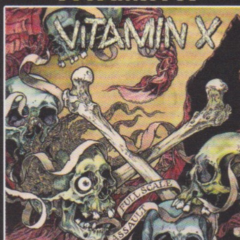
"Strike the match" LP
Reedycja klasyki SEHC z Belgii. Positive Political Powerful!

APATIA



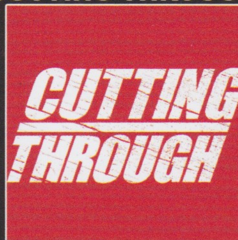
"Duma i pycha" LP
Koncertowy materiał zarejestrowany podczas Róbrege '90.

VITAMIN X



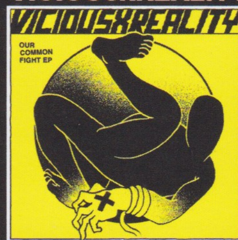
"Full scale assault" LP
Czołowy europejski SE/HC/Thrash. Reedycja czwartej płyty Holendrów z 2008.

CUTTING THROUGH



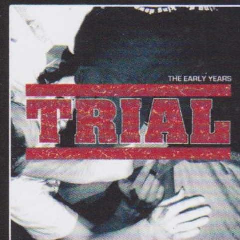
"Demo" 7"EP
Portland Straight Edge. Ex-Get The Most / Fired Up.

VICIOUSxREALITY



"Our common fight" 7"EP
Holy City SEHC. Druga epka w dorobku.

TRIAL



"The early years" 2xLP
Legendarny SEHC z Seattle. Nagrania z lat 95-98.

Również dostępne:
HEATSEEKER "On the ropes" 7", SCHWACH "Kein bock" LP, GOVERNMENT FLU "Vile life" 12", MISLED YOUTH "Excuse for existence" 7", CORRECTIVE MEASURE s/t 7", CLEAN BREAK s/t 7", OPEN WOUNDS s/t 12", PROTESTER "The first two years" 12", NATIONS ON FIRE "Burn again..." 12", COKE BUST "Confined / Anthology" CD

W planach:
ODD MAN OUT s/t 12", HEATSEEKER "Infected society" 12", THE FOG 7", NATIONS ON FIRE "Death of the pro-lifer" LP, V/A "Warsaw's Burning vol.2" 7"

REFUSE RECORDS www.refusemusic.net refuseorder@gmail.com

I'M AS

STRAIGHT

AS THE LINE
THAT YOU SNIFF
UP YOUR NOSE

I'M AS

HARD

AS THE BOOZE
THAT YOU SWILL
DOWN YOUR THROAT

M AS
AIGHT
HE LINE
OU SNIFF
UR NOSE

M AS
ARD
E BOOZE
OU SWILL
UR THROAT

WYGRAĆ NOWE ŻYCIE 5

WYG
NOWE
STRAIGHT ED



ANTI-FLAG

CF98

GUANTANAMO
PARTY PROGRAM

PROTEIN

GLAMOUR

MANTA
BIROSTRIS

POZNANIACY
PRZECIWKO MYŚLIWYM

STRAIGHT EDGE PERSONA
ARTYKUŁY, KOLUM